









204

# BAŚŃ NAD BAŚNIAMI

NAPISAŁ

WOJCIECH DZIEDUSZYCKI.

II.

Pieśń VII—XII.



LWÓW.  
GUBRYNOWICZ I SCHMIDT.  
1889.



BAŚN NAD BAŚNIAMI.

II.

WYDAWNICTWA KSIĘGARNI  
 GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA  
 WE LWOWIE.

	zl. ct.
<b>Asnyk Ad.</b> Bracia Lerche . . . . .	— 75
<b>Bańkowski X.</b> Ruś chełmska . . . . .	1 60
<b>Dębicki hr. L.</b> Puławy 4 tomy . . . . .	13 20
<b>Ewunia</b> (Henryetta Ewa z hr. Ankwiczów) hr. Kuczkowska. Opr. . . . .	1 50
<b>Mickiewicz Adam.</b> Początek pierwszej księgi Pana Tadeusza w 9 językach . . . . .	— 60
<b>Materyały</b> do historyj powstania r. 1863/64 tom wstępny . . . . .	3 —
<b>Pamiętnik</b> Towarzystwa im. Mickiewicza r. I. . . . .	3 20
<b>Przewodnik</b> po Lwowie 80 ct. opr. . . . .	1 20
<b>Rusin.</b> Ruś Galicyjska . . . . .	1 50
<b>Szczepanowski St.</b> Nędza Galicyj w cyfrach II wydanie . . . . .	— 50
<b>Urbański A.</b> Watażka, dramat . . . . .	— 64
<b>Zielonka L.</b> Wspomnienia z Syberyj 2 tomy . . . . .	4 —

**DZIEŁA GOSPODARSKIE I EKONOMICZNE.**

<b>Przewodnik dla leśniczych.</b> Zbiór wiadomości z gospodarstwa lasowego. Tom I. Meteorologia, Klimatologia p. Dr. T. Staneckiego. Botanika p. W. Tynieckiego. Zoologia leśna p. P. Romera. Arytme- tyka. Geometrya p. T. Staneckiego. — Z rycinami w tekście i tabli- cami z nauki owadów. Tom II. Gospodarstwo lasowe z rycinami w te- kście i tablicami p. H. Strzeleckiego. Cena . . . . .	6 40
<b>Dr. Barański Antoni</b> „Chów koni“. Poprzedzony wykładem ogólnych zasad hodowli zwierząt gospodarskich . . . . .	6 80
<b>Kretowicz Paweł.</b> »Kucie koni« Opracował lekarz weterynaryi i nau- czyciel kucia koni. Z rycinami. . . . .	1 50
<b>Rylski T. Mechanika rolnicza</b> dla gospodarzy. Wybór i użycie narzędzi rolniczych ze 130 rycinami w tekście . . . . .	3 —
<b>Schmidt Antoni.</b> »Katechizm hodowania drzew owocowych jakoteż rozpozn. owoców i robienia jableczniku« . . . . .	— 80
<b>Strzelecki H.</b> Las w stanie natury . . . . .	1 80
— Cięcie lasu, 1874 . . . . .	1 70
<b>Szelichowski T.</b> Przewodnik, czyli szkółka dla maszynistów i palaczy. — 75	— 75
<b>Tyniecki Wł.</b> »Zgnilizna kartofli« . . . . .	— 50
<b>Wodzicki Kaź. hr.</b> »Zapiski ornitol« VIII. »Skowronek« . . . . .	— 80
— Zapiski ornitol« IX. »Orzeł polski« . . . . .	2 40
<b>Patzig G. C.</b> „Praktyczny rządca ekonomiczny“ według wymagań tegoczesnych« Podręcznik praktycznie pouczający dla wła- ścicieli dóbr, dzierżawców, rządców, początkujących gospodarzy. Po- dług 9 niemiec. wydania z zastosowaniem do potrzeb krajowych, prze- łożył Hip. Turczyński. Lwów 1878, 2 tomy . . . . .	4 20
<b>Ustawa Lasowa.</b> Ustawy łowieckie. Ochrona własności polnej . . . . .	1 —
<b>Wady i ulepszenia pomieszczań</b> . . . . .	— 60



# BAŚŃ NAD BAŚNIAMI

NAPISAŁ

WOJCIECH DZIEDUSZYCKI.

---

II.

Pieśń VII—XII.



LWÓW.  
GUBRYNOWICZ I SCHMIDT.

1889.

<http://rcin.org.pl>



**INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN**

**Biblioteka**

ul. Piłsudskiego 11 Nr 72

00-100 Warszawa

**Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42**

## PIEŚŃ VII.

### PIAST I RZEPYCHA.

**W**iedział Czarnobóg o tem, że nad Gopłem stała  
Żywy, co żoną Kroka była, chata biała;  
I wiedział, że w tej chacie syn jej Piast się chowa,  
Przyszła wskrzeszonej kiedyś nowej Polski głowa.  
I przeto przemyślał o tém Popiel wiele,  
Jakby mógł zgubić swoje te nieprzyjaciele?  
Z Jagą często się radził, jak zamiary srogie  
Spełnić? i wreszcie pewną nato znalazł drogę.  
Pożegnał Jagę Babę, co osierociła,  
Na zamku pozostała i znikł.

#### Zima biała

Podówczas świat zakryła miękkim płaszczem śniegu,  
I lód powstrzymał rzeki wszystkie w bystrym biegu,  
Na każdej rzeki łono kładąc ciężkie bryły,  
Co się na kształt kryształu w blaskach słońca lśniły  
Zimowego. Na górze blade niebo było,  
Po którym zimne słońce niską się toczyło  
Ścieżką; na dole miękkie, białe puchy śniegu,

Odselały na powrót słońcu blask, co w biegu  
 Swoim, na ziemię zlewał mroźną i zimową;  
 Ale na niebie, słońce było jedną głową,  
 Ognistą zimowego światła; a na ziemi  
 Śnieg błyskotliwy jaśniał główkami setnemi  
 Szpilek tęczowych. Środkiem pośród iskier śniegu  
 Pas jeden ognia znaczył sploty rzeki biegu,  
 Zamarzniętej i twardeń zwierciadłem patrzyły  
 W niebo wody, kiedy się głazem twardym stały  
 Pod tchnieniem zimy. Tylko czarne bory  
 Białość świata plamiły wśród zimowej pory.

W grabinę weszła była Żywa, z synem Piastem.  
 Chłopiec był już podówczas w roku dziewiętnastym;  
 Niezbyt duży, a krępy, rozumne miał oko,  
 Którym do duszy ludzkiej zaglądał głęboko;  
 Włosy miał czarne, które na czoło spadały  
 I na szyję, słowiańskim obyczajem; śmiały  
 Był wyraz twarzy, śmiałe wszystkie ruchy; głowę  
 Czapką przykrył czerwoną; buty safianowe  
 Czerwone, wyglądały mu z popod siermięgi,  
 Spiętej pasem czerwonym. A chłopiec był tęgi;  
 Dobrze nań spojrzeć było: twarz miał chłopiec gładką,  
 A w las wyszedł gałęzi poszukać, wraz z matką  
 Swoją. Żywa rodzica jego, jeszcze młoda;  
 I choć w szacie wieśniaczkiej, przedziwna uroda  
 Dawnej królowej Polskiej tak na niej jaśnieje,  
 Jak na niebie zimowem zorza, kiedy dnieje  
 Wśród pogodnego mrozu.

Oboje bawili

Długo w lesie szukając gałęzi; a w chwili,  
 W której do domu swego już wracać zechcieli,

Ujrzeni, że noc na śnieg już swą ciemność ścieli  
 Niebieskawą; a zatem kładąc wiązki drzewa  
 Na plece, wracali tam, gdzie się ich spodziewa  
 Pies koło ognia w chacie. Ale jakoś droga  
 Z pod nóg im uciekała; w koło ciemność wroga  
 Zapanowała; dziwnie się migaly drzewa,  
 Na pół śniegiem pokryte, a noc kształty zlewa  
 Wszystkie w gąszcz niewyraźną mar strojnych w całuny,  
 Co wyszły cicho z jakiejś dziwnej, śnieżnej trumny  
 Zimowej. Chociaż cicho w lesie, zimno przecie  
 Przenikliwe; i straszny głód żołądek gniecie  
 Matki i syna; a sen chce zamknąć powieki;  
 Bronią się jednak, aby nie zasnąć na wieki,  
 Pośród mrozu nocnego. Całkiem błędna droga,  
 Przed nimi, a w nich tylko głód, trud, ból i trwoga!

Na szczęście księżyc zeszedł i upstrzył śnieg w lesie  
 Cieniami i światłami. Księżyc pomoc niesie  
 Wędrowcom, którzy w zimę srogą zabłądzili.  
 Cały las czarny stał się widmem w jednej chwili;  
 Gałęzie nagie ostro się zarysowały  
 Na tle nieba, a drzewa czarnym słupem stały,  
 Dźwigając na konarach śnieg nagromadzony.  
 I mech na drzewach widny od północnej strony,  
 I gdzieniegdzie wyraźne leśnych zwierząt ślady  
 Powyciskały szare plamy na śnieg bładny;  
 Wszystko dla Żywy i dla Piasta widnem było;  
 Lecz wszystko razem o tém wyraźnie świadczyło,  
 Że w las zabłądzili, tam gdzie umrzeć potrzeba  
 Z głodu. Drogi nie wskaże w lesie księżyc z nieba!  
 Już chyba lepiej spocząć pod drzewem, i czekać,  
 Na sen i na śmierć; bo i pocóż dalej zwlękać,  
 Kiedy niema ratunku!

Wtém Piast ujrzał dziwo,  
 Wyrażne, pożądane, które tu przed Żywą  
 I przed nim stańło; stół na ścieżce, tu w lesie,  
 Stoi na śniegu, i od potraw ciepłych gnie się  
 Błat na tym stole; para z półmisków się wznosi,  
 Do góry i wędrowców do biesiady prosi  
 Pokrzepiającój; woni smacznój pełne bory,  
 A Żywa mdleje, bo nie jadła do tój pory  
 Od rana. Żywa z Piastem wiązki odkładają,  
 Na śnieg, a do biesiady sutój się zbliżają.  
 Z płonącemi oczyma, dając Bogu dzięki,  
 Że ich z głodnej wybawił, a straszliwój męki.

Ale to czart, a nie Bóg ten tu stół postawił,  
 I on się udręczeniem głodnych ludzi bawił  
 Niegodziwie. Bo skoro Żywa blade ręce  
 Wyciągała do stołu tego, w głodnej męce,  
 Stół znikał z oczu; Żywa biedna zajęczała,  
 Kiedy przed próżnią i przed zimą tylko stała.  
 Oczy zakryła, aby trąc odpędzić mary;  
 A kiedy znowu chciała spojrzeć na świat szary,  
 Nocny i księżycowy, aby się poskarżyć  
 Śniegom na czarta, że o jadle kazał marzyć  
 Głodnej daremnie — znowu powtórzone cuda  
 Widziała, i znów stała przed stołu uludą  
 Kuszącą; i znów z krzykiem ręce wyciągała  
 Ku tój biesiadzie sutój, co na stole stała,  
 Chcąc i siebie pożywić i swojego syna,  
 A wtedy znów stół znikał. I wciąż rozpoczyna,  
 Na nowo Czart zabawę.

Piast spoglądał z boku,  
 Na mękę swojój matki i gniew wielki w oku

Miał, bo rozumiał dobrze tę niedobłą sprawę;  
 Wreszcie zamierzył przerwać czartowską zabawę,  
 I gałąź osikową oderwał od drzewa  
 Mniejszego pośród grabów.

Nie darmo się gniewa

Piast; on i działać umie; a słyshał od ludzi  
 Starych, że kiedy zły duch podróźnych utrudzi  
 Psotami swemi, można kijem osikowym,  
 Czarta pokonać. Kiedy za nawrotem nowym,  
 Stół się pokazał pośród lasu, i cień długi,  
 Rzucił na śniegi na kształt wąskiej, czarnej smugi,  
 Kijem swym osikowym Piast się celnie zmierzył  
 I prosto w środek cieniu tym kijem uderzył  
 Tak, że do śniegu ten stół został przygwoźdzony,  
 Za swój cień. A dla Czarta już nie masz obrony,  
 Jak mu kto cień przebije osikowym kołem.  
 I nie tylko już nie mógł Czart płać ze stołem  
 Figlów tysięcznych, i to jeszcze mu się stało,  
 Że we własnej postaci ponad ziemią białą,  
 Musiał stanąć przed Piastem i przed matką Żywą,  
 Dawną Polską królową, wdową po Kroku prawdziwą.

W czarnym stał płaszczu Popiel i czarny na głowie  
 Miał kaptur, co mu głowę nakrywał w połowie  
 Górnej tak, że zaledwo widać było oczy,  
 Któremi z pod kaptura gniewnie na świat toczy  
 Błyskawice. I Popiel na całym drżał ciele,  
 I ręce załamywał. Zaczął bardzo wiele  
 I prosić i zaklinać i Żywę i Piasta,  
 Co przy swój matce czartom na pogrom wyrasta.  
 Obydwom obiecywał teraz złote góry,  
 Które dla nich wypiętrzy aż pod same chmury

Niebieskie, jeśli tylko puszczą go z niewoli.  
 Bo choć kół w cień uderzył samo serce boli  
 Popiela od osiki, jakby kto gwóźdź wprawił  
 W serce. Błagając Popiel, całą twarz zelzawił  
 Swoją; a kiedy długo Piast nieodpowiadał,  
 Popiel tak strasznie pośród grabiny zabiadał,  
 I tak zaryczał, że aż wszystkie drzewa drżały,  
 Gdy złego Czarnoboga straszny jęk słyszały.

Wreszcie Piast się zlitował i takimi słowy  
 Przymówił do złych duchów wszech potężnej głowy:  
 „Puszczę cię nareszcie przekłęty Popielu,  
 „Srogiej zimy rodzicu, ludzi kusicielu,  
 „Duchu niedobry! Ale masz spełnić dwie sprawy,  
 „Zanim cię puszczę. Najpierw prawdziwe potrawy  
 „Daj mnie i mojej matce, by żywotne siły  
 „Do naszych ciał zmęczonych znowu powróciły.  
 „A gdy się już posilę, wtedy powiem tobie,  
 „Jaką drugą przysługę ja wymówię sobie“.

Że kusa była rada, Popiel słuchać musi,  
 I chociaż się ze złości bezsilnej aż krztusi  
 I kurczy, przecie teraz na stół cudny łoży  
 Biesiadę, co pożywia. Zjedli chleb – dar Boży,  
 Żywa i Piast, i oprócz chleba jeszcze wiele  
 Potraw ciepłych; aż dusza im ożyła w ciele  
 Posiloném. I Żywa się uśmiecha rada,  
 Że syn jej tak dopomógł.

Piast zaś dalej gada  
 Do Popiela w te słowa: „Jeszcze większe długi  
 „Masz mi spłacić, Popielu! Zażądam przysługi  
 „Większej, zanim cię puszczę. Tyś tu przygwożdżony



„Tą osiką do ziemi. Na złość twojej żony  
 „Jagi Baby masz przysiędz, że dotrzymasz słowa.  
 „A choć zwykle kłamliwą bywa twoja mowa,  
 „Wiem, że taka przysięga zobowiąże ciebie.  
 „Jak kret w pociemku ziemię swoją łapą grzebie  
 „Dużą, tworząc pod ziemią przedziwne chodniki  
 „Kręte, ty grzebiesz, słyszę, ukryte tajniki  
 „Zabronionej wiedzy; tam gdzie nie sięga oko  
 „Rozumu człowieczego, tam siedzisz głęboko  
 „Pochowany; tam czerpiesz skarby dziwnej mocy,  
 „Którą ty zawładnąłeś wśród grzechu i nocy.  
 „Tam to wzięłeś zaklęcia, któremi więziony  
 „Świat, stał się poddanym twój zamierzchłej korony.  
 „Ty umiesz śmierć wyrabiać, grzech i czarną trwozę.  
 „Mam rozum; zatem sztukę twoją posiąć mogę,  
 „I mogę, jak ty mocny, ciebie przewyciężyć.  
 „Słuchaj! Ja nie przestanę ciebie tutaj więzić  
 „Tym berłem osikowym, aż przysięgę złożysz,  
 „Że sam przedemną tajnie twych czarów otworzysz“.

Popiel słyszał te słowa i w dół spuszczał oczy  
 Wreszcie tak odpowiedział: „Kto przez próg przekroczy  
 „Wiedzy mojej tajemnej, będzie taki mocny,  
 „Jak pośród burzy letniej wielki wichur nocny,  
 „Co jadąc na piorunach wśród błyskawic świtu,  
 „Uplata sobie motki z drzew wieczystych szczytu,  
 „Dachy zamków odrywa, i niemi w dal miecie,  
 „I wieże wali. Takim potężnym na świecie  
 „Będzie mój uczeń. Jeśli wiedzę swą obróci  
 „Przeciw mnie, walka wstanie, w której świat porzuci  
 „Kolej swoją zwyczajną. Jakby ziarnka gradu,  
 „Ogniste gwiazdy spadną i ze światów ładu  
 „Wnet już nic nie zostanie. Choć swą moc wyteży,

„Mój uczeń, przecież on mnie w boju nie zwycięży:  
 „Ale jeżeli będzie na prawdę uczony,  
 „I on także nie będzie w boju zwyciężony  
 „Przezemnie. Te zapasy tylko świat rozwałą  
 „Chyba otchłanie puste zwyciężęcę pochwałą,  
 „Gdy już świata nie będzie. Lepszą będzie zgoda,  
 „Pomiędzy znahorami. Jak w zimie pogoda  
 „Mroźna trwa, nie ustaje, nie łatwo przepadnie  
 „I twardemi pętami świat cały owładnie,  
 „Tak moc dwu czarodziejów będzie wiecznie trwała,  
 „Tak szeroka, jak śniegu ta powierzchnia biała,  
 „Co dziś ziemi całunem, a tak jako bryła  
 „Lodu twarda. Tak wielką będzie nasza siła,  
 „Piaście, jeśli będziemy zgodnie z sobą żyli.  
 „Myślę, że ojcem twoim będę od tej chwili,  
 „Że ciebie kochać będę. Na złość mojej żony,  
 „Baby Jagi, przysięgam, że będziesz uczony,  
 „I wielki czarnoksiężnik. Ale na to trzeba,  
 „Abyś ze mną pospołu dużo jadał chleba.  
 „Migiem tobie nauki udzielić nie mogę,  
 „A przeto proszę zemną, w świat, w daleką drogę!  
 „Do zamku mego proszę; tam ja przez trzy lata  
 „Będę ciebie nauczał, abyś mądrość świata  
 „Zakłęta posiadł całą. Gdy się skończy szkoła,  
 „Oddam cię twojej matce, jeśli tylko zdoła  
 „Matka rodzona poznać uczonego syna.  
 „Jeśli ciebie nie pozna, nie moja w tém wina,  
 „Że już ze mną zostaniesz na wieki. Pokażę  
 „Cię twojej matce trzykroć. Jeżeli cię wskaże  
 „Zawsze matka, powrócisz i będziesz tak mocny,  
 „Że ledwo tobie sprostam — ja — sam cesarz nocny  
 „I zimowy! Powrócisz tutaj za trzy lata,  
 „Gdy zima się rozplynie, a oblicze świata

„Wiosna rozweseli. Chcesz — niechże na tém zgoda  
 „Stanie! Chcesz, to daj rękę! I czart tobie poda  
 „Rękę, na znak przymierza!“

Takie wyrzekł słowa

Popiel, władca północy, złego wielka głowa!  
 I rękę swoją podał. Piast za dłoń uchwycił,  
 A jakiś blask piekielny Popiela oświecił  
 Oblicze; Piast kół wyrwał osikowy z cieniu  
 Popielowego. Popiel wziął go w okamgnieniu  
 W swoje czarne objęcia; obaj z poprzód oczu  
 Znikli w srebrzystém nieba mroźnego przezroczu;  
 Żywa tylko po nocy śmiech dziki słyszała,  
 Potężny, coraz dalszy.

Biedna Żywa stała

Z załamanemi z bólu rękoma, i nową  
 Ranę uczuła ta, co niegdyś Krakusową  
 Była żoną i Polską królową; jak skała  
 Nieruchoma w boleści swojej długo stała  
 I płakać nie mogła. Godziny ponure  
 Mijały. Księżyc płynął coraz dalej w górę,  
 I księżyc bladł nareszcie. Rano się zbliżało.  
 I w końcu pośród boru czarnego zadniało,  
 A Żywa zapłakała! Łzy się potoczyły  
 Żywie po twarzy i te lzy pociechą były  
 Dla niej.

Teraz mogła już powrócić do domu.

Jak gdyby zawstydzona szła wsią pokryjomu  
 Ku chacie swojej, co nad Gopłem we wsi stała,  
 W Kruszwicy, i w ogrodzie jabłoń poszukała,  
 Co w lecie złote jabłka niosła; pod jabłonią

Źródło tryskało. Nigdy lody nie zasłonią  
 Powierzchni tego źródła; ono zawsze żyje,  
 I jedna Żywa tylko z synem wodę pije  
 Ze źródła tego. Ludzie nawet, którzy znają  
 To, o czém niełża mówić, we wsi powiadają,  
 Że ta to woda sprawia, że tak piękną bywa  
 Zawsze i bez odmiany, matka Piasta, Żywa.

Ale dziś syna niema więcej już przy sobie,  
 Przed drzewem na śnieg klęka w sierocięj żalobie  
 I drzewu opowiada, jakby drzewo żyło,  
 Wszystko, co jęj się wczora w lesie wydarzyło.  
 Zda się drzewo słuchało; bo skoro swą mowę  
 Skończyła Żywa, drzewo czarną swoją głowę  
 Z gałęzi poruszyło, i wydało głosy.  
 Chociaż bez liści było, gałązki, jak włosy  
 Długie i czarne, jakoś dziwnie przemówiły,  
 I Żywa zrozumiała to, co jęj prawily.  
 Zrozumiała i wstała, zda się pocieszona,  
 Bo swoje łzy otarła i chociaż z jęj łona  
 Ciężkie wyszło westchnienie, przecie pośród ludzi  
 Odtąd pogodnie kmieciem się porządkiem trudzi,  
 Chatę i sad obchodzi i ludziom powiada,  
 Że syn poszedł na służbę, kiedy ją kto bada  
 O Piasta.

\*            \*            \*

I minęły lata. Wiosna ścieli  
 Na ziemię młodą trawkę. Niebo się weseli  
 Śpiewem skowronka, który ponad oziminy  
 Kielkujące uleciał i z niebios wyżyny

Wiosnę wita. Za chatą pęka jabłoń Żywy,  
 A wietrzyk ulatuje świeży ponad niwy  
 Roztala odświeżone.

Nad Gopło jezioro

Leciał duży ptak, szary sęp, wieczorną porą,  
 Kiedy słońce już zaszło, lecz jeszcze złościło  
 Obłoki u zachodu, konającą siłą  
 Czerwonych już promieni; i łuna zachodu  
 Okrasila jezioro dokoła ogrodu  
 Żywěj tak, że w jeziorze jak w zwierciadle złotém  
 Odbijała się chata z ogrodem i płotem  
 Plecionym i z jabłonią, co Żywę za młodu  
 Jabłkami nakarmiła.

Zleciał do ogrodu

Sęp i siadł na wilgotną grzędę rozkopaną,  
 Do której Żywa groch sadziła rano;  
 Trzepnął skrzydłami, stanął człowiekiem w ogrodzie  
 Przy chacie. To był Popiel. O wieczornym chłodzie  
 Przybył do wsi, aby rozmówić się z Żywą,  
 Wdową po królu Kroku wiecznie urodziwą  
 I młodą pomimo lat, i mimo cierpienia.  
 Do niego idzie Żywa od chaty przedsienia;  
 Chustą czerwoną swoją obwiązała głowę,  
 I przyoblokła szaty grube, czarne, nowe,  
 Sukienne. Powitała mocarza północy,  
 Co stanął tu przed chatą pełen wrogięj mocy,  
 I spytała Popiela, czy jęj odda syna,  
 Gdy się już obiecana wiosna rozpoczyna?

Popiel głowę przed wdową schylił Krakusową  
 I z pod kapturu taką odpowiedział mową:

„Słowam zwykł dotrzymywać Odtąd matka Piasta,  
 „Jeżeli syna pozna, potężna niewiasta!  
 „Syn twój to umie, co ja. Jeszcze w mojej mocy  
 „Jest teraz wieczór, i tój pozostanie nocy  
 „Aż do jutra, do ranka. A gdy przyjdzie rano,  
 „Do lasu, gdzie mnie spotkałaś, ty jesteś przyzwana,  
 „Żywo! Tam możesz syna poznawać twójego.  
 „Jeśli go moje silne czary nie ustrzegą,  
 „Jeśli za każdym razem pozna oko matki  
 „Zuchwałego nad miarę -- to czarownik rzadki  
 „Będzie przy tobie, Żywo. A nam, czartom, dola  
 „Twarda stanie, jeżeli taka będzie wola  
 „Piasta by wyuczony miał wojować z nami.  
 „Ale ty go trzech razy nie poznasz; ja ręczę  
 „Zato. On moim będzie potem — i umęczę  
 „Piasta, jak wroga i jak zuchwalca. Męczyłem  
 „Już, bo męką jedynie czarów uczyłem.  
 „Słuchajże, matko, i drzyj! syna twego brałem,  
 „I to co z rękawicą robią, z jego ciałem  
 „Robiłem; w środek skórę, na wierzch kładłem trzewie,  
 „A Jaga mu jelita rozdzierała w gniewie  
 „I wściekłości; a potem, kiedy go puszczałem,  
 „Mówiłem, by odrobił, co zrobiłem z ciałem;  
 „I odrabiał, bo musiał. Przez takie zadania  
 „Syna twego uczyłem sztuki czarowania.  
 „Ale on myślał, że choć twarda moja ręka,  
 „Przecież może się kiedyś skończy jego męka;  
 „I przeto mężnie czekał wyzwolenia chwili.  
 „Aż teraz się dowiē, że go nadzieja myli,  
 „I że na wieki w moich ręku pozostanie.  
 „A przecie obietnicy zadosyć się stanie,  
 „Bo świętą bywa każda Popiela umowa,  
 „I Popiel zawsze swego dotrzymuje słowa.

„Głupiec, myślał, że na mnie wymyślił układy!  
 „A teraz pojmie, jakie były moje rady  
 „Rozumne od początku. Słuchaj, Piasta matko!  
 „Jutro przyjdiesz po syna; staniesz przed zagadką,  
 „A nie przed synem. Będzie spełnioną umowa;  
 „Że syna nie dostaniesz, w tém już moja głowa!“

Tak mówił Popiel. Wkoło ciemniało na dworze.  
 Gdy skończył mówić, noc już zagasila zorzę  
 Wieczorną. Zapłonęły jemu jasno oczy,  
 Któremi jak czerwonym żarem wkoło toczy,  
 I zaśmiał się straszliwie, a ten śmiech się zmienił  
 Zaraz w sępie krakanie; skrzydła rozprzestrzenił  
 Napowrót sęp ogromny, i wzbił się do góry;  
 Uleciał, i znikł wkrótce poza nocne chmury.  
 Żywa głowę schyliła, ręce załamała,  
 Stała czas jakiś, mileząc, a wreszcie zapłakała  
 W głos.

Popłakała długo; potem do jabłoni  
 Poszła swojej, przed którą woda z rajskiej toni  
 Dunaju tryska. Klękała tu pod świętym drzewem,  
 Pytając je o radę, coby ją przed gniewem  
 Czarnoboga broniła? badując sposoby,  
 Jakiemiby poznała jutrzejszej doby  
 Syna swojego, Piasta, gdy go przyprowadzi  
 Popiel trzykroć do lasu. A drzewo jej radzi  
 Szumem swoich gałęzi, które zielenieją  
 Wiosną, i już do wiosny pączkami się śmieją  
 Młodemi.

Poradziło drzewo; przeto Żywa  
 Szła do chaty na łożę, kołdrę się przekrywa

Sukienną i usypia. A zanim usnęła,  
 Błogość nieopisana jakaś myśl ujęła  
 Żywy, cichém ramieniem.

Rano Żywa wstała;

Umyła się w studni i koszulę przywdziała  
 Na siebie czystą, białą; wielu fartuchami  
 Okręconemi nogi zakryła; pasami  
 Ciasno stan opasała, a na swoją głowę  
 Chustę kładzie czerwoną; wdziewa szaty nowe  
 Na wierzch, co całe z sukna utkane grubego,  
 Przed chłodném powietrzem ją poranku strzegą.  
 Na nogi, jak od święta, żółte buty wdziewa,  
 Na szyję koral wieszka. Dzisiaj się spodziewa,  
 Że syna swego, Piasta, napowrót powita,  
 I że z boską pomocą zagadkę odczyta,  
 Którą Popiel ułożył. Przeto na się bierze  
 Szaty świąteczne; jeszcze zmówiła pacierze  
 I poszła w swoją drogę.

Z obu boków drogi

Wyrastał już po miedzach tłum zielony, mnogi  
 Ostrzonych listków trawy, co na świat ciekawie  
 Patrzał; a gdzieniegdzie w tej wyrastał murawie  
 Brodawnik żółty, co do złotego guzika  
 Podobny, na odzieży strojnój pacholika  
 Pańskiego. Droga sucha, i czarne owady  
 Drobne po prochu biegną, Tylko z rzadka ślady  
 Śniegu po rowach widać, i czasem wśród drogi  
 W czarnej kałuży błoto. O świecie nbogi  
 Lud z Kruszwicy już wyszedł w pole orać ziemię;  
 I już zaświergotało mnogie ptaków plemię  
 Po rolach i po krzakach; wierzby już puściły



Puszyste pączki swoje, i już pierwsze lśniły  
 Skrzydłami motyle; a gdzie szersza murawa,  
 Tam szafirkami świeża przystrojona trawa,  
 A las z daleka widny, zda się zielenieje,  
 I jasno, chociaż zimny wiatr wiosenny wieje,  
 I wszystko się raduje i zimna nie czuje;  
 I przyszlą obietnicę lata upatruje  
 W każdym promyku wiosny.

Nareszcie zawczasu

W jasny poranek zaszła już Żywa do lasu,  
 W którym miała Popiela zdybać. Ziemię suchy  
 Liść całą poprzekrywał, ale duże muchy  
 Czarne, brzęcząc, już wiosnę drzewom zwiastowały,  
 I już w lesie wzlatywał żałobnik wspaniały,  
 Motyl lasów Słowiańskich. Sasanki swe głowy  
 Białe wznosiły, pierwsze słowa kwiatów mowy  
 Powtarzając grabinie ciemnej.

W czarnym stroju,

Z kapturem na głowie stał na ziemnym wyboju,  
 Pod bukiem nasiennikiem Popiel, pan północy.  
 Z przybranęj teraz przezeń postaci, ni mocy  
 Jego niktby nie poznał, ni przebieglęj złości;  
 Tak wyglądał jak kupiec, co przybędzie w gości  
 Z jakiejs dalekiej ziemi pozbywać towary,  
 I dobre nowe rzeczy brać za towar stary  
 I zły, ale zamorski. On powitał Żywę  
 I poprowadził z sobą na zieloną niwę,  
 Co pośród lasu stała, zarośnięta trawą.  
 Tu w zanadrze swe sięgnął czarne ręką prawą,  
 I zpoza zanadrza wziął garść owsa.

## Na ziemię

Ziarno rozrzucił; a wnet uskrzydłone plemię  
 Gołębi przyleciało, a z kąd niewiadomo.  
 Trawę gęsto pokryło rzeszą swą łakomą,  
 A gołąb przy gołębiu dzióbem ziarno kole.  
 Tyle ich było, że aż poszarzało pole  
 Od gołębi na dobry kawał. Jednakowe  
 Wszystkie gołębie były; wszystkie głodną głowę  
 Do ziemi pochylily; wszystkie były szare  
 I wszystkie wszystko miały pod jednaka miarę.  
 Różnicy między niemi tak nie było zgoła,  
 Że chyba czarnoksiężnik je rozpoznać zdoła.

A Popiel do Żywy rzekł: „Stoisz przed zagadką:  
 „Poznaj pośród gołębi twego syna, Matko!  
 „Jeżeli go nie poznasz, już przepadnie tobie,  
 „I lepiejby dlań było, gdyby spoczął w grobie,  
 „Bo na nim spoczną wiecznie moje srogie ręce,  
 „I w nieustannej odtąd ślęczyć będzie męce!  
 „A jeśli wśród gołębi poznasz twego syna,  
 „Nie twoja to zasługa, a przypadku wina!  
 „I nie zyskasz nic na tem, bo drugiej zagadki  
 „Pewno już nie rozwiąże czule serce matki!“

Skończył rzecz Popiel. Wdowa Krakusowa, Żywa,  
 Niegdyś królowa Polska, zawsze urodziwa  
 Na kształt letniej pogody, w tłum ptaków spojrziała,  
 Pośród którego syna swego poznać miała.  
 Jeden z gołębi ziarna na ziemi nie jada.  
 Jego wskazała Żywa palcem, i powiada  
 Do Popiela: „To mój syn“. Jabłoń poradziła,  
 Aby tak powiedziała i posłuszną była  
 Żywa radom Dziedzilli, co jęj z drzewa radzi,

A przyrzeka, że syna do matki sprowadzi  
Napowrót.

Popiel spojrział, zgrzytnął, ścisnął dłonie.  
Cała nienawiść piekła w jego oku płonie.  
„Teraz zgadłaś“ — zawołał — „nie zgadniesz raz drugi —  
„Nie oddam tobie syna, nie dam mego sługi  
„Od mojego boku!“ Rzekł i tak stuknął nogą,  
Że aż las zadrżał cały, złą przejęty trwogą.

Raptem wszędzie dokoła głośno zadudniło,  
I mnogie stado koni czarnych się zjawiło  
Pośród leśnej polany. Każdy jednej miary  
Był koń, i bez odmiany każdy był koń kary.  
Różnicy między niemi tak niebyło zgoła,  
Że chyba czarnoksiężnik je rozpoznać zdoła.

A Popiel do Żywy rzekł: „Pośród stada koni,  
„I syn twój Piast przed tobą tutaj goni.  
„Jeśli jego nie poznasz, w mój udział przypada,  
„I odtąd już na wieki doń tylko zagada  
„Męka sroga. Nie będę go żałował pewno!  
„A choć go cudem poznasz, nie ujdzie przed gniewną  
„Nienawiścią Popiela. Nie weźmie go matka,  
„Bo najtrudniejszą będzie ostatnia zagadka,  
„Którój nikt nie rozpozna!“

Konie wszystkie drżały,  
Ogniem uniesione, i co chwila parskały  
Pianą na białe ciała. Oko koniom płonie;  
Ziemię rozkopywały; rżały młode konie,  
Stojąc przed Żywą. Żywa spojrzy na nie,  
A po długim milczeniu poprzód koniem stanie

Jednym. Czarna, ogromna, uprzykrzona mucha  
 Latała nieustannie naokoło ucha  
 Żrebca tego; i po tém Żywa go poznała,  
 Przez jabłoń pouczona ową co tam stała  
 Nad Gopłem koło chaty.

Jęknął Popiel w gniewie,  
 A w oku jego jaśniej złowrogie żarzewie  
 Nienawiści płonęło. Wszystkie znikły konie,  
 A orszak dziewic pięknych przez powietrzne tonie  
 Zleciał na łąkę leśną. Chociaż nieskrzydlaty,  
 Orszak ten zleciał, strojny w przeźroczyście szaty  
 Błękitne, w złote wzory pięknie haftowane.  
 Wszystkich strój jednakowy; u wszystkich związane  
 Na jeden sposób włosy; wszystkich jednakowe  
 Twarze, oczy błękitne, duże — włosy płowe  
 I powiewne; i rączki wszystkich równo małe  
 I zręczne, koralowe usta, ząbki białe.  
 Różnicy między niemi tak nie było zgoła,  
 Że chyba czarnoksiężnik je rozpoznać zdoła.  
 Popiel ten orszak dziewic teraz Żywie wskazał,  
 I pośród dziewic syna jej, Piasta, rozkazał  
 Wybrać, mocą zaklęcia w dziewczę zmienionego.

Żrenice Żywy szybko po dziewczętach biega,  
 Szukając między niemi syna. A dziewczęta  
 Te wszystkie Popielowa czyni moc nieświęta  
 Tak jednakowemi, że rodzica musiała  
 Patrzeć długo, zanim znak wiadomy ujrzała,  
 O którym jej Dziedzilia z jabłoni mówiła,  
 Gdy ją téj nocy w smutku ciężkim pocieszyła.  
 Wreszcie Żywa ujrzała zazulkę czerwoną,  
 O twardych skrzydełkach, kropkami upstrzoną

Siedmioma. Owad zleciał na rękę dziewczyny  
 Jednej; tam się czerwienił, jakby jarzębiny  
 Jagoda na zimowym śniegu; zatem Żywa,  
 Niegdyś królowa Polska, zawsze urodziwa  
 Wdowa Krakusowa, do dziewczęcia przychodzi  
 I rzecze: „Oto syn mój, Piast, którego rodzi  
 Ze mnie Krakus, król Polski!“

Popiel słyszy

Te słowa. Z wielkiej złości ledwo Popiel dyszy.  
 Ze wszystkiem przegrał sprawę; z ziemi się odbija  
 W górę. Słońce zakrywa jakby czarna żmija  
 Niebieska; stał się chmurą i zagadał grzmotem,  
 A cała rzesza dziewcząt złudnych znikła lotem,  
 Na wielki głos piorunu. Niebo poczerniało;  
 A pośród téj ciemności błyskanie jaśniało  
 Złotem, które co chwila wstawiało i gasło.  
 Wicher wiosenny ucichł na piorunu hasło;  
 I z nieba, jakby z wielkiej, chmurnej, czarnej rynny  
 Wielkich pałaców bożych, deszczyk dobroczynny,  
 Pierwszy lunął na ziemię. Gęstemi kroplami  
 Spadał deszcz; pod nim Żywa rześnieni łzami  
 Radości zapłakała. Bo zamiast dziewczyny  
 Złudnej stał w jej objęciach Piast, jej syn jedyny.

\*

\*

\*

Do wsi razem wrócili, w chacie zamieszkali,  
 I nieraz o Popiela cudach rozmawiali.  
 Piast zamki opisywał Popiela czarowne,  
 I Jagi złość niezmierną, i księgi wymowne,  
 Które wszystkie przeczytał, w których napisano

Każdą rzecz ludziom znaną i każdą nieznaną  
 Rzec. Piast uczył rodzicę, jak paproci kwiecie  
 Do gwiazdeczki podobne, w noc jaśnieje, w lecie,  
 W upały; uczył, jakie truć mogą jagody?  
 A jakie zioła miłość budzą? jak pogody  
 Zmieniać koleje? — i jak zamawiać choroby?  
 Jaka własność ukryta każdój roku doby  
 I każdego planety? A gdy opowiedział  
 Już wszystkie cuda, których się w zamku dowiedział  
 U Popiela, tem skończył, że zbrojny w te moce  
 Pokona wkrótce twardą moc pana północe.

Żywa słuchając syna, była uchem cała;  
 Coraz o nowe, dziwne cuda się pytała.  
 Wreszcie ciekawość wielka matkę Piasta wzięła;  
 Czary syna swego na oczy zapragnęła  
 Widzieć. A zatém syna oto poprosiła,  
 Aby jój raz pokazał, jaka jest w nim siła  
 Czarodziejska? Zaledwo to wyrzekła Żywa,  
 A wnet ujrzała czarów niesłychane dziwa.  
 Syn przy niej w chacie siedział na drewnianej ławie,  
 I mówiąc głowy syna się tykała prawie  
 Ręką; rękę o ramię swego syna sparła.  
 Wtém dłoń jój długie włosy dziewczęcia otarła  
 Płowego, co zajęło przy niej miejsce Piasta.  
 Ledwo swym oczom własnym wierzyła niewiasta,  
 Kiedy na to spojrziała, co się przy niej działo;  
 Bo przy sobie królownę powitała białą,  
 W złotej, lśniącej koronie.

Ależ nowe dziwo!  
 Już królownej i śladu nie ma, a przed Żywą

Stoi niedźwiedź kudłaty i swą dużą głowę  
Na kolana jęj kładzie.

Z niedźwiedzia gotowe  
Powstało ciasto; znikło całe ciężkie ciało,  
A w miejsce głowy ciasto wonne pozostało  
Na kolanach u Żywy.

Lecz już ciasto znika —  
I na ziemię skoczyło w postaci konika  
Gniadego. Zarżał konik; dierży nim ochota  
Nielada; przez drzwi pobiegł i otwarte wrota  
Obejścia, na zielone i kwitnące pole;  
A poczuł siłę w sobie; i różną swawolę  
Po łąkach i po polach ochoczo wyprawia.  
Wyszła z chaty Żywa, a syn matkę zabawia  
Sztukami tysiącznemi; patrzeć na to miło,  
Jaką ten źrebiec gniady dzielną niesion siłą,  
Po polu hula i przez wielkie rowy sadi.  
Ogromne toczy koła; ledwo odprowadzi  
Oko matki troskliwe źrebca wśród pogoni;  
Zda się, że go nie złapiesz, choćby w tysiąc koni;  
I wiatr go nie dogoni! Bieże źrebiec — lata —  
Już znikł z przed oczu matki — uciekł na kraj świata!

Bujny koniu źle robisz! Na cię zasadzone  
Czyhają Popielowe moce nie pomszczone  
Dotąd.

Koń ruszał cwałem przez pole szerokie,  
Gdzie ludzkiej wsi nie widać — a tylko głębokie,  
Czarne lasy widnokrag otaczają wkoło.  
Tu na bezludziu stanął, i zarżał wesolo  
Jakoby na wezwanie dla Popiela złego,



Którego dziś przed Piastem czary nie ustrzegą,  
 Poznane już przez Piasta; a w tém weszła trwoga  
 W serce i w nogi końskie — bo mocnego wroga  
 Poczul koń. Wilk ogromny wypadł z puszczy szumnej —  
 I wprost na żrebca pędzi. Pomknął żrebiec dumny,  
 Jak wichr szybki; a za nim ogromne wilczysko  
 Pędzi; wielkie jak cielę roczne; ogon nisko  
 Za sobą niesie, z paszczy wściekle pianę toczy.  
 Mimo szybkości konia ile razy skoczy  
 Wilk, tylekroć się zbliży do żrebca. Milami  
 Leci pogoń, i ziemia drży. Koń depcze, łamie,  
 Tratuje wszystko, co mu po drodze zawadza —  
 Czyto szuwar na błocie rośnie, czy ogradza  
 Pleciony płot ogrody we wsi, czy leszczyna  
 Z lasu na step wybiegła; jak piorun poczyna  
 Sobie rumak w ucieczce; a tuż za nim goni  
 Ów wilk ogromny, który wyszedł z lasów toni  
 Czarnej na jego zgubę. I wilk już zwycięża;  
 Koń potem zbiegł; znać siły ostatnie wyteża,  
 Aby ująć, a już oddech wilczy czuje blisko —  
 Wnet już za nogi chwyci go srogie wilczysko —  
 Albo na szyję skoczy.

Wtém został na ziemi  
 Sam jeden wilk złoczyńca; szlaki powietrznemi  
 W miejsce konia uleciał ptak; jaskółka mała;  
 Najszybsza pośród ptaków w niebo uleciała.  
 Wilk stanął — zgrzytnął — zawył; raptem przemieniony  
 W sokoła ostrolota wzbil się w niebios strony  
 Wysokie; nie na ziemi — gonitwa po niebie  
 Pędzi.

Dwaj czarodzieje wielcy gonią siebie;



Jaskółki postać zwinnęj Piast przyoblókł młody,  
 A Popiel kształt sokoła. Ponad lądy — wody —  
 Unoszą się ku morzu. Już morze pod nimi  
 Pieni się, bałwanami mrucząc ogromnemi.  
 Jaskółka nad powierzchnią ulatuje fali,  
 A nad nią wzbił się sokół — tkwi w błękitnej dali.  
 Chociaż jaskółka zwinnie w zygzaki go wodzi,  
 Uchodząc — on już blisko -- on już okiem godzi  
 Z góry w swoją ofiarę. Stał nad jej głową —  
 Bije skrzydłami — zaraz upadnie pionowo  
 Z nieba na nią. Jaskółka wtém wpadła do morza,  
 I nie masz ani znaku ptaszka wśród przestworza  
 Powietrznego. Sokoła to nie powstrzymało:  
 On także jakby kamień na leb w pianę białą  
 Morza spadł. Znikli obaj. Tylko szumna piana  
 Została, wobec nieba groźnie rozhukana.

W małą rybkę zmieniony Piast uchodzi w toni  
 Morskiej, ku zamkom Czecha; Popiel za nim goni,  
 Kształt morskiego szczupaka wdziawszy. Pomykają  
 Piorunem popod wodę; lecz za każdą stają  
 Tej podmorskiej gonitwy bliżej, się przysunie  
 Szczupak do małej ryby; wnet już na nią runie  
 Jak grot jaki ogromny, wnet już ją pochłonie!  
 Popiel Piasta zwycięży na wieki, tu w łonie  
 Morza słonego.

\* \* \*

W głębi, wśród morskiej topieli  
 Ogród przepyszny Rosy kwiatami się ścieli  
 I podmorskimi drzewy. Tu rosą korale  
 Czerwone; tulipany morskie tu wspaniale

Otwierają ruchome kwiaty. Pod drzew cieniem  
 Siadła młoda Rzepycha; Rusalki pierścieniem  
 Królownę otoczyły, i pieśń jej śpiewały  
 O tém, jak to królownę niegdyś pastérz stały  
 Kochał nad życie — długo — do śmierci godziny.  
 Słuchała Rzepycha, a serce u dziewczyny  
 Za czémś dziwnie tęskniło; za czém, nie wiedziało;  
 Ale pieśń ta przenikła na wskrós duszę całą  
 Morskiej królownej. Same rozkosze poznała  
 Dotąd za życia; nitka jej żywota cała  
 Ze złota była; zamki ojca bursztynowe  
 Przed każdą drobną burzą ustrzegły jej głowę;  
 A jeżeli się kiedy zmarszczyło jej czoło,  
 Wnet matka wymyśliła igraszkę wesołą,  
 Aby je wypogodzić. Jednak strasznie nudno  
 Było Rzepysze. Czemu? odgadywać trudno.  
 Czegoś serce łaknęło jak pragnący wody,  
 I myślała, że marnie więdnie jej wiek młody,  
 Jak kwiat, co nigdy nie da owocu.

#### Do dłoni

Królownej wpadła rybka mała. Za nią goni  
 Przez wodę, co powietrzem jest w Czechowym kraju,  
 Szczupak duży i głodny. Aż tutaj do gaju  
 Koralowego wpadły. Rybka drżąca cała  
 Między palce królownej w trwodze się chowała;  
 Za nią szczupak wprost gonił. Lecz morska królowna  
 Rybkę zasłoniła, a na szczupaka gniewna  
 Spojrzała jako pani, która nie zezwala,  
 Aby ją znieważano. Szumna morska fala,  
 I zwierzęta podmorskie przywykły odrazu  
 Słuchać każdego swojej królownej rozkazu.  
 A więc wzrokiem Rzepychy zakłète powodzie

Same nazad poniosły szczupaka. Choć w rodzie  
 Swoim był olbrzymem i mocarzem wielada,  
 Poznał łowiec podmorski, kto wodami włada;  
 Chociaż się miotał i choć się sprzeciwiał zrazu,  
 I on wreszcie usłuchał Rzepychy rozkazu.

Szczupak odpłynął, rybka u pani została.  
 Patrząc na to, umilkła była służba cała  
 Rzepychy rusalczana. Pieśni nie słyszano  
 Więcej o tym pastérzu, który zakochaną  
 Królewnę uszczęśliwił.

Kiedy już w oddali  
 Szczupak ze wszystkim zniknął wśród Bałtyku fali,  
 Rzepycha otworzyła obie swoje dłonie,  
 Aby zobaczyć gościa, którego jej tonie  
 Podwodne powierzyły. Ale na swych rękę  
 Nie widzi rybki, tylko niezwykłego wdzięku  
 I jasności brylant na złocistym pierścieniu  
 U niej leżał na rękę. W morskiem oświetleniu  
 Szklistem tak rozpromieniał kamień ten zaklęty,  
 Jak na sklepie niebieskim słońca ogień święty  
 Jaśnieje. Na ten widok Rzepycha powstała,  
 I zarumieniona swym sługom pokazała,  
 Jaki skarb w rękę miała; a pobiegła potém,  
 By się pochwalić, do swęj matki Rosy, lotem  
 Jaskółki.

Wśród komnaty swęj królowa Rosa,  
 Zona Czechowa, pani morza pięknowłosa  
 Siedziała na przepysznie rzeźbionęj ławicy  
 Z koralu, o poręczach z perłowęj macicy.  
 Przy niej siadła Zabawa. Gdy im pokazała

Rzeczycha pierścień cudny, taka światłość biała  
 Z brylantu wypłynęła, że się zadziwiły  
 Obie władczynie morskie. Kamienia téj siły  
 I blasku sama Rosa dotąd nie widziała,  
 Choć wiele doświadczyła i choć wiele znała  
 Rzeczy cudownych. Obie się cieszyły panie  
 Tym widokiem; potem na matki rozkazanie  
 Biegła płowa Zabawa, aby króla Czecha  
 Zawołać.

Czech narady z hetmanem zaniecha  
 Swoim — choć ważną była — bo Rosa wołała;  
 A Rosa tego nigdy rozumieć nie chciała,  
 Aby dla Czecha mogła być ważniejszą sprawa  
 Inna nad jój wołanie. Więc Czech rozkaz dawa  
 Hetmanom, by czekali, aż nazad nie wróci  
 Od żony. Nieraz tak Czech dla Rosy porzuci  
 Najulubieńsze swoje królewskie zabawy,  
 A nie już nudne, zrudne, morskich rządów sprawy —  
 Bo pan ten poznał, że dla niczego na świecie,  
 Choćby dla wody rajskiej, nie warto jest przecie  
 Budzić płaczu królowej.

Zatém Czech przybywa  
 Także na pierścień patrzeć; i jego olśniewa  
 Także jasność bajeczna kamienia drogiego.  
 Dzielne strażę Czechowe w baszcie skarbu strzegą  
 Starego królów morskich, których państwem włada  
 Teraz Czech. Są tam skarby i cuda nielada,  
 A przecież granitowe tych skarbów sklepienia  
 I jednego nie strzegą takiego kamienia.  
 Toć zaiste Rzeczycha szczęśliwą dziewczicą,  
 Kiedy jój się na ręku cudnym blaskiem świecą

Kamienie, jakich oko Czecha nie widziało,  
 Chociaż Czech dawno władnie mórz topiełą całą,  
 Niezglębioną! Zazdrości jój siostra Zabawa  
 Skarbu; widok pierścienia Rzepychę napawa  
 Dumą; cały dzień panna pierścień obracała,  
 I na blaski tęczowe kamienia patrzała  
 Drogiego; jednak dziewczę mimo to tęsknotę  
 Czuje zawsze w swój duszy, płakać ma ochotę,  
 I nie wie, czemu smutne.

Pannę rozebrały

Wieczorem te służebne, które rozkaz miały  
 Strzedz szat morskich królewien; potem zostawiły  
 Samą w komnacie i noc całą o tém śniły,  
 Jakto zaczarowane lśnią jasno kamienie

A w pokoju Rzepychy bryliantu promienie  
 Lśniły pośród ciemności na prawdę; a oko  
 Rzepychy wciąż wśród nocy otwarte szeroko  
 Patrzało w kamień cudny, jak gdyby zaklęte  
 Było; a przez jój serce dreszcze niepojęte  
 Szły. Myślisz chwilami, że dech wpiera i kona  
 Już wreszcie, jakąś mocą dziwną przemożona,  
 Rzepycha córa Rosy, a królowa morza;  
 Pierścień złożyła na stół, co stał koło łoża;  
 Sama na łoże swoje puszyste usiadła,  
 I zapaloną lampę przy pierścieniu kładła  
 Tak, że promienie lampy z promieniami głazu  
 Mogły się mierzyć, ale blask lampy odrazu  
 Zgasł przy świetle kamienia tak, jak gwiazdy gasną,  
 Kiedy słońce wychodzi na otchłań przepaśną  
 Nieba wielkiego.

Raptem zgasł kamień. W pokoju  
Sama lampa płonęła. Młodzian w kmiecim stroju  
Stanął koło królewniej. Światła tyle było  
Od lampy, ile na to właśnie wystarczyło,  
Aby widzieć młodziana. Śniade miał oblicze,  
A włos i oczy czarne; rumieńce dziewicze  
Wstydu na twarz Rzepychy wystąpiły białą;  
Ale młodzieniec — Piast — wziął ją za rękę śmiało,  
I dłoń królewniej podniósł aż do pocałunku;  
Zadrżała, zapłonęła, jak gdyby od trunku  
Czarodziejskiego, jakby się była napiła  
Ulopku, w którym tajnie tkwi kochania siła  
Nieprzemóżonego. Nie mnie powiadać o tém,  
Jak Piast koło niej usiadł, co mówili potem  
Długo z sobą po nocy? Dość na tém, że rano  
Nie było więcej młodzieńca a pierścień widziano  
Na ręku u królewniej.

Było tak co nocy  
Odtąd. A widać było, że Rzepycha w mocy  
Jakiegoś jest zaklęcia. Na pierścień patrzyła  
Nieustannie; czasem na słowo jakieś drżała  
I zarumieniła się. Innym się zdawało,  
Że się serce dziewczęcia głazem radowało  
Jaśniejącym dziwnie; a matka jej wiedziała,  
Że Rzepycha innego coś w sercu chowała,  
I matka niespokojną o to była; ale  
Dziewczę przed matką kryło myśl; milczało stale  
I w dzień łaknęło nocy.

\*

\*

## Jednego wieczoru

Przybył od lądu gość do Czechowego dworu;  
 Kupiec w czarnej odzieży z kapturem na głowie;  
 Można się było Niemca domyślić po mowie  
 Twardej; czarodziejem był pewno; bo narody  
 Ziemskie muszą umierać, gdy wpadną do wody  
 Morskiej, jeżeli czarów nie znają. A z ludu  
 Ziemskiego ten pochodził kupiec; mnogo cudu  
 Indyjskiego miał z sobą.

## Gdy go przypuszczono

Przed Czecha i przed Rosę i przed dworzan grono,  
 Podmorskie skarby swoje wyłożył na stoły  
 Zamkowe. Z podziwieniem patrzy tłum wesoły  
 W różne rzeczy nieznanne, które przywiózł w morze;  
 Były tu wszystkie rzeczy co na ziem przestworze,  
 Wielkim podziw wzbudzają; kobierce precudne,  
 Zęgary śpiewające, zwierciadła uludne,  
 Kwiaty wonne lądowe, i złote wyroby  
 Ludzi przemyślnych ziemskich, i niewiast ozdoby  
 Polyskujące. A tych wszystkich rzeczy tajną  
 Moc, i wszystkich zamorskich skarbów nadzwyczajną  
 Cnotę kupiec wychwalał głośno; pośród cudów,  
 Które pozwoził tu od ostatecznych ludów  
 Ziemi był najprzedniejszym ptak pięknie upstrzony,  
 Jak człowiek mową ludzką mówić nauczony;  
 Z Indyj pochodził, kształtem, barwą i rozumem,  
 Jakby król jaki wielki, ponad ptaków tłumem  
 Ptak ten dziwny górował; barwy miał jak zorza  
 Co nad lądem jaśnieje; i królowne morza  
 Obie nim się cieszyły; Rosa słów słuchała  
 Ptasich — jak dziecko rada — i drużyna cała  
 Dworzan klaskała.

Sam Czech wielce był ciekawy  
 Tę ptasię i Indyjskię, a przedziwnę sprawę.  
 Wreszcie tak się zapalił do dziwnego ptaka,  
 Ze rzekł: „Dużo widziałem, przecie sprawa taka  
 „Dla mnie dotąd nowiną; rzeczą niesłychaną,  
 „Ani morskim, ni ziemskim narodom nieznaną,  
 „Aby ptak tak jak jaki człowiek mądry gadał.  
 „Radbym rozum ten ptasi i poznał i zbadał.  
 „Przeto, kupcze, dam tobie czego serce żąda,  
 „Jeśli mnie odstąpisz cud dalekiego ładu  
 „Indyjskiego. Daj ptaka! w zamian tobie daję  
 „Wszystko, na co morskiego króla tylko staje“.

Tak to Czech obiecywał wielce nieostrożny;  
 Bo skoro kupiec wiedział, że Czech to pan możny,  
 Widząc tak wielki zapal mógł żądać zapłaty  
 Niezmiernęj.

Kupiec odrzekł: „Jam człek nie bogaty,  
 „I ten ptak gadający całe moje mienie  
 „Sam w sobie objął prawie. Gdy spadnie cierpienie  
 „Na mnie, gdy pieniądz stracę, to moja pociecha;  
 „Gdy jego mowę słyshę zła troska zaniecha  
 „Serce moje, tak mądrze i wesoło gada;  
 „Ale gdy ptaka żąda król, co morzem włada,  
 „Muszę rozkazu słuchać i u stóp mu złożyć  
 „Ptaka, i jemu życzyć, by pociechy dożyć  
 „Mógł z ptakiem. W zamian jednę zażadam zapłaty.  
 „Dużo widziałem, mnogie przejechałem światy,  
 „Przecież tu pośród morskiej, niezgłębionęj toni  
 „Widzę cudo nieznanę! Na królewnej dłoni  
 „Kamień lśni wielkim blaskiem. Wśród wszystkich kamieni  
 „Ten kamień pewno chyba cesarzem się mieni.



„Kiedy nań spojrzę, światłość tak syci me oko,  
 „Że wszystko inne zda się nocą i pomroką,  
 „Gdy je równam z kamieniem. Za mojego ptaka,  
 „Któregom znalazł niegdyś aż u kresów szlaka  
 „Do Indyi, wezmę kamień. Bez tego kamienia  
 „Ptaka nie dam; bo tylko brylantowe lśnienia  
 „Kosztownego kamienia tak mnie cieszyć mogą,  
 „Że się dla nich pożegnam z tą ptaszyną drogą,  
 „Z towarzyszką dni moich“.

Takiemi to słowy

Kupiec targi rozpoczął; a dźwięk jego mowy  
 Był dla Rzepychy jak dzwon jaki pogrzebowy;  
 Poczzerwieniała — z krzesła swojego powstała,  
 I w takie słowa głośne, gniewnie się ozwała  
 Córa Czechowa: „Panie kupcze, na zapłatę,  
 „Za to twoje mówiące dziwadło skrzydlate  
 „Weź co chcesz! Ale proszę, ojciec je kupuje,  
 „A ja wcale żadnego pragnienia nie czuję,  
 „By tego ptaka posiadać. Zatem kupcze, wnoszę,  
 „Żeś się chyba omylił, i oto cię proszę,  
 „Abyś od ojca żądał za ptaka zapłatę,  
 „A nie odemnie. Wszakżeż u ojca bogate  
 „Skarbce! Gdy zechcesz, da ci ojciec złotą górę!“

Tak mówiła Rzepycha. Słyszając, wielką chmurę  
 Na czoło swe sprowadził mocny władca morza.  
 Wszystko przed nim drżało wśród wielkiego przestworza  
 Wód słonych; przeto nie mógł przebaczyć uporu  
 U poddanych, a gorzej od głodu i moru  
 Nienawidził zuchwałej u swych córek mowy.  
 Więc z gniewu się jężyły naokoło głowy  
 Włosy długie u Czecha. Zmarszczyło się czoło

Srodze i okiem swoim gniewnym miotał w koło,  
Jak gdyby własną córkę chciał pożreć.

W te słowa.

Wreszcie Czech się odezwał: „Czyż to taka mowa,  
„Córkom przystoi? i czyż można temu wierzyć,  
„Aby córki Czecha tak skąpo śmiały mierzyć  
„To posłuszeństwo, które one ojcu winne?  
„Na rodziców skinienie staną rade gminne  
„Dziewczęta; moim dzieciom przystoi dwukrotnie,  
„Aby ojca i króla słuchały ochotnie.  
„Rzeczycha winna wiedzieć, że moją jest własnością  
„Wszystko, co się ukrywa pod morską przepaścią.  
„Jeśli powiada, że ten pierścień na jej dłoni,  
„Jest jej własnością grzeszy przeciw prawom toni  
„Morskiej. Za to zuchwałstwo przykładnie ukarzę  
„Krnąbrną dziewczynę; wszystko co ma, to ma w darze  
„Odemnie; więc jeżeli nie odda pierścienia  
„Zaraz, każę ją wrzucić w okrutne więzienia,  
„Których szczypcami straszne raki morskie strzegą!“

Tak to przymówił w gniewie pan rodu rybiego,  
Czech długobrody. Dziewczę to słysząc, zadrżało  
I potok łez się stoczył wnet na twarz jej białą;  
Ale słuchać musiało. Pierścień tedy zdjęło  
Z palca i szło do kupca. Po drodze westchnęło  
Ciężko i opuściło pierścień z drżącej dłoni,  
I zaraz za pierścieniem chustkę swą uroni  
Białą i haftowaną. Chustką zasłonięty  
Pierścień na ziemi był.

Wtém stał się czar nieświęty!  
Wśród zdziwionego dworu podmorskiej krainy.

Ledwo na ziemię upadł brylant z rąk dziewczyny,  
 A w oczach dworu dyament istotę swą zmienia,  
 I kopa białych pereł z cudnego pierścienia  
 Się rozsypała. Każda perła się potoczy  
 W inne miejsce, i z tamąd blaskiem ludzkie oczy  
 Cieszy.

Ale i na tém nie dość jeszcze cudu.  
 Zaraz cud drugi, wielki stał się w oczach ludu  
 Dworskiego. Kupiec czarny, co żądał pierścienia  
 W koguta się przemienił: w ciągu okamgnienia  
 Jednego, wszystkie jego zniknęły towary.  
 Odtąd i niedowiarek musiał wierzyć w czary  
 Na dworze Czecha. Kogut tam łakomie skoczy,  
 Gdzie jaka krągła perła po ziemi się toczy,  
 I z pośpiechem te perły kole, zbiera, zjada,  
 Potém zapał zwycięsko i na okno siada  
 Zamku bursztynowego. Tu trzepnął skrzydłami,  
 I znów tak dziwnie oczy dworzan Czecha mami,  
 Że kogut w dużą rybę w oczach im się zmienia,  
 I znika w głębiach fali.

Wszyscy z podziwienia  
 Wyjść nie mogli; wszyscy w okno wciąż patrzali.  
 Tylko królowna piękna wielkiej, morskiej fali  
 Po chustkę się schyliła i wraz z chustką swoją  
 Perłę wzięła największą. Wszyscy w koło stoją  
 I tego nie dostrzegą, jak kur nie dostrzegal  
 Perły chustką przekrytej, gdy łakomie biegal  
 Po kątach za perlami; jedna tylko Rosa,  
 Żona Czechowa, pani morza pięknowłosa,  
 Czujną żrenicą matki, dobrze to widziała,  
 Jak córka perłę wzięła, jak ją całowała

I jak ją w swe zanadrze ostrożnie ukryła.  
Wszystko widziała Rosa, ale nie mówiła  
Teraz nic.

Zadziwieni dworzanie swe usta  
Trzymają wciąż otwarte, a ciekawość pusta  
Ich oczy uprowadza przez okno zamkowe,  
Szukając darmo kura.

Czech odnalazł mowę  
Pierwszy, i wąsa szarpnął i zmarszczył swe czoło,  
I gniewném okiem jako pan potoczył w koło,  
A nareszcie kląć zaczął i klął tak zacięcie,  
Jak zwykł był kląć, jak tylko wielkie przedsięwzięcie  
W duszy swojej gotował. Ale nie zamiary  
Nowe w nim dojrzewały: on przeklinał czary  
Popielowe, bo poznał, że w podmorskie dwory  
Popiel zaniósł swe czary, i że od tój pory  
Nie może być spokojnym pośród swojej toni.  
Prawda, że w myśli gniewnej za Popielem goni,  
Lecz nie myśli o zemście teraz, nie układa  
Planów wojennych, tylko klnie — i tylko biada  
Głośno.

Morska królowa nie mówiła słowa,  
Ale ważniejsze sprawy rozważała głowa  
Niewieścia, myśląc wiele.

\* \* \*

Kiedy noc już była  
I gdy głębiny morskie czarno zabarwiła,

Czech odszedł z żoną swoją do cichej komnaty,  
 Gdzie ją raz pierwszy pojął, przed wieloma laty,  
 Kiedy przywiózł królowę podmorskiego ludu,  
 Dla zamkowej czeladzi panię, pośród trudu  
 Królewskiego pociechę. Lecz królowa Rosa  
 Nie szła do łoża; siadła pani pięknowłosa  
 Na swojej łożnicy, i znak służbie daje,  
 Aby odeszła.

Kiedy sama pozostaje

Z mężem, w takie do niego odezwie się słowa:

„U was głos tylko silny, ale słaba głowa;  
 „Jeżeliście królami świata, światem włada  
 „Pycha, gniew nierozważny i głupstwo nielada!  
 „Masz w głowie oczu dwoje; na co tobie dane?  
 „O tém ja nie wiem, i to chyba Jędzom znane,  
 „Tym trzem, które w chatach na kurzéj łapce siedzą,  
 „Co było pamiętają, i co będzie wiedzą!  
 „A ja nieszczęsna wszystko widzę, nic nie mogę,  
 „I tylko gniew bezsilny czuję, czuję trwogę  
 „O wszystko, co się stanie; i od wstydu płonę,  
 „Ilekróć spojrzę w męża mego, głupca, stronę!“  
 Tak to Rosa mówiła. A Czech się czerwieniał  
 I bladł; i z każdą chwilą barwę lica zmieniał.  
 Ale gniew w sobie tłumił, bo dobrze rozumiał,  
 Że z żoną lepiej było, kiedy milczyć umiał,  
 Albo niewiele mówić.

Gdy Rosa skończyła

Mówić, Czech głos łagodząc, choć na czole żyła  
 Gniewna u niego tętni, tak do niéj przymawia:

„Powiedźże mi kochanie, co tobie żal sprawia  
 „Dzisiaj? W czém zawiniłem? Co naprawić mogę?“

Tak Czech pytał, a w głosie widać było trwożę  
Przed płaczem Rosy. Bo Czech tak ukochał żonę,  
Że był najnieszczęśliwszym, kiedy załzawione  
Miała źrenice.

Gdy się Rosa przekonała,  
Ze dzisiaj potulnego bardzo męża miała,  
Głos swój niżyla nieco, i już narzekania  
Zaniechała i płaczu. Do opowiadania  
Spokojniejszego teraz Rosa przystąpiła;  
Jednak po wszystkiem znać, że niespokojną była.  
Bo chociaż męża pieści i głaszcze za brodę,  
Postradała zwyczajną, małżeńską swobodę.  
I Czech słuchając żony, niemało wzruszony.  
Choć przeczy jej domysłom, zaniepokojony,  
Przecie. Czasem koło niej na łożu zasiada;  
Czasem zrywa się, chodzi i do siebie gada  
Niespokojnie. A czasem gniewem, buchnie; nogą  
Tak uderzy, że wstrząśnie zamkową podłogą —  
Krzyknie, zaklnie się; ale wtedy słowa Rosy  
Gniew męża opanują i uciszą głosy  
Krzykliwe. A kto patrzył na takie rozmowy,  
Przypominał sobie, jak słabe dziewczę słowa  
Cichemi nieraz bykiem ogromnym kieruje.

Rosa powiedziała myśl, co się u niej snuje  
Całą, i do połowy męża przekonała;  
Wreszcie za rękę wzięła Czecha, sama wstała,  
I razem z mężem swoim do drzwi podążyła  
Od izby, w której córka jej Rzepycha śniła.  
W podwojach od sypialni aż dwie były szpary  
Długie i dość szerokie. Przez nie patrzył stary  
Czech do komnaty córki, i przez nie patrzyła

Rosa. Rzepycha sama już pośród komnaty  
 Bogate swoje dzienne zdjęła była szaty,  
 Służebne odesłała — na łożu spoczęła  
 I lampę zapaliła. Z zanadrza wyjęła  
 Perłę okrągłą, piękną i tę położyła  
 Koło lampy, co słabem światłem się świeciła,  
 Na stoliku. Po chwili perły już nie było  
 Na stole. Zamiast perły przed kochanką miłą  
 Stał Piast, młodzieniec dzielny. Przykląkł koło łoża,  
 Do twarzy śniadój mu się pochyliła hoża  
 Dziewica, córka Czecha — i Piast jój do ucha  
 Coś szepce długo, ona czule Piasta słucha.

W tej chwili drzwi skrzypnęły, obaj kochankowie  
 Się zerwali z krzykiem i na urwanem słowie  
 Przerwali mowę słodką. Nad nimi się zjawił  
 Ojciec Rzepychy, król Czech, i kazanie prawił,  
 Gniewne, huczne jak fala morska, gdy o skały  
 Nadbrzeżne bije. Z gniewu, od stóp do głów — cały  
 Czech drżał. — A za nim stała pani Rosa blada  
 I patrzy kłątwe, którą Czech zlorzeczając gada!

Od gniewu Czecha morze się wstrzęsło u góry  
 Tak strasznie, że bałwany były prosto w chmury  
 Niebieskie. W głębi morza wszystkie morskie twory  
 Spadły na brzuch spłoszone — lub wlażyły do nory  
 Podwodnej, aby uciec przed wściekłością pana  
 Swojego. Rzepycha twarz kryła — zapłakana  
 I przerażona — drżała — z trwogi ledwo żyła.  
 Czowała, że nad nią zwisała nieużyta siła,  
 Jak moce. przeznaczenia. Wpół martwa od trwogi  
 Nie wiedziała co pocznie gniew ojcowski, srogi  
 I niepohamowany? Przy niej młodzian śmiały

Stał, jakby nie dbał wcale o słowa, co brzmiały  
 Nad głową jak pioruny; ręką za ramiona  
 Brał dziewczę, by ukoić Rzepychę, co kona  
 Z trwogi, pod słów smaganiem.

Już skończone słowa.

Czyn srogi poprzedziła tylko gniewna mowa.  
 Wodniki już nadbiegli na wołanie króla;  
 I wnet już ukaraną będzie ta swawola  
 Bezprzykładna królownej — i zbrodnia zuchwała,  
 Jaka w komnatach Czecha podmorskich się stała.

Wodniki, chłopcy tęgie — brodate — otyłe;  
 Każdy w ramieniu ma sto ziemskich chłopów siłę;  
 Broda zielona spada do pasa; żrenice  
 Jak u ryb u nich były, a nabrzmiałe lice.  
 Z rozkazu królewskiego wnieśli do komnaty  
 Beczkę ogromną, czarną, zrobioną przed laty  
 Przez niemieckich bednarzy. Pomazana smołą,  
 Czarném jak smoła światłem lśniła się w około;  
 W potrzebie i sto wiader beczka ta mieściła  
 W sobie, a woń żywicy tęga od niej biła,  
 Jak od sosny zrąbanej w lesie letnią porą.

Te wodniki Rzepychę najpierw w ręce biorą  
 Potężne, i do czarnej beczki dziewczę bladą  
 I biadającą głośno bez litości kładą.  
 A potem przystępują do Piasta młodziana.  
 Piast się uśmiecha, jakby mu była nieznana  
 Trwoga, jednak oporu wodnikom nie stawia,  
 I sam prawie do beczki, jak węgorz się wprawi  
 Śliski, nie narzekając. Dno przybito z góry.  
 Gotów był dla kochanków z drzewa grób ponury



Serce Rosy się sciska na widok tój kary.  
 Ale nic nie śmie mówić, bo teraz Czech stary  
 Tak gniewny, że i żonie niebezpieczna błagać,  
 I że Czech nawet panię Rosę gotów smagać.  
 Beczkę Czech teraz w swoje chwycił dłonie duże,  
 I jakby jakie cacko wyniósł na podwórze  
 Zamkowe. Tu zawołał: „Idźże z morskiej toni  
 „Precz ty córko przeklęta!“ I wysiłkiem dłoni  
 I ramion jednym wielkim cisnął beczkę w górę,  
 Że przez morze i przez wiatr zaleciała w chmurę  
 Powietrzną, czarną, która w grom brzemienna była  
 I ponad zamek Czecha właśnie przechodziła.  
 Tu beczka ugrzęzła i wydała się z dołu  
 Jak węgiel czarny pośród szarego popiołu.

W morzu Rosa z Zabawą płaczą w niebogłosy,  
 I ręce załamują i rwą sobie włosy,  
 Bo Rzepychy żałują. Czech po zamku chodzi,  
 Stuka i gniewnem okiem po swęj służbie wodzi.

\* \* \*

A tam u białych krańców najdalszėj północy  
 Staął na baszcie czarnej pan niedobrėj mocy,  
 Popiel, przy boku Jagi, swojėj groźnej żony;  
 I do nięj mówi długo, chociaż zawstydzony,  
 Rad przecie, że zwyciężył wreszcie.

Tak powiada

Do swojėj żony Popiel, co północą włada:  
 „Prawda, Piast mnie oszukał. Gdy kogutem byłem,  
 „Jedząc perły okrągłe, srodze się myliłem,

„Bo perła najprzedniejsza, w której sam Piast siedział,  
 „Pod chustką dziewczki była. Jam o tém nie wiedział,  
 „I gdy do ciebie, Jago, lotem powróciłem,  
 „Darmo spluwałem perły, darmo się męczyłem;  
 „Choć krągłe perły wszystkie do miednicy padły,  
 „Żadna się nie ruszyła i wszystkie przysiadły  
 „U dna jakby kamyki martwe. Moje trudy  
 „Spelzły na niczem; darmo ja podmorskie ludy  
 „Odwiedziłem zuchwale. Tak się czarowania  
 „Piast tu u nas wyuczył, że dzielnie odgania  
 „Od siebie każdy urok. Jednak dziś przepada!  
 „Prawda! nie moja Piasta zwyciężyła rada,  
 „Tylko ciekawość Rosy! Dobrze mówią ludzie,  
 „Że kiedy Czart przegrywa, po klęsce i trudzie  
 „Babę na bój wysła, i tak wygra sprawę.  
 „Wygrałem sprawę, chociaż postradałem sławę.  
 „Rosa Piasta mężowi swojemu zdradziła,  
 „I Piasta pokonała niezużyta siła  
 „Czecha. Za to, że córkę jemu bałamucił,  
 „W beczkę czarną go zamknął i na niebo rzucił,  
 „Gdzie teraz wraz z Rzepychą będzie tkwił wysoko,  
 „Gdzie ledwie go dostrzeże twoje mocne oko,  
 „Jago, czarów królowo! Tam Czech usłał łoże  
 „Na smole dla junaka, on tam gruchać może  
 „Z Rzepychą po wiek wieków! Przepadł w tem więzieniu,  
 „I kości mu spróchnieją w wiecznym udręczeniu!  
 „Dobrze mu tak!“ -

I Popiel mówiąc, pokazuje  
 Plamkę czarną, co się tam wśród obłoków snuje  
 Powoli. Jaga w plamkę patrzy; W tém zawoła:  
 „Patrzaj, nieszczęsny, co twój uczeń robić zdoła!“

I oba Czarty jakby dwa słupy skostnieli,  
 Bo widzą, że u góry tam Piast jakieś ścieli  
 Cuda złociste. Beczka pękła pośród chmury,  
 Ze stukiem i hałasem, i struga purpury  
 Płonącej z czarnej beczki w niebo się wylała.  
 Nad tą strugą przy męzu swym Rzepycha stała  
 Pośród chmur i błękitów, w białej lśniącej szacie,  
 A mąż jej, Piast, w błyskawic jaskrawym szkarłacie,  
 Za kibić objął żonę i dziwnemi znaki  
 Wysła swe rozkazy na niebieskie szlaki.  
 Chmury jemu posłuszne i połuszne blaski  
 Niebieskie, jakby żądne jego wielkiej łaski,  
 Spieszą spełniać rozkazy, i zamek wysoki  
 Budują na lazurach niebiańskie obłoki.  
 Zamek na przeźroczystej, wielkiej staje górze,  
 Sam tak ogromny jak niebios przestworze  
 Błękitne i przeźrocyste, okiem niezgłębiony,  
 Naokoło złotemi mosty opatrzone.  
 Od morza most zwodzony prowadzi do zamku,  
 Strojny w siedem barw tęczy i w blaski poranku  
 Majowego.

Na moście Rzepycha stanęła  
 I chustką z puchów ptasich na morze wionęła,  
 Co spało w dole cicho. I z morskiej głębiny,  
 Na kształt mgły wyleciały posłuszne dziewczyny,  
 Służba Rzepychy pilna. Znowu przywołane  
 Rusałki spieszą do niej, widząc znaki znane  
 Oddawna. W białe, nikle szaty ustrojone,  
 Jakgdyby w mgły porannej znikomą zasłonę,  
 Jak chmurki ponad wodę wzlecą i do góry  
 Płyną cicho, aż zajdą w niebieskie lazury.  
 Gdy się zbliżą, Piast spuszcza z zamku złote schody,

Po których w zamek idą białe córki wody  
Płynącej.

Zamek cudny ten zwisał tak wysoko,  
Że go zwykle nie widzi ludzi ziemskich oko;  
I więcej ze słychu tylko Szklanej Góry miano  
Pośród Słowian narodu zamkowi nadano.  
Ale Popiel i Jaga dobrze to widzieli,  
Jak tam Piast wśród obłoków swoje cuda ścieli.  
I straszna zdjęła teraz ich oboje trwoga,  
Gdy ujrzeli, jakiego wychowali wroga  
Dla siebie.

Piast na Szklanej Górze klasnął w dłonie,  
I wnet się zaludniły wielkie niebios tonie  
Tłumem skorych Chochlików, wichrów lotnych rojem,  
Co lecieli Piastowi służyć życiem swoim,  
Sercem i rozumem. Tłum w ptasie skrzydła strojny,  
Albo w skrzydła motyle, a w pszczoł żądła zbrojny,  
Nadpowietrzny, nie stały, nie chwytny dla ludzi,  
Wiadra deszczu przewraca, senne burze budzi,  
I błyskawicy jasnej po obłokach płuży.  
On wspólnie z Rusalkami panom swoim służy  
Na Szklanej Górze, w zamku, gdzie Piasta przezwano,  
I gdzie jemu Pioruna grzmiące imię dano.  
Tutaj Rusalki złote swe sito trzymają,  
A Chochliki do sita wody nalewają  
Deszczowej nieustannie. Coraz nowa wita  
Okolica tę wodę, co z Rusalek sita  
Spada kroplami.

Kazał Piast Chochlikom konie  
Zaprządź bułane. Na wóz siadł i w swoje dłonie

Wziął złotolite wodze. Po niebios podłodze  
 Złote hurkoczą koła, a na ziemi w trwodze  
 Wielkiej słyszą to ludzie, co nad rolę ślęczą,  
 Śmierci się boją i pod złą chorobą jęczą.  
 Gdy turkot ten usłyszą biedni, ziemscy ludzie,  
 Przelękną się hurkotem, jednak w długim trudzie  
 Grzmot im nadzieję wieści; bo dwóch wrogów mają  
 Ludzie, co czarną matkę rolę uprawiają,  
 I zimę i posuchę; obu grzmot zabija;  
 Więc gdy go ludzie słyszą, wiedzą, że śmierć mija  
 Z oblicza ziemi; przeto na twarz upadają;  
 I bijąc czołem ziemię, hołd dziękczynny dają  
 Grzmotowi, co o słusznej dnia i roku porze  
 Na roścież niebios służy dla dészczu otworzy,  
 Rodziciela zieleni.

#### Koło Piasta siadła

Na wozie Rzepycha i rękę jemu kładła,  
 Na potężne ramiona, a oparła głowę  
 O barki. Na sukmanę Piasta włosy płowe  
 Rzepychy spadły; a on ręką wskazał ziemię  
 Gdzie mały Bies rogaty szedł człowiecze plemię  
 Kusić i dręczyć. Kuse Niemieckie ubranie  
 Miał Bies na sobie; chodził po oranyfn łanie  
 Bies mały i jak szarak po bruzdach się chował;  
 Nosił rogi wołowe; zło na ludzi knował,  
 Za rozkazem Popiela. Piast podniósł ramiona  
 I z nich cisnął ognisty grot w Biesa. Bies kona,  
 I gdzie stał Niemiec kusy, popłynęła smoła.

A teraz do Rzepychy swojej Piast zawoła;  
 „Patrzaj żono! jak ninie tego tu zabiłem  
 „Biesa — i jak w cuchnącą sadzę zamieniłem

„Podłego sługę pana, co północą włada,  
 „A grzech i zdradę rodząc, na biegunie siada,  
 „Przy Jadze Babie; tak ja Popiela samego  
 „Kiedyś pokonam, choć go mocne czary strzegą!  
 „Wtedy zamieszkamy na tym złocistym zamku,  
 „I co rana siądziemy na przejrzystym ganku  
 „Szkłannéj góry. Lecz jeszcze nie nadeszła pora,  
 „W której słońce zapłonie, szcześnie nocna zhora,  
 „Która dziś Polskę dusi. Chcąc porosnąć w siłę,  
 „Trzeba w dole uściskać długo ziemską bryłę  
 „Roli oranéj; a kto pragnie naród zbawić  
 „Ten winien pośród niego chatę swą postawić  
 „I jego chleb zajadać. A zatem, królewno!  
 „Teraz opuścimy tę wyżynę powiewną  
 „I jasną Szklannéj Góry, i przy Żywie w chacie  
 „Zamieszkas, luba moja w wiejskich kobiét szacie.  
 „Czasem w zamki wrócimy, którem ci postawił,  
 „I wtedy błyskawicą będę ciebie bawił,  
 „Rzepycho moja! Ale teraz tu na straży  
 „Zostaną Chochliki i Rusałki. Do twarzy  
 „Tobie będzie, królewno, kiedy wiejskie wdziejiesz  
 „Szaty, i gdy do matki mojej się zaśmiejesz  
 „Pod cieniem czeremszyny“.

Rzepycha słuchała  
 Słów Piasta; i w Kruszwicy niewiastą. się stała  
 Wiejską przy mężu. Wdowa po Krakusie, Żywa,  
 Niegdyś królowa Polski, zawsze urodziwa  
 I hoża, wielce synem swoim się cieszyła.  
 A koło matki nowéj w posłuszeństwie żyła  
 Rzepycha, córka Czecha. Pod jabłoni cieniem  
 I nad szumiącym, świętym i rajskim strumieniem  
 Czekali wszyscy przyszłej wybawienia chwili.

A niebawem syn mały na ramionach kwili  
Rzeczychy. Temu dziecku Ziemowida miano  
Za wolą ojca, Piasta, w Kruszwyce nadano.  
Kiedy syn się narodził, wyniesiono koło  
Na strzechę. Nad niem gnieździ się bocian wesolo  
Wraz ze swoją rodziną. Ptasi małżonkowie  
Z gniazda się przysłuchują poważnie rozmowie  
Ludzi, na jednej stojąc nodze, a chwilami  
Skrzypiącym swoim głosem odezwią się sami,  
Z góry.

Pachnące kwiaty wyrosły wśród sadu;  
One pokarmem słodkim złotego owadu,  
Którego Piast hoduje. Mnogie bowiem roje  
Pszczoł założyły w sadzie gospodarstwo swoje.  
Piast własnoręcznie pszczołom piękne ule stawia;  
Potem z miodu sytego ludziom napój sprawia  
Najlepszy; za to we wsi wszyscy gospodarze  
Błogosławią małżonków pięknych młodej parze;  
A w chacie Żywy wszystko tak się różnie mnoży,  
Że widny tutaj, jakby słońce, spokój Boży!





## PIEŚŃ VIII.

### KUPAŁO I ZABAWA.

**K**iedy w Kruszwicy znowu zakwitły jabłonie,  
Wysłał Piast Rzepychę w szumne morskie tonie;  
W białą mgłę ją ubierał, a wieńczył jej głowę  
W splecione w złoty wieniec błyskawice płowe;  
Dodał ze szklanej góry orszak ruszałczany,  
W świt poranku i barwy tęczowe ubrany.  
A wyprawiając, do niej takie wyrzekł słowa:  
„Chcę, by w morzu poznali, żeś ty jest królowa  
„Podobnie, jak twa matka, cna królowa Rosa,  
„Żona Czechowa, pani morza pięknowłosa.  
„Dlatego orszak dałem i jasną koronę.  
„Ale kiedy przybędziesz w twą rodzinną stronę,  
„W Czecha zamki z bursztynu — pokłoń się Czechowi  
„I matce twojej Rosie. Niech się ojciec dowie  
„O mocy swego zięcia, co chmurom panuje  
„Nadpowietrznym! Niech ojciec już żalu nie czuje  
„Do ciebie, że mnie kochasz! Skoro cię zobaczy,  
„Wiem, ja na pewne — ojciec twój tobie przebaczy;  
„A skoro ci przebaczy, twego proś rodzica;

„On proście nie odmówi, kiedy twoje lica  
 „Gładkie ujrzy, Rzepycho! Krakusa syn drugi  
 „W czarnym obłoku błądzi wciąż, już przez czas długi,  
 „Zamknięty z woli ojca. Tam z matką schronienie  
 „Znalazł niegdyś; tam rośnie i tam czarne cienie  
 „Go z matką otoczyły. Kolęda uspiona  
 „Pośród tego obłoku, ni żyje, ni kona,  
 „Między życiem i śmiercią zawieszona wiecznie.  
 „On prawda, że rośnie w obłoku bezpiecznie,  
 „I że się tam nie lęka srogiego Popiela,  
 „Wroga Krakusowego, ludzi kusiciela  
 „I wszystkich nieszczęść ojca; — lecz tam pogrzebiony  
 „Brat mój, choć rośnie — jeszcze niezrodzony  
 „Na prawdę. A szkoda! Bo to chłopiec do słońca  
 „Podobny będzie, dzielny narodów obróńca,  
 „I mój pomocnik kiedyś w ostatecznym boju.  
 „Nie chcę przeto, by dłużej śnił w martwym spokoju.  
 „Tylko ojciec twój może światu go darować.  
 „Niechże jego przestanie w swym obłoku chować  
 „Czarnym i niech dla niego wystawi mieszkanie,  
 „A u mnie wdzięczność wieczna dla Czecha powstanie.  
 „Wiesz, żem władcą powietrza. Zatem władca morza  
 „Może mnie potrzebywać“.

Posłuchała hoża

Rzepycha mowy męża i ucałowała  
 Usta mężowskie. Potem jakby chmurka biała  
 Przez słońce ozłocona nad morze się wzbila;  
 Dokoła rusałczana służba srebrem lśniła  
 Migotliwem i lodem w tęczę przeźroczystem,  
 I światłem rannem, drżącym, lśniącym, szklistem, mglistem..  
 Mogło się zdawać, że to mgła morze zakrywa,

Albo, że piana biała po bałwanach spływa,  
Cieknąc i połyskując.

Wreszcie znikły świty;

Niebo całe rozświecił słońca zlotolity  
Blask, i było południe. W ciemne głębie morza  
Szła Rzepycha z orszakiem swym; pośród przestworza  
Wód otchłannych płynęła, ojczyznę witając  
Swoją i tutaj wszędzie wspomnienia poznając  
Lat dzieciństwa swojego.

Najpierw zawitała

Do zamku, w którym Wanda pod morzem mieszkała;  
Siostrą się ucieszyła; mówiła o bracie,  
Co na ziemi przybywa w prostój, kmieciój chacie,  
Chociaż na szklanej górze ma zamki wspaniałe;  
Potem Wandzie wyłoży swe poselstwo całe.  
Wanda wieści słuchała; potem Samożony  
Zawołała swoje i z siostrą jedzie w strony,  
W których zamek z bursztynu króla Czecha stoi.  
Tak to orszak Rzepychy po drodze się dwoi;  
Do Rusalek powiewnych, co Rzepysze służą,  
Przybyły Samożony, które bojom plużą  
Twardym.

Pierwsza Rzepychę ujrzała Zabawa.

Córka najmłodsza Czecha poprzód zamkiem stawa  
Często, by karmić złote rybki. Gdy ujrzała  
Jak po drodze podmorskiej szła drużyna biała  
Rusalek, wraz z Samożon orężnym orszakiem,  
Popatrzyła ciekawie, kto to ciągnie szlakiem  
Do zamku Czechowego? A patrzyła długo.  
Najpierw poznała Wandę, potem siostrę drugą,

O której już myślała dawno, że przepadła.  
 Widząc siostrę Zabawa, z radości aż zbladła;  
 Potem w ręczki klasnęła, rybki porzuciła,  
 I sama jakby rybka na szyję skoczyła  
 Siostrze swęj starszej. Długo Zabawę ścisłała  
 Rzepycha; i drużyna zapłakała cała  
 Na ten widok. Zabawa przywitała potem  
 I tamtą siostrę, Wandę; wreszcie biegła lotem  
 Do komnat bursztynowych. by o złotej wieści  
 Donieść matce swęj Rosie.

Rosa dwór niewieści

W świetlicy bursztynowej przy sobie sadziła,  
 I z łuski urobione czólenko wodziła  
 Po niciach z pajęczyny morskiej. Z krzykiem wpadła  
 Do komnaty Zabawa i przy matce siadła,  
 I szybko matce swojej rzecz opowiadała  
 Tę, co się dzisiaj oto poprzed zamkiem stała.  
 Z radości tak zawiłą była panny mowa,  
 Że Rosa z opowieści ni jednego słowa  
 Wyrozumieć nie mogła, i tylko wiedziała,  
 Że Zabawa po rękach ją wciąż całowała.

Wtém się rozwarły z muszel zrobione podwoje,  
 I Rosa zadziwiona, obie córki swoje  
 Przed sobą teraz ujrzy. Prawie równie droga  
 Wanda, nie chcąc przeszkodzić, dziś nie przeszła proga.  
 Rosa z radości płacze, ledwo oczom wieży,  
 Kiedy córkę ogląda w królewskiej odzieży.  
 Wszakżeż tę córkę swoją dawno oplakała,  
 I za przepadłą wskutek gniewu ojca miała.  
 Teraz o wszystko pyta — odpowiedzi słucha  
 I z zadziwienia ledwo że nie wyda ducha;

Co chwila ściska dziecko, i wznosi ramiona  
 Dziękczynnie ku niebiosom, srodze ucieszona;  
 Wreszcie z swemi córkami i z Wandą się radzi,  
 Jak do ojca napowrót Rzepychę sprowadzi?  
 Czech w tej chwili podmorskich klaczy zwiędza stada,  
 A od roku ni słowa o córce nie gada  
 Swojej, Rzepysze. Zgadnąć dziś nie łatwa sprawa,  
 Jak ją przywita?

Wreszcie radziła Zabawa  
 Pójść do ojca do stada. Rady posłuchano,  
 I razem samoczwart na pasze się udano  
 Podmorskie. Służbę całą doma zostawiono.

Zdała widzą niewiasty stadninę sławioną  
 Czechową, co się pasie na wzgórzu zieloném,  
 Obrosłém bujną paszą, z rzadka ocienioném  
 Drzewami podmorskiemi. Między klacze chodzi  
 Czech uradowany i ręką swoją wodzi  
 Po szyi i po grzywie końskiej. Koło matki  
 Każdej skacze wesoło źrebiec żwawy, gładki  
 I mocny.

Pastérz, który stad Czechowych strzeże,  
 Pokazał panu, że do niego pani bieże,  
 I że z nią trzy niewiasty idą. Czech poznaje,  
 Że koło Rosy Wanda i Zabawa staje;  
 I trzeciej postać znaną, a przecie nie wierzy,  
 Bo to była Rzepycha w królewskiej odzieży.  
 Oczy ręką zasłania, patrzy się zdziwiony,  
 Wreszcie wątpić nie może, że przy boku żony  
 Tę córkę widzi, którą kazał niegdyś stracić,  
 Aby dumie królewskiej ciężki dług zapłacić.

Gdy niewiasty do Czecha już się przybliżyły,  
 Stały przelęknione, bo niepewne były,  
 Jak je zeche Czech witać? Jemu wyszły oczy  
 Z powiek prawie: ramiona szeroko roztoczy,  
 Jak ptak, co chce podlecić. Wreszcie ryknie duży  
 Czech płaczem, jakby wiatr wśród wielkiej, morskiej burzy;  
 Pędem na córkę swoją leci, i w ramiona  
 Ją chwyci, że z radości ledwo nie zduszona  
 Przez ojca potężnego. Zapomniał o karze  
 Dawno Czech. Łaknął tylko córki. Teraz w darze  
 Gotów jęj dać królestwo za to, że wróciła;  
 Teraz droższą od oka w głowie jemu była  
 Córka ta zmartwychwstała!

Gdy w zamki wracali

Z bursztynu, rozmawiali. Córka ojcu chwali  
 Męża swojego; cuda wielkie opowiada  
 Tak, że słuchając Czecha dusza bardzo rada  
 Z zamęścia jego córki. Rzepycha mówiła  
 O tém, jaka u Piasta czarodziejska siła  
 I jakie nadpowietrzne zamki; potem prawi  
 O matce jego Żywie i ród jego sławi,  
 Który od Lecha wiezie i od króla Kroka.  
 Wreszcie o tém mówiła, jak zeszedł z wysoka,  
 Ze szczytów szklanej góry, by mieszkać wśród ludzi,  
 I że on kiedyś znowu wiek złoty obudzi  
 I Popiela zwycięży, używając mocy  
 U niego wykradzonych. Trzeba mu pomocy  
 Jednak — braci, Krakusa synów. Przeto prosi  
 Czecha, by dlań uwolnił brata, co się wznosi  
 W czarnym obłoku, ponad wielką tonią morza.  
 Syn to Kolędy, młodzian piękniejszy jak zorza,  
 Nad wszelką miarę dzielny, cnotliwy, a mężny,

Przyszły złego Popiela zwycięzca orężny.  
 Niechaj Czech życie temu wróci młodzieńcowi,  
 A na ziemi wiek złoty zaraz się odnowi!

Czech posłuchał z uwagą swojej córki mowy,  
 A kiedy słuchał, przyszły wspomnienia do głowy  
 Różne, i Czech uznał, że córka prawdę mówi;  
 A że rad z córki, pewno nic jej nie odmówi  
 Dziś. Przeto przyrzekł córce, że wszystko tak zrobi,  
 Jak sobie córka życzy. Nawet przysposobi  
 Dla syna Kolędy tak wspaniałe mieszkanie,  
 Że mu i na potrzebę, i na zbytek stanie  
 Wszelki. Rzepycha ojcu za to dziękowała,  
 A Zabawa rozmowy z rumieńcem słuchała  
 Na twarzy; bo się serce jakoś jej ścisnęło,  
 Kiedy o tym młodzieńcu zaklętym słyszało,  
 Który śnił wśród obłoku.

#### Rzepycha bawiła

Cały dzień u rodziców. Gdy gościna miła  
 Wreszcie do końca doszła — gdy zachód ozłacać  
 Zaczął szczyty bałwanów, i gdy przyszło wracać  
 Na ład do chaty Piasta, co w Kruszwicy stała,  
 Rada z obietnic ojca Rzepycha wracała;  
 I męża ucieszyła, kiedy wieść przyniosła  
 Od Czecha. — Piast usłyszał — a nadzieja rosła  
 W Piaście, gdy to usłyszał; żonę pocałował,  
 I coraz bezpieczniejsze zamiary już chował  
 W odważnej piersi.

\* \* \*

W czarnym obłoku usnęła  
Od lat wielu Kolęda; ciemność ją objęła,  
Jak matka dziecko lube do swej piersi tuli;  
Przy niej śniąc, syn wyrastał w świetlanej koszuli  
Białej, i z płomieniami na swój białej skroni.  
Obłok z Kolędą bujał nad zwierciadłem toni  
Morskiej już od lat wielu; a pod nim szumiała  
Woda morska i piana się toczyła biała;  
A nad nim wielkie niebo czasem się chmurzyło,  
Czasem jak jeden szafir od pogody lśniło  
Złotój.

Kolęda pośród chmury się zbudziła  
I obok siebie syna swego obaczyła,  
Młodzieńca, co pochodnią był pośród ciemności,  
W której od urodzenia swojego, śniąc, gości.  
Ledwo zrozumiała że syna ma przed sobą;  
Bo długie lata jedną się wydały dobą  
Tój, co je przyśniła. I młodzian zadziwiony  
Życiem, obudził się.

Wtém prysła z jednej strony  
Czarna zasłona chmury, co ich otuliła.  
Oczom obu zaklętych światłość się zjawiała  
Dzienna; ujrzeni, że ich ponad morze  
Obłok niesie cudowny; a na niebie gorze  
Słońce, i promienie swe zanurza do fali  
Tak, że od słońca złotym gościńcem się pali  
Morze.

Kolęda wszystko krzykiem przywitała  
Radości. Powrócona wreszcie światłość biała  
Dnia serce przeniknęła.



## Nie rozumie świata

Jéj syn, choć już dorosły; choć już przeżył lata,  
 Taki niedoświadczony jak niemowlę małe;  
 Zdziwiony na toń patrzy morską i na białe  
 Ptaki, które nad morzem ulatują; czuje  
 To tylko, że toń owa, w którą się wpatruje,  
 Jakoś jest niebezpieczna; że gdyby wpadł w wodę,  
 Straciłby oddech w piersi i to życie młode,  
 Które raz pierwszy odczuł; i wnet to zrozumiał,  
 Że winien swojej matki bronić tak, jak umiał  
 Tylko, i że ta fala także matce grozi,  
 Więc się cofnął w głąb chmury, która ich obwozi  
 Po niebie, ponad morze, i matkę w ramiona  
 Ujął. W dole huczała toń wielka, spiętrzona  
 Pianą szumną; a on w nią patrzył niespokojnie;  
 Pod nim fale huczały tak głośno i rojnie,  
 Jak pokolenia ludzkie, które w wiecznym boju  
 Wiek swój marnują. I dreszcz wielki niepokoju  
 Z syna przeszedł do matki. Matka zrozumiała,  
 Że tylko toń pustynną pod nogami miała,  
 Unoszona przez obłok, co się topnieć zdaje,  
 A z taką myślą razem śmierć jéj w oczach staje  
 Straszliwa.

Ale patrzaj! Oto tam wśród fali,  
 U widnokręgu w mglistej i błękitnej dali  
 Coś się zdaje wynurzać. Może to wzrok ludzi?  
 Nie! to Czech z głębi morza nowe lądy budzi,  
 Które mają przywitać Kolędę i syna  
 Kolędy! To się nowy jakiś świat poczyna,  
 Pośród fali, na nowych gości powitanie!  
 Wnet lasem obrośnięta wielka wyspa wstanie  
 Wśród Bałtyku; na niej rosną wielkie góry,

Których stopy otacza szumiąc bór ponury,  
 Których boki wyniosłe bujne połoniny  
 Obrosły, a u których sterczące wyżyny  
 Szczytów skalistych, śniegiem białym ozdobione,  
 Tworzą nad nową wyspą promienną koronę.  
 Zdaleka wyspę widać pośród morskiej toni;  
 I nawet noc zazdrosna wyspy nie zasłoni  
 Łatwo, bo na niej śniegi u gór szczytu płoną  
 Własnym swym światłem, ponad falą w noc uśpioną.  
 Więc patrząc na te dziwa, wyspie tej nadano  
 Dlatego, że tak widna zewsząd, Widnia miano.

Już wyspa pod nogami Kolędy się ścieli;  
 Niemasz już pod obłokiem pochłannęj topieli,  
 Cmentarza ludzi ziemskich. Obłok nadół płynie  
 Ku jasnej i zielonęj, pośród gór dolinie.

Już czują pod nogami ziemię. Obłok znika  
 I zostawia Kolędę z synem przy strumyka  
 Brzegu. Strumyk bełkocze żwawo między kwiaty  
 I bujne trawy. Nad nim stoi rozsochaty  
 Dąb, o którymbyś myślał, że sto lat już liczy,  
 Choć go dziś oto z fali wyniósł łąd dziewiczy,  
 Sam nowonarodzony. Z obu stron doliny  
 Stoją dwie ścianki strome, strojne w gąszcz leszczyny;  
 A jeśli spojrzysz okiem ponad strumyk w górę,  
 Ujrzysz szczyty wyniosłe i lasy ponure  
 Górskiej krainy; gdy się na dół zwrócisz wzrokiem,  
 Oko twe spocznie wreszcie na morzu szerokiem,  
 Co jak zwierciadło senne roztacza się w dali,  
 A tak dalekie, że nie widzisz na niem fali,  
 A tak ogromne, że nie poznasz krańców morza,  
 A tak błękitne, że gdzie brzegiem do przestworza

Szafirowego niebios dotarło, granicy  
 Dostrzedz nigdy nie zdoła moc ludzkiej źrenicy.

Wiosna na wyspie była. Już drzewa zielone  
 Ponad łąki wznosiły liściastą koronę;  
 Rozrzucone po łąkach grusze i jabłonie,  
 Czeresznie i czeremchy ozdobiły skronie  
 Białym kwiatem; wszędzie od kwiatów woniało,  
 A śpiew czuły słowika przez dolinę całą  
 Rozbrzmiewał szczebiotliwie. Ponad trawą kwiaty  
 Tak gęsto wyrastały, że grunt był srokaty  
 Pod nogami ludzkiemi. Dąb tylko stał czarny,  
 Suchém liściem obwieszon; po nim skakał gwarny  
 Lud śpiewaków skrzydlatych, leśnych, który gonił  
 Chrząszcze po konarach u spiucha, i dzwonił  
 Jemu do ucha o tém, że pogodne nieba  
 Wiosenne, i że już się drzewom budzić trzeba.  
 Ale dąb głuchy zda się, wezwania nie słucha,  
 Czeka i krzepi w sobie potężnego ducha  
 Dębów, co później w wielkim już letnim upale  
 Ponad drzewami lasu królują wspaniale.

Kolęda ten boży świat niegdyś dobrze znała;  
 A więc świadka miłości pięknego witała  
 I piastuna dzieciństwa swego. Syn zdziwiony  
 Swe duże oczy zwracał w wszystkie świata strony,  
 I rozumném już okiem witał cuda ziemi;  
 Nie wiedział, co ma czynić, a cieszył się niemi  
 Przecie, bo czuł, że one dla niego stworzone.  
 Wreszcie zrzucił koszulę i w nurty spienione  
 Strumienia skoczył; coś go dziwnie tam wołało.  
 Na słońcu, pośród wody lśniło jego ciało  
 Jak biała kość słoniowa. Matka nań patrzała

Rada z piękności syna. Patrząc imię dała  
Kąpiącemu Kupały.

Kiedy wyszedł z wody,  
Przymówił do swęj matki, Kolędy, syn młody  
I płowy. Zanim słońce szło spać u zachodu,  
Zrozumiał, Kupało świat; bo pochodził z rodu  
Świętego Światłowidy, a nie z pokolenia  
Ludzi zwyczajnych, którzy pośród śmierci cienia  
Żyją; długo są dziećmi, i nie rozumieją  
Długo świata; kiedy wreszcie im zadnieją  
Myśli rozumne, muszą umrzeć. Matkę miłą  
Kochał, i matce służył młodocianą siłą  
Bohaterską.

A matka zdawna znała czary.  
Więc kiedy na ostrowie spuścił się zmrok szary,  
Zawołała Kolęda z głębi stawów roje  
Żabek, i powitała towarzyszeki swoje,  
Zdziwione, że poznają umarłą swą panię.  
Żabki cuda robiły na jej rozkazanie.  
Z liścia dzikięj kapusty namiot wystawiły,  
Na którym wszystkie barwy wschodu cudnie lśniły;  
Z czeluści skały wzięły lotną pajęczynę,  
By nią uścielić łożę. Trawników dziedzinę  
Zieloną przeszukały, by pierwsze jagody  
Przynieść na stół swęj pani, i by sprawić gody  
Pierwsze pani synowi.

Kolędzie niewolno  
Powrócić między żaby, ale była zdolną  
Rozkazy żabkom dawać — i to wystarczyło,  
Bo kwakania swojego czarodziejską siłą

Zdołały żaby z drobnych, dzikich jagód boru  
 Zrobić ciasto ogromne owego wieczoru,  
 Dla wygody swój pani.

Mięsa nie podały;

Ale i na to żabki wodne sposób miały.  
 Dla Kupały łuk wielki i strzały zrobiły;  
 A że był to młodzieniec odwagi i siły  
 Wielkiej, przeto nie czekał, aż wieku przyrośnie  
 Dni kilka, jedno w drugim dniu życia, radośnie  
 Wyszedł na polowanie, skoro zeszyły zorze.  
 A teraz spiżarnią dlań — i niebo — i morze;  
 Wszystko co tylko żyje, do niego należy;  
 Ni zwierz ani ptak lotny nie ujdzie z obieży  
 Młodzieńca łowczych; wszystko przebijają strzały,  
 Które w jego kołczanie niecierpliwie drżały,  
 Czekaając lotu; z krwawą piersią przed nim padła  
 Zwierzyna wszelka.

Potem w domu matka kładła  
 Przed namiot suche drewna. Dwie żaby zmienione  
 Na chwilę jedną w młode dziewczęta, zniesione  
 Łupy myśliwskie kładły na różny złociste,  
 Ogień wielki nieciły, i wonną pieczystę  
 Dla swoich panów piekły.

I tak dnie mijały;

A królestwem Kupały wydał się świat cały,  
 Jemu znany; Kolędy szczęściem widok syna,  
 W którym na nowo matki życie się zaczyna  
 Brzemienne nadziejami. Szczęście wiecznie zwodzi  
 Nadzieję i zabija — i wiecznie się rodzi  
 W ludziach nowa nadzieja. Choć już doświadczyli,

Że wszystko, czego pragnie, człowieka omyli,  
 Że wszystko zwodzi tylko, i dręczy i kłamie,  
 I że się każda radość wreszcie z płaczem łamie; —  
 Gdy dla siebie nadzieję starce zaniechali,  
 Dzieciom w myśli swęj złote szczęście w udział dali.  
 I jak się młodość gwoli własnych złudzeń krwawi,  
 Tak starość krew żywota marnie na to stawia,  
 By się zdawało, że co krwawém kłamstwem wszędzie,  
 Wbrew prawom świata prawdą dla jęj dzieci będzie.

\* \* \*

Strzelec, Kupalo, poszedł raz strumienia biegiem  
 Na dół, i stanął ponad szumnym morza brzegiem.  
 Tu postanowił strzelać nadmorską zwierzynę,  
 Ptactwo, co tak morską, jak powietrzną dziedzinę  
 Posiadło zarówno. Łuk nieraz strzałą nabił  
 I niejednego ptaka morskiego już zabił;  
 Niektóre ptaki podniósł z brzegu; inne tracił;  
 Bo gdy ranne padały w morze, strzelec płacił  
 Dań złemu przypadkowi, którą każdy składa,  
 Czy bronią, czy podstępem, czy czém inném włada  
 Na tym świecie.

Nareszcie stanął u krawędzia  
 Skąły występującej w morze; tu labędzia  
 Wspaniałego zobaczył. W morzu, koło skały  
 Majestatycznie płynął ogromny ptak biały,  
 Podobny do okrętu małego; u przodu  
 Szyja pięknego króla wodnego narodu  
 Ptaków pływających, tak wygięta wspaniale,  
 Że każdy pozna, iż tu władcę niosą fale

Morskie swego; a skrzydła jak dwa żagle białe  
Ponad wodę się wzdęły.

Młodzian wyjął strzałę

Z kołczanu, ale kiedy miał już strzałę wkładać  
Do łuku, by ptakowi cios śmiertelny zadać,  
Coś niby go chwyciło za ramię; coś w duszy  
Zapał krwawy myśliwca dziwnie jemu kruszy  
I łamię; ramię spuścił i trzymając w ręku  
Bezużyteczną strzałę, na cudnego wdzięku  
Ptaka spoglądał długo dziwnie zadumany.  
A pod nim Bałtyk szumiał pianą rozhukany  
I rwał się gniewnie, aby rozgruchotać skałę,  
Co wstrzymywała wiecznie fale rozszalałe.

Wtém ponad morze szumne wleciał orzeł bury:  
Łabędź po morzu płynął, orzeł tam u góry  
Płynął podobnie, skrzydła roztoczywszy swoje:  
A w wodzie i w powietrzu było królów dwoje  
Ptasich. Ale król orzeł — tam u niebios szczytu  
Wprost nad łabędziem białym uwiśł, wśród błękitu  
Powietrznego, i skrzydły swemi ogromnemi  
Trzepnął po kilka razy, a potém ku ziemi  
Z nieba spuszczał się zwolna, kreślił wielkie koła,  
Wreszcie zleciał piorunem tak, że ledwo zdoła  
Oko zobaczyć ptaka, co ku morzu spadał  
Dolnemu. Łabędziowi byłby pewnie zadał  
Cios śmiertelny, gdyby był zdobywcz chwycił w szpony;  
Ale przed orłem uszedł łabędź przerażony,  
Bo w wodę się zanurzył. Aż do morza prawie  
Zleciał orzeł; a tutaj, po przegranej sprawie,  
Trzykroć trzepnął skrzydłami, by się wzbić powoli  
Nazad w powietrze. Łabędź nie uszedł swęj doli;

Chwilę tylko przemocą mógł się skryć pod wodę;  
 Zaraz pokazał znowu swą białą urodę  
 Słońcu; a orzeł nad nim wzbijał się do góry,  
 Na kształt bliskiej, złowrogiej śmierciodajnej chmury.

I byłby łabędź zginął; ale strzelec młody,  
 Który z łukiem i strzałą stał nad brzegiem wody  
 Morskiej, teraz swój luk spiął i wypuścił strzałę  
 Nie w łabędzie morskiego wielkie piersi białe,  
 Lecz w samo serce orła, co złą śmierć gotował  
 Łabędziowi. Grot z łuku ostrze swoje schował  
 Pomiędzy orle pióro; z poza piór osłony  
 Buchnął po piersiach orła strumień krwi czerwony,  
 I orzeł wrzasnął, i padł do szumiącej toni  
 Zabity strzałą, która wyszła z młodej dłoni  
 Strzelca Kupały.

Łabędź dziękując wznosił szyję,  
 Którą w piękne figury ptak wspaniały wije,  
 Kiedy płynie po wodzie; potem spuścił głowę  
 Z ukłonem. A nareszcie głosił taką mowę  
 Głosem ludzkim: „Dzięki tobie strzelcze młody!  
 „Popamiętają czyn twój dzielny ptasie rody,  
 „Które na morzu płyną; bo ten orzeł srogi,  
 „I dobrze, żeś go zabił, jeśli tylko strzała  
 „Naprawdę ptaka a nie widmo zabijała,  
 „Co wywołane przez moc czarów. Jest niewiasta,  
 „Która w Kruszwicy chowa syna swego Piasta,  
 „Twojego brata, syna Krakusa, Rolskiego  
 „Króla. Moc czarów wielka legła w ręku jego,  
 „I białoksiężnikiem jest równym zakłęb mocą  
 „Popielowi, co władnie umarłą północą.



„Królewna morska powieść słyszała o tobie,  
 „Kiedyś jeszcze zaklęty był w powiernym grobie,  
 „W czarnym obłoku. I ta królewna zechciała  
 „Ciebie poznać. Królewna się Zabawą zwała  
 „Wśród zamków bursztynowych ojca swego Czecha.  
 „Dla ciebie, młody strzelcze zabawę zaniecha  
 „Wszelką Zabawa, dziewczę morskie; zatęskniła  
 „Za tobą nim godzina urodzin wybiła  
 „Dla ciebie, oj Kupało! późno urodzony!  
 „Z morza wysła dziewczyna i na ląd zielony  
 „Poszła do wsi Kruszwicy, gdzie w lepianej chacie  
 „Królewnę siostra żoną jest przy twoim bracie.  
 „Tam się królewna wiele o ciebie pytała,  
 „Tam się za łaską Piasta czarodziejką stała.  
 „Kiedy dziewczyna kocha, miłość swą ukrywa,  
 „I do niej się nie przyzna dziewczyna uczciwa  
 „Nigdy niezapytana; a więc strzelcze młody  
 „Pytaj łabędzia, czy tam w głębi morskiej wody  
 „Dziewczyna tęskni, milcząc, za tobą; czy może  
 „Niepoznana wypływa na szerokie morze,  
 „I w oczy twoje patrzy i podziwia czoło  
 „I twarz, co w świat spogląda dzielnie i wesoło?  
 „Pytaj łabędzia, a nie wiem, co łabędź odpowie?  
 „Wiem tylko, że dziw jakiś świta w ptasiej mowie,  
 „I że łabędź bez czarów pewno nie przemawia  
 „Do ciebie. Kto wie? Może to Zabawa sprawia  
 „Na wodzie cuda? Kto wie? Może postać uda  
 „Łabędzia? Może orzeł to była ułuda,  
 „Którą wysłała, aby spróbować twe ramię?  
 „Kto wie? może ujrzała na twym licu znamię  
 „Bohaterskiej potęgi? i do morza wróci  
 „Bardziej zakochana? Patrz, jak się fala kłóci  
 „Z brzegiem! Fala napiera, a brzeg twardo stoi.

„Tak to miłość napiera; ale wstyd się boi,  
 „I wstyd dla samej trwogi nieprzewyciężony.  
 „Ale kochanki mileząc, upominki dają.  
 „A po darach miłosnych młodzieńcy poznają,  
 „Kim jest kochanka. Łabędź tobie dzięki składa  
 „Łabędź ów biały, który ludzką mową gada  
 „Wracaj do domu — a tam znajdziesz ptasie dary!  
 „Kim był ów łabędź, osądź podług datków miary!  
 „Gród znajdziesz na tej wyspie! A gdy spocznieś w grodzie  
 „Tym nowym, wspomnij wtedy o Czechowym rodzie,  
 „I uczeniicy Piasta, królownej Zabawie,  
 „Co przed twém urodzeniem słyszała o sławie  
 „Twojej, Kupało młody!“

Tak mówił ptak biały,

I skrzydła rozpostarłszy uleciał. Szumiały  
 Za nim fale. Kupało stanął zadumany  
 Nad brzegiem, ponad morze patrząc, w świat nieznany,  
 Daleki, i zgadując łabędzie zagadki.  
 Potém zaczął powoli powracać do matki,  
 Idąc zrazu ponad brzeg ogromnego morza,  
 I spoglądając czasem na wodne przestworza,  
 Sam niewiedząc, czy się dziś jeszcze nie spodziewa  
 Ujrzeć łabędzia?

Skała niebawem zakrywa

Morze. Droga pod skałą nieopodał toni  
 Długo szła jeszcze. Ale nieznać, jak tam goni  
 Fala za falą — chyba ze słuchu; — bo skały  
 Duże ze wszystkiém widok morza zasłaniały.  
 Śtrumień płynął przy drodze, prawie zamieniony  
 W rzekę. Dalej w głąb łądu rosły bujne gaje.

Przy zakręcie, przy którym droga się dostaje  
W głąb wyspy, rozpadlina skał nadbrzeżnych stoi,  
I tu poraz ostatni widać, jak się roi  
Fala na morzu. Spojrzał przez czeluść Kupało,  
I albo ujrzał, albo mu się tak wydało,  
Że widzi; ale błysnął popod jego oczy  
Widok nad wszelki wyraz piękny a uroczy  
Pośród bałwanów ujrzał kształt jakiejś dziewczyny  
Długowłosej i płowej, co z morskiej głębiny  
Pół ciała wychyliła. Bardzo piękną była;  
Z pereł jasnych, okrągłych, i z koralu lśniła  
Jej na głowie korona. Przez chwilę jaśniała  
Nad falą ta dziewczyna; potem piana biała,  
Morska splukała obraz cudnego widziadła:  
Czy też mara pólenna Kupały tak zbladła,  
O której mu się ninie tylko przewidziało.  
Westchnął i poszedł dalej do domu Kupało.

\* \* \*

Ale kiedy Kupało już wyszedł na wzgórze,  
Z którego widać było namiot i podwórze  
Kolędy, ledwo oczom swoim wierzył. W dole  
Tam już nie namiot stoi; w wież obronnych kole  
Szczerbatém, poza fosą, poza zwodzonymi  
Mosty, miasto się jawi z bramy złożonemi.  
W niém piękne, oddzielone, od świata kościoły  
I ulice ludne, i naród w niém wesoly  
Tak z kamienie wychodzi, jakby pszczelne roje  
Z pasieki się roiły. Królewskie pokoje  
Widać w głębi na wzgórzu; tam się zamek wznosi,  
A na zamku chorągiew wielka się unosi

Z barwami herbowemi W dzień mosty zwodzone  
 Wszystkie na fosy miejskie bezpiecznie spuszczone,  
 Mieszczanom ku wygodzie służą.

### Gdy Kupało

Dosyć się już nadziwił, poszedł drogą białą,  
 Bitą i pełną prochu, do jednych podwoi  
 Miejskich. Przeszedł bramę. Na mieście się roi  
 Od ludzi i od koni. Wszyscy się kłaniają  
 Kupale. On nikogo nie zna; jego znają  
 Wszyscy.

Po bokach wszystkich widok okazały:

Chodniki w sklepy strojne, a oszklony cały  
 Dół kamienic wnętrzem sklepów oko bawi.  
 Pieśniarz i całe życie swoje na tém strawi  
 I nie opisze tego, co się w sklepach mieści;  
 Tu rozkosz całą, którą białe ciało pieści,  
 Królowna może kupić; tu mydła, pachnidła,  
 Koberce, kolce, hafty, zwierciadła, świecidła  
 Tak tanie, jak gdzie indziej blaszane liczmany.  
 W innym sklepie rynsztunek cały pozłacany,  
 Którego rycerz dzielny potrzebuje w boju  
 I którym ściany komnat zdobi, gdy w spokoju  
 U siebie odpoczywa. I tarcze i zbroje  
 Żwierciadłem, w którym słońce widzi lice swoje.

Ponad sklepami mieszkań okna otworzone.

Ile razy Kupało spojrział w tamtą stronę,  
 Widział panienki, które przy oknach siedziały,  
 Haftując, i tak długie włosów sploty miały,  
 Że warkocze ich z piętra na dół, na ulicę  
 I aż na bruk sięgały. Miejskie kamienice

Takiemi warkoczami dziewic obwieszone,  
Jak na święto ubrane były.

#### Otworzone

Na roścież drzwi kościołów, wewnątrz okazałe  
Świątyń pokazywały, światel mnóstwo, białe,  
Haftowane ornaty księży, orszak mnogi  
Pań i panów pobożnych, i naród ubogi,  
Kłęczący tłumnie, albo leżący w pokorze  
Pokutnej i gorliwej, na posadzki wzorze  
Misternie urobionym.

#### Długo łowiec młody

Milcząc i zadziwiony szedł przez owe grody,  
Co tak cudem stanęły jak i wyspa cała,  
Która niedawno z głębi przepastnej powstała  
Morza szumnego; a to go bardzo dziwiło,  
Że mu się tak kłaniali tu wszyscy; a miło  
Mu było, że się panem czuł; jednak ciekawie  
Zapragnął się dowiedzieć więcej o tej sprawie  
Cudownej. Przeto wszystkie przeglądał przechodnie,  
I nareszcie zapytał jednego, co godnie  
I poważnie wyglądał, jak powstały grody  
Piękne, których tu nie znał pierwój strzelec młody?  
I jakim niepojętym to się stało cudem,  
Że on jak pan znajomy tu stawał przed ludem,  
Którego nie znał wcale? Wreszcie pytał o to,  
Kto tam miastu króluje poza bramą złotą  
Zamku królewskiego?

I dostał w odpowiedzi  
Te słowa od przechodnia: „Matka twoja siedzi-  
„Za złotą zamku bramą, królewiczu drogi!

„Ciebie zna tutaj każdy, bogaty, ubogi,  
 „Bo tyś nam przecie panem. Od dziada pradziada  
 „Ród twój Kupało, temu narodowi włada.  
 „Żartujesz, gdy się pytasz. Żart to krotochwila  
 „Pańska, przed którą naród czoło w proch uchyla,  
 „Jak przed wszystkiem, co wyjdzie z twoich ust, panie!  
 „A jeśli nie odpowiem na całe pytanie  
 „Twoje, to dlatego, że pamięci nie stanie  
 „Ludziom, którzy tu w Widniu ninie zamieszkali.  
 „Żaden uczony tém się w Widniu nie pochwali,  
 „By wiedział, kiedy miasto to piękne powstało?  
 „Zda się, że życiem ludzkim ledwo wtedy dniało  
 „Na téj ziemi śmiertelnéj, kiedy budowano  
 „Tę tu stolicę tobie, Kupało, poddaną.  
 „Przeto nie pytaj, księżę, o miasta powstanie!  
 „Bo to bez odpowiedzi na zawsze zostanie.  
 „Jam człowiek dość uczony, jak widzisz nie młody;  
 „Nietylko dzieci, wnuków wychowałem rody;  
 „Rozmawiałem z mędracami, sam księgi czytałem,  
 „I przenigdy nic o tém się niedowiedziałem,  
 „Kto to miasto postawił i kiedy być miało,  
 „Że miasta wpierv nie było, a potem powstało?  
 „Jedno to tylko wszyscy wiedzą w tym tu grodzie,  
 „Że ród twój, księżę miły, króluje w narodzie  
 „Naszym od wieków wielu, odkąd pamiętają  
 „Dzieje ludzkie zdarzenia. Ciebie wszyscy znają  
 „Od twojego dzieciństwa, od urodzin chwili,  
 „Kiedyśmy się tak tobą, jak słońcem cieszyli;  
 „I teraz każdy codzien oto błaga Boga,  
 „Aby tobie dał sto lat, i by cię od wroga  
 „Bronił każdego, zawsze tobie błogosławił,  
 „Dał kiedyś piękną żonę i czynami wslawił  
 „Godnemi twoich przodków!“

Zrazu się zdawało,  
Ze takiej odpowiedzi słuchając, Kupało  
Wielkim gniewem wybuchnie; twarz mu czerwieniała  
Ręka w kulak ściśniona przy boku mu drżała.  
Lecz wkrótce po powadze poznał mówiącego,  
Ze tutaj wcale ludzie nie żartują z niego;  
A kiedy mowca skończył, potarł tylko czoło  
I oczy swoje; potem obejrzał się wkoło,  
Z umysłu potrząsł sobą, by mieć przekonanie,  
Czy to sen jest dziwaczny, nocny, czy czuwanie  
Na jawie? Miasto było i nie znikło wcale;  
Mury i kamienice przy ulicach stałe  
Się bielily jak dawniej, i ciągnęły tłumy  
Stołeczne bez ustanku, a wspaniałe tummy  
Swoje wieże wysokie ponad miejskie domy  
Wznosiły — a Kupało wszystkim był znajomy  
W mieście bo wszyscy jemu nisko się kłaniali.  
Kupało wie, że zdrów; że gorączka nie pali  
Jemu myśli widmami z nocy wysnutemi —  
I musi wierzyć, że jest pomiędzy żywemi  
Tłumami stołeczniemi.

Nareszcie zadrzało

W nim wszystko z ciekawości, i pobiegł Kupało  
Do zamku królewskiego. Witały go strażę  
Ruchami wojskowemi, któremi się darzy  
Królów i królewiczów. Bramy marmurowe  
Wiodły w szerokie, strojne dziedzińce zamkowe.  
Pośród nich rosły mnogie i wspaniałe kwiaty,  
Mięszając błękit niebios z krwawemi szkarłaty;  
Ponad niemi odwieczne, wielkie drzewa rosły,  
Wznosząc na drugie piętro swe szczyty wyniosłe;  
A między temi drzewy cudna brzoza stała,

U której z srebra litą była kora biała,  
 U której złote liście na gałązkach drżały;  
 W miejsce jagód na drzewie brylanty wisiały,  
 I wiewiórka ze złota po drzewie skakała;  
 Ona oczka i ząbki brylantowe miała,  
 I zębami orzechy brylantowe jadła.

Kupało osłupiały patrzył w te widziadła.  
 Ćmiła go ta wspaniałość i serce w nim biło  
 Z całą i z nadto wielką, z gorączkową siłą.  
 Sparł się o dąb ogromny, co tu rósł w ogrodzie;  
 I tu na pół omdlały, słaby, stanął w chłodzie  
 Drzewa wielkiego.

Wtedy głos usłyszał styłu.

Niewieścim, śpiewnym głosem do niego mówiło  
 Coś: „Królewiczu miły, może dla ochłody  
 „Zechcesz się napić téj tu szklanki świeżej wody?”

Słyszając te słowa w tył się obrócił Kupało,  
 Aby zobaczyć, co to styłu za nim stało?  
 A ujrzał wiejskie dziewczę ubogie, a młode,  
 Które mu podawało szklankę świeżej wody.  
 Mimo woli wziął wodę i szklankę wychylił.  
 Dobrze mu się zrobiło, kiedy się posilił  
 Wodą. Lecz hańbą mu się wydała uboga  
 Dziewczyna wśród ogrodów królewskich; nieboga  
 Szarą miała koszulę, i na szyi miała  
 Paciorki biedna ze szkła; i na ziemi stała  
 Bosemi stopy. Młody strzelec niecierpliwy  
 Wodą w twarz jój plusnął. Był wówczas tak szczęśliwy  
 Jakby nowy jakiś król, i był równie dumny;  
 A przez szczęście i pychę stał się bezrozumny.



Dziewczyzna prosta, która przed nim stała,  
 Dziwnie tak okiem jakoś na niego spojrzała,  
 Że mu się wtedy zdało, że poznał dziewicę,  
 Która jak we śnie jemu pokazała lice  
 Swoje, nad morską falę cudnie wychylone.  
 Dziewczę dygnęło milcząc i odeszło w stronę  
 Kuchni zamkowej.

Wszystkiem tém dziwnie zmieszany  
 Kupało, stał pod drzewem długo zadumany,  
 Niespokojny. Ocknął się wreszcie i spojrzal, czy schody  
 Jakie z pokojów zamku w zielone ogrody  
 Nie prowadzą? Z marmuru schody wykowane  
 Sparły się o wysoką pałacową ścianę.

Temi schodami wyszedł na piętro Kupało  
 I na piętrze stanąwszy, zobaczył wspaniałą  
 Salę przed sobą. Sala to była miedziana,  
 I od ognia płonęła każda sali ściana;  
 Sprzęty tu okazałe z krwawnika zrobione,  
 Ciągnęły oko Kupały każde w swoją stronę,  
 A liczne panie dworskie, służebne Kolędy  
 Przechodzącemu takie oddawały względy,  
 Jakie się królewiczom od ludu należą.  
 Wszystkie panie czerwoną jaśniały odzieżą,  
 Jakby w kominie wielkim czerwone płomienie.  
 Tu Kolędy nie było.

Tu dopiero sienie  
 Były zamkowe. Przeszedł tę izbę Kupało;  
 Za nią drugą zobaczył i bardziej wspaniałą  
 Salę. Sala ta cała ze srebra kowana,  
 I dnia blaskiem przezczystym tu jaśniejcie ściana

Każda. Sprzęty z macicy tu perłowej były;  
 Wszystkie dziwnie pogodnym, białym światłem lśniły:  
 A pośród jasnych sprzętów stanęły dziewice,  
 Co mają białe szaty, uśmiechnięte lice.  
 Wszystkie Kolędzie jako pani swój służyły,  
 Kupale, jako panu, nisko się skłoniły;  
 I wszystkie tak jaśniały, jakienne promienie.  
 Tu Kolędy nie było.

Tu dopiero sienie

Drugie zamkowe były; minął je Kupało  
 I znalazł w głębi trzecią komnatę wspaniałą.  
 Cała ta sala była ze złota ulana;  
 Jakby od słońca każda zajaśniała ściana;  
 Złote sprzęty sadzone były brylantami,  
 Aż oczy ćmiły swemi tysięcznymi skrami  
 Płomienistemi.

W środku tej złotej komnaty

Stała Kolęda; miała z zorzy tkane szaty,  
 I na swój głowie miała słoneczną koronę;  
 Radością było lice jej rozpromienione.  
 W głębi sali jak gdyby matka słońca stała  
 I syna swego bardzo czule przywitała,  
 W czoło pocałowała, przy sobie sadziła,  
 I w takie oto słowa do niego mówiła:  
 „Wszystko zło już minęło i szczęście wróciło,  
 „Które się niegdyś śmiło przed niedobrą siłą.  
 „Zapomnijmy, co było! Teraz nam, Kupało,  
 „Tym, co się ninie stało, radować przystało,  
 „I dolę naszą wspaniałą wychwalać co siłą!  
 „Coś nam dziś zajaśniało! Moc tu się zjawiała,  
 „O jakiej jam nie śniła. Znam ja także czary:

„Jam także zamówiła cuda nie do wiary,  
 „Gdy Kraków jeszcze stary słucał rządów Kroka.  
 „Lecz tu się objawiła moc jakaś wysoka,  
 „Jakićj nie sprosta nigdy Światłowidy córa.  
 „Jak od słońca przy wschodzie zajaśnieje chmura  
 „Nagle, gdy słońce z morza wychyli swe czoło,  
 „Tak nagle się zmieniło tu wszystko wokoło!  
 „Gdzie był bór, tam jest miasto; a gdzie pierwćj stały  
 „Trzęsawiska po łąkach, teraz zajaśniały  
 „Świątynie okazałe. Z namiotu naszego  
 „Stał się zamek, którego złote wieże strzegą  
 „Wokoło. I to wszystko nie stało się w nocy,  
 „Tylko w południe, wskutek czarodziejskiej mocy,  
 „Którą chyba królowne szumiącego morza  
 „Mają. Nie ludzka sprawa to, a sprawa Boża!  
 „A co już najdziwniejsze, co do wiary trudne,  
 „To że miasto na dole tak rojne i ludne,  
 „Nic nie pamięta o tćm, że dzisiaj powstało.  
 „Już rozmawiałam w zamku tu ze służbą całą  
 „I cała przekonana, że ten zamek stoi  
 „Już od wielu wieków, i że przodkowie twoi  
 „Od wielu wieków rządzą narodem na dole.  
 „Byłam już na krążgankach i w rycerstwa kole  
 „Byłam, co tu na straży stoi, i witano  
 „Mnie wszędzie jak królowę; wszędzie powiadano,  
 „Że tu, w tćm mieście ludzie od dawna się rodzą,  
 „Żyją i umierają pod twych przodków wodzą.  
 „Mówię! królowna morska to chyba sprawiła!  
 „Bo w tćm jest boska, a nie żadna ludzka siła“.

Kupało siedział przy matce — słycał matki słowa;  
 Lecz innych myśli pełną była jego głowa.  
 Ciągłe stawał mu w oczach wzrok bosćj dziewczyny,

I ciągle się poczuwał do okropnej winy,  
 Gdy na tę chlusnął wodą, co podobną była  
 Do bogini, która nad morzem się zjawiała.  
 I tylko kiedy matka moce wspominała  
 Córek morskiego króla, dusza w nim zadrżała.

Raptem powstał Kupało i biegł jak szalony  
 Do okna, w jasne niebo dziwnie zapatrzony.  
 Stał przy oknie — rozwarł usta — jakby wryty  
 Wpatrywał się oczyma w niebieskie błękity;  
 I cały poczerwieniał młodzieniec Kupało,  
 Bo tam w górze, na niebie jemu się wydało,  
 Że rano dostrzeżone dziewczę morskie jedzie  
 Na powietrznym rydwanie, i lejcami wiedzie  
 Sześciu białych łabędzi. Ledwo dostrzeżone  
 Widmo, już znikło poza szarą chmur oponę.

Wtedy Kupało krzyknął i upadł na ziemię,  
 Na znak; i tak padając uderzył się w ciemię,  
 Że matka przerażona przez chwilę myślała,  
 Że w tym wspaniałym zamku bez syna została,  
 Sama i nieszczęśliwa nad wyraz i miarę.  
 A taką losy czasem wymierzają karę,  
 Kiedy kto w niezmiennie już przyszłe szczęście wierzy;  
 Bo los chce, by wiadano, że on berło dzierży  
 Kapryśne a wszechwładne.

Syna ocucono

Kołędzie. Ale został z duszą zakrwawioną  
 Pośród komnat złocistych. W szaty go przebrano  
 Jedwabne i złocene. A on za nieznaną  
 Tęsknił dziewicą, którą był dostrzegł na fali.  
 Czasem młodzieńcy jego do gry zapraszali

W kostki, lub do rycerskiej na ostrze gonitwy,  
 Lub do prawdziwej w borze z dzikim zwierzem bitwy;  
 Albo dziewczęta jego do tańcu wołały.  
 On wszystkiego odmawiał, zadumany cały  
 I nieprzytomny; bo on o tój marzył tylko,  
 Co go uszczęśliwiła jedną krótką chwilką  
 Widzenia nadmorskiego, błogiego widzenia,  
 Kiedy mu się zjawiała pośród fal pierścienia,  
 Tak znikoma jak piana, co po szczytach fali  
 Spływa, a tak piękna jak zorza, co się pali  
 W dzień majowy u wschodu, o brzaskach poranku.

Dni kilka tęsknił jeszcze; nie wytrzymał w zamku;  
 Poszedł od matki, niby chcąc odnowić łowy  
 Samotne, zbrojny w strzały i łuk, strzelec płowy  
 I młody. Poszedł ponad morza brzeg szumiący,  
 Zakochany nad miarę i z tęsknoty drżący  
 Cały. Sam nie wiedział, czy tego się spodziewa,  
 Że jemu się pokaże jeszcze morska dziewa?  
 Jednak stanął nad morzem i patrzył na fale,  
 I stał tak nieruchomy, jakby słup, wytwale  
 Czekać.

Szło już słońce ku krańcom zachodu.  
 Łabędzie, króle białe pierzastego rodu  
 Ptaków wodnych, na brzeg morza przypląnęły,  
 I potrząsając piórem na brzegu stanęły  
 Suchym. A serce głośniejsze w piersi zapukało  
 U Kupały, gdy ujrzał tę gromadę białą  
 Ptaków. Wszakżeż także takim ptakiem była  
 Zabawa, wpierw zanim mu się w własnej zjawiała  
 Postaci? A więc bardziej swe wyteżył oczy  
 I swe oczekiwania.

Patrzaj! oto skoczy

Łabędź każdy na brzegu i wstrząśnie się cały;  
 Skórę swą ptasią zruca jak gdyby płaszcz biały,  
 Królewski. Patrzaj! dziewic stanęła gromada  
 Na piasku, wzdłuż wybrzeża morskiego, i rada  
 Z krwawych blasków zachodu, wkoło się splatała,  
 I tańcem i śpiewaniem wraz się zabawiała.  
 Białe miały koszule, długie miały włosy.  
 Czy tu z umysłu przyszła? Czy zrzędziły losy,  
 Że przyszła mimowoli? Pośród dziewic grona  
 Płąsa w białej koszuli, dwakroć dostrzeżona  
 Ledwo przez okamgnienie, królowna Zabawa,  
 Córa Czecha starego. Ona tutaj dawa  
 Rozkazy, i na czele stawa; odznaczona  
 I wzrostem i pięknnością. Na głowie korona  
 Lśni z pereł i z koralu. Haftowana szata  
 Dowodzi, że to wśród sług jest pani bogata.

Gdy ją ujrzał Kupalo, w szalonym zachwycie,  
 Świat z poprzód oczu stracił i zapomniał życie!  
 Wrzasnął, jak orzeł morski i tam pobiegł śmiało,  
 Gdzie dziewczęta tańczyły — a gromadę całą  
 Tak popłoszył, jak orzeł morski płoszy stada  
 Gęsi morskich, gdy czarny zwiśnie nad gromadą  
 Gęgającą; gęś każda wtedy w inną stronę  
 Uchodzi. W różne strony uciekły spłoszone  
 Dziewczęta i na skały i do morskiej fali  
 Wpadły i tak ponikły jak chmurki w oddali.  
 Zabawa pozostała.

Do jój nóg przypada  
 Kupalo, i w gorączce do niej tak zagada:  
 „Wiem, że jesteś mocna i wiem, żeś ty bogini,

„Która potężnie cuda, kiedy chce, uczyni.  
 „Wiem, żeś ty córą Czecha, co władcą jest wody,  
 „A że jam tylko łucznik i szaleniec młody!  
 „Ale z twych ust własnych usłyszałem słowa,  
 „Od których, jakby głównia, płonie moja głowa!  
 „Niejasną była mowa, zagadki prawily  
 „Usta twoje. Lecz odtąd same mnie się śniły  
 „Łabędzie, same córki szumnej, morskiej toni,  
 „Co z koralu i z pereł koronę na skroni  
 „Mają. Teraz cię chwytam w cielesne ramiona,  
 „A serce me z rozkoszy ledwo że nieskona!  
 „Tyś mnie królem zrobiła, i tyś gród ten duży  
 „I naród ten stworzyła, co mej matce służy.  
 „Jeżeli tak jak ludzie, myślą córy wody,  
 „Dalaś tém łucznikowi miłości dowody!  
 „Ale jak tyś nie przy mnie, nie mnie się nie przyda,  
 „I królowanie tylko niewolą się wyda  
 „Wśród więzienia czarnego. Tyś przepiękna cała!  
 „I chcę, ach chcę, byś żoną moją dziś się stała!  
 „Inaczéj tak zmarnieję, jak na polu żyta  
 „Marnieją, kiedy je rdza niszczycielka chwyta!“

Tak to mówił Kupało. Zabawa się śmiała;  
 A wesola zalotność w jej oczach jaśniała,  
 Jak gdyby w dwu gwiazdach, co w niebie czarném płoną,  
 Patrząc z wysoka na dół, na ziemię uspioną.

Gdy się już śmiać przestała, takie rzekła słowa:  
 „Sam nie wiesz, synu suszy, jak szalona mowa  
 „Twoja. Tak jak się dziecku głupiemu zachciéwa  
 „Jasnego księżycy, co go blaskiem olśniewa  
 „Swoim, tak się i tobie dziś zachciało żony.  
 „Darmo dziecko wyciąga ręce! Zawieszony

„Za wysoko dlań księżyc. Ty chłopcze daremnie  
 „Tęsknisz za mną i darmo ty się kochasz we mnie;  
 „Bo jeśli córca Czechowa w tobie zakochana,  
 „Gotowa w synu ziemi uznać swego pana,  
 „Przecie ślubu nie weźmie jak tylko pod falą;  
 „Wszakżeż ze wzgardą sługi wszystkie się oddała  
 „Odemnie, jeśli wezmę na męża człowieka,  
 „Co jak szczur albo zając przed wodą ucieka,  
 „Kiedy woda wezbierze. Jam dziewica cała;  
 „Jam na powietrzu suchém i w wodzie bywała,  
 „I tu i tam bez szkody. A tyś pół człowieka;  
 „Gdzie trochę głębsza woda, śmierć na ciebie czeka.  
 „Gdybyś tak się podobał córce króla Czech,  
 „Że dla ciebie wszystkiego na świecie zaniecha;  
 „Przecież przyznasz, że to jest niepodobna wcale,  
 „Byś mnie poślubił, zanim się zanurzysz w fale  
 „Morskie. Gdy się zanurzysz, wnet umrzesz, nieboże!  
 „I to dlatego córka Czechy iść nie może  
 „Za ciebie. Ale jeśliś ty w miłości stały,  
 „I jeśliś przytém chłopiec i dzielny i śmiały,  
 „Stoi tobie otworem droga aż do Raju,  
 „Co jest na Latyr górze, za wodą Dunaju  
 „Krwawego, i za kratą z żelaza czarnego,  
 „Którój źrenice czujne Pani Zmory strzegą.  
 „Tam Dunaj drugi płynie; tam woda żywota!  
 „Jeżeli tobą taka władnęła ochota,  
 „Abyś był moim mężem, toć otworem droga  
 „Stoi przed tobą; a kto kocha, temu trwoga  
 „Nieznana. Idź do ojca, do Kroka, co włada  
 „Rajem umarłych — i na złotém krześle siada  
 „Tam pośród mar. Wszakżeż wiesz, że on ciebie rodzi?  
 „Choć zajdziesz w Raję, pewno ciebie wyswobodzi,  
 „Gdy zechcesz, i pozwoli, byś wracał na ziemię,



„Między złych i śmiertelnych, żywych ludzi plemię;  
 „I oprócz tego tobie na drogę da wody,  
 „Która nieśmiertelnemi czyni rajske rody.  
 „Jeśli cię miłość dla mnie w zadunajskie Raję  
 „Zawiedzie, i powróci ztamtąd w ziemskie kraje,  
 „Możesz potem bezpiecznie się zanurzyć w wody  
 „Morskie. Będą cię witać jak brata narody  
 „Ryb, i nic tobie złego się w morzu nie stanie.  
 „Lecz na to trzeba, chłopcze, aby twe kochanie  
 „Tak silném było, jak jest silną Rajska krata,  
 „A tak bystrém było, jak jest bystrą skrzydlata  
 „Myśl“.

Tak Zabawa głośną mową zawołała.  
 Przyплыw morski do miejsca, gdzie dziewica stała,  
 Właśnie w tej chwili, mrużąc, powoli dochodził,  
 I małe, białe stopy panny morskiej chłodził.  
 Ona, jakby wiewiórka, zręcznie się schyliła,  
 I palce prawej ręki w morzu umoczyła;  
 Potem się sprostowała i wodą chlusnęła  
 W twarz Kupale; a przytém pocichu mruknęła  
 Zakłęcie niezrozumiałe. I w tej właśnie chwili  
 Zamiast Kupały, czarny ptaszek u stóp kwili  
 Królewnej, i Kupało w jaskółkę zmieniony  
 Siadł na piasku skrzydlaty, mały, opierzony!

Zabawa zawołała: „Lećże teraz w drogę!  
 „Więcej, jak uczyniłam, uczynić nie mogę  
 „Dla ciebie. Raj tam leży na zachodu stronie,  
 „A w Raju siedzi ojciec twój, Krakus, na tronie.  
 „Tam płynie woda dobra, która żywot daje!  
 „Lećże, Kupało, szukaj błękitne Dunaje!  
 „A gdy potem na ziemię ludzi żywych wrócisz,

„I to pierze jaskółcze napowrót porzucisz,  
 „Wtedy po mnie pojedziesz, jak po żonę w swaty,  
 „A przyjmą cię gościnnie wodne morskie świąty,  
 „I nie utopią tak, jak zwykle topić ludzi,  
 „Których na lądzie suchym zorza ranna budzi  
 „Do powszedniego trudu“.

Gdy te rzekła słowa,  
 Nazad w morze skoczyła córka morza płowa.  
 Jak kamień w morzu znikła.

I rady nie było!  
 Choćby się o czém inném jak Kupale śniło,  
 Jedna się tylko teraz przed nim ścieli droga.  
 Trzeba lecieć na zachód w kraje Białoboga!  
 I ptaszek długo leciał przez lądy i morza,  
 Nad góry poszarpane, i żyzne podgórze,  
 Przez wielkie rzeki spławne i leśne strumienie,  
 I przez stopy ogromne, kędy w bujnym sienie  
 Stada bydła się pasą ukryte po rogi,  
 A jeździec w trawie dużej skryty, zmyli wrogi  
 Swoje, choćby jak czujne; i przez miasta ludne,  
 Ponad puszcze samotne i jeziora cudne,  
 Patrzące w niebo okiem błękitnym kochanka,  
 Leciał Kupalo tak od wieczora do ranka,  
 I potem całe rano, do południa prawie,  
 Aż spojrział, lecąc, z góry na dusze, co w nawie  
 Rachmana płyną, piszcząc, przez krwawe Dunaje,  
 By zajechać w kraj, w którym Krakus prawa daje.  
 I przeleciał Kupalo przez Dunaje krwawe  
 I Latyr górę, kędy pną się mary łzawe  
 Do Raju, do mgły białej podobne; do kraty  
 Doleciał czarnéj, która oba dzieli świąty:

Żywy świat i umarły. Tu stała na straży  
 Pani Zmora. I nikt się z żywych nie odważy  
 Przejść przez tę kratę. Tylko przeźrocyste mary  
 Przez tę kratę przechodzą, jakby jakiś szary  
 Dym.

Przecież dla jaskółki nie zamknięta droga  
 W zielone gaje rajske, w sady Białoboga.  
 Mały ptaszek przez kratę mknął niepostrzeżony,  
 I za życia już zajrzał w zagrobowe strony,  
 W kraje pośmiertne, kędy ponad świętą wodą  
 Dunaju błękitnego swoje tany wiodą  
 Jaskółki niezliczone; z niemi to pospołu,  
 Długo ponad Dunajem świętym, latał wkoło  
 Kupało, i maczał swych długich skrzydeł końce  
 W wodę Dunaju. Rajske mu świeciło słońce,  
 I woda rajska jego loty pokrzepiała.

Wypoczęty odleciał; i ptaszyna mała,  
 Czarna i długoskrzydła, która przez dwa światy  
 Przeleciała, usiadła na oknie komnaty,  
 W której Krok siedzi z żoną, i gości wesolo,  
 Bohaterów i niewiast cnych biesiadne koło.

Okno było otwarte; a w dużej komnacie  
 Krakus na ławie siedział, i w królewskiej szacie  
 Zjadał mięso łabędzie; na głowie korona  
 Jaśniała, kamieniami drogiemi sadzona;  
 Na ciele była zbroja, w której blask korony  
 Złotej się odzwierciedlał; na plecach czerwony  
 Płaszcz zwisał; a z ramion obu skrzydła wyrastały  
 Orle; na piersi Kroka błyszczał orzeł biały,  
 Na krwawém polu z wielką sztuką wykowany.

Gdy na twarz Kroka spojrzysz, pomiędzy młodziany  
 Możebyś křóla liczył, jednak włosy białe  
 Świadczą, jak cierpiał przez swe ziemskie życie całe.

Przy boku Krakusowym tuż Dodola siadła,  
 Pani piękna Raju, i kołacze jadła  
 Na miodzie upieczone. Wszyscy patrzą na nią,  
 I wszyscy w szczęsnym Raju nad wyraz tę panią  
 Kochają. Ona wszystkich wita uśmięchnięta;  
 A kędy spojrzy tylko, tam powstaje święta  
 Radość.

Jaskółka koło Dodoli usiadła,  
 Na placuszku, na który właśnie ręce kładła  
 Swoje białe. Dodola spyta zadziwiona:  
 „Jakaż ptaszyna śmiała? Jakże niespłoszona  
 „Aż tu koło mnie siadła? I nie ulatuje,  
 „Choć swemi pióreczkami moje ręce czuje  
 „Prawie?“

Na to Wierzbięta, co przy stole siedzi,  
 I tak przeszłe, jak przyszłe rzeczy pilnie śledzi,  
 Znaki poznał niebieskie, ptaków loty bada,  
 Słyszcy, jak trawa rośnie i z zwierzęty gada;  
 W takie przymówił słowa: „To ptak z żywych kraju,  
 „Aż tu do nas przyleciał po wodę z Dunaju  
 „Życiodajnego. Ten ptak to człowiek zmieniony  
 „W ptaka; z wielkimi prośby w te tu przybył strony.  
 „I więcej powiem jeszcze. Nie obcy królowi  
 „Ptak. Gdy Dodola zechce, o ptaku się dowie  
 „Łatwo więcej; niech weźmie w ręce szklanę wody,  
 „I niech nią ptaka skropi, a królewicz młody  
 „Zamiast ptaka tu stanie“.

Tak mówił Wierzbęta.

Rzecz, którą mówił, wszystkim zda się niepojęta,  
Do wiary niepodobna. Szeptali dworzanie,  
Że Wierzbęta tak stary, iż już jego zdanie  
Dawną traci powagę. Jednak Rajska pani  
Śnać nie tak myśli, jak jej szeptają poddani,  
Bo szklanke z wodą wzięła, w niej ręce maczała,  
I ptaka pokropiła.

Wnet gromada cała

Dworzan stała się świadkiem przepowiadanego  
Cudu. Ptak stał się w oczach młodzieńcem. Biegą  
Oczy dworzan po sobie, biegą po Kupale,  
Który przez okno ptaszkiem wleciał był w tę salę  
Biesiadną, lecąc z kraju żywych ludzi.

Młodzian

Ozdobnie w królewicza ziemskiego przyodzian  
Szaty, zwinnie ze stołu na ziemię zeskoczy,  
I przed królem, swym ojcem, skromnie spuści oczy,  
Dwornie Dodoli, Rajskiej pani, się ukloni  
I o słowo poprosi grzecznym ruchem dłoni.

Krok, który na czele dworzan swych zasiada,  
Głowę pochylit i tak zezwolit: „Niech gada!“

Wtedy Kupalo młody przystojnemi słowy  
Zaczął rozwodzić swoje nieklamane mowy.  
Mówił, jako jest synem Kołedy i Kroka,  
Jak jego długo ciemność chowała obłoka  
Wielkiego; jak się obłok nad morzem unosił;  
Jak go na Wideń złożył. Potem dalej głosił  
Wzruszonemi już słowy, jak mu się zjawiała

Owa królewna morska, co łabędziem była,  
 Jakie cuda sprawiła i jak jemu dała  
 Cudownie postać ptaka i w Raję wysłała.  
 Wreszcie o wodę świętą, życiodajną prosi,  
 I o czar, który nazad w kraj żywych unosi  
 Tych, co w Raję przybyli.

#### Zdziwieni dworzanie

Słyszą to bohaterskie młodzieńca zeznanie.  
 Krok ucieszony powstał i uściskał syna,  
 Co sobie tak odważnie w dwu światach poczyną.  
 Wszyscy bohaterowie z miejsc swoich powstali,  
 I wszyscy po kolei Kupalę ściskali.  
 Wreszcie Czuryło podał rajskiego napoju,  
 Podał wody żywota ze świętego źródła,  
 Którego gryfy strzegą; a Dodola kładła  
 Poprzed Kupalę misy złote, pełne jądła  
 Nieśmiertelnego.

#### Byli, którzy namawiali

Kupalę, by już zawsze w tej biesiadnej sali  
 Bawił z bohaterami wśród Raju pięknego,  
 Którego kraty czarne, niebotyczne strzegą  
 Dokoła. Ale cudne Zabawy widziadło  
 Dotąd w duszy Kupalę nie znikło, nie zbladło!

„Na nic“, rzekł, „dla mnie wszystkie te rajskie rozkosze!  
 „O powrót w kraje żywych i błagam i proszę!  
 „I o to proszę, abym mógł trafić do morza,  
 „I nieutonąć pośród słonego przestworza!  
 „I o to proszę, abym mógł z wód morskich toni  
 „Wyprowadzić Zabawę. Serce za nią goni  
 „Nieustannie. Nie spocznę, jak jęj nie posiędę;

„I tutaj pośród Raju nieszczęśliwym będę,  
„Jak nie będę jej mężem“.

Słyszycie to drużyna  
Krakusowa; Kupale tłumaczyć zaczyna  
Głośno, że nie powinien powracać na ziemię,  
Pomiędzy grzesznych ludzi niespokojne plemię;  
Że tam jego zgniecie jarzmo Popielowe.

Jeden tylko odmienną wcale głosił mowę  
Wróźbiarz, co wszystko w księgach wyczytał, Wierzbęta,  
Który przyszłość zgaduje, a przeszłość pamięta.  
Ten wypowiedział swoje nieodmienne zdanie,  
Że gdy Kupalo wróci, dobra rzecz się stanie  
Dla ludzi ziemskich, i że to dla synów Kroka  
Jest obowiązkiem walczyć z Popielem. Proroka  
Zdanie i prośby ciągle młodzieńca, Kupaly,  
Wreszcie sprawę u Kroka ze wszystkim wygrały.

Czuryło znowu powstał i lał do puharu  
Napój szklisty i pełen nieziemskiego czaru,  
Który sama Dodola ninie zgotowała.  
A gdy już aż po brzegi była czara cała,  
Pełna napoju, podał Kupale Czuryło  
Czarę i to, co w czarze się złotem iskrzyło.

Kupalo ujął czarę w swoje męskie dłonie,  
I patrzył w głąb na napój, co w niej ogniem płonie,  
I co się tam poza szkłem gdzieś w puharu głębi  
Roi od światel żywych i perłami kłębi;  
Zanim puhar wychylił słuchał jeszcze mowy,  
W której Krakus mu radził ojcowskiemi słowy,  
Co ma począć na ziemi, skoro w tamte strony

Pójdzie pomiędzy ludzi, do życia wrócony.  
 Wszystko Kupało słyszał: nareszcie z puharu  
 Kryształowego wypił moc rajskiego czaru.  
 I zaraz uczuł, że nań kojący sen siada,  
 Co namiętność odgania, a myśli układa  
 W łóżko spokojne.

\*            \*            \*

Kiedy się Kupało zbudził,  
 Pomyślał zrazu, że go jakiś czart uludził;  
 Nie wiedział bowiem wcale, w jakiej świata stronie  
 Jaśniej owa zorza, która nad nim płonie  
 I nad wielką, zieloną, wśród puszczy polaną,  
 Drzewom, ptaszkom i trawie jasne niecąc rano.  
 Słońce jeszcze nie wstało, aie jak na dłoni  
 Wszystko już widać było. Wśród zielonych błoni  
 Rosło tam cztery dębów, co już popękały,  
 I w ziele, jakby króle nad kamieniem stały  
 Wielkim.

Skoro Kupało obejrzał te strony,  
 Wszystko już rozumiał przez ojca pouczony.  
 Powstał; a na nim świetna zbroja zajaśniała,  
 Jakby słońce, ze złota wykowana cała;  
 I blask zorzy tak się w niej odbija i mnoży,  
 Że patrząc na nią myślisz, iż jasny świt boży  
 Oglądasz. Dwa ogromne orle skrzydła stały  
 U pleców zbroi, i tak od złota jaśniały,  
 Że trudno na te skrzydła było patrzeć okiem.  
 A jako słońce płonie na niebie wysokiem,  
 Tak zapłonęła tarcza krągła, zawieszona



Na ramieniu Kupały. Aż zorza czerwona  
Zbladła i zgasła, kiedy jasność powitała,  
Która razem z Kupałą z murawy powstała.

Kupało wiedział, że tu ostatnie są krańce  
Wschodu, kędy niebieskie światła swe kagańce  
Płomienne zapalają, zanim się wybiorą  
W codzienną swoją drogę. Teraz ranną porą,  
Zaraz za borem słońce swój ogień niecilo  
Ogromny. Szedł Kupało między dęby; siłą  
Całą uchwycił kamień i głaz ten odwalił.  
A kiedy to uczynił, świt właśnie zapalił  
Wschód szlakiem złotym. Złoto owo zwiastowało,  
Że słońce już w bramę swych zamków zajechało.

Kamień odwalony padł z hurkotem i głośno  
Pomiędzy cztery dęby stare, które rosną  
Od wieków wśród polany. Jama się rozwarła  
Pod kamieniem. Lecz jamę poniżej zaparła  
Już odrazu zapora. Drzwi żelazne były  
Ponad jamą zamknięte.

Daremnie swe siły  
Wyteżył Kupało, i daremnie wymierzy  
Mieczem jasnym wielki cios w podwoje. Uderzy  
W żelazo, ale ani na włos go nie ruszy;  
Owszem czuje, że brama raczej miecz mu skruszy,  
Nie on bramę.

Wtém głośno, w głębi, poza bramą  
Zarzało. Czego nie mógł wylamać, to samo  
Się teraz otworzyło, bo słysząc to rzenie,  
Pękły zamki i kłódki, łańcuchy, pierścienie,

Które przymocowały bramę ponad jamą.  
 Dalszych bram jedenaście poza pierwszą bramą  
 Pękło na odgłos rżenia. One wszystkie były  
 Z żelaza; wszystkie drogę dalszą zagroziły  
 W głąb jamy, z której rzenie głośnie wychodziło,  
 Co zamki roztworzyło wielką głosu siłą.

Schody z kamienia wiodły w głąb jamy. Szedł niemi  
 Kupało. Wreszcie poza drzwiami żelaznemi,  
 Które otworzyło to rzenie, znalazł stajnię  
 Żelazną. Wszedł Kupało w te najgłębsze tajnie  
 Jamy przepaśnej, i tu pośród tego grobu  
 Złotolitego konia zobaczył u żłobu  
 Żelaznego, przy owsie. Koń to był skrzydlaty.  
 Tu go Asarmot jeszcze zostawił przed laty,  
 Zanim Lechowi berło oddał nad Słowiany;  
 Przez wieki potem czekał koń ten uwiązany  
 Do żłobu na Kupały przyjście. I przy żłobie  
 Tak długo koń przebywał w tym żelaznym grobie,  
 Że nie tylko w słomę mu się zapadły nogi,  
 Że ciężarem ugiął moc żelaznej podłogi,  
 Że pod nim sama ziemia była przelamana,  
 I że się w ziemię zapadł po same kolana.

Gdy koń ten uczuł, że się już zbliża Kupało,  
 Z radości zarżał tak, że od rżenia zadrżało  
 We wnętrzu ziemi, i że radośna ochota  
 Konia, przed panem wszystkie otworzyła wrota  
 Żelazne.

Koń ukłonem Kupałę pozdrowił,  
 I takimi słowy doń po ludzku przymówił:  
 „Witajże mi mój miły, mój wróżony panie!

„Wreszcie spełnione długie me oczekiwanie.  
 „Wreszcie skrzydła roztworzę i wzbiję się w górę  
 „Z tobą, aby zakończyć Popiela ponure  
 „I łękie panowanie. Gdzieś w powietrzne tonie  
 „Z tobą, mój królewiczu, do zwycięstw pogonię!  
 „W każdej życia potrzebie i o każdej dobie,  
 „Tak w radości, jako też w smutku, będę tobie  
 „Posłuszny. Będę tobie służył duszą całą,  
 „I stanę się dla ciebie szczęściem, dobrem, chwałą.  
 „Kiedy mnie przed wiekami wśród koni wybrano,  
 „Wieszczka i Złotogrzywka otrzymałem miano;  
 „Bo postać mam piękną i od złota świecę,  
 „Gdy tak po niebie gonię, jakby błyskawice  
 „W burzę letnią; bo głos mam ludzki, i tak wróżę,  
 „Że lepiej panu radą, jak biegiem posłużę.  
 „Jam od wieków siodłany i czekam na ciebie.  
 „Siadajże panie mój, a po błękitnym niebie  
 „Jak ptaki polecimy. Ty mi wskażesz drogę;  
 „Choćby do zamków słońca, ja cię zanieść mogę“.

Tak to koń mówił złoty. Pan odwiązał konia,  
 I po schodach prowadził na zielone błonia.  
 Tu szepnął coś do ucha i na grzbiet mu skoczył.  
 Koń zarżał i swe skrzydła złociste roztoczył;  
 I wraz z jeźdźcem wyleciał na niebieskie błonie.  
 Kupało na Złotogrzywku wśród błękitów tonie,  
 I obaj w niebo lecą. Słońce zajaśniało  
 U bramy złotój wschodu, złocąc ziemię całą  
 Promieniami swojemi. Dzień był.

Wreszcie w morze

Padł Złotogrzywek z jeźdźcem, i przy dworze  
 Stał Czechowym. Skoro koło ganku stanie

Zamku bursztynowego, wybiegną dworzanie,  
 Aby się nań popatrzeć. Nigdy nie widzieli  
 Lśniącego tak rycérza wśród morskiej topieli;  
 I tym widokiem cudnym wszyscy się cieszyli.  
 Ze Złotogrzywka skoczył Kupało, i w chwili  
 Jednej zaszedł do zamku. Koń został na dworze  
 Przed bramą. Rycérz złoty skłonił się w pokorze  
 Przed królem Czechem i przed jego żoną Rosą,  
 Matką Zabawy, panią morza pięknowłosą.  
 Prędko w koło oczyma poszukał Zabawy.  
 Stała za rodzicami, a rumieniec krwawy  
 Okraślił jéj oblicze. Spuszczała swe oczy.  
 A był to dla Kupały nadwyraz uroczy  
 Widok, kiedy tak skromnie koło matki stała,  
 Jakby spłoszona srodze gołębica biała.

Rycérza powitano, jak się należało.  
 Nietracąc czasu, zwierzył swoją miłość stałą  
 Dla Zabawy, i prosił, aby mu wydano  
 Zabawę jako żonę. . .

Chwilę tylko staną  
 W zadumaniu rodzice, i spojrzą po sobie.  
 Widzą rycérza w takiej słonecznej ozdobie,  
 Że niełatwo dla córki mógł się lepszy zdarzyć  
 Mąż, i że niepodobna nawet o tém marzyć,  
 By bohater strojniejszy się zanurzył w morze,  
 I by się zięć świetniejszy na Czechowym dworze  
 Zjawił.

Przeto oczyma Czech Rosę zrozumiał,  
 Potém witał Kupałę tak grzecznie, jak umiał  
 Tylko. Prosił rycérza, aby siadł na ławie

Koralowej, i zanim dał odpowiedź w sprawie  
 Tak ważnej, o to tylko jedno się zapytał,  
 Czyjego syna w zamku swoim ninie witał?  
 A skoro raz usłyszał, że Kupało płowy  
 To przez Kolędę zrodzon syn jest Krakusowy,  
 Zwrócił się ku Zabawie i do niej powiada:  
 „Ja na swaty zezwalam i matka im rada.  
 „Przy tobie tedy, córko, teraz wolna wola.  
 „Jak dziś sobie pościelisz, taka będzie dola  
 „Twoja przez całe życie“.

#### Zabawa na razie

Nic nie odpowiedziała; ale po wyrazie  
 Twarzy widać wyraźnie, że ręki nie broni.  
 Tylko najpierw do stołu zaprosił pan toni  
 Wielkiej swojego gościa; przy sobie go sadza,  
 Karmi i poi. Potem cicho się naradza  
 Z Rosą i z Zabawą. Gdy powrócił z narady,  
 Rzekł, że do końca przywiódł już z córką układy,  
 I że ją da Kupale.

#### Młodzian ucieszony

Noc całą w puchu marzył o uściskach żony.  
 I niebawem sprawiono wśród morza wesele.  
 O tem, jak tam hulano, mógłbym prawić wiele.  
 Ale tak różne są tam te rybie zwyczaje,  
 Że do opisu uczyły wyrazów nie staje  
 Spiewakowi ziemskiemu. Ktoś sprawniejszy w mowie  
 Może kiedyś narodom te cuda opowie.  
 Ja tylko proszę, aby sobie wystawiano,  
 Jak wielkie wieloryby ponad morską pianą  
 Skakały na weselu, i jak czerepaki

I raki wyprawiały taniec wieloraki!  
Sam tego nie opowiem.

\* \* \*

### Za Czechową sprawą

Dworno jechał Kupało wraz z żoną Zabawą.  
Królownej orszak mnogi Rusalek dodano;  
Piękne morskie wozy na jej usługi staną,  
I konie morskie pędzą podwodne sztangrety.  
Ale choć morskich koni wielkie są zalety,  
Jeżeli którego z nich z rumakiem Kupały  
Porównasz, wyda ci się, że to płomyk mały,  
Co błądzi po cmentarzach, z księżycem się mierzy;  
Albo że cień człowieka z niedźwiedziem się bierze  
Za bary, i rękami z powietrza tkanemi  
Chce króla lasów mocą przydusić do ziemi.

Skoro orszak weselny wyjechał na ziemię,  
Którą pługiem żelaznym orze ludzkie plemię,  
Za namową Zabawy swe zwrócili kroki  
Nie ku wyspie Kolędy, tylko w ląd głęboki,  
Ku Kruszwicy, gdzie wdowa Krakusowa, Żywa,  
Niegdyś królowa Polski, wraz z synem przybywa  
W chacie kmieciój, pod strzechą; bo tutaj Zabawa  
Piastowi na cudowną pomoc dzięki dawa;  
Gdyż nieby ona sama uczynić nie mogła,  
Choć była córą Czecha, gdyby nie pomogła  
Jej życzliwość Rzepychy i potęga Piasta.  
W te zatem siola ciche prowadzi niewiasta  
Najsamprzód słonecznego męża. A on słyszy,  
Że tam brat jego, drugi syn Krakusa dyszy

Na roli czarnej, i że jemu dopomoże,  
 Kiedy zawrą na ziemi wielkie boje Boże,  
 Między synami światła i synami nocy.  
 Rad do Kruszwicy śpieszy, bo pragnie pomocy  
 I miłości braterskiej.

Córka Czecha hoża,  
 Pełna wdzięków Rusalka i królewna morza  
 Szumiącego, Zabawa dziwnie męża droczy  
 Po drodze; czasem w niego wlepi swoje oczy,  
 Jakby dla niej na świecie więcej nic nie było;  
 Jakby tam tylko słońce dzienne jęj świeciło,  
 Gdzie jest Kupało. Wtedy pochyliwszy głowę  
 Ku niemu, długą, słodką prowadzi rozmowę,  
 I dłoń swą białą kładzie mu do silnej dłoni,  
 Budząc u niego w piersi wszystkie dreszcze toni  
 Morskiej. Wtedy Kupało czuciem rozszalały,  
 Jak strzecha w czas pożaru, ogniem płonie cały;  
 Ogień do twarzy bije, i ku licu żony  
 Się schyli, pocałunków nad życie spragniony.  
 A ona swe brwi zmarszczy, i dłoń mu odbierze,  
 I lodem jakimś skryje swe jagody świeże,  
 I takie słowo powie, że Kupały serce  
 Się ściąga jak liść suchy, i że w poniewierce  
 Jakiéjs Kupało wzdrygnie się jak ukąszony  
 Wzgardą i nienawiścią swojej morskiej żony.  
 A przecież mąż nie wierzy, pewny, że wspomina  
 Prawdę, jak go kochała zalotna dziewczyna,  
 Jak mu się objawiała, i jak go wabiła  
 Sama; tak jak żelazo ciągnie tajna siła  
 Magnesu, tak go trzyma Zabawa przy sobie;  
 Kiedy doń mówi, żyje, — gdy milczy, on w grobie.  
 Przeto jęj nie opuszcza i bawi wytrwale

Przy niej; i w swoim ślepym, zakochanym szale  
 Myśli, że od niej okiem wyżebrze spojrzenie;  
 Lecz ona milczy; znać, że wzięła w swoim wienie  
 Serce z morskich koralu, tak twarde, jak one.

Wreszcie Kupało gwałtem myśli zrozpaczone  
 W inną obraca stronę, i od żony boku  
 Odchodzi z bolem w sercu i łzą dużą w oku.  
 Milcząc na Złotogrzywku swym jedzie po szlaku,  
 Jak rycerz jakiś smutny w królewniej orszaku  
 Weselnym. Gdy tak milcząc, chwilę zapomina  
 Boleść, jak słowik morska go woła dziewczyna  
 Do siebie; i Kupało pędzi między zgraje  
 Dworzan i niecierpliwie koło lubiej staje,  
 Aby ujrzeć jej oko, by słyszyć jej mowę.  
 Ale ona od niego odwróciła głowę.  
 On długo czekać musi, aż znowu doń zwróci  
 Swoją twarz. Wreszcie ręką warkocz długi rzuci  
 Zabawa w tył, ku niemu swą obróci głowę;  
 A teraz przerażenie mu odejmie mowę.  
 Jak niegdyś w Widniu morska dziewczka z nim igrała,  
 Tak teraz z nim poigrać jeszcze dalej chciała.  
 Choć sama go wołała, zamiast własnej twarzy,  
 Widokiem strasznym trupięj głowy jego darzy;  
 Przestach szle mu do serca, i śmiechem go wita.  
 Potem twarz swą odsłoni zalotna kobieta  
 Na chwilę, cudnie piękną. Potem mocą czaru  
 Znika i głos jej tylko pośród głosów gwaru  
 Słyszy w dali Kupało, wśród dworzan orszaku,  
 Co się z weselem toczy po szerokim szlaku.

Tak go męczy Zabawa. Wreszcie przez dzień cały  
 Zabawy piękne oczy męża nie widziały;



Wtedy jęj było smutno, i jęj się wydało,  
 Że kochanek niestały swoją żonę stałą  
 Opuścił. I w jęj sercu było teraz tkliwie,  
 I pomyślała sobie, że niesprawiedliwie  
 Ją niewinniątko karzą. Gdy z powozu wstała  
 Wieczorem, kilkakrotnie głośno zawołała  
 Imię Kupały. Darmo! Nic nie odpowiada!  
 Przeżazona Zabawa przez swych dworzan bada  
 Orszak cały i drogę, po której się toczy.  
 Sama prawie wypatrzy swoje duże oczy,  
 By odnaleść Kupałę. Darmo! Ani znaku  
 Niema Kupały na tym zapylonym szlaku.

Wreszcie dworzan na dalsze już drogi wysęła,  
 Chcąc usłyszeć koniecznie gdzie jęj zguba była?  
 Na każde pole weszli, do każdego sadu,  
 W chatę i w gaj każdy. A darmo! Niema śladu  
 Nigdzie Kupały. Wszędzie słyhać przeciągle wołania,  
 I chociaż noc już ziemię ciemnością obsłania,  
 I chociaż księżyc nowy za lekką zastoną  
 Chmur wieczornych zapłonał nad zachodnią stroną  
 Nieba, zawsze dworzanie po nocy Kupałę  
 Wołają. Przeszukali dawno pole całe  
 Okoliczne, i coraz dalej się rozchodzą,  
 I w nocy coraz głuchszem wołaniem zawodzą,  
 Aby znaleźć Kupałę. Każde odpowiada  
 Wzgórze na ich wołanie, i gaj każdy gada  
 O Kupałę; i stare grusze obudzone  
 To echo odsęłają nazad w dworzan stronę.

Sama Zabawa wreszcie obóz opuściła  
 I namiot swój sypialny; na łąkę, gdzie miła  
 Woń siana skoszonego się rozległa, schodzi

I tutaj z żalem, pośród kopic, w głos wywodzi  
 Imię Kupały. Darmo! Z pobliskiego pola  
 Przypiórka odpowiada. Tam już żytem rola  
 Obrosła wysokiem, tam się już wysypały  
 Kłosy. Ale nie było tam nigdzie Kupały!

Wreszcie smutna Zabawa pod kopią siadła,  
 I swoją głowę w siano do ciężkiego kładła  
 Snu. Przy uchu brzęczały wielkie, czarne chrząszczy,  
 Które wleciały były ciężko z żytniej gąszczy.  
 Sen przyszedł i Zabawa o tém zapomniała,  
 Że bez męża i dworzan na polu została  
 Sama i opuszczona.

Ale cóż się stało,  
 Że tak przed okiem dworzan znikł nagle Kupało?  
 Sprzykrzyły się zaloty i zniecierpliwiony  
 Kiwnął smutnie ręką, — w bór odjechał zielony,  
 I łukiem z konia swego strzelał ptaki leśne.  
 Tak go zniecierpliwily te żarty niewczesne  
 Zabawy, że zapomnieć o niej chciał wśród boru.  
 Goniąc ptactwo, doczekał się w lesie wieczoru;  
 A kiedy chciał powrócić do swego orszaku,  
 Nie mógł już w kniei drogi odnaleźć do szlaku  
 Bitego.

Raptem ujrzał jak pomiędzy drzewa  
 Wsadzony sztandar złoty Welindy powiewa,  
 I gwar łowczej drużyny usłyszał w oddali.  
 Wnet się domyślił, że tu w lesie popasali  
 Strzelcy królowej. W głosów tych pojechał stronę,  
 I niebawem się dostał w łąki otoczone  
 Zewsząd puszcza. Tam obóz stał Polskiej królowej.

Pośrodku dumnie sterczał namiot atlasowy  
Pani.

Gdyby chciał, tutaj na wołnej przestrzeni,  
Mógł konia tak pocisnąć, aby pośród cieni  
Wieczoru skrzydła rozwarł i wzleciał do góry  
Podobny do czerwonej u zachodu chmury.  
Tak Kupało mógł łatwo wrócić do Zabawy;  
Ale wspomniał wyraźnie kochanki żart krwawy  
Każdy; nie przestał kochać; ale w sercu tlało  
Coś, co kochankę zmienną srodze karać chciało.

Kupało jechał tedy pod namiot królowej,  
I odźwiernego pytał uprzejmymi słowy,  
Czy on syn Krakusowy w złocistej zbroicy  
Może mieć dostęp ninie do pańskiej świetlicy?

Odźwierny zadziwiony patrzył w jeźdźca zbroję  
I konia skrzydlatego, który skrzydła swoje  
Otworzył jak dwie łuny, jakby dwa obłoki  
Krwawe, co kraszą, wieczór, nieba sklep wysoki.  
Odźwierny rycarzowi nisko się pokłonił,  
Potem kotarę ciężką namiotu odsłonił,  
I weszedł do królowej, by poselstwo sprawić.

Welinda w tym lesie zwykła się łowami bawić;  
Tutaj namioty swoje nieraz roztaczała;  
Teraz przy stole ze swą drużyną siedziała,  
Jedząc wieczerzę. W lekki rynsztunek odziana  
Piękną była. Dokoła atlasowa ściana  
Namiotu cała była w futra ustrojona  
I w rogi zwierząt różnych. Zwierciadła złożona  
Oprawa przy królowej leżała na stole.

Zanim o czém królowa objawiła wolę  
 Swoją, zawsze zwierciadła tego się radziła,  
 Bo w tém zwierciadle mądrość Popielowa tkwiła  
 Cała, i Popiel w darze Welindzie zwierciadło  
 Dał. Ilekroć trudnego coś pani wypadło  
 Rozwiązać, do zwierciadła cudnego spojrziała,  
 I niezmiennie powierzchnia zwierciadłana biała  
 I drżąca poradziła, co się należało.  
 To też zwierciadło przy niej nieodmiennie stało.

Kiedy odźwierny teraz pani opowiedział  
 O tym rycérzu złotym, co na koniu siedział  
 Skrzydlatym, przed namiotem, i co żądał tego,  
 Aby go puszczo do stołu książęcego;  
 Królowa najpierw o to się sługi spytała,  
 Czy rycérz imię swoje wymówił? I cała  
 Drużyna koło stołu z dziwu aż pobladła,  
 Gdy usłyszała, jaka odpowiedź wypadła.  
 I to dość dziwnem było, że żyje syn Kroka,  
 Że na koniu skrzydlatym gdzieś zleciał z wysoka  
 W te polskie puszcze, i że śnać jest w wielkiej mocy,  
 Kiedy jak łuna jaka świeci pośród nocy;  
 Ale to się dziwniejszém wydało o wiele,  
 Że przed namiot Welindy zajężdża tak śmieie,  
 Że się nie lęka wroga, co na ojca grobie  
 I nad trupem narodu tron postawił sobie?  
 Welinda już od dawna losy Kroka znała,  
 I o synach jego od Popiela słyszała;  
 Wiedziała, jak groźnymi byli dla jój rządu,  
 I ten znienawidziła ród bardziej od trądu  
 I powietrza. Przeto wieść jój tak niezdziwiła,  
 I tylko do zwierciadła swego popatrzyła

Po radę. Potem głowę do góry podniosła  
I po Kupalę nazad wyprawiła posła.

Wnet rycerz w złotej zbroi wśród namiotu staje,  
I królowej Welindzie korny pokłon daje;  
Potem rzecze: „Jam synem jest twojego wroga.  
„Winienem walczyć wiecznie z mocą Czarnoboga.  
„Od ojca otrzymałem mego w Raju dary,  
„Którymi mógłbym zwalczyć wszystkie twoje czary.  
„Przecież postanowiłem zostać twoim sługą.  
„Dlaczego postanowił, ty nie pytaj długo!  
„Postanowiłem. Ale dobrej płacy żądam.  
„Raz pierwszy dzisiaj, pani, piękność twą oglądam,  
„Ale inni słyszeli i jam słyszał wiele,  
„Że jest u ciebie dusza harda w pięknym ciele.  
„I chcę, by się na świecie głośno nazywało,  
„Żem jak szaleniec jaki ukochał twe ciało.  
„Nie trzeba by mówiono żeśmy się kochali  
„Wzajemnie; moja miłość już kogoś rozżali  
„Dość. Ty nie pytaj, pani krajów Polskich, kogo?  
„Chcę spróbować, co wzgarda i co zazdrość mogą?  
„Ja przez dziewczki niestałość już dosyć cierpiałem.  
„Niechże teraz usłyszysz, że się twoim stałem  
„Sługa!

Tak to Kupalę mówił. A słuchała  
Go Welinda. Słuchając, dziwnie się zaśmiała  
Ustami, a nie głosem. I tak mu odrzekła:  
„Widzę. Jakaś kochanka przed tobą uciekła.  
„Tobie żal i dlatego chcesz teraz uchodzić  
„Za mojego kochankę, by w niej zazdrość rodzić  
„Zieloną. Bardzo piękne te twoje zamiary.  
„Będziesz udawał, że mnie kochasz; ale wiary

„Dochowasz twojej pani. Bardzo jest to ładnie,  
 „I dla mnie to, Kupało, dziś wypadło składnie.  
 „Niechże się ziści twoja wola! Ale za to,  
 „Że zniosę udawaną miłość, niech zapłatą  
 „Mnie będzie pocałunek! Wszakżeż jam na twarzy  
 „Gładka? Gdy pocałujesz, niewielkie się zdarzy  
 „Tobie nieszczęście? A to już początkiem będzie  
 „Udawania, i zazdrość okropna usiędzie  
 „Na piersi twój bogdanki, gdy jej słuch doleci,  
 „Żeś mnie pocałował“.

Mówiąc, ogień nieci  
 W oczach swoich Welinda. Niedługo się silił  
 Z sobą Kupało; na złość Zabawie pochylił  
 Postać swoją, i całus na usta położył  
 Welindy.

Oby nigdy nie był chwili dożył  
 Zdradnej! Bo mocą czarów to się teraz stało,  
 Że wnet po pocałunku tym jelenia ciało  
 Przyoblókł rogatego. Padł na cztery nogi,  
 Zaryczał i z namiotu uciekł pełen trwogi,  
 A styłu za nim dumnie Welinda się śmiała,  
 Że niegdyś ojca, syna dziś w sidła złapała.  
 Do dworzan przymówiła: „Popiel mnie pochwali“.  
 A dworzanie słuchając, oburącz klaskali.

Złotogrywek przed drzwiami pozostał na dworze;  
 Czeka i ziemię miękką swem kopytem porze.  
 Czeka na pana swego. Lecz się nie spodziéwa  
 Znów powitać rycérza, który złoto wdziewa  
 Na barki swoje zamiast żelaza. On o tém

Wie, co się stanie, i tu czeka przed namiotem  
Na jelenia. Jeleń już wypadł.

Koń skrzydlaty,

Koń wróżbiarz poznał pana i pod temi szaty  
Zaczarowanými. I już nie końskiem rżeniem  
Go witał, tylko mądrém, ludzkim przymówieniem,  
I tak rzekł do jelenia: „Ja tobie poradzę;  
„Ja Wieszczyk Złotogrzywek z lasu wyprowadzę!  
„Chodź za mną! Wiem, gdzie siedzi pani zapłakana;  
„Na łące i pod sianem czeka swego pana.  
„Daremnie już nieszczęsna swawoli żałuje;  
„Więcej już zalotnością życia nie zatruje  
„Twego“.

Rzekł Złotogrzywek i nie tracąc czasu,  
Wieszczyk duchem wiedziony, biegł prosto do lasu;  
A za nim biegł pan jego w jelenia zmieniony.  
Obaj prosto biegli do opuszczonej żony.  
Las minęli, zaszli w uprawiane pola.  
Wreszcie stanęli tam, gdzie żytem kwitnie rola,  
W pobliżu sianożęci. Tam Zabawa błada  
Spała sama wśród nocy.

Tu znowu powiada

Złotogrzywek do pana, co stał się z postaci  
Podobnym do jelenia: „Pójdę do twych braci;  
„Pójdę do chaty Piasta; gdy się z nim poradzę,  
„Na wszystko sposób znajdę. A ty na uwadze  
„Miej tutaj swoją żonę! Sama, opuszczona  
„Jeśli się zbudzi, może z przerażenia skona.  
„Bądź tu przy niej; zanadto już ją ukarałeś;  
„A sam za własne winy jeleniem się stałeś

„Niemym. Nie możesz żony twój pocieszyć słowy;  
 „Ale kto kocha, może i bez ludzkiej mowy  
 „Wzrokiem myśl swą wyrazić. Zasłuż na kochanie,  
 „I wzrokiem ją pocieszaj, kiedy z siana wstanie!

Gdy skończył Złotogrzywek, skrzydła swe roztworzył  
 I uleciał. Jeleń przy pani się położył  
 Spiącój. Powrócił do niej srodze ukarany.  
 Czekał długo. Nareszcie poranek świetlany  
 Dienne ptactwo obudził. Zanim słońce wstało,  
 Ptactwo tysiącem głosów chorał zaśpiewało  
 Poranny. Przebudzona Zabawa przez śpiewy  
 Ptaków i przez porannych wietrzyków powiewy,  
 Podniosła głowę; wkoło spojrziała; nieznane  
 Miejsce zobaczyła: tu siano układane  
 W kopice woniejące, a tam żytnie łany;  
 A wreszcie gaik, gąszczą zrosły, zaludniany  
 Przez tysiące śpiewaków. Zaraz przeszłość cała  
 Opuszczonej pośród tych pól się przypomniała;  
 Wiedziała, że zbłąkana i że pogardzona;  
 Pomyślała, że może tutaj sama skona,  
 Rozszarpana przez dzikie zwierzęta; i z trwogi  
 Z tętniącem silnie sercem skoczyła na nogi  
 Równe i w głos krzyknęła.

Na to zawołanie,  
 Wielki, bury, rogaty jeleń przed nią stanie.  
 Najpierw myślała, że to śmierć już za nią goni,  
 I złożywszy swe ręce uklękła wśród błoni  
 Zielonych do modlitwy, by błagać jelenia,  
 Aby swemi rogami nie przydał cierpienia  
 Już i tak nieszczęśliwój. Ale gdy spojrziała,  
 Klęcząc, w oczy jelenia, pośród których drżała



Łza duża, jakoś nazad wstąpiła otucha;  
 Wstała z kolan, bo jakiś litośnego ducha  
 I ludzkiego ducha ślad wyszedł na oblicze  
 Jelenia. Ośmielona ku niemu dziewicze  
 Ramiona wyciągnęła. On ją lizał w ręce,  
 I zwierzę to łaskawe pierwsze w srogięj męce  
 Przyniosło jej pociechę. Głośno zapłakała  
 I własna jej łza drugą pociechą się stała  
 Dla niej. Obejmując kark zwierza ramiony,  
 W wielkie oko jelenia wzrok swój załzawiony  
 Utkwiła, jakby pytać jego o coś chciała.  
 Z jeleniem się pieściła, głośno wspominała  
 Imię Kupaly; własne, bezrozumne winy,  
 I słusznie ukarany grzech płochęj dziewczyny.

Pośród tęg dziwnęj z niemém zwierzęciem rozmowy,  
 Zaszła powoli w bujny, wonny łąn zbożowy,  
 W którym przypiórka mieszka, a rosna bławaty,  
 Maki, kłkol i setne inne polne kwiaty.  
 Tutaj w zbożu na ziemi Zabawa usiadła  
 A jelen przy niej ukląkl. Ona ręce kładła  
 Swoje białe na szyję wspaniałego zwierza;  
 A jelen wzrokiem swoim z czegoś jej się zwierza,  
 Co na pół zrozumiała, bo pozbawion mowy,  
 Nie mógł wyrażnięj rzeczy opisywać słowy.

Wtém jelen wstał i ryknął, bo ujrzal u góry  
 Złotogrzywka, co leciał podobny do chmury  
 Ognistęj przez dniejące niebo; i spojrzala  
 Za jeleniem do góry, gdzie chmura jaśniała  
 Złota; z radości wielkięj drzala; jej się zdało,  
 Że to na koniu swoim powracał Kupalo.  
 A to tylko Kupaly wierzchowiec skrzydlaty

Powracał na te błonia z Kruszwicy i z chaty  
Piasta, i ztamtąd Piasta samego przynosił.

W nocy Piasta obudził i o pomoc prosił  
Koń wieszcy. — Piast zbudzony wyskoczył na konia,  
I bratu swemu w pomoc pośpieszył na błonia  
Wiosenne. Teraz z koniem stanął ponad głową  
Zabawy; a u wschodu słońce swoją płową  
Jasnością rozświecało już niebieskie wrota,  
I na sklep szafirowy biegła ciżba złota  
Światłonoszych promieni.

Piast wymówił słowo

Dla ludzi niepojętą, czarodziejską mową,  
I ręką otworzoną rzucił równocześnie  
Garść jęczmienia i grochu zebranego wcześniej  
Na wiosnę. I czar wielki się spełnił od razu  
Na mocy tego ruchu i tego wyrazu  
Zaklinającego. Wnet na dole się zmienia  
Wszystko. Kupało stracił postawę jelenia  
I stał się znowu złotym rycerzem; i lita  
Zbroja słońce wschodzące równym prawie wita  
Blaskiem. Kupało wita konia, co już staje  
Przy nim na ziemi; brata raz pierwszy poznaje,  
I zbawczym czynem Piasta wielce rozczulony  
Sciska go i całuje, i na miłość żony  
Odnalezionój ninie wdzięczność mu przyrzéka  
Wieczną.

Ale Zabawa straciła człowieka

Postać. Czar mocny spełnił od razu dwie zmiany:  
Z jelenia stał się rycerz: z Zabawy schowany  
Pośród długich dźbeł żytnich tęskny kwiat bławatu,

Co między zbożem szyję wyciąga ku światu  
 Długą, do światła biegnąc, tém zniecierpliwiony,  
 Że go zasłania długie żyto, z każdej strony  
 Cień czyniąc. Światło kwiatem swym łakomie chwyta;  
 Żyto mu przeszkadza; nie może żyć bez żyta.  
 Biedna Zabawa widząc postać swego męża,  
 Chciałaby mówić, ale darmo się natęży,  
 Na błękitnych płatkach zamiera jęć słowo;  
 Mogłaby mówić, ale tylko kwiatów mową.

Kupało, u którego wschód słońca ozłaca  
 Cudownie jasną zbroję, teraz się obraca  
 Ku miejscu, kędy stała przed chwilą Zabawa,  
 Przed nim faluje tylko wielka srebrna ława  
 Żyta, co dojrzewa już. Żony niema znaku;  
 Tylko pełno bławatów, kąkolu i maku  
 Na łanie, posród długich dźbeł smukłego żyta.  
 Kupało żony długo szuka, potem pyta  
 Brata, czy niewie dokąd znowu uleciała  
 Zabawa, córa Czecha, królewna niestała?

Na to Piast mu odpowie: „Ty straciłeś prawo,  
 „Bracie zazdrośnie gonić za żoną, Zabawą.  
 „Welinę całowałeś i to całowanie,  
 „Początkiem wielkiej próby dla ciebie się stanie.  
 „Nie dziw się, że Zabawa przed tobą ulata!  
 „Wszak została pamiątka po niej nie skrzydlata  
 „Na wyspie Widniu. Tam gród jak stanął, tak stoi,  
 „I tysiącem wież złotych wspaniale się stroi.  
 „Twoja matka królową w tym bogatym grodzie,  
 „A tyś jest królewiczem w przemyślnym narodzie,  
 „Co i skarby gromadzi i przed wrogiem stanie,  
 „Idąc z odwagą zbrojną na jego spotkanie.

„Lećże teraz do matki! niechaj cię poniesie  
 „Rumak Złotogrzywek, co już do lotu rwie się  
 „Niecierpliwie; a ćwicz się w rycérskim rzemiośle!  
 „Gdy ten, co dzisiaj jeszcze panuje wyniośle  
 „Polsce, i co grzechowi i konaniu włada,  
 „Przez ciebie i przezemnie moc swoją postrada;  
 „Gdy Lech z Wandą pomogą, a Popiel upadnie,  
 „Może do ciebie wróci Zabawa? Któż zgadnie,  
 „Co uczyni niestała? Może ci przebaczy  
 „I niewdzięczność dzisiejszą twoją gdy obaczy,  
 „Żeś ty takim zwyciężcą? Powracaj do matki!  
 „Nie chciěj zgwałcić ukrytej przyszłości zagadki!  
 „Daremnie szukasz, darmo wołasz! Nie pomoże  
 „Nic! aż się samo spełni miłosierdzie Boże!  
 „Lećże do matki, a gdy tęsknota usiędzie  
 „Jak upiór na twój piersi; gdy ci ciężko będzie,  
 „I duszno, wtedy możesz jechać do mój chaty  
 „Po pociechę. Trafi twój rumak skrzydlaty“.

Tak radził Piast. Kupało smutny słuchał mowy,  
 I tak się wydało, jakby w koło jego głowy  
 Młyńskie, ciężkie latały kamienie. A kwiatek  
 I słuchał i rozumiał, i nie mógł bławatek  
 Biedny się odezwać. Coś mu w liściach zadrzało;  
 Coś rozpaczliwie w barwach jego przymawiało;  
 Ale to wszystko całkiem daremne! Nie słucha  
 Kupało; choćby słuchał, przecie niema ucha,  
 Któreby rozumiało mowę barwnych kwiatów;  
 Łatwiejby rozmawiali z dwu odległych światów  
 Dwaj kochankowie poprzez gwieździste otchłanie.  
 Raz Kupało zawołał jeszcze, a wołanie  
 Po polach głuchych poszło. Więc skoczył na konia

Kupało i uleciał przez powietrzne błonia  
Do Widnia i do matki.

Skoro mgła daleka

Ze wszystkiem go zakryła, napowrót człowieka  
Postać wzięła Zabawa; i tak zaplakała,  
Jakby całe ojcowskie morze w oczach miała.  
Piaśt wziął ją oburącz i pocieszał słowy,  
Ucałowawszy pierwój długi włos jej płowy  
Powyżej czoła.

Rzekł: „Idź, Zabawo, do domu

„Mego! Ty tam zamieszkas z siostrą pokryjomo  
„I z matką moją. Trzeba, abyś zapomniała  
„O perlach i o skarbach jakieś niegdyś miała,  
„O żartach i o dziwnem twem wietrznem kochaniu,  
„O królestwie niestałem twojem i znikaniu  
„Nieustannem; jeżeli masz być ziemską żoną  
„Trzeba, aby cię pracą z ziemią połączono!  
„Zatém przybierzesz postać zwyczajnej dziewczyny  
„Wiejskiej. Na wsi i przy nas wszystkie twoje winy  
„Znikną; grzechy to dworskie, miejskie, pałacowe;  
„Kłamstwa to żartobliwe! Tam gdzie łąny płowe  
„Pszenicy dojrzewają, tam gdzie kwitną sady,  
„Tam gdzie przez tydzień cały pracują gromady  
„I gdzie się cieszą w święto, tam prawdy, Zabawo,  
„Ty się będziesz uczyła! Bo nie dworską sprawą  
„Jest życie, i zalotność nie jest cnotą żony,  
„I nie dla żartów pięknych jest człowiek stworzony.  
„Teraz siostra Rzepysze najwięcej się przyda,  
„By małego piastować w ręku Ziemowida,  
„By jego strzedz pilnie przy dziennój zabawie,  
„I aby jego ćwiczyć w świętém dzieci prawie,

„W posłuszeństwie, co inne ciężkie życia trudy  
 „Uprzedza; w chacie naszej nie przydybiesz nudy;  
 „Bo codzien w każdej chwili nowa wstaje praca;  
 „Nazajutrz każda chwila kolejno powraca  
 „Jak była wczora; i dzień wczorajszy wspomina.  
 „I życie twe będzie jak ogromna równina,  
 „Na której jednakowe zawsze rosną kwiaty  
 „I jednakowe ciernie. Po nich czas skrzydlaty  
 „Równém skrzydłem ulata. Tak przywyknie dusza  
 „Do trudu i spoczynku, że tylko się wzrusza  
 „Tém, gdy trud nie powróci jak zawsze zwyczajny,  
 „I gdy wstanie dzień mniej od innych jednostajny,  
 „I na wsi tak się zrośniesz z świętym losem ludzi,  
 „Że co w miastach rozrywką, to cię tylko znudzi.  
 „Bo człowiek wtedy tęskni, marnieje niewiasta,  
 „Kiedy od matki roli daleko odrasta;  
 „Gdy chce w górę ulecieć, pewno na dół spada,  
 „Bo człowiek chodzi, ptaków lotami nie włada.  
 „Kto na ziemi nie mieszka, nie wie, czego szuka.  
 „Własne życie zatruwać oto dworzan sztuka.  
 „Zapraǳeńś, Zabawo, ludzkiego zamęścia,  
 „Chodź do nas, by się z nami uczyć ludzi szczęścia!  
 „Zeraz mąż cię nie pozna, choć cię widzieć będzie;  
 „Długo błąd taki jemu na oczach osiędzie  
 „Za moją sprawą. Ale gdy pobędziesz lata  
 „Z nami, i gdy już poznasz prawdę tego świata,  
 „I gdy usłyszysz głośnie zwycięstwa oręża  
 „Kupały: czas będzie — i powrócisz do męża!“

Tak rzekł Piast, a Zabawa zdziwiona ujrzała,  
 Ze boso i w ubraniu dziewczki wiejskiej stała  
 Przed Piastem. I przestała płakać. Bujną głowę

Spuściła i posłusznie poszła poznać nowe  
Życie.

Rzepycha siostrę czule przywitała,  
I na grzędzie w ogrodzie ziola plewić dała.  
Przez ten czas piękna Żywa wzięła na kolana  
Ziemowida, w śmiechu dziecka zakochana.  
Piasł koło wozu robił, a Rzepycha przędła.  
Dziewanna bujnie rosła — dumna róża wędła!

---





## PIEŚŃ IX.

### ZOREŃKA.

**J**uż nadeszła postrzyżyn Ziemowida pora.  
Wiele gości do chaty Piasta szło z wieczora  
Na postrzyżyny. Chociaż o tém nie wiadano,  
Że Piast ma zamek szklanny nad okrągłą ścianą  
Błękitu niebieskiego, że czarami włada,  
I czasem z gromem w ręku na wóz złoty siada,  
Aby jeździć po niebie, przecież ludzie z dali  
Nawet szli doń w gościnę, bo go wszyscy znali  
Jako gospodarza, co w Kruszwicy przodował,  
Najlepsze miody sycił, i najlepsze chował  
Bydło, rolę uprawiał najlepiej wśród ludzi,  
I wstawał rano, zanim go kogut obudzi.  
Przeto chętnie do niego szły ludzkie gromady;  
A on gości przyjmował, nie skąpił im rady  
I pomocy. W tej ciężkiej dla narodu chwili,  
Pod berłem Popielowem ludzie się cieszyli,  
Że mają pośród siebie Piasta, gospodarza,  
Co pomocą i dobrą radą ich obdarza.

Tak konno jak i pieszo ciągnęły gromady  
Do chaty Piasta i do świątecznej biesiady,  
Którą miał dziś wyprawić. Pośród kmieci grona  
Dwu jeźdźców pojechało nieznanym. Zdziwiona  
Rzesza na nich spogląda, bo opowiadano,  
Że nietylko rozmowę jeźdźców usłyszano,  
Ale także rozmowę koni, które mową  
Ludzką, nie końskiem rzeniem, zamieniały słowo  
Rozumne. Ale któżby jeszcze wierzył temu,  
Co mnogie ludzkie rzesze zmyślą po głupiemu?

Jeden z jeźdźców w zwyczajnej był chłopskiej odzieży,  
W sukmanie; i koń jego nic więcej nie mierzy  
Cali od lepszych koni chłopskich. Jeździec śniady  
Był i młody; koń kary. Byłby wśród gromady  
Jeździec niedostrzeżony, gdyby nie rozmawiał,  
Z drugim jeźdźcem, co wielkie zadziwienie sprawiał,  
I strojem i postacią pośród rzeszy mnogiej.  
Nie to już, że na sobie dźwigał pancierz drogi,  
Złoty, skrzydlaty, jakby słońce jaśniejący,  
O który się odbijał tysiąckrotnie drżący  
Połysk wieczoru; bo moc jeszcze złota było  
W Polsce, choć Popiel naród uciskał złą siłą  
Tak, jak jastrząb drapieżny skowronka uściśnie,  
Którego z ziemi porwał i z którym uwiśnie  
W powietrzu, jakby gdzieś u sklepu zawieszony  
Niebieskiego. Nie pancierz zadziwiał złocony;  
Koń zadziwiał, który pod jeźdźcem szedł skrzydlaty.

To Kupało wraz z Leszkiem jechali do chaty  
Piasta, na postrzyżyny. Leszkowi poradził  
Czarnolotek tej drogi. Kupało przesadził  
Na Złotogrzywku ramię morskie, co dzieliło

Wideń od łądu, i do Piasta jechał. Miło  
 Obudwu jeźdźcom było po drodze rozmawiać.  
 Kupało jechał smutny; umiał go zabawiać  
 Leszek pełen nadziei, pełen wiary w siebie,  
 Tak pewny szczęścia, że już na ziemi był w niebie,  
 Tém szczęśliwszy od innych, że w szczęście nie wątpił,  
 I że tém się już cieszył, czego nie dostąpił  
 Jeszcze i czego może nigdy nie dostanie.

Kupało chciał wywodzić zrazu narzekanie  
 Na los, co go pozbawił ubóstwionęj żony,  
 Ale Leszek nie słuchał, sobą zatrudniony  
 I swemi pomysłami. Jemu tylko w głowie  
 To, co sam mądrze zrobi i rozumnie powie  
 Kiedyś. To się dowiedział, że jest synem Kroka  
 Kupało. Przyznał, że to jest godność wysoka,  
 Ale zaraz dodał, że i siebie wywodzi  
 Od Kroka, choć go Krakus naprawdę nie rodzi;  
 Ale to nic nie szkodzi! Tak do tego świata  
 Się dostał, że Kupałę może mieć za brata;  
 Krakus bowiem brał na cudowne sposoby,  
 Aby dać na tym świecie początek osoby  
 Jego. On zresztą miał na świecie dużo braci;  
 Gdy do jednego więcej się przyzna, nie straci  
 Na tém wiele; bo nigdy nie był jedynakiem.  
 Dlatego właśnie zrodzon pod szczęśliwym znakiem,  
 Że braci ma dwunastu. Jeden nie zawadzi  
 Więcej. A Czarnolotek właśnie go prowadzi  
 Jeszcze do syna Kroków. Choć nie tak wspaniały,  
 Jak lotny Złotogrzywek, lśniący koń Kupały,  
 Czarnolotek mu sprostą w każdej innęj mierze,  
 I Leszek Czarnolotka na doradcę bierze  
 Tak, jak Kupało swego latawca się radzi.

I Leszek pewny, że go koń na tron wysadzi  
Jakiś, i to niezgorszy. Jemu obiecano,  
Że mu córa Krakusa piękna będzie dana  
Na żonę. On w tej właśnie teraz jedzie sprawie  
Do Piasta; a żałuje, jeśli przy Zabawie  
Nie ze wszystkiem się dobrze Kupale powiodło.  
Jemu tak się nie stanie. Szczęście jego godło!  
Lecz na to, aby się nic już złego nie stało  
Napewne, jemu to się najlepszem wydało,  
Co radził Czarnolotek. I przeto zostawił  
Braci i siostrę we wsi, gdzie dziad stary bawił,  
Jego ojciec, i sam się nie przestraszył drogi  
Dalekiej, co prowadzi aż w gościnne progi  
Piasta, tu do Kruszwicy; i na postrzyżyny  
Ziemowita przybędzie, by brata dziewczyny  
Przyobiecanej spytać o radę. Bo Piasta  
Z Marzanną jeden ojciec i jedna niewiasta  
Rodziły; tylko, że Piast przez złe czarowanie  
Sapuchy poszedł z matką w dalekie wygnanie,  
I dotąd gdzie w Kruszwicy Piast z żoną przybywa,  
Tam z nimi także matka pozostaje, Żywa;  
I złe macochy zawsze ją w mocy swęj miały  
I w ucisku najsroźszem wśród zamków chowały.  
Najpierw Sapucha, potem Welinda w swe ręce  
Dziewczynę dostały, i obie w długiej męce  
Chowały biędną, niby królownę, w istocie  
Niewolnicę okrutnie okowaną w złocie.  
W takim to położeniu wątpić nie wypada,  
Że się u Piasta znajdzie i dla Leszka rada.  
Czarnolotek powiada, że Piast wszystkie czary  
Zna i że cuda sprawia ledwo że do wiary  
Podobne. A o siostrę przecie pewno stoi;  
Aby siostrę uwolnić, czarownicą podwoi

Chyba moc. Chętnie siostrę swą odda Leszkowi,  
 Bo jeśli Leszka nie zna, już się o tém dowie,  
 Że Leszek pośród wszystkich chłopców jest o wlele  
 Najzłwawszy na tym świecie. A więc Leszek śmieie  
 Do Piasta ninie jedzie, pewny, że dostanie  
 Radę najmędrszą, której tak się zadość stanie  
 Znowu mądrze, że aż Piast z tego osłupieje.

Tak to Leszek wykladał Kupale nadzieje  
 Swoje różowe; słuchał Kupalo, i z żoną  
 W smętnej myśli przybywał, żałośnie straconą.

Wreszcie obaj podróżni u końca swój drogi  
 Zajechali w gościnne kmiecia Piasta progi.  
 Że w chacie było ciasno, wyniesiono stoły  
 Na owe postrzyżyny do dużej stodoły.

Gdy to Leszek zobaczył wnet towarzyszowi,  
 Złocistemu Kupale, tak z przechwalką powie:  
 „Kiedy miałem się rodzić, tak było u dziada  
 „I baby. Taka właśnie siedziała gromada  
 „Przy stole pod stodołą; bo moi rodzicy  
 „Tém są u siebie we wsi, czém Piast jest w Kruszwicy“.

To rzekłszy, z konia skoczył, do wrót przymocował  
 Czarnolotka za cugle, i do Piasta pował  
 Poszedł przodem; podobnież uczynił Kupalo.  
 Obaj do chaty Piasta weszli spolem śmiało.  
 Kupalo już tu nieraz pierwój gościem bywał,  
 Choć zawsze potajemnie. Piast się go spodziewał  
 Na pół na postrzyżyny, choć przepowiadała  
 Rzepycha, że nie zechce, by gromada cała  
 Kruszwicka go widziała, kiedy jak do brata

Szedł do kmiecia prostego — on, co bujnie lata  
 Po niebie na skrzydlatym koniu, i co włada  
 Jak królewicz nad miastem i państwem nie lada!  
 Lecz tym razem Rzepycha nie zgadła. Kupalo  
 Szedł do chaty braterskiej przed gromadą całą,  
 Co się na postrzyżyny zesła. Piast go wita  
 Z żoną i matką. Synka jemu Ziemowita  
 Pokazuje i pyta, czy rosłe pacholę?  
 Potem u stołu sadza, przy starszyny kole.  
 Leszka Piast dotąd nie znał, więc spojrział zdziwiony  
 Na gościa, który prosto szedł do jego żony,  
 I Rzepychę całował jakby siostrę w usta.  
 Taka to już u Leszka śmiałość była pusta!  
 Piast zadziwiony, chociaż gościa grzecznie wita,  
 Przecież nadto śmiałego o imię zapyta,  
 O ród i pochodzenie?

Na to Leszek powie:

„Czas i Przemiana, oto są moi przodkowie;  
 „Dziadem i babą zwykle ludzie ich mianują;  
 „Oboje bardzo starzy; z sobą przysiadują  
 „Więcej jak lat pięćdziesiąt w takiej oto chacie,  
 „W jakiej wy tutaj sobie z Rzepychą mieszkacie.  
 „Mam ja braci dwunastu i siostrę jedyną,  
 „Która jest bardzo przednią i piękną dziewczyną;  
 „Pókim nie widział twojej żony, wždy myślałem,  
 „Że nie ma takiej ładnej drugiej w świecie całym.  
 „Teraz się przyznam, że się jej chwala pomniejsza,  
 „Bo bodaj czy Rzepycha od niej nie ładniejsza!  
 „Mnie już i moje sprawy na zamku poznano  
 „U Popiela złego; a Leszka niosę miano.  
 „Pewno, Piaście, już o tém słyszałeś nie mało,  
 „Co się przezemnie z dziećmi Jagi Baby stało?

„Córki poszły do licha; mnie służą synowie.  
 „Że kaszy nawarzyłem Czartom, każdy powie.  
 „Nie chciałem tu brać z sobą Miecza, mego sługi,  
 „Aby ludzi nie płoszył chłopiec ostry, długi,  
 „Z żelaza poskładany. Także Gęśła brata  
 „Tam w domu zostawiłem; bo zbyt długie lata  
 „Z sobą razem przeżyli, i tak się kochają,  
 „Że jeden bez drugiego ciężko narzekają.  
 „Gdybym był wiedział, że druh mój, ten tu Kupało,  
 „Chociaż w swém życiu zrobił dotąd dyable mało,  
 „Zechce ludzi tak dziwić, jak jakie straszdyło,  
 „Pokazując gromadom konia swego skrzydło  
 „Sokole, byłbym także tutaj przyprowadził  
 „Moje sługi i byłbym Kupałę przesadził,  
 „Chociaż blachy nie noszę, jak konewka jaka  
 „Na całym cielem, i choć nie udaje ptaka  
 „Mój konik Czarnolotek. Ale już się stało,  
 „Że widnieją tu zajechał odemnie Kupało!  
 „Przecież wcalem nie w strachu, by mnie nie witano  
 „Dobrze, gdy usłyszano sławne Leszka miano“.

Tak to zawsze junacką była Leszka mowa.  
 Piast zaledwo do końca wysłuchał te słowa,  
 A swoje ramiona na roścież otworzył  
 Dla Leszka. Rad był z tego, że nareszcie dożył  
 Chwili, w której powitał dzielnego junaka,  
 Bo w księgach swoich czytał, że jest wola taka  
 Boga, aby Popiela wpiérw nie pokonano,  
 Póki potężna przyjaźń nie będzie związaną  
 Pomiędzy nim i Leszkiem i trzecim Kupałą.  
 To, za czém tęsknił teraz, nareszcie się stało.  
 Piast z Leszkiem i Kupałą przy biesiadnym stole  
 Wreszcie siedli pospołu.

W biesiadników kole,  
 Co pod szopą siedziało, na gości patrzano  
 Nieznanych z podziwieniem, i o to pytano  
 Dziewczęta, które w koło stołu się krzątały,  
 Kimby był ów kmieć młody i rycérz wspaniały,  
 Których Piast poprzed wszystką starszyznę prowadzi,  
 I jako dwu najstarszych koło siebie sadzi?

Kim był Kupalo, dobrze Zabawa wiedziała,  
 Która starszyźnie skrzętnie dziś usługiwała  
 Jako domowa, prosząc, by jedli i pili,  
 By sobie dogadzali wszyscy goście mili.  
 Bo choć była już żoną rycérza Kupaly,  
 Przecież gromady wszystkie za dziewczę ją miały,  
 I cała nie wiedziała nic o tém Kruszwica,  
 Że córką króla Czecha jest skromna dziewica,  
 Co w domu kmiecia Piasta służy. Nie wiadano  
 Także, kim Piast? kim Żywa? Rzepychy nie znano  
 Jak tylko jako żonę młodą kmiecia Piasta.

Więc goście koło stołu zajadając ciasta  
 I spijając miód stary, Zabawy pytają,  
 Kim są dwaj goście, których w Kruszwicy nie znają  
 Najstarsi gospodarze?

A Zabawa blada

Koło stołu się krząta, nic nie odpowiada.  
 I ciągle biędna w stronę Kupaly patrzała —  
 I długo w tamtą stronę się zbliżyć nie śmiała.  
 Wreszcie wzięła dzban miodu w swoje drżące dłonie,  
 I z tchem zapartym szła ku tamtęj stołu stronie;  
 Czarke Piasta nalala i czarkę Kupaly,  
 I wreszcie Leszka czarę; poprzed nimi stały



Próżne na stole. Ale tak bardzo zajęty  
 Był Kupało rozmową z Piastem, że z dziewczętą  
 Nie miał czasu się wdawać; oczu nie podnosił;  
 Nie dziękował za jadło, o jadło nie prosił;  
 I ciągle poprzód Piastem swe wywodził żale,  
 Wyznając, jak Zabawę swoją kochał stale,  
 I jak smutno mu było wśród Widnia złotego,  
 Którego wszędy wkoło mocne wieże strzegą,  
 Kiedy nie miał przy sobie swęj żony Zabawy.  
 I gdy wywodził ten ból swój ciężki i krwawy,  
 Nie podniósł nawet oczu, aby ujrzeć żonę,  
 Co mu do czary miody naląa sycone.

Leszek nie taki smętny; kiedy mu naląa  
 Zabawa, spojrzal. Bardzo mu się podobała  
 Dziewczyzna, co miód niosła; i głośno zawołał:  
 „Mówże mi, kumie Piaście, jakżeśto ty zdołał  
 „Tyle tu pięknych niewiast do chaty sprowadzić?  
 „Widzę żeś tu nie darmo przyjechał się radzić,  
 „Bo ty masz mądrą i nie od proporcji głowę!  
 „Szczęśliwy, kto ma pięknych tych niewiast połowę  
 „U siebie. Kiedy mnie żona twa kołacz podaje,  
 „Niby gwiazda poranku przed oczyma staje!  
 „Ale, przebóg, to dziewczę jak świetlana zorza,  
 „Która rano się kąpie w sinych falach morza  
 „Wschodniego! Już się nie żal, a lepiej, Kupało,  
 „Spojrzyj oczyma na tę gołębicę białą!“

Kupało swoje oczy niedbale odwrócił  
 I niemi od niechcenia na Zabawę rzucił:  
 Ale żony nie poznał; bo już tak być miało,  
 Że walczyć miał z Popielem bez żony Kupało.  
 Nie cieszył się przeto choć mu żona pić dawa,

A rzekł tylko: „Dziewczęta to nie moja sprawa!  
 „Utraciłem królownę; wielka moja wina!  
 „A nic mnie nie obchodzi już żadna dziewczyna  
 „Na świecie! Nie wiem nawet, czy jest która ładna?  
 „I chyba już najmiłszą z dziewcząt dla mnie: żadna!“

Tak przymówił Kupało; obok niego stała  
 Zabawa i te słowa jego usłyszała  
 Tak czule i nieczule zarazem. Dzban z ręki  
 Opuściła; i dzban padł na ziemię, i jęku  
 Nie wydał, bo był prawie jeszcze pełny miodu;  
 Lecz pękł. Miód wyciekł z niego do samego spodu  
 I po toku popłynął.

Zabawa spuściła

Głowę, i twarz rękami swojemi zakryła,  
 I z szopy uciekała. Darmo ją wołała  
 Rzepycha, chcąc, by gościom dalej pomagała.  
 Uciekała biedaczka, poszła od obiadu  
 Jak najdalej i siadła wśród cichego sadu  
 Popłakać. Niedaleko muzykanci grali,  
 W sopiałki tęskne dęli, w struny uderzali  
 U skrzypców i cymbałów. Skakano dokoła,  
 I była u młodzieży ochota wesola.

Leszek syt już rozmowy, zerwał się od stołu  
 I szedł prosto przez sady, by tańczyć pospołu  
 Z dziewczętami wiejskimi. Szedł w nowej sukmanie.

Kiedy ujrzy Zabawę smętną, przy niej stanie  
 I rzecze do niej: „Dziewczę, grzech to kiedyś młoda,  
 „Abyś płakała. Całe szczęście to swoboda!  
 „Najszczęśliwsze na świecie są latawcy ptaszki,

„Bo nie dbają o żadne nasze głupie fraszki,  
 „Dzisiejszym dniem się cieszą, jutra nie czekają;  
 „Na zimę nie budują pieca, nie sprawiają  
 „Sobie kożucha, tylko zawsze święgotają  
 „I skaczą po gałązkach, i o mróz nie dbają.  
 „One jedne na świecie szczęście przysposobią.  
 „A wierzaj mnie, dziewczyno, rób, jak ptaszki robią!  
 „Nie my życiem rządzymy, rządzi łaska boska,  
 „Przeto głupstwem i pychą tylko bywa troska!“

Gdy to Leszek powiedział, wziął siłą Zabawę  
 I poprowadził w koło taneczników żwawe.  
 Tutaj tańczył pospołu z parobkami z siola  
 I razem z Zabawą różne skoczne splatał koła,  
 I różne śpiewał piosnki pośród korowodu  
 O niedoli i szczęściu krótkotrwałem rodu  
 Ludzi śmiertelnych. Pośród tańcu i śpiewania  
 Leszek na wszystkie strony z Zabawą się skłania,  
 Koła zatacza lotne, lub taniec przerywa  
 I słucha chwilę, jak się muzyka odzywa  
 Żwawo a smętnie, albo jak głośno śpiewają  
 Inni młodzieńcy, którzy wraz do tańca stają.  
 I jakoś pośród tańca wszystko zapomniała  
 Zabawa; pieśń z muzyką w głowie jej szumiała  
 Tylko. Poszła niebawem w zaplatane pary,  
 I całą opanował szal taneczny, stary  
 Jako świat pocieszyciel wszystkich młodych ludzi,  
 Który dziecka bezmyślność skoczną znowu budzi  
 W człowieku już dorosłym, i westchnienie goni  
 Pośpiechem wymierzonych skoków, z smętnej toni  
 Piersi ludzkiej znużonej przez walkę i życie.  
 Więc Zabawa została w tanecznym zachwycie

I dalej w skoczne pary szła tańcząc, choć dawno  
Już pożegnała Leszka pomoc w tańcu sprawną.

Bo Leszek trochę tylko się pokręcił w kole  
Tych, którzy tam hulali, i zostawił pole  
Innym. Sam poszedł nazad do wielkiego stołu,  
Aby z Piastem radzić i z Kupałą pospołu.  
A wszyscy trzej mówili pocichu do siebie  
Tak, że ich nie słyszano; bo przy sutym chlebie  
I napitku powstała pośród gości wrzawa,  
I u wszystkich na uściech rosła głośna sława  
Piasta, co gospodarzem był przy tej biesiadzie;  
Bo dziś bez końca potraw poprzed gości kładzie;  
Miodem i piwem poi bez kresu i miary,  
I ludzi cieszy.

Zwykle Piast ukrywał czary  
Swoje poprzed oczyma ludzi; wyjątkowo  
Dzisiaj przed tą biesiadą czarodziejskie słowo  
Wymówił, co bajeczną tę obfitość sprawia.  
Gmin przeto zadziwiony, choć Piasta wysławia,  
Nieprawdziwą przyczynę wynajduje cudu;  
Powiada, że dwaj goście, co się pośród ludu  
Zjawili z obcej strony, nieznani nikomu,  
Błogosławieństwo dziwne przynieśli do domu  
Piasta, które się teraz jawi mnóstwem jądła,  
Które się potem spełni szczęśliwością stadła  
Piastowego i dzieci niezwyčajną chwałą.  
Tak to się wówczas ludziom w Kruszwicy wydało;  
Z tego potem wyrosła wieść jak Polska stara,  
I aż dotąd przetrwała u ludu ta wiara  
I u ludzi uczonych.

## Leszek opowiadał

Piastowi, jakie różne moce już posiadał,  
 I czego pragnął jeszcze. Nareszcie się radził,  
 Jakby piękną Marzannę z zamku uprowadził  
 Na Wawelu! Już dawno ojcu przyobiecał,  
 Że poślubi królownę; darmo się zalecał  
 O Wilę Lichodziewę; chce dotrzymać słowa  
 I wziąć Marzannę. Jakby to zrobić, to głowa  
 Piasta winna wymyślić. Pannę wyswobodzi  
 Z ciężkiej niewoli. Gdy o szczęście siostry chodzi  
 Piastowi, winien dobre wynaleść sposoby,  
 By Welinę pokonać, i koniec żaloby  
 Położyć Marzanny i wszego narodu,  
 A plemię Krakusowe powrócić do grodu  
 Na Wawelu. Jest włością Piasta Góra Szklanna,  
 Wideń włością Kupaly; przeto niech Marzanna  
 Na Wawelu usiedzie wraz ze swoim mężem,  
 Leszkiem, który jęj bronić będzie tak orężem.  
 Jak i radą przebiegłą.

## Piast nastawia ucha,

I uważnie szeptanej mowy Leszka słucha,  
 Marzannę obiecuje, lecz nieco odmienia  
 I zamiary Leszkowe i jego zachcenia.  
 Przemódz Welinę może nie będzie zbyt trudno,  
 Ale potem z Popielem walka będzie żmudną  
 I długą. Choć Welinę kto całkiem pokona,  
 Przecież jemu nie padnie w udziale korona  
 Polska; Welinda bowiem tylko namiestnikiem  
 Jest na Wawelu, Popiel potężnym zwierzchnikiem.  
 Jednak zamiar Leszkowy początkiem zadania  
 Wielkiego. Niech się zacznie bój od wykradania  
 Marzanny! Ale trzeba pomyśleć zawczasu,

Gdzie potém ją zawieść; wszak nie może wśród lasu  
 Się ukrywać, jak zając, albo w chłopskiej chacie  
 Żyć? Jój się należy choć raz zabłysnąć w szkarłacie,  
 We własnym zamku, chociaż potém może  
 Pośród ludzi ubogich swe małżeńskie łoże  
 Usłać tak, jak Rzepycha. Aby to zrobiła  
 Z chęcią, trzeba, by w rzeczy samej panią była  
 Mozną. Bawi ubóstwo, kiedy dobrowolne;  
 Konieczne miłość nawet jadem zatruć zdolne.  
 Że Wawelu od razu Leszek nie zdobędzie,  
 Chociaż nawet zwycięską już Welindy będzie,  
 Przeto koniecznie jemu teraz się należy,  
 By posiadł własny zamek i zamkowe wieże  
 Zbrojne, i okazałe, mocne panowanie,  
 Które za Wideń i za Szklaną Górę stanie.  
 Wreszcie dał Piast Leszkowi radę szczegółową,  
 Którą mógłbym powtórzyć wiernie słowo w słowo;  
 Jednak jój nie powtórzę, a opowiem ninie,  
 Jak się potem wydała wykonane w czynie?  
 Bo Leszek radę Piasta wykonał do słowa.  
 Powiem to tylko, że się zakończyła mowa  
 Piasta takimi słowy; „W zamku czekaj żony!  
 „Będę tobie tak służył, jakby brat rodzony;  
 „Marzannę ci sprowadzę choćby z końca świata  
 „I zechcę, abyś odtąd w Piaście widział brata  
 „Naprawdę. W naszej pracy Kupalo pomoże,  
 „I we trzech dokonamy święte dzieło Boże!“

Na tém cichą skończyli rozmowę, i dłonie  
 Sobie podali. Leszek i Kupalo konie,  
 Powstawszy, odwiązali, Piasta pożegnali  
 Żywą i Rzepychę, i w drogę pojechali  
 Daleką.

Gdzie się droga w dwa rozeszła widła,  
 Tam Złotogrzywek rozwarł swoje złote skrzydła  
 I uleciał; a Leszek na swym Czarnolotku  
 Jechał, póki nie stanął tuż przy kołowrotku  
 Wsi ojczystej. Tu dzieci jemu otworzyły  
 Wrota, i wnet powitał rodziców pochyły  
 Dach, słomą złotą kryty. Tutaj poprowadził  
 Czarnolotka do stajni, przy żłobie posadził,  
 A do żłobu nasypał owsa ziaren wiele.  
 Potem poszedł do chaty, kędy rodziciele  
 Mieszkali starzy; w ręce oboje całował,  
 A potem z całej drogi swojej się sprawował  
 Przed ojcem i przed matką.

Wszystko opowiedział:

Jako po drodze zdybał Kupałę, jak siedział  
 Wraz z Kupałą i Piastem przy dębowym stole,  
 W biesiadników sproszonych ze wsi licznem kole;  
 O co się pytał Piasta; na co się zasadził;  
 W czym Piast chciał mu pomagać; od czego odradził.  
 Wszystko, co zamierzył, rodzicom wyłożył.

Staruszek Czas się dziwił, że chwili tej dożył,  
 W której własny syn jego z takimi zamiary  
 Się nosił. Lecz na wszystko z góry przystał stary,  
 Bo ufał w rozum syna. Sędziwa Przemiana  
 Na wszystko zezwalała, w Leszku zakochana.

Zoreńkę przeto Leszek odszukał w ogrodzie,  
 Gdzie siadła sobie w gruszy rozłożystej chłodzie  
 Miłym. Dziewczynę w kraśne całował jagody,  
 A potem opowiadał, na jakie przygody

Chciał się teraz sam puścić, i na jakie woła  
Siostrę i braci.

Bratu starszemu nie zdoła  
Odmówić siostra luba, przecudnowa Zorza;  
Gdyby brat zechciał, pewno poszłaby do morza,  
Aby w nurtach utonąć, lub w ogień czerwony,  
Aby na popiół spłonąć.

Leszek ucieszony

Zoreńki gotowością, poszedł z nią pospołu  
Do braci, by wyłożyć swój zamiar ich kołu.  
Zastał braci przy koźbie. Robót zaprzestali,  
Kosy poodkładał o świecącej stali,  
Do których letnie słońce zagłada ciekawie,  
I przy bracie usiedli na krótkiej murawie  
Skoszonej.

Wnet od Leszka wszystko usłyszeli,  
Czego teraz zaniechać, i co robić mieli?  
A gdy już Leszek wszystkie powiedział zamiary  
Swoje, dodał te słowa: „Dotrzymacie wiary  
„Bratu teraz. Wiem o tém. Prawda, pierwój chciałem  
„Wam wszystkim dać królowny; dlatego jechałem  
„Z wami w zamek Popiela. To się nie powiodło.  
„Dzisiaj na konia kładę moje tylko siodło  
„I sam pojedę bez was; a was w inną stronę  
„Posęlam; bo wiem, że mnie to tylko sądzone,  
„Abym Marzanę posiadł. Zresztą jedna panna  
„Nie może stać się żoną wielu, a Marzanna  
„Jest jedna tylko na tym całym, dużym świecie.  
„Więc dzisiaj wy mnie tylko bracia pomożecie;  
„A że w téj sprawie wy mnie pierwsze miejsce dacie,



„Zrobicie to dla tego, bo mnie dobrze znacie,  
 „I bo wiecie, że we mnie jest więcej rozumu,  
 „Niżli u wszystkich moich drogich braci tłumy;  
 „Bo was dwunastu; to się tłumem u mnie zowie.  
 „Rozumu macie mało; każdy wam to powie,  
 „Kto was obaczy; a ja mam rozumu wiele,  
 „I u mnie mądra dusza w dziarskiem siedzi ciele.  
 „Będziecie mnie słuchać, czy chcecie, czy nie chcecie,  
 „Bo jeśli was opuszczę, marnie poginiecie.  
 „Zresztą gdy się sprawicie tak, jak się należy,  
 „Będziecie chodzić za mną w złocistej odzieży,  
 „I każdy z was mieć będzie karęty i cugi,  
 „Dwory własne i sady, niezliczone sługi,  
 „I własne, złote żniwa z ogromnego ładu,  
 „I wreszcie piękne żony z książęcego stanu.  
 „Bo przecie żaden książę swojemu królowi,  
 „Dla brata królewskiego córki nie odmówi“.

Więcej z bracią nie mówił. On ich opanował  
 Rozumem swoim bystrym, i przy sobie chował  
 Jakby jakie narzędzia martwe i bezduszne,  
 Albo jakby domowe zwierzęta posłuszne  
 Ludzkiemu rozumowi, pomimo swęj siły,  
 Którąby jakby muchę człowieka zabiły,  
 Gdyby tylko zechciały; i bracia nie wiele  
 Się różnili od owych dwu brańców, co w ciele  
 Z żelaza albo z drzewa Leszkowi służyli; —  
 Tylko, że bracia owi spełna ludźmi byli.

\* \* \*

Nazajutrz rano konia dosiadł Leszek znowu,  
 I wypowiedział głośno owo mocne słowo,

Co zaklinało Miecza z Gęslem, jeńców obu.  
 Oni zazwyczaj jakby wśród ciemnego grobu  
 W komorze nieruchomie stali tam, o ścianę  
 Sparci; uczucie wszelkie było im nieznane,  
 Myśli nie mieli; byli jako martwe sprzęty;  
 Ale na rozkaz wstawał ród ten niepojęty  
 I szedł w świat i tak spełniał posłuszne zadanie,  
 Jak gdyby posiadał rozum, czucie myśl i zdanie!  
 Obaj tedy powstali i biegli za panem,  
 Idąc na zachód śladem przez konia wskazaném,  
 Czarnolotka mądrego.

Skoro Leszek wodze  
 Puścił Czarnolotkowi, koń na jednej nodze  
 Jak wicher pogonił, i chociaż nie wyrosły  
 Jemu skrzydła, któremi mógłby jakby wiośły  
 Złotemi pruć szumiące powietrze, w pogoni  
 Sprosta Złotogrzywkowi lotnemu. Wśród błoni,  
 Wśród lasów, wśród gór i puszczy, przez rzeki szerokie,  
 Pola zbożem zarosłe i stawy głębokie  
 Leciał jak ptak, a jeżeli zaszła jemu drogę  
 Przeszkoda jaka, ledwo Leszek spał ostrogę,  
 A koń przeleciał jednym skokiem nad otchłanie  
 Albo nad góry, których szczyt stromy dostanie  
 Aż do szarych obłoków, co pod niebem krążą.  
 Za Czarnolotkiem sługi Leszka pędem dążą  
 Na zachód; mknie Samosiecz i Samograj pędzi,  
 A wszystkim śpieszno dotrzeć w miejsce, w którym siedzie  
 Zamek przyszły Leszkowy.

Najpierw przez osiadłe  
 Kraje szła droga; potem w bory szła zapadłe,

Pośród których się gnieździ jedynie zwierzyna  
Leśna.

Gdzie się kończy kraj ludzi, a zaczyna  
Kraj zwierząt niemych, tam u samych granic stoi  
Cud; Jabłoń stara skronie wiecznie kwiatem stroi,  
Tak zimą, jako latem, wiosną i w jesieni;  
I kwiat ten nieśmiertelny nigdy się nie mieni,  
Nie więdnie, nie usycha; owoc nie czerwieni  
Nigdy owej jabłoni; jałowa koniecznie  
Nigdy nie rodzi jabłek, kwitnie tylko wiecznie;  
I chociaż się pięknnością niezmienną pochwali,  
Jednak po szepcie liści słyhać jak się żali  
Na to, że się nikomu naprawdę nie przyda,  
Że zawsze obiecuje, a nigdy nie wyda  
Spełnienia swych obietnic, zawsze tylko bawi,  
A w życiu nigdy ludziom użytku nie sprawi.

Niedługo za jabłonią, przez lasy bezludne  
Gonił Leszek ze służbą; dalej miejsce cudne  
Ujrzał i dziwo, w które nawet wierzyć trudno.  
Ogromna rzeka płynie przez ziemię bezludną;  
Tak jest szeroka i tak wolno wody toczy,  
Że bezdenną głębinę zaraz ludzkie oczy  
Odgadną, gdy na wody spojrzą i na szumne  
Lasy, które obrosły rzeki brzegi dumne.  
Rzeka nadto szeroka, by się w pław puszczone  
Na jej poważne, smętne i błękitne łono;  
I rzeka zbyt głęboka, by podobna było  
Chcieć idąc w bród, powalczyć z wielką prądu siłą;  
Bo choć rzeka powoli pośród brzegów płynie  
Niskich, najpewniej zginie marnie w fal głębinie  
Ten, kogo rzeka chwyci w swe wielkie ramiona.

Na brzegu rzeki żadna łódź nie zostawiona:  
 Nie znajdziesz tu galaru, tratwy, ani nawy  
 Żadnej; niemasz przez rzekę ogromną przeprawę;  
 I przeprawy nie trzeba, bo most postawiono  
 Żelazny ponad rzeką ową niezglębioną.  
 Przez most idzie na tamten brzeg jedyna droga;  
 Ale na moście tym nie stanie ludzka noga,  
 Nikt przeprawy nie kupi, ani nie uprosi,  
 Bo most jak opętany w koło własnej osi  
 Się kręci nieustannie. W środku rzeki dano  
 Jedyną nogę mostu, wieżę murowaną,  
 Na której oś żelazna mostu postawiona.  
 Jak długie ramię sterczy każda mostu strona;  
 I kiedy most przez rzekę w poprzek postawiony,  
 Od brzegu aż do brzegu sięga z każdej strony;  
 Ale most nigdy ponad wodą nie spoczywa,  
 A tylko wkoło pędzi, jak istota żywa,  
 Szalona; nigdy koło brzegu się nie wstrzyma,  
 I nikt zgola wśród ludzi na to czasu niema,  
 Aby nogę postawić na most w owej chwili,  
 W której się brzegu dotknie.

Leszek się nie sili.

Aby przez ten most jechać. Czarnolotek skoczył  
 Przez wodę; a most nie tak szybko się potoczył,  
 By zaklętym istotom, co z zelaża były  
 I z drzewa, zakazał, by się w lot przeprawiły.

Za rzeką i za mostem niedługo szumiały  
 Lasy. Dalej jakby na dłoni leżał cały  
 Kraj płaski i bezleśny; a w głębi przestworza  
 Do siebie przystąpiły prawie wielkie morza,  
 Które z dwu stron przeciwnych toczyły bałwany.

Góra ogromna stała u tych dwu mórz ściany,  
 I przez tę wielką górę szła jedyna droga,  
 Którą mogła podążyć dalej ludzka noga.  
 Góra była tak stroma, jakby jaka ściana.  
 Ale ta góra także była opętana;  
 Podobnie jak ów most, ciągle się ruszała;  
 Czasem brama wśród góry téj się otwierała  
 Z hukiem i z takim głośnym grzmotem, żebyś snadnie  
 Myślał, że to się ziemski świat ten już zapadnie;  
 A potem przez chwil kilka na rościęz otwarta  
 Stała brama; góra jęczała rozdarta  
 Na dwoje i podróżny na swą zgubę śmiały  
 Mógł wjechać w ową bramę, między straszne skały,  
 Co z obu stron stękały; ale wnet na nowo  
 Ta góra poruszała moc swą granitową  
 I z hukiem zawałala znowu bramę ową.  
 Kto wjechał w bramę, pewno ten zapłacił głową  
 Za śmiałość swą niewczesną.

Tutaj grób dla ludzi;  
 Lecz w sercu Leszka grób ten trwogi nie obudzi;  
 Koń jego kary pewno dobrze go prowadzi.  
 I patrzaj, jednym skokiem ponad górę sadzi  
 Czarnolotek. Miecz z Gęślem u ogona zwiśli  
 Czarnolotka, i wraz z nim na drugi bok wyszli  
 Góry przerażającój.

A po tamtéj stronie  
 Znowu Leszek wyjechał na szerokie błonie.  
 Czarnolotek kilkoma przeleciał skokami  
 Wielką równinę, a pod jego kopytami  
 Wszędzie gdzie tylko stanął, źródło wytryskało.

I znowu Czarnolotek pod ogromną skałą  
 Staął, i po kamieniach pnie się do skał szczytu;  
 Tu się zdaje, że góry chcą przebić błękitu  
 Sklep nad głowami ludzi, tak wyrosły śmiało  
 I tak wysoko niosą ostrą głowę białą  
 Od śniegu i od lodu; choć prosta jak świeca  
 Wyrosła góra, pnie się jak gdyby kozica,  
 Skoczek tatrzański, w górę Czarnolotek kary,  
 A Miecz wraz z Gęslem depczą za nim granit szary  
 Opoki. Bryły głazu jakby gruzy leżą;  
 Góra wielka się zdaje wielkoludów wieżą,  
 Którą Bóg w gniewie swoim piorunem roztrzaskał;  
 Niechcąc, aby wielkolud jaki głaz wytaskał  
 Aż popod niebo i by ztamtąd zaszedł w progi  
 Olbrzymom zabronione, za którymi bogi  
 Tylko mieszkają.

Gdzie się kończą gołe skały,  
 Dolina na wyżynie, a w niej las wspaniały,  
 Siekierą nietykany i ludziom nieznanym.  
 Modrzewiami wielkimi obrosły gór ściany,  
 A każdy modrzew z dziesięć wieków już wspomina;  
 U stóp modrzewi rośnie czarniawa krzewina,  
 Szpilkami najęzony, czarnymi jagody  
 Obwieszony jałowiec. Gdzie niegdzie od wody,  
 Co się sączy po stokach niebotycznej góry,  
 Wypierzchnął modrzewiowy bór, czarny i ponury  
 Świadek wieków; i tam jest czerwona polana,  
 Paprociami zarosła, mchami zaścielana;  
 Po niej tak człowiek stąpa, jak po jakimś łożu  
 Miękkim, które nań czeka na górskim bezdrożu.  
 To znów czarny bór przerwie zielonych drzew smuga,  
 Jakby wstęga na szacie szeroka a długa;

Tutaj dęby panują; po tysiąc lat liczą;  
 Pomiędzy niemi brzozy białością dziewiczą  
 I smętnym wdziękiem swoich zwieszonych gałęzi  
 Wzrok podróżnika w swojej trzymają uwięzi.

Cały las zaludniony i pełen odgłosów.  
 Wszędzie słyhać dzieciola wśród dębów i wrzosów  
 Szukającego mrówek; a gdzie niegdzie głośno,  
 Tam gdzie najgęstszym murem czarne jodły rosną,  
 Kos swoją pieśń poważną nabożnie wygłasza,  
 Albo słowik rywalów na próbę zaprasza,  
 Chcąc wraz z nimi o lepsze gonitwy miłośne  
 Wyprawiać i popisy ptasich śpiewów głośne.

Pośród mokrej polany duża kępa stała,  
 Tak błotem otoczona, że do niej nie miała  
 Zwierzyna czworonożna przystępu żadnego,  
 I że tylko z tamtego topieliska brzegu  
 Mogły wilki i rysie i duże niedźwiedzie  
 Patrzyć na gąszcz drzew roślących i ptactwo, co wiedzie  
 Swoje życie głośne na tym leśnym ostrowiu.  
 Pierwsi z ludzi i koni, przy życiu i zdrowiu  
 Na tej kępie stanęli, Leszek ze swym koniem  
 I ze sługami swymi.

Koń tu rzekł: „Ustroniem  
 „Bezpiecznym jest ta kępa. Nie łatwo tu stanie  
 „Żaden z ciurów Popiela; Moje przeto zdanie  
 „Jest, abyś tu budował zamek dla twej żony,  
 „Zewsząd przez błoto gęste i bór otoczony  
 „Niedostępny, i w kraju, w którym ludzka noga  
 „Dotąd jeszcze nie była. Będzie ciebie trwoga

„Bronić przed napaściami wszystkimi. Nie może  
 „Nikt przejść przez most i górę. Tu takie bezdroże,  
 „Że pieszo i na koniu nikt się nie dostanie  
 „Prócz nas. Jedna droga przez powietrzne otchłanie  
 „Dla przyjaciół i wrogów zostaje otworem;  
 „Tędy Piast i Kupało z twoim nowym dworem  
 „Będą się znosić; tędy może paść jedynie  
 „Wróg Popiel na twój zamek. Nim spadnie, już zginie;  
 „Bo widną jest dla oka ta powietrzna droga,  
 „I tutaj się nie przyda zdrada Czarnoboga  
 „Żadna. Gdy Samosiecz postawisz na straży  
 „Nikt się do jawnej wojny z tobą nie odważy;  
 „Przez jasny szlak powietrzny niepodobne zdrady;  
 „A więc tu życiu twemu już żadne napady  
 „Nie staną na zawadzie. Powiedźże Gęślowi,  
 „Niech woła robotnika którym się bór mrowi!  
 „Niech się Leśniki prędeż do roboty biorą,  
 „I niechaj Miauki, które siedzą za drzew korą  
 „Ukryte, przygotowują dla pani posłanie!  
 „Dziś jeszcze zamek tutaj pośród lasu stanie!“

Powiedział Czarnolotek. Leszek z niego skoczył,  
 I po kępie lesistój, patrząc wkoło, kroczył  
 Zwolna. Nareszcie stanął, gdy mu się wydało,  
 Że znalazł miejsce, w którym dźwignie sobie stałą  
 Sadybę.

Wtedy kazał Gęślowi przymówić.  
 Starczyło dźwięków kilka, aby twarz odnowić  
 Kępy leśnej; ledwo Gęśl po strunach uderzył,  
 A mech na bagnie wkoło gęsto się najężył  
 Od małych duchów leśnych. Leśników gromada  
 Pomiędzy drobne ziele bieże, z pieśni rada,



I przez głosy czarowne służyć przymuszona.  
Ona drobna jak mrowie, a cudów dokona.

Leśniki jak komary tak bywają mali;  
Olbrzym u nich na koniu nie sięgnie dwu cali;  
Zwykle naród to pieszy; ale czasem siada,  
Kiedy pośpiechu pragnie, na konie niełada,  
Których pełne są knieje. I teraz piechota  
Pomiędzy mchy się ciśnie; lecz kogo ochota  
Do tego bierze, ten na skrzydlatym rumaku  
Leci ku kępie Łeszka po powietrznym szlaku.  
Jedni siedli na wielkie i barwne motyle,  
Na chrząszcze i szarańcze. Ale tacy w tyle  
Jeszcze zostali po za jeźdźcy gorliwsiymi,  
Którzy ptaszków dosiadłszy, przylecą przed nimi.  
Na grzbiecie tłustych ziębów i sikerek lotnych,  
Widać mnóstwo Leśników do służby ochotnych,  
Ale najprędzej ten na miejscu pracy stanie,  
Kto się na grzbiet jaskółki, latawki, dostanie.  
Najgorzej na tém wyjdzie, kogo pozór zmyli;  
Kto się na nietoperzu ptakiem lecieć sili,  
Ten się wkrótce przekona, że chociaż mysz lata  
Niby, na złość prawidłom wszystkim tego świata,  
Nigdzie daleko mysz ta zalecieć nie zdoła.

Wszyscy już tam stanęli, gdzie ich Leszek woła;  
Z wierzchowców posiadali i na twardej ziemi  
Swe nogi postawili. Teraz między nimi  
Coś się dzieje takiego, jakby kto podłożył  
Drożdże pod ciasto żytnie i do pieca włożył  
Pieczywo; te ludzieta wyrosły do góry.  
Gdy zechcą, olbrzymieją aż pod niebios chmury;  
A rzeczą częstą bywa, że Leśnik wśród boru

Tak wielki kształt przybierze, że jak go z wieczoru  
 Zobaczysz w niewyraźném świetle, co się mroczy  
 O zmierzchu, o Leśniku powiedzą ci oczy,  
 Kłamiąc, że to jest modrzew, co wyrósł nad braci.

Teraz naród ten rosnąc, tak miary nie traci;  
 Rośnie, ale się swoim wzrostem nie wysila  
 Ponad zwykły wzrost ludzki; wyrośnie do tyła,  
 Że będzie mógł ochotnie posłużyć Leszkowi,  
 Kiedy gmach na téj kępie stawiać postanowi.  
 Już postanowił; a Gęśl swym śpiewem zagrzéwa.  
 Śpiewem Gęśla zakłęci, rąbią Leśni drzewa  
 Na kępie, i te drzewa w gmachy układają  
 Piątrowe.

Leśni zresztą postać ludzką mają,  
 Tylko uszy i rogi jakby u jelenia  
 I skoczne nogi koźle mają z przyrodzenia.  
 Twarz im się zawsze śmieje; z góry nagie ciało  
 Wełnami baraniemi z dołu obrastało.  
 Nad ludzką, zwykłą miarę nie wyrosli ninie,  
 Ale nadludzkie siły w każdym swoim czynie  
 Okazali.

Do dwu dni stanęła powała  
 Z olbrzymich pni dębowych ułożona cała;  
 Stanęły słupy z dębu, modrzewiowe ściany,  
 Dach z osikowych gątów pięknie układany,  
 Ostrokół wieżycami czwórma uzbrojony,  
 I fosa wkoło, na niej duży most zwodzony.

Z drzew wypłoszone Miauki w zamku się zjawily;  
 A płowe to dziewice, długowłose były,

W zielone, długie szaty pięknie ustrojone;  
 Na głowie miały z liści dębowych koronę.  
 Przeróżne przynosiły cacka z głębi boru  
 I niemi dwór stroiły.

#### Pajęczego wzoru

Tkanka u okien zwisła; w oknach były szyby  
 Z błonki pstrąga zwinnego, pięknie barwniej ryby  
 Strumieni górskich. Z pięknie tkanych gniazd gajówki  
 Poduszki porobiono; a z pancerzy mrówki  
 Leśnej drobniejsze sprzęty dla pańskiej wygody  
 Na stoły ułożono, by niemi pan młody  
 Mógł swoją żonę cieszyć; na coś się przydały  
 Skrzydła motyle, z wierzby kwiatu puszek biały,  
 Piórka ptactwa różnego, łupki orzechowe  
 I przez ślimaków, leniów, wyrobione nowe,  
 Połyskujące muszle.

#### Z wierzchu okazały

Był zamek, a we środku na panią czekały  
 Wygody tysiąckrotne. Tak to się sprawiły  
 Mieszkanki drzew. Gra Gęśla dodawała siły  
 Przy tej robocie wszystkim, co gmach budowali,  
 I potem piękne sprzęty w pokoje wkładali  
 Pańskie.

Podczas budowy stawał Miecz na straży,  
 Patrząc z wyniosłości, czy się kto nie odważy  
 Przeszkadzać tej budowie? Wiedział, że po ziemi  
 Nikt się nie zbliży; patrzył, czy też powietrznemi  
 Szlakami wróg nie ciągnie?

Nie patrzył daremnie,  
 Bo gdy podczas budowy naszły nocne ciemnie,  
 A księżyc błydy tylko świecił nad wieczorem,  
 Ogromny tłum się zjawił nad odwiecznym borem  
 Górskim. Leciały ptaki — orszak Popielowy,  
 Puhacze, i o wielkich, krągłych oczach sowy.  
 Od cichych, czarnych skrzydeł śmiło się nad lasem.  
 Nadlatywały ptaki z hukiem i hałasem  
 Piekielnym, aby swemi ostrzonemi szpony  
 Robotników rozszarpać i gmach postawiony  
 Na pół, krwią poczerwienić. I Leszkowi biada,  
 Jeśli na niego spadnie skrzydlata gromada  
 Tych straszydeł nocnych.

Lecz Leszka Miecz obroni.

Kiedy to ptactwo nocne ujrzał pośród toni  
 Powietrznej, najpierw zegiął swe żelazne ciało,  
 A potem skoczył, tak że w górę poleciało,  
 Jakby sprężyną pchnięte, niosąc ostrz przed siebie;  
 Stalową błyskawicą lśnił po nocnym niebie,  
 Z jednego miecza zrobił mieczów wojsko całe,  
 I tak gęsto rozmnożył w niebie błyski białe  
 Stali, że z ptaków piersi zaczął cięć deszcz krwawy,  
 Kapiąc rdzą czerwoną na bujne, leśne trawy.  
 Wraz z krwią na moczar bliski spadły ciała, skrzydła  
 I ścięte ptaków szpony; aż tłuszcz obrzydła  
 Widząc, że nic nie wskóra, z hukiem odleciała,  
 Pozostawiając w koło dworu Leszka, ciała  
 Poległych.

Na straży stał Miecz; ostrze do góry  
 Wzniósł; jak krwawy słup, stróż stał Leszkowy ponury;  
 Bo krew mordowanego ptactwa tak spływała

Po stali, że hartowna stal zatlila cała  
Pośród nocy czerwono.

Dwory już gotowe;  
Czekają tylko pani zamku ściany nowe.

\* \* \*

A tymczasem Zoreńka rodziców żegnała,  
I w świat odeszła. Przy niej braci hurma stała;  
Tam szła, gdzie prowadziła roztropna dziewczica,  
Co rozum ma brodaty, a gładziutkie lica.

Wśród lasu pod Wawelem braci zostawiła  
I odtąd na Wawelu sama sługą była.  
Łatwo ładną dziewczynę do zamku przyjęto  
I do służby Marzanny, córki Kroka wzięto.  
Błądą królowną codzien Zorza ubierała  
I powiernicą pani niebawem została.  
Opowiadała wiele o tém, jak na świecie  
Zielono jest na wiosnę, a słonecznie w lecie,  
Jak pięknie jesień cicha, las szumny czerwieni,  
I jak w mróz wielki biały śnieg się w słońcu mieni.

Królowna pośród zamku strzeżona zazdrośnie,  
Ledwo czasem widziała jak w ogrodzie rośnie  
Coś trawy i coś kwiatów; lecz trawa strzyżona  
I kwiat okopany, to są tacy, jak ona  
Sama niewolnicy, i. nie powiadają  
O woniach i o głosach, co na świecie wstają  
Wielkim, o ptaków śpiewie i o wichrów szumie,

I o serca ludzkiego bezbrzeżnej zadumie,  
Co dziwnym swym urokiem i straszy i trwoży,  
Kiedy człowiek sam jest, a dokoła świat Boży!  
A choć w ogrodzie czasem słońce spoglądało  
Na królową; zawsze to słońce się wydało  
Znudzone tém, że wszystko po ukazie rośnie.  
I słońcu i królowej bywało nieznośnie,  
I kiedy jej Zoreńka coś o wsi prawiała,  
Biédna Marzanna samą wieścią już ożyła  
O tém, że jest swoboda.

Słowa dotrzymała  
Krakusowi Welinda; Marzannie nie dała  
Zginąć marnie. I nawet żal się jej zrobiło  
Dziecka, co bez rodziców tu na ziemi żyło  
Sierotą. Królową być kazała Marzannie  
Dodała ochmistrzynię, baczyła starannie  
Na to, by wiatr na lica dziecka nie zawionął,  
By żywszy rumieniec na twarzy nie zapłonął,  
By oddech swobodniejszy piersi nie podnosił,  
Albo dęszczyk niebieski włosów jej nie zrosił.  
Serca matki Welinda dla dziecka nie miała,  
Lecz królową królowa na zamku chowała,  
I myślała, że to dość.

Tém zazdrośniej strzegła,  
Aby Welinda na dwór sama nie wybiegła,  
Że się i tego bała, by Polskie narody  
Nie podbił ród królewski i widok urody  
Wdzięcznej córki zmarłego przed laty Krakusa.  
Marzanna, niebezpieczna to ludu pokusa,  
Któręj mu nie pokaże królowa ostrożna.

Otoczyła Marzannę przeto straż tak trwożna  
 O nią, że się nie mogła biedna ruszyć. Twarzy  
 Nie widzi przyjacielskiej — ledwo o niej marzy,  
 Bo nigdy takiej twarzy biedna nie widziała!  
 Poważnie, zimno, chmurnie na nią spoglądała  
 Każda ochmistrzyni, a na zamku załogi  
 Oddawały jój pokłon pełen kornej trwogi  
 I dworskich ceremonij nieznośnego zimna.

Zatém promieniem słońca była dla niej gminna  
 Dziewczyna. Od niej cudów się nasłuchać można;  
 Zoreńką pagardziła straż Marzanny groźna,  
 I na to pozwoliła, by długie godziny  
 Sam na sam rozmawiały z sobą dwie dziewczyny.  
 A dziewczę wiejskie dziwne opowiada cuda;  
 Nie wie Marzanna, czy to prawda, czy ułuda?  
 I nie może powieści dosłuchać się końca,  
 Dziecko spragnione prawdy, powietrza i słońca.

Niebawem i o ludziach dobrych rozprawiała  
 Zoreńka swojej pani. A królowna biała  
 Jak lilia polna, tęskno chyliła swą głowę  
 I do serca swojego kładła wdzięczną mowę  
 O tém, że tam na świecie czasem przyjaciele  
 Jedną duszę mają, choć w podwojoném ciele;  
 Że na wsi człowiekowi człowiek zwykle wierzy,  
 I że bywają ludzie na tym świecie szczerzy,  
 Że czasem wśród młodzieży igraszka się zjawi,  
 W której się człowiek młody naprawdę zabawi,  
 I że wieczór się trafia czasem pośród ludzi  
 Wiejskich, w którym się długim zmierzchem nikt nie znudzi,  
 I w którym piosnka tęskna chórem zaśpiewana,  
 Albo stara i dziwna baśń opowiadana

Młodzieży przez prababkę, tak ten zmierzch rozświeci  
 Jak czarowna pochodnia. A za serce chwyci  
 Zgoła już Marzannę wieść ostatnia, głoszona  
 Przez Zoreńkę, jakoto czasem rozmarzona  
 Dziewczyzna kładzie lice na młodzieńca ramię,  
 I u młodzieńca znajdzie serce, co nie kłamie,  
 A prawi o miłości.

Słyszac to Marzanna,  
 Tak się zarumieniła jak rosa poranna,  
 Gdy na nią światło zorzy czerwonej upadnie.  
 Kto na Marzannę spojrzy, ten odrazu zgadnie,  
 Że słowo o miłości jak strzała utkwiło  
 U niej w duszy. To słowo nowe słyszeć miło,  
 A jednak to słowo tak jakoś serce dręczy,  
 Że Marzanna odrazu śmieje się i jęczy.  
 Powiada: „Mów, Zoreńko, mnie wyraźniej jeszcze  
 „O owem kochaniu! Bo się mową twą pieszcę,  
 „Jakby śliczną zabawką, jakby ptaszkiem złotym.  
 „Ciekawam ponad miarę i chcę więcej o tem  
 „Słyszeć, jak się kochają ludzie“.

#### A Zoreńka

Opowiada, jak o to ją prosi panienska,  
 O tem, że oko bywa, jakby liczman, tanie,  
 W porównaniu z kochanką, kiedy miłość wstanie  
 W duszy młodzieńca. Mówi: „Po zamkach nie wiecie  
 „O tem złote królewne, co się dzieje w świecie  
 „Pośród kmieci ubogich. Wam kamienie drogie  
 „Mężem, dla was kochankiem są rozkosze mnogie  
 „Pałaców waszych. U nas ubogich niedola  
 „Chaty niskie nawiędza i jałowe pola;  
 „Zatem tam gdzie możemy, tam szczęścia szukamy,



„I chcemy mieć przyjaciół, gdy skarbów nie mamy.  
 „A przyjaźń słowo zimne; miłość nas rozgrzywa;  
 „A to miłością u nas na wsi się nazywa,  
 „Gdy dla drugiej o sobie młodzian zapomina,  
 „I kiedy ukochana nawzajem dziewczyna,  
 „Jak słońcem księżyc, chłopca duszą rozświecona  
 „Z zachwytu i z rozkoszy ledwo że nie skona.  
 „Wam królewnom miłości wcale nie potrzeba,  
 „Bo wam złoto i jedwab dały dobre nieba;  
 „Ale nam prostym ludziom miłość szczęście daje,  
 „Co jakby słońce jasne pośród duszy wstaje;  
 „I tak jak słońce goni czarne, nocne cienie,  
 „Tak wzajemne kochanie wygania cierpienie  
 „I z serca tęskniącego i z smętnej pamięci,  
 „I nie masz w piersi nudy, odkąd tam się święci  
 „Miłość. A wszystkie szare sprawy tego świata  
 „Miłość złoci; ma skrzydła i z nami ulata  
 „Gdzieś w błękity niebieskie; łamie ziemskie więzy!  
 „Kto kocha, temu ciało więcej już nie ciąży“.

Takto Zorza mówiła. Choć sama nie знаła  
 Miłości, przecie cudnie o wszystkim umiała  
 Mówić, wszystko przeczuła, gotowa dla braci  
 Pracować; pewna że brat za wszystko zapłaci  
 Wdzięcznością. A Marzanna osłupiała słysząc,  
 I słowa te chłonęła usty, ledwo dysząc  
 Ze wzruszenia; a serce w niej tak zapukało,  
 Że mało nie rozsądzi pierś Marzanny białą.

Kiedy Zoreńka mądra tak się domyśliła,  
 Że dość wielką wzbudzonej już tęsknoty siła  
 U Marzanny, zaczęła o swym bracie prawić;  
 A z początku ostrożnie jego męstwo sławić,

Już dokonane czyny i przyszłe nadzieje.  
Opowiadała wszystkie cudowne koleje  
Krótkiego jego życia; a gdy wspominała  
Niebezpieczeństwa dawne, Marzanna zadrżała.  
Ujrzała to Zoreńka; teraz ośmielona,  
Dalej słowa jak strzały do Marzanny łona  
Posęlała. A każde słowo w niej nieciło  
Pożar, który się wzmagał z coraz większą siłą,  
Chłonąc jej całą duszę. A gdy już pałała  
Marzanna od tęsknoty, wtedy się przyznała  
Zorza, niby nieśmiało, że Leszek szalony  
Ani stanów różnicą, ani nie zrażony  
Mocą Welindy wrogą, już w samem Marzany  
Zakochany imieniu. Tam, gdzie nieba szklanny  
Sklep na ziemię przypada, u krańców zachodu,  
Stawia Leszek zuchwały obronnego grodu  
Wieże, by w nich utrzymać kochankę porwaną.  
Welinda nic nie wskóra skoro tylko staną  
W zamku Leszkowym. I tam ukocha Marzannę  
Leszek ponad życie; tam powitają pannę  
Znowu zbytki królewskie połączone z szczęściem  
Kochania. Życie swoje ozłoci zamęściem  
Takiem Marzanna. Trzeba tylko, aby śmiało  
Z zamku uciekła. W lesie na dole zostało  
Dwunastu braci Leszka; oni ją otoczą.  
Niebawem mocą swoją i pieczęą proroczą  
Najpierwszy białoksiężnik w Polsce dopomoże.  
Niech Marzanna ucieka! Zmiłowanie Boże  
Niechaj chwytą!

Marzanna rady usłuchała.  
Kiedy na zamku czarna, cicha noc nastała,  
Udała, że spać poszła, aby ochmistrzynię

Zmylić. Zasnęły; a o śmiałym myśli czynie  
 Marzanna. Przyoblokła na się chłopskie szaty,  
 I stała się podobną do matki, przed laty,  
 Kiedy jeszcze mieszkała pod strzechą u Jagi.  
 Przebranęj w pierwszój chwili zabrakło odwagi;  
 Dziwno jój było, że kształt jakoś odmieniła,  
 Że się jedwabna suknia na niej już nie lśniła,  
 Że z uszu swych pozbyła złote swe kulczyki,  
 A z nóg swoich pieszczonych jedwabne trzewiki;  
 Jednak poszła z Zoreńką.

Przy zamkowej bramie

Stały strażę; o kopię oparły swe ramię  
 Znużone i spuściły snu spragnioną głowę.  
 Gdy koło nich dziewczęta szły, przerwały mowę  
 Swoją; i na nie oczu strażę nie zwróciły,  
 Co, chociaż stojąc miały czuwać, na pół śniły,  
 Koło bramy zamkowej.

Potém nad jezioro

Szły dziewczęta. Marzannie strasznie nocną porą  
 Raz pierwszy tak wychodzić poza mur zamkowy.  
 Poza zasłoną nocy zaledwo świat nowy  
 Dla niej, odgadywała. Ale tajna siła  
 W ślad za Zoreńką w lasy ciemne ją wabiła.

Pod lasem usłyszała licznych ptaków śpiewy.  
 Kiedy w las weszła, jakieś ciepłe ją powiewy  
 Obwiały, od południa przez drzewa więzione.  
 Las był ciemny; jedyne światła zapalone  
 W lesie to latające, świętojańskie muchy;  
 A mieszkańcami lasu chyba tylko duchy  
 Leśne, ptaki uspione i dzikie zwierzęta.

Długo szły przez ciemny las pospołu dziewczęta,  
Aż wreszcie zaszły razem w miejsce oświecone  
Przez ognisko czerwone, wielkie, zapalone  
Na niewielkiej polanie. Tutaj pośród lasu  
Czekali bracia Leszka od dłuższego czasu  
Na powrót swojej siostry. Gdy teraz przybyła,  
I gdy królownę z zamku z sobą prowadziła,  
Powstali bracia wszyscy. Powitali panny  
Obie, i pokazali namiot dla Marzanny  
Z gałęzi ułożony, a suknem przykryty.  
Na drzewa wkoło padał odblask złotolity  
Ognia; aby zwierzęta leśne trzymać w dali,  
Bracia noc całą ogień ten utrzymywali;  
Ale królownę w namiot prowadzili leśny,  
Znużoną. Na to, aby jej ognia niewczesny  
Blask nie obudził, namiot z przodu zastłonili.  
Sami dookoła ognia czerwonego śnili  
Na trawie leśnej. Zoreńka w głąb się usunęła  
Trochę; pod wielkim dębem podobnie zasnęła.

Dziewczęta długa droga, a chłopców czuwanie  
Znużyło. Przeto zwykłej snu miary nie stanie  
Wszystkim tej nocy, i gdy złote słońko wstało  
I przez gałęzie leśne na nich zagładało  
Ciekawie, jeszcze wszyscy spali.

A tam w zamku

Już się zaczęły sprawy zwyczajne poranku  
Każdego. Wstała najpierw stara ochmistrzyni,  
Która porządki koło młodej panny czyni  
Wszystkie. Gdyby się świat był zapadł nad staruszką,  
Nie byłaby wrzała, jak kiedy próżne łóżko

Swój panienki zastała. Zamek obudziła  
Krzykiem.

Welinda w miękkim puchu słodko śniła  
O panowaniu, kiedy krzyki usłyszała.  
Brwi zmarszczyła i sługi młodej się spytała,  
Co koło łóżka pani stała nieruchomie  
Noc całą: „Cóż się stało? Czy w królewskim domu  
„Powaryowali ludzie, że tak krzyczą głośno?  
„Odpokutują słudzy za to, że nieznośną  
„Dla mnie noc uczynili krzykiem. Ochmistrzynię  
„Zawołaj tu; a powiedz, że ją za to winię,  
„Iż w zamku nieprzystojne takie krzyki wstały,  
„I to o północy!“

A było już dzień biały;

Ale Welinda zwykle spała do południa;  
A kiedy zechce, z dnia noc, lato czyni z Grudnia  
Pani w mowie swojej. I teraz ani słowa  
Nie odrzekła pokorna pani pokojowa,  
I szła milcząc do komnat wołać ochmistrzynię.

Ochmistrzyni słyszała rozkaz; a o winie  
Swojej prawdziwej, wielkiej, pamiętała. Musi  
Słuchać rozkazu. Staje przed panią; a dusi  
Ją strach, i wielka trwoga głos jej w piersiach dławi;  
Nie wie, jak się ze służby poprzed panią sprawi;  
Nie wie, czy jej ognisty wzrok nie zamorduje,  
Albo czy jedno słowo pani nie zakłuje  
Jej na śmierć, jakby żądło niedobrej gadziny.  
Jednak musiała mówić, i do wielkiej winy  
Przyznała się jękając.

I słowa nie rzekła

Pani gniewnego; spokój udała — choć wściekła  
Była w duszy; skinęła, aby wyszła stara.  
Niezapomnianą, tylko odłożona kara  
Była za nieuwagę. Welinda kazała  
Później, aby się stara karmą wieprzów stała;  
I żywcem zaniesiono nieszczęsną do chlewu  
Na pożarcie. Lecz rozkaz wydano bez gniewu  
I z uśmiechem na uściech, gdy nadeszły chwile  
Swobodne, które można było spędzać mile  
Na rozrywce.

Na teraz inną wcale sprawą

Zajęła się królowa, bo mściwą wyprawą  
Na niewdzięczną Marzannę. Koło stołu siadła,  
Aby się czesać, i do małego zwierciadła  
Wróżebnego spojrzała, aby dostać rady,  
I wiedzieć, gdzie ma posłać albo pójść na zwiady?

Prędko odpowiedziało na wszystko zwierciadło.

Samą Welindzie w drogę teraz iść wypadło.  
Skoro ją uczesano, na swe wstała nogi  
Równe, i poszukała nieomyłnej drogi  
Wskazanej przez zwierciadło. Poza zamek wyszła,  
Poszła ponad jezioro i w las wreszcie przyszła,  
W którym właśnie podówczas bracia się zbudzili,  
Którzy koło Marzanny tu na straży byli.

Ogień dawno już zagaśł; popioły zostały,  
I zaledwo gdzieniegdzie pod popiołem tlały  
Ostatnie i gasnące już żary czerwone,  
Tak, jak miłość u starca, szarą przygaszone

Popiołem. I Zoreńka pannę zawołała,  
Co pod namiotem w lesie pierwszą noc przespała.  
Marzanna wyszła, i nim chciała jeść śniadanie,  
Braciom Leszka jedno po drugim zapytanie  
Stawiała, chcąc się o tém wszystkiém wydowiedzieć,  
Co tylko bracia Leszka mogli jćj powiedzieć.  
A zatem pogadanka się zaczęła ranna.  
Przy chłopcach już usiadła śmielej biała panna,  
Co w nocy pokryjomo z Wawelu wypadła;  
Już się śmiała wraz z nimi, i już z nimi jadła  
Pospołu i uważnie powieści słuchała  
O mężu, którego wnet już poślubić miała,  
I o Piasta pomocy możnej, niezawodnej.  
Serce u niej tajało wśród młodzi dorodnej  
I szczerzej. Jak na wiosnę gałązka wierzbowa  
Pączki puszcza, choć je tam w zimie gdzieś pochowa  
W głąb poza korą swoją, że ich nikt nie zgadnie,  
Tak teraz i królewna się śmieje i ładnie  
Śpięwa, choć pierwěj zawsze smętna jakby święta  
Była, albo jak panna, co w obraz zakłętą,  
Wiecznemu poświęcona do śmierci milczeniu.

Coś tam w ogromnych dębów leśnych czarnym cieniu  
Się zjawilo; i widać niby kocie oczy;  
Wreszcie z krzykiem straszego coś tam z lasu skoczy  
Na polanę. Ze strachem młodzież się zerwała.  
Wściekła z gniewu Welinda między nimi stała,  
Obie pięście ścisnęła, rozpuściła włosy  
Na ramiona i straszne wydawała głosy  
Jakieś; to wilków wycie, to sfory szczekanie,  
To huczenie piorunu, to ciężkie stękanie  
Chorěj ziemi królowa wydawała z siebie;  
A czasem głosy, których na ziemi i w niebie

I w piekle nie słyszano, wydawała z łona  
Welinda, w czarach matki swój Jagi uczona.

A każde wiedźmy słowo straszne skutkowało,  
Bo w pióra porastało całe młode ciało  
Dwunastu braci Leszka. I w oczach siostrzanych  
Z dwunastu chłopców klątwą wraz zaczarowanych,  
Tyle się orłów stało. Na nogach ich szpony,  
Któremi chodzić trudno; silnemi ramiony,  
Zamienionemi w skrzydła, mogli pruć powietrze;  
Mogli hulać potężnie po wiosennym wietrze;  
A oko ich się wzmogło w moce niezwyčajne  
Tak, że mogli swym wzrokiem wszystkie świata tajne  
Zakątki przejrzeć, i że swego wzroku siłą  
Dostrzegli, co u krańców ziemi żywych było  
I u granicy Raju. Ale daru mowy  
Świętego im zabronił orli kształt ten nowy.

Odrazu w głąb powietrza wlecieli zawrotną,  
Porwani mimowoli własną siłą lotną,  
Orlą potęgą.

Tak to czasem młoda dusza  
Tyle zamiarów śmiałych wraz w człowieku rusza,  
Że jeszcze nie pomyślał o tém, co zamierza,  
A już do celów wielkich, niedostępnych zmierza,  
Nie zważając na starszych gorące przestrogi,  
Że śmierć, a może hańba są u końca drogi.

Tak mimowoli orły się do góry wzbily;  
A z popod obłoków na ziemię popatrzyły,  
I na tych dziewcząt dwoje, które tam na dole  
Zostały ze złą jędzą, w drzew olbrzymich kole,



Osamotniałe. I żał się orłom zrobiło  
 Tych dziewcząt: i inaczej lotów swoich siłą  
 Pokierowały, i zleciały na dół ku lasowi  
 I ku ziemi, na której od ludzi się mrowi  
 Śmiertelnych, nieszczęśliwych.

Kiedy się zbliżyły

Do ziemi orły siwe, i gdy obaczyły  
 Własne czarne postacie trzepiące skrzydłami  
 Posępniemi nad dziewic płowemi głowami,  
 Dopiero orły losu swojego się zlekły  
 I dzióbami ptasiemi przeraźliwie jękły;  
 Poznały, że pomagać już ludziom nie mogą;  
 Poznały, że jedyną pozostałą drogą  
 Dla nich szlaki powietrzne, że surowe ciało  
 Odtąd tylko dzióbami szarpać wypadalo,  
 I że były na wieki obcemi na ziemi,  
 Że już orlice dzikie popieszczą się z niemi  
 Tylko, i że im walki wydawać wypadło  
 Złym sępom, wydzierając im łakomie jądło.

Gdy przed niemi stanęła ta okropna dola,  
 Zapragnęły uchodzić gdzieś na Rajskie pola,  
 I przelecieć ponure, a krwawe Dunaje;  
 A przybyć jaknajprędzej w mar umarłe kraje.  
 Pomiędzy sobą nie mogły mówić, oniemiałe;  
 Ale wzrokiem przejrzały swym przestwory całe  
 Świata, i tam u krańca świata czarną kratę  
 Widziały żelazną, i żałobniejszą szatę  
 Pani Zmory, co koło owęj kraty stała,  
 Żywych w Raje, umarłych z Raju nie puszczała.  
 A kiedy pierwszy orzeł skrzydłami uderzył  
 Z rozpaczą, i gdy wrzasnął i lot swój wymierzył

Ku zachodowi wprost do owej kraty czarnej,  
Tamte go zrozumiały, i wśród ciżby gwarnej  
Wielkich, wrzeszczących ptaków jedna myśl powstała,  
I na zachód, w kraje mar, ciżba uleciała  
Cała z krzykiem żałośnym.

Także mądra Zorza  
Zrozumiała, gdzie lecą pośród wichrów morza  
Te orły zrozczone. Strasznie zapłakała,  
I za orłami płacząc przez las uciekała;  
Zapominając o tém, że jej słabe nogi  
Nie ujdą i tysięcznej części orłów drogi.

Marzanna przed Welindą pozostała sama.  
Welinda do niej rzekła: „Zamku mego brama  
„Przed tobą już zamknięta; ani jednej chwili  
„Nie zniosę cię w zamku! Niech cię zjedzą wilki  
„Tutaj w ponurym lesie!“ Rzekłszy, w las przepadła;  
I samą pośród puszczy wielkiej była zbladła  
Marzanna pełna trwogi.

\* \* \*

Przez las popędziła  
Zorza ku zachodowi; ale wkrótce siła  
Wątlęj dziewczyny w biegu ustała. Musiało  
Dziewczę na ziemię złożyć pod dębem swą białą  
Postać, i płakać gorzko. Nagle koło siebie  
Kogoś uczuła.

Jakiś głos rzekł: „Szukam ciebie;  
„A długo pośród lasu szukałem napróżno.

„Teraz znalazłem; i to zawsze nie zapóźno,  
 „Bo jeszcze zło naprawię i sprostuję drogę.  
 „Na imię mnie Piast. Bardzo wiele teraz mogę,  
 „Bo się uczyłem długo dzielnych czarów mocy,  
 „Jako niewolnik w zamku u pana północy,  
 „Popiela“.

Gdy Zoreńka usłyszała mowę  
 Piasta, radość uczuła i podniosła głowę,  
 I przed sobą ujrzała kmięcia w czarnej szacie,  
 Któremu wkoło lędźwi błyszczał pas w szkarłacie  
 Pięknym. Piasta poznała; do nóg mu upadła  
 I ze łzami całusy na stopy mu kładła,  
 Szlochając; a on podniósł rękami dziewicę,  
 I biedną ucałował po bratersku w lice  
 Blade.

Potem rzekł: „Oto jakie polecenie  
 „Tobie dam. Pójdiesz w kraje, w które marne cienie  
 „Umarłych lecą; pójdiesz na krańce zachodu,  
 „Aż po granice żywych i martwych narodu.  
 „Droga to nieskończona; lecz że wiele mogę,  
 „Na dziewięć dni pochodu skrócę tobie drogę.  
 „Oto daję ci puszkę; kryształowa cała;  
 „Ty po drodze lzy twoje w niej będziesz zbierała.  
 „Oto jest bułka, co za tysiąc bułek staje;  
 „Z niej odkaszony kawał napowrót powstaje;  
 „Bułka wiecznie odrasta; przeto jej nadano  
 „Bułki odrostki w księgach czarodziejskich miano;  
 „I póki całej bułki kto połknąć nie zdoła,  
 „Końca bułce odrostce nie dojdzie nic zgoła.  
 „Kiedy dnia dziewiątego staniesz już u kraty  
 „Raju, zastaniesz braci twoich rój skrzydlaty

„I nieszczęsny, tam; wtedy ze łzawnicy wody  
 „Weźmiesz, i orły skropisz łzami, a ród młody  
 „Braci twoich, swą postać odzyska człowieczą.  
 „Idźże po twoich braci! Tu pod moją pieczęą  
 „Pozostanie Marzanna“.

Piast rzekł takie słowa

I odszedł; a pociechą Zorza jego mowa.  
 Wstała i wzięwszy puhar szklanny do swęj dłoni  
 Razem z bułką odrostką, na Zachód pogoni;  
 Jak mogła, tak szła szybko. Kiedy sił nie stało,  
 Pożywiała się Zorza swoją bułką białą;  
 Wnet się siły dwoiły; kawał odkąszony  
 Zaraz bułce odrostce bywał przywrócony.  
 A czasem w cieniu drzewa jakiego siadała  
 Zoreńka, i do łzawnicy rzęście lzy lała;  
 Lzy dziewczęcia tęczowe, jasne, przeźrocyste  
 Powoli napełniały to naczynie szkliste  
 Aż do brzegu. Zoreńka spała ledwo czasem;  
 Szła górami wielkimi i polem i lasem;  
 Szła ponad wody wielkie, mosty przechodziła,  
 I na niejednej łodzi przewoźnika była  
 Biednego.

Sama o tém dobrze nie wiedziała,  
 Jak się nareszcie na kraj świata wydostała.  
 Nie pamiętała, aby szła poprzez Dunaje;  
 Nie czuła, że się na szczyt stromy wydostaje  
 Latyr-góry, kędy mkną przeźrocyste mary;  
 Przez wszystko ją przeniosły jakieś dziwne czary.  
 I zaszła w kraje śmierci taką gładką drogą,  
 Że tak dzieci jak starcy po niej chodzić mogą  
 Bezpiecznie.

Teraz kratę żelazną ujrzała,

Po za którą na straży pani Zmora stała.  
 Ta krata dosięgała do samego nieba;  
 Kto do Raju chce wchodzić, temu tu potrzeba  
 Poprosić panią Zmorę, aby otworzyła  
 Żelazną furtkę śmierci, której klucz dzierżyła.  
 Umarłym jest łatwiejszą przez tę kratę droga,  
 Bo jako mgła przejrzysta mkną w kraj Białoboga.  
 Ale jeśli kto żywy chce się dostać w gaje  
 Rajskie, przez tę się tylko bramę tam dostaje;  
 A pani Zmora w czarnej szacie nie otwiera  
 Tej bramy nigdy; przeto tylko kto umiera,  
 Może tędy zejść w Raję. Zpoza kraty można  
 Patrzyć w ogrody cudne, ale Zmora groźna,  
 Czarna Raju furtyanka, swoją kosą strzeże,  
 Aby nikt tu nie weszedł. Choć z daleka wieże  
 Krokowego pałacu świecą, przecie wiecznie  
 Dla żywych niedostępne. Umrzć trza koniecznie,  
 By w Raju zaznać szczęścia.

Orłów ród skrzydlaty

Dobija się daremnie u żelaznej kraty  
 Wejścia do Raju; zbyt to są potężne ptaki,  
 By móż na kształt jaskółki ukrytemi szlaki  
 Przemykać się do Raju. Darmo przyleciały  
 Orły pod kratę Rajską, przez kraj żywych cały.  
 I darmo teraz wrzeszczą i biją o kratę  
 Żelazną Raju. Krwawią pierś swoją skrzydlate  
 Goście; nie wejdą w kraje umarłych; bo Zmora,  
 Która przy kracie siadła, u krańców wieczora  
 Za kratę nie puszczała.

Gdy Zorza przybyła

Tutaj do Rajskiej kraty, z bolem popatrzyła  
 Na braci przemienionych; umaczała dłonie  
 W puchar, w którym na słońcu jasnym woda płonie  
 Łez własnych, zgromadzonych przez drogę tak długą,  
 A potem pokropiła perlistą łez strugą  
 Orły.

Zaledwo krągle, duże krople padły  
 Na orły, czary, które niemi możnie władły,  
 Ustały, i znów braci przed sobą ujrzała  
 We własnej ich postaci; a z radości drżała  
 Zoreńka widząc braci. Oni zawołali  
 W głos z radości tak, że aż w biesiadnej swój sali  
 Krakus ich usłyszał. Do nóg siostry upadli,  
 Na ręce i na nogi pocałunki kładli  
 Dziękczynne; wreszcie lice wdzięczne całowali  
 Siostry, które rumieniec jasny szczęścia pali  
 Żarem. Opowiedziała wszystko, jak się stało?  
 Gdzie Piasta spotkała? i swoją podróż całą  
 Aż na ten kraniec świata. Potem się cieszyli  
 Bracia z tego, że znowu ludźmi byli  
 Nie ptakami, i powrót układali sobie  
 Pomiędzy ludzi.

Zmora siedziała w żałobie  
 Tuż koło kraty Rajskiej, i dotąd milczała.  
 Teraz głosem ponurym tak się odezwała:  
 „Myślicie wrócić między żywych? Źle myślicie,  
 „Bo wyście stanęli na niepowrotnym szczycie  
 „Latyr góry. Każdemu łatwa tutaj droga.  
 „Ale powrotu strzegą wiecznie śmierć i trwoga.  
 „Przez kratę ja nie puszcę. W tył spojrzycie sami,  
 „Jaka otchłań bezdenna leży tam za wami?

„Tamtędy nie wróćcie. Zostało wam jedno,  
 „Chłopy! na śmierć tu czekać razem z siostrą biedną  
 „Waszą. Dla tój odrostki bułki śmierć głodowa  
 „Nie przyjdzie. Tu w bezludziu pobieleje głowa  
 „Wasza od starości, i wy ujrzycie żywi  
 „Długi bladych mar pochód. Długo nieszczęśliwi  
 „Tu u kraty będziecie, aż starość zgrzybiała  
 „Przyjdzie na was. O wszystkich ludziach pamiętała  
 „Starość zawsze. I o was przeto nie zapomni.  
 „Niemocni i bezzębni, słabi, nieprzytomni,  
 „Pośród tych mar i strachów tu czekać będziecie,  
 „Aż śmierć tu przyjdzie, siostra moja, i was zgniecie  
 „Jak codzien zgniata ziemne robaki“.

To rzekła

Zmora i lice w czarną szatę przyoblokła  
 Napowrót.

Straszną mową strasznie potrwożeni,  
 Bracia i siostra głowę od krainy cieni  
 Odwrócili; za sobą otchłanie ujrzeni.  
 Najbliżej stoki Latyr góry; po nich w bieli  
 Mkną jęcząc mgliste mary; a w otchłannój dali  
 Na dole, poprzez Dunaj krwawy, przejeżdżali  
 Umarli na Rachmana przezroczystej łodzi.  
 Pod nogami ogromna przepaść zawrót rodzi  
 W głowie i w sercu. Dalej za przepaścią ziemie,  
 Na których zamieszkało żywych ludzi plemię;  
 Ale ptak chyba w tamte kraje się dostanie.  
 Na Latyr-górze żywa noga nie postanie;  
 Tak góra przepaścista, tak urwiste stoki,  
 Do Dunaju zsłają krwawego potoki  
 Łzami żywione. Poza przepaścią kraj żywy;

Królestwa bitne, miasta ludne, żyźne niwy,  
 Wyraźnie widne, lecz tak strasznie oddalone,  
 Że chyba ptak skrzydlaty w tę zaleci stronę!

Siostra i bracia siedli teraz zrozpaczeni  
 U tój żelaznej świata umarłego sieni;  
 Czasem po kęsie bułki czarodziejskiej jedli;  
 Wzrok smutny po otchłaniach przepaścistych wiedli,  
 I patrzali na to, jak zlatywały mary  
 Niechwytnie i żałośne.

Tu ich wieczór szary  
 Zastał, kiedy słońce już zaszło poza górę.  
 Naonczas — u zachodu jakby złotą chmurę  
 Ujrzeli; od niej świty złote rozjaśniały  
 Ten graniczny, śmiertelny, niepewny świat cały,  
 Zamknięty między kratą, co odgradza Raję,  
 I przepaścią, co wiedzie nad krwawe Dunaje.  
 Chmura się zbliżała i w tój chmurze poznano  
 Ogromnego Żar-Ptaka. Tak w Raju nazwano  
 Ukochaną przez Kroka i dziwną istotę,  
 Sokola olbrzymiego, który pióra złote  
 Ma, i tak jaśniejące, że całą rozświeci  
 Noc, kiedy lecąc wieczór, krwawe łuny nieci  
 Gdzieś na zachodniem niebie, albo kiedy rano  
 Blaski rumiane u bram wschodnich świata wstaną  
 Od jego piór cudownych.

Żar-Ptak siadł przy kracie  
 Rajskiej, w blasków złocistych jaśniejącej szacie;  
 A był to ptak niezmierny i miał ludzką mowę.  
 Pochylił poprzód młodą Zorzę złotą głowę  
 I rzekł: „Krakus mnie przysłał. Na mym wielkim grzbiecie



„W trzynaścioro wygodnie wszyscy usiądziecie.  
 „Krakus, co włada dzisiaj Raju narodami,  
 „A was ojcu darował czuwa dziś nad wami.  
 „Z jego rozkazu siądźcie przeto na Żar-ptaka!  
 „Nie bójcie się! Krakusa, króla mego, taka  
 „Wola, żebym was zaniósł między żywych rody  
 „Tam, gdzie wśród puszczy stoją Leszka nowe grody“.

Gdy usłyszeli mowę złotego latawca,  
 Wierzyli, że Białobóg to poselstwa sprawca;  
 I odstąpiła od nich dawna, ciężka trwoga.  
 Na ptaka tego siedli, ho ufali w Boga.  
 Żar-Ptak, jak obłok złoty, podleciał do góry  
 I rodzeństwo unosił aż w gwiazdy i chmury  
 Niebieskie. Na Żar-Ptaku usiedli pospołu  
 Wszyscy, i świat maleńki widzieli u dołu  
 Wśród zawrotnych przepaści: Dunaj jakby wstęga  
 Cieniutka, srebrna, która warkocze dwa sprzęga  
 Z sobą; a mary blade, co z żywego świata  
 Szły do Raju, były jak éma drobna, co lata  
 Dokoła zapalanej świecy sycząc; ziemie,  
 Które po za Dunajem żywych ludzi plemię  
 Posiadło, takie były jak obrazek drobny,  
 We wszystkie barwy pęzła misternie ozdobny.  
 Na nich miasta, mrowiska niby jakieś strojne;  
 A narody mówiących ludzi, niby rojne  
 Zastępy mrówek, które cały wiek pracują;  
 Tak to się niespokojnie ludzie ziemscy snują  
 Po kolejach żywota.

Głowa się kręciła  
 Zoreńce, gdy wysoko tak w powietrzu tkwiła  
 Pośród skrzydeł Żar-Ptaka. A brat Zorzy, Luty,

Który siadł przy niej, jakby do pierza przykuty  
 Złotego i ze strachu prawie skamieniały,  
 Gdy się w otchłanie owe dolne wpatrzył cały,  
 Rzekł: „Kiedy orłem byłem, podobnie latałem  
 „Między chmury i gwiazdy. Wtedy się nie bałem  
 „Otchłani, co podemną nieskończona ziała;  
 „Bo własnych moich skrzydeł moc bystra i śmiała  
 „Niosła mnie powietrznemi owemi drogami.  
 „Ale gdy teraz spojrzę na otchłań pod nami,  
 „Wielki strach mnie przemaga. Bo obca nas siła  
 „Ponad przepaście świata puste zawiesiła.  
 „Nie moje teraz skrzydła nad ziemię się wzbiły  
 „I przeto strach mi lotu. Aż się oczy śmiły  
 „Od cudzej wyniosłości, którą dziś mnie dano.  
 „Strach siostró wielki, przed tą mocą pożyczaną!“

Zaledwo skończył Luty swoją trwoźną mowę,  
 A Żar-Ptak zda się stracił lotnych sił połowę.  
 Aż dotąd bujał ponad wielki świat wieczorny,  
 Nie uderzywszy skrzydłem; teraz jak potworny  
 Jakiś nietopérz złoty zaczął swemi skrzydły  
 Trzepać. Tak ptaszek mały, omotany sidły  
 Łowczemi się wysiła. Na świat ciemniejący  
 U dołu, coraz bliżej się spuszczał ptak drżący  
 Pod ciężarem.

Nareszcie Żar-Ptak temi słowy  
 Przymówił do Zoreńki: „Jeszcze do połowy  
 „Naszej drogi nie doszedł. Słabość mnie opadła.  
 „Przez przepaść nie przelecę, nie dostawszy jądła“.

Pięknie się Zorza, słysząc prośbę, uśmiechnęła,  
 A bułkę przelamawszy, kawał jej wetknęła  
 W złoty dziób Żar-Ptaka; a bułka wnet odrosła.

Żar-Ptak na chwilę znowu skrzydeł swoich wiosła  
 Złote rozwarł spokojnie; ale krótko trwało  
 I znowu sił do lotu ptakowi nie stało.

Zawołał: „Jakby wróbla karmisz okruszyną!  
 „Chyba chcesz mnie zagłodzić, niebaczna dziewczyno!  
 „Kawałek tylko dałaś. Daj mnie bułkę całą,  
 „Wszystko, co tylko w rękę twoich pozostało,  
 „Zaledwo na tę drogę do końca wystarczy.  
 „Słyszysz, jak Dunaj szumi, a wicher wkoło warczy?  
 „One ciebie pochłoną, jak mnie nie posilisz.  
 „Jak zechcesz być oszczędną, srodze się omylisz.  
 „Mały pokarm do końca drogi nie zanieśie.  
 „U mnie głodnego siła lotu prędko rwie się  
 „I ustaje. Noc całą będę leciał z wami,  
 „Zanim o świcie stanę przed Leszka zamkami.  
 „Jeżeli dasz mi teraz bułkę twoją całą,  
 „Dolecę, choć w tej chwili ledwo sił mi stało,  
 „Abym robił skrzydłami. Krumki nie pomogą.  
 „Dobry obrok potrzebny przed daleką drogą!“

Kiedy Zoreńka słowa ptaka usłyszała,  
 Srodze ich się przelekła i bułkę podała  
 Jemu całą. A głodny ptak pochłonał całą  
 Tak, że już nic w Zoreńki rękę nie zostało,  
 Czémby braci i siebie nakarmiła w nocy.  
 Lecz teraz zaufała znowu ptaka mocy,  
 I pod sobą uczuła, jak ptak pomknął z siłą  
 Podwojoną.

Na dole wszystko już się sémiło  
 Przez noc zakryte czarną. Tylko ponad głową  
 Gwiazdy jaśniały złotem w noc bezksiężycową.

Lecz noc króciutką była. Wkrótce przyszło rano  
 Letnie, i u bram wschodu lunę przywitano  
 Jasną, która na niebie gwiazdy pogasiła ;  
 I znowu tam na dole ziemia widna była,  
 I miasta i wsie ziemskie, w których śniły ludy  
 Dotąd nieprzebudzone. Jeszcze ranek rudy  
 Niewyraźne, w pół zmierzchłe krain ziemskich rysy  
 Objawiał, a już stawał wyraźnie szczyt łysy  
 Leszkowej góry tam u końca nocnej drogi ;  
 Nadzieja już wstawała, ubywało trwogi  
 U Zorzy i u braci.

Wtém Żar-Ptak skrzydłami  
 Swojemi znów uderzył z trudem. Moc się łamie  
 Znów Żar-Ptaka; a pod nim przepastne otchłanie!  
 Śmierć wszystkich pewna, jeśli on w locie ustanie.

Ptak zawołał z rozpaczą; „Jadła! dawaj jadła!  
 „Zoreńko! Boś inaczéj wraz z braćmi przepadła!  
 „Znowu głód się obudził! Już lecieć nie mogę.  
 „Tuż, tuż, a miałem skończyć naszą nocną drogę;  
 „Ale siły odeszły. Jak nie dasz pokarmu,  
 „Przyleciałem pod wielką kratę Raju darmo,  
 „I gorzej niżli darmo! Prędszą śmierć sprowadzę  
 „Tylko. Przeto, Zoreńko, i błagam i radzę,  
 „Abyś mnie jeść podała!“

Tak Żar-Ptak zawołał,  
 A po głosie znać było, że już ledwo zdołał  
 Mówić. Zorza zadrzała; na braci spojrziała,  
 Jakby okiem pytała, co uczynić miała?  
 Wreszcie nóż wzięła z pasa brata Października,  
 I pierś sobie odcięła. Trysła z piersi rzeka

Czerwona krwi. Zoreńka tyle siły miała,  
 Że pierś uciętą jeszcze ptakowi podała.

Ptak pierś zjadł; potem wdzięcznie zawołał w te słowa:

„Taka potrawa, Zorzo, umarłych gotowa  
 „Wskrzesać. Mnie sił dodała ponad wszelką wiarę.  
 „Zaraz już teraz zlecę na te góry szare,  
 „Borami obrośnięte, w których zamki stoją  
 „Leszka. Sto sił przybyło mi za sprawą twoją,  
 „Zoreńko!“

I teraz ptak poleciał tak żwawo,  
 Jak wicher. Zorza zemdląca; pierś jej strugą krwawą  
 Oblana, i deszcz krwawy spadał na obłoki,  
 Które rano obwisły gór wyniosłych stoki  
 Przepaściste. Czerwone były wkoło chmury;  
 A pośród pokrwawionych obłoków purpury  
 Słońce zeszło ogniste, i światłem oblało  
 I powietrze i morza, Raj i ziemię całą  
 Żywych.

A Żar-Ptak stanął już na góry stoku;  
 Skrzydła złożył, a radość mu błysnęła w oku  
 Wielka; wesolym głosem na jeźdźców zawołał:  
 „Wreszciem przez otchłań pustą was przepawić zdołał.  
 „Zsiadajcie teraz ludzie, i w zamki Leszkowe  
 „Idźcie!“

Bracia Zoreńki usłuchali mowę  
 Żar-ptaka. Zsiedli z niego i siostrę omdlałą  
 Znieśli.

Zdziwiony Żar-ptak na dziewczynę białą  
 Jak głaz spojrział; zawołał, spojrzawszy w jej lice:

„Jakaż to siła wroga zwała dziewczę  
 „Szlachetną, dla której tę odprawiłem drogę?”

Czerwiec, brat starszy Zorzy przyklął i o nogę  
 Sparł był siostrę omdlałą; teraz odpowiedział:  
 „Alboż tyś ptaku złoty nic o tem nie wiedział,  
 „Że pierś jadłeś dziewczyny? Kiedyś jęczał z głodu,  
 „Mówiąc, że już nie zdołasz do żywych narodu  
 „Nas zawieść, wzięła nóż od brata Października  
 „I pierś sobie ucięła. Krwawa z piersi rzeka  
 „Popłynęła; i tyle siły jeszcze miała,  
 „Że pierś swoją uciętą tobie jeść podała;  
 „A tyś poprawił lotu. Tyś nas nędznych zbawił;  
 „Ale tyś siostrę lepszą, tak o śmierć przypawił“.

Gdy to Żar-Ptak usłyszał, tchnął na Zorzy łono,  
 A tchnieniem swém zagoił pierś jej pokrwawioną  
 Odrazu. Pierś się pięknie znów zaokrągliła,  
 A Zoreńka z uśmiechem oczy otworzyła  
 Swoje.

Chciała ptakowi dziękować. Nie było  
 Już ptaka. Tylko w dali coś się złotem lśniło  
 Tam, gdzie Żar-Ptak uleciał.

Więc na żywej ziemi  
 Znowu się uściskała Zorza z braćmi swymi;  
 I poszli razem w góry, szukać zamków Leszka,  
 Gdzie czekając na żonę, wraz z duchami mieszka  
 Leśnymi. Niedaleka ich czekała droga,  
 I do zamków tych zaszli za pomocą Boga.

## PIEŚŃ X.

### WESELE MARZANNY.

**W**szędzie wokoło w lesie ptaszki święgotały,  
A liście u wszystkich drzew leśnych z lekka drżały  
Ponad głową Marzanny. Sama pozostała  
Pośród lasu, i żadnej drogi tu nie знаła,  
Ani ścieżki. I dziewczę wśród lasów chowane  
I pośród pól, ze strachem zaszłoby w nieznanne  
Knieje; Marzanna w murach zamkowych chowana  
Od dzieciństwa; i dla niej ze wszystkiem nieznaną  
Postać świata bożego; a więc tak się zląkło  
Dziewczę nieszczęśliwe, że w niem mało nie pękło  
Serce ze strachu, kiedy tak samo zostało  
Pośród puszczy. Myślała, że coś rozmawiało  
O jej bliskiej śmierci, gdy liście szeleściły  
Na drzewach; a znalazła jakieś dziwne siły,  
Jak w gorączce, które ją po lesie tak gnały,  
Jak gdyby coś tam znaleźć mogła. Las wspaniały  
Ponad jej głową szumiał, żalując jej trudu;  
Bo darmo biegła pośród drzew gęstego ludu,  
I darmo wciąż wołała. Biegła ciągle wkoło,

Drogi znaleźć nie mogąc; a echo wesoło  
 I na żarty jej krzyki wracało żałośne.  
 Wkrótce uczuła w sobie zmęczenie nieznośne,  
 I już myślała, żeby może dobrze było,  
 Gdyby ją w lesie stado wilków zobaczyło  
 I gdyby ją pożarło; takby długie bole  
 Ustały.

W drzew odwiecznych i olbrzymich kole  
 Stała chata leśnika. Strzechę mchy porosły.  
 Jak ojciec, swe konary nad nią dąb wyniosły  
 Roztoczył, co pokrywał chatę wielkiem cieniem  
 Swojem. Jakby zbawienie, Marzanna wejrzaniem  
 Konającym witała chatę.

#### Pod lepiane

Podstąpiła ściany i pod drzwi obwieszane  
 Wiankami suchych grzybów. Przez chwilę pobyła  
 Marzanna w niepewności; potem uchyliła  
 Drzwi, weszła w sienie ciemne i drugimi drzwiami  
 Do izby.

Cała izba dokoła grzybami  
 Była obwieszona. Na piecu popiół szary  
 Leżał, a wśród popiołu sterczał garnek stary  
 Drutami zlutowany. Na ziemi rogoża  
 Zastępowała w chacie zwykle miejsce łoża.  
 Zresztą był stół i ławy dokoła ścian stały;  
 Oto ubogiej chaty był dostatek cały.  
 Popod sufitem chmura dymu się ścieliła,  
 Bo tutaj po staremu kurna chata była,  
 I górne części ściany z dymu poczerniały.  
 Miejsce okna zajmował w ścianie otwór mały,



Okragły, błoną rybią szczelnie zalepiony.  
 Na stole zresztą leżał chleb świeżo pieczony,  
 A przy nim soli topka, siera kawał spory  
 I misa pełna mléka. Z ziarnem jakieś wory  
 I z mąką ką zaległy. I łyżka drewniana,  
 O brzeg miski oparta, w mléku zamaczana,  
 Była na stole; były koło stołu żarna.  
 Znać było, że uboga, ale gospodarna  
 Była chata. Nie było zresztą żywej duszy,  
 Tylko gdzieniegdzie mała myszka coś tam ruszy  
 Na podłodze; a czasem wielka, leśna mucha  
 Coś brzęcząc, lotem powie do Marzanny ucha.

Marzanna nie wiedziała, jak ubodzy ludzie  
 Żyją po wsiach i lasach i w pracy i w trudzie  
 Ciągłym; do złotych zamków zdawna wzwyczajona  
 Była; dziwną jej przeto się zdała bielona  
 Chata z razu. Nie było jednak teraz czasu  
 Na długie rozmyślenia, bo tak pośród lasu  
 Zgłodniała Marzanna, że biesiadą wspaniałą  
 I rozkoszną nad wyraz teraz się wydało  
 To, co na chłopskim stole leżało. Do ręki  
 Wzięła chleb, popijała mlékiem, i tak męki  
 Głodowe ukróciła; sęrem przykusiła;  
 Jak martwa na rogożę padła; potem śniła  
 O leśnej trwodze i o wielkich zamkach Leszka,  
 Gdzie nieznanym kochanek pośród puszczy mieszka,  
 Czekał na nią.

Raptem coś ją obudziło;  
 Już nie sama leżała w chacie; coś tam było  
 Przy niej żywego; coś tam głośno zastukało;  
 Oddech uczuła ciepły, którym jej zawiało

Coś po szyi. Zwróciła głowę i struchlała;  
 Niedźwiedzia ogromnego postać przy niej stała  
 Kudłata i bura; leb ogromny, zwieszony  
 Na dół, jęj obwąchiwał ciało, na wsze strony  
 Zwracając pysk i nozdrza. A niedźwiedź miał łapy  
 Olbrzymie i zębami uzbrojone chrapy  
 Wielkimi i tak ostremi, że kość każda biała  
 Takby się między niemi łatwo połamała,  
 Jak gdyby suchą czciną była.

#### Owładnięta

Przez trwogę, Marzanna tak leżała, jak ścięta  
 Pszenica na pomieci; ledwo oddychała;  
 I nawet oczu swoich zamykać nie śmiała.  
 Tylko patrzyła biędna ze zgrozą na zwierza,  
 Niewiedząc, co też niedźwiedź uczynić zamierza  
 W następnej chwili. Dusza w niej, jak wąż się wiję,  
 Odgadując, że niedźwiedź ją pewno zabije.  
 I śmierć oczekując tak królowna pobladła  
 Jak mur.

Ale poczwara Marzanny nie zjadła,  
 Tylko sposobem ludzkim do niej przymówiła;  
 „Witajże mi, dziewczyno, skoroś raz przybyła  
 „Tutaj, do mojej chaty. Pewnoś nie słyszała,  
 „Aby niedźwiedzia chata pośród lasu stała,  
 „Podobna do ludzkiej; i to tobie dziwota  
 „Że ludzkim głosem niedźwiedź przymawia niecnota  
 „I że tak, jak to każdy śmiertelny poczyta  
 „Za słuszne, nie zje ciebie, i owszem powita  
 „Gościnnie w swojej chacie. W lesie bywa prawo,  
 „Którego zwierz słuchać zwykł. Jeśli z dobrą sławą  
 „Niedźwiedź chce żyć i umrzeć, przestrzega praw leśnych,

„I zawsze się wstrzymuje od zbrodni niewczesnych.  
 „Więc każdy gościnności jakby oka w głowie  
 „Strzeże. Pewno nikt w puszczy tój o mnie nie powie,  
 „Abym gościnność zgwałcił, i każdy gość godny  
 „U mnie przytułek znajdzie, choćbym był jak głodny!  
 „Zostańże w mojej chacie; a bądź mi pomocą!  
 „Jest tu co robić; będziesz pilnie dniem i nocą  
 „Służyła niedźwiedziowi, który dobrodziejem  
 „Jest twoim; i godzinę każdą zapodziejem  
 „Przy robocie tak jakoś gładko, że nie zgadnie  
 „Nikt, kiedy dzień skończony i spać już wypadnie.  
 „A więc, dziewczyno, wstawaj; a powiedz odrazu,  
 „Jak cię nazwali ludzie? abym do rozkazu  
 „Każdego mógł dodawać zaraz twoje miano!“

Usłyszała Marzanna. Choć jeszcze zaspaną  
 Była, wstała; i imię swoje powiedziała,  
 Gotowa wszystko robić; bo się bardzo bała  
 Niedźwiedzia.

Wtedy niedźwiedź znowu tak przemawia:

„Każdy niedźwiedź porządny codziennie wyprawia  
 „Łowy po lesie, aby mógł nie umrzeć z głodu  
 „Potem. Kogo nadybie z płochego narodu  
 „Zwierzyny leśnej, tego udusi łapami  
 „Swojemi; ma także sprawę z leśnemi pszczołami.  
 „One miód układają; on im miód wybiera;  
 „Za to pszczoły go kłują; z tego nie umiera  
 „Jednak nigdy niedźwiedź, a pszczoły umierają,  
 „Które w rance niewielkiej żądło zostawiają  
 „Wraz z życiem. Taka bywa bowiem słuszna kara,  
 „Jeśli owadów nędznych niedołączna chmara  
 „Usiłuje się bronić przeciw ogromowi

„Królewskiemu niedźwiedzia; to ci bowiem powie  
 „Każdy, co w prawach tego świata jest uczony,  
 „Że słabszy bez szemrania służyć przeznaczony  
 „Mocniejszemu. Dzisiaj tyś słabsza — jam mocniejszy;  
 „Zatem karania godny słusznie krok najmniejszy,  
 „Niesforny, który spełniesz. Musisz mojej woli  
 „Słuchać, choć nawet ciebie to czasem zaboli;  
 „Nieposłuszeństwo bowiem gorzej bolić będzie,  
 „Kiedy na twoim karku gniew mój słuszny siędzie!  
 „A za twe posłuszeństwo i twoje usługi,  
 „Będę cię karmił, jeśli przez cały dzień długi  
 „Będiesz pracowała, a przyczynisz i nocy,  
 „Skoro tak się podoba mój niedźwiedziej mocy.  
 „Idę teraz na łowy, a kiedy powrócę,  
 „Będę się tobą cieszył, albo się zasmucę.  
 „Na starość potrzebują niedźwiedzie wygody;  
 „A ja teraz nie jestem już tak bardzo młody,  
 „Jak się komu wydaje: więc gdy na noc idę  
 „Spać, bez nocnej koszuli wielką cierpię biędę;  
 „Zwyczaj, ja wiem, niemiecki; przywykłem do niego;  
 „Jak bez koszuli sypiam, goście po mnie biegą  
 „I srogi ból po wszystkich kościach mi sprawiają,  
 „Tak że mnie w końcu wcale w nocy spać nie dają.  
 „A ja bardzo spać lubię. Nie masz co się dziwić,  
 „Że koszula niedźwiedzia może uszczęśliwić;  
 „Widzisz przecie, że niedźwiedź jestem oświecony,  
 „Bo gadam i mam w lesie własny dom bielony.  
 „Oto, Marzanno duszko, masz igłę i nici  
 „I sztukę płótna taką białą, że się świeci;  
 „Masz także nożyczki; masz niemi do wieczora  
 „Uszyć dla mnie koszulę. Właśnie będzie pora,  
 „W której do domu wrócę.“

Dał to, co powiedział  
 Marzannie niedźwiedz; potem już w chacie nie siedział  
 Niedźwiedz, tylko na łowy wyszedł. Pozostała  
 W chacie Marzanna i do szycia się zabrała  
 Pilnie; a igłą w ręku jakby sama szyla  
 Tak, że wieczór koszula już gotowa była  
 Całkiem.

Gdy niedźwiedz wrócił, Marzannę pochwalil.  
 Sam jadł i dał jej jeść, a potem sam się zwałil  
 Na piec i usnął. Ona poszła na rogożę  
 Spać, co teraz królewnej zastąpiła łoże  
 Miękkie. Nazajutrz niedźwiedz się obudził rano,  
 I łapą z lekka głasnął Marzannę zaspaną  
 Tak, że się obudziła. Potem garnek wskazał,  
 I krupy i kaszę jej gotować rozkazał,  
 Aby mógł wieczór spożyć jakąś ciepłą strawę;  
 A potem na myśliwską sam wyszedł wyprawę.

Marzanna drwa suchego do pieca nakładła,  
 Ogień wzniciła, kaszę zmięszała, i siadła  
 Na ławie koło pieca. Dawniej nie umiała  
 W zamku kaszy gotować, ale teraz chciała  
 Najlepiej niedźwiedziowi służyć; przeto strzegła  
 By się nie przydymila, aby nie wybiegła  
 Z garnka, i zaglądała często aż do środka,  
 Czy tam nieszczęście jakie kaszy nie napotka?  
 Kiedy raz tak nad garnkiem z łyżką w ręku stała,  
 Głos jakiś bardzo cienki w dole usłyszała  
 Na toku koło siebie. To myszka wybiegła  
 Z dziurki w lepianej ścianie, i na ziemi legła  
 Tuż koło nóg Marzanny.

## Ślicznie nóżki małe

Do modlitwy składała, i prośby nieśmiało  
 Piskliwie wymawiała: „Zaklinam i proszę  
 „I błagam i pokorne oto modły wnoszę,  
 „Abys ty się nademną biedną zmiłowała.  
 „Wiém, że jestem nikczemna i że taka mała,  
 „Żem wcale nie jest godna twój zwrócić uwagi.  
 „Ale głód to bicz mocny; dodaje odwagi  
 „Nawet myszkom, które zresztą pełne trwogi  
 „Wszystkiemu co na świecie ustępują z drogi.  
 „Wyście ludzie potężni; wyście nam wrogami,  
 „I od wieków już wojna trwa pomiędzy nami  
 „Myszami i rodzajem waszym; a koleje  
 „Tęj wojny zawsze takie, że człowiek się śmieje  
 „Z męki naszój, i że my bezsilnie cierpiemy.  
 „Taki porządek świata! My już o tém wiemy,  
 „I już nie narzekamy na was! Przy was siła;  
 „A moc, która przed wieki świat ustanowiła,  
 „Dała przemocy prawo pastwić się nad nami;  
 „Więc wy dobrze czynicie, skoroście panami  
 „Tego świata; przed wami kornie uciekamy.  
 „Ale pamiętaj o tém, że my także mamy  
 „Uczucia, i że słaby w sercu swém boleje  
 „Srodze, choć z tęj boleści mocny się zaśmieje,  
 „Nieraz. A kiedy głodu wielitośna męka  
 „Ze wszystkiem już stworzenia i złamie i znęka,  
 „Wtedy trwoga ustąpi i strach wielki znika,  
 „A słaby przystępuje do nóg przeciwnika  
 „Mocnego, w tęj nadziei, że jego zabije,  
 „Jeśli ma serce z głazu; że jeżeli żyje  
 „W nim iskra jedna czucia, boleścią wzruszony,  
 „Małego poratuje. Mały zrozpaczony  
 „Teraz wielkiego błaga. Oto z głodu ginę;

„I o łyżeczkę kaszy zaklinam dziewczynę  
 „Wielką. A myszka szara litość wynadgrodzi;  
 „Zobaczysz, że twa litość tobie szczęście zrodzi!“

Kiedy rzewną tę prośbę dziewczę usłyszało,  
 Wielką litość uczuło nad tą myszką małą;  
 Samo już biędę znało na świecie nie jedną,  
 Tém bardziej współczuwało z myszką głodną, biedną  
 I zrozpaczoną. Przeto na łyżkę nabrała  
 Kaszy i tam rzuciła, kędy myszka stała  
 Tam na toku.

Z radości myszka aż pisnęła;  
 Dziękować zapomniała zrazu; jeść się wzięła  
 Tylko łakomie; i gdy kaszę raz dopadła  
 Póty jadła, dopóki całej nie wyjadła.  
 Ale kiedy skończyła, zaczęła w te słowa  
 Dziękować: „Nie uczona moja mysza mowa  
 „Nie zdoła wypowiedzieć wszystkiego, co czuję;  
 „Ale czynami lepiej tobie podziękuję  
 „Jak słowy. Niedźwiedź wróci, kaszą się podzieli,  
 „Na piecu kamieniami wielkimi pościeli  
 „Sobie łoże; spać pójdzie; da tobie pęk kluczy  
 „I niemi brzęczeć każe po izbie. Pouczy  
 „Ciebie teraz mysz mała, byś go nie słuchała.  
 „Jednym tylko cmętarzem jest ta chata cała  
 „Niedźwiedzia; kości suche wielu ofiar leżą  
 „Pod tokiem; dla niedźwiedzia ty się staniesz świeżą  
 „Ofiarą, jeśli spełnisz grzecznie jego wolę  
 „I po izbie kluczami brzęczyć będziesz. Doleę  
 „Wielu dziewcząt gotuje tobie; kamieniami  
 „Tu z pieca ciskanemi zabije. On mami  
 „Cię tylko gościnnością; on nad wyraz srogi;

„Rodzajowi ludzkiemu, jako niedźwiedź wrogi  
 „Od początku, i jada łakomie dziewczęta;  
 „A przechwałką dlań tylko jest gościnność święta.  
 „Lecz ja pokażę tobie do ratunku drogę;  
 „Dziś człowieka ja mała myszka zbawić mogę.  
 „Jeżeli tylko mojej słuchać będziesz rady,  
 „Jak wiatr jakiś przewieją niedźwiedzia napady  
 „Nad tobą. Dasz mnie klucze, a sama rogóżę  
 „Pod stół położysz. Kamień tam lecieć nie może  
 „Z pieca; za to, że byłaś dla mnie taka grzeczna,  
 „Ja pobrzęcę kluczami; ty uśniesz bezpieczna.  
 „A skoro ta noc jedna bezpiecznie przeminie,  
 „Niedźwiedź nic ci nie zrobi, a myszka zasłynie  
 „Pośród myszek maleńkich z tego, że człowieka  
 „Wielkiego ratowała“.

Rzekłszy to, ucieka

Myszka do swojej dziurki. Marzanna została  
 Sama, i myśląc ciężko, kaszę gotowała  
 Dalej.

Wieczór powrócił niedźwiedź w złym humorze.  
 Czegoś się zasłociło nieznośnie na dworze;  
 Od południa niedźwiedź mókł; padał dęszczyk mały,  
 Lecz wielce przenikliwy; włosy przemakały  
 Na niedźwiedzim kożuchu wszystkie. Skoro wrócił,  
 Całą prawie zjadł kaszę; mało co odrzucił  
 Na bok dla Marzanny; a ona cicho siadła  
 Na ławie, i tam milcząc, głodna resztę jadła  
 Kaszy.

Potem na gościec niedźwiedź się oskarżał,  
 I na to, że się łatwo w słotę zakatarzał,



I na to, że od kiedy odstąpił rogożę  
 Przez grzeczność, sam na piecu dobrze spać nie może.  
 Nabrał tedy kamieni i na piec postawił,  
 Mówiąc, że tak poduszkę dobrą sobie sprawił  
 Pod głowę; potem mówił, że nerwowe bole  
 Miewa, jeżeli idzie spać tak zaraz po stole  
 Bez muzyki. Rozkazał tedy, by Marzanna  
 Kluczami przez całą noc dzwoniła. Gdy ranna  
 Zawidnieje zorza, jej czas będzie na spanie;  
 Bo niedźwiedź pokrzepiony wtenczas właśnie wstanie,  
 By pójść na polowanie. Teraz dla spokoju  
 Niedźwiedziego niech chodzi przez noc po pokoju,  
 I niech kluczami dzwoni!

Gdy to wypowiedział,  
 Już na piecu bielonym duży niedźwiedź siedział  
 I rozkazał Marzannie zagasić łuczywo,  
 A potem z kluczykami uganiać, co żywo,  
 Po chacie.

Ciemno było w chacie, jakby w rogu.  
 Niedźwiedź chrapał na piecu. Myszka z popod progu  
 Wybiegła niewidziana; Marzannę prosiła,  
 By jej wedle przestrogi kluczów ustąpiła.  
 Marzanna posłuchała; omackiem rogożę  
 Pod stół pociągnęła i upadła na łożę  
 Twarde; ale nie spała.

Niedługo potrwało,  
 A coś jakby gromem w chacie zahuczało.  
 Piorun szedł po piorunie; leciały kamienie  
 Z pieca tam, kędy ciągle kluczyków dzwonienie  
 Głowę Marzanny biédnej słuchowi wskazało.

Od pocisków zatrzęsło w nocy chatą całą  
 Niedźwiedzia; a w Marzannie zamierało serce.  
 Mało z trwogi nie skona biedna, w poniewierce  
 U niedźwiedzia królewna. Wzrost myszki maleńki  
 Myszkę chronił dzwoniącą przed pociskiem ręki  
 Dużej niedźwiedzia. Kilka gładów poleciało  
 I już na tok, kiedy myszce mądrzej się wydało,  
 Że trzeba klucze rzucić i uciec do dziury.  
 Już nie słyszał głosu żadnego ponury  
 Mrok. Niedźwiedź myślał pewno, że zabił Marzannę.  
 Padały jednak dalej ciosy nieustanne  
 Czas jakiś, aż milczenie nareszcie nastąpiło,  
 I już potrwało póty, póki nie zadniało.  
 Pośród milczenia tego zasnęła Marzanna.

Zbudziła ją dopiero pierwsza światłość ranna.  
 Słoneczko się zerwało wcześniej i spojrzała  
 Przez malutkie okienko w biedną chatę białą  
 Niedźwiedzia, a na toku chaty odznaczyło  
 Kółko okrągłe, które złotem się świeciło  
 Na glinie. Obok kluczków pęk leżał rzucony;  
 A koło kluczków stanął gładów stos spiętrzony.  
 Niedźwiedź zlął z pieca swego i koło dziewczyny  
 Stał leżąc jeszcze na ziemi.

„Bez winy

„Jesteś dziewczę“ rzekł, „widzę to teraz, i mogę

„Do Leszka cię wyprawić na weselną drogę.

„Już się więcej nie lękaj! próbę wytrzymałaś.

„Ty się do domu brata twego tu dostałaś,

„Nie do domu niedźwiedzia kniei zwyczajnego.

„Już dawno oczy moje ciebie, siostrze, strzegą;

„A teraz cię ustrzegły. Mnie Piastem nazwano

„Na ziemi: kiedy zechcę, niezliczone staną  
 „Zakłęcia w moich uśmiechach, i zwykły ład świata  
 „Wywraca, kiedy zechce, nauka bogata  
 „W moce, którą posiadam. Niedźwiedziem się stałem,  
 „Bo w tej postaci wiele rzeczy spełnić miałem  
 „Ważnych; i jeszcze teraz dalej pozostanę  
 „Niedźwiedziem; teraz jeszcze mam niedokonane  
 „Sprawy mnogie w postaci tej przywieść do końca.  
 „Ale żem Piastem, poznasz; bo cię córą słońca  
 „Uczynię jaśniejącą; zanim cię do brata  
 „Mojego Leszka zamków zawiodę, cud świata  
 „Uczynię z ciebie“.

Rzekł, i z chaty na murawę  
 Wyszedł niedźwiedź, w las. Rosa przydziała trawę  
 W perły połyskujące, a świat odmłodzony  
 Po deszczu, zdał się rankiem pięknym upojony.  
 Ptaszki po drzewach piórka swoje układały  
 Dzióbkami, albo śpiewem witały dzień biały,  
 Wołając swoje żony by z gniazdeczek puchu  
 Wyszły, by się przekonać, że już wszystko w ruchu  
 I żyjące.

Z niedźwiedziem wraz wyszła Marzanna  
 Z chaty. Pięknie oblała ją światłość poranna  
 Blaskiem złotym; Niedźwiedź na swoje tylne nogi  
 Wstał, i z paszczy swój dużej wydał okrzyk srogi,  
 Niezrozumiały. Okrzyk wzniósł się nad ponury  
 Las i doszedł aż do ścian lśniących Szklanej Góry;  
 Tam okrzyk usłyszała Chochlików gromada,  
 Spełniać rozkazy pana swego zawsze rada  
 I gotowa; Rusałki okrzyk usłyszały,  
 I posłuszne ze swoich krzesel się zerwały

Obłocznych, aby lecié na pańskie skinienie.  
 Konie ze stajen wzięto; niebieskie sklepienie  
 Od życia zahuczało; wozy wyciągnięto  
 I do złotéj karéty konie zaprzęgnięto  
 Bułane: do karéty panny powsiadały,  
 Niosąc z sobą zwierciadło, a orszak wspaniały  
 Rycerzy nadobłocznych weselnéj wyprawie  
 Towarzyszył.

By oddać hołd powinny sławie  
 Tego orszaku, słów mnie nie starczy; zbroice  
 Mieli z blasków niebieskich; jasne błyskawice  
 Przekuł zastęp Chochlików na złote ostrogi,  
 Na miecze i na kity. Najpiérw mlécznéj drogi  
 Szlakami pojechano. Ta niebieska droga  
 W dzień niewidzialna, bo ją przyémié światłość błoga  
 Słoneczna, ale zawsze gwiazdy wyłożona  
 Stoi na niebie; po niéj karéta złożona  
 Czas jakiś popędziła, otoczona rojem  
 Chochlików tak licznym, że móglby wstępnym bojem  
 Niejedno wojsko ludzkie przemódz, gdyby tylko  
 Chochlików tych wytrwałość nie mierzono chwilką  
 Przelotną, jak błyskanie pogodnego nieba;  
 Ale dzień cały liczyć to wojsko potrzeba,  
 I tak cudownie miga się, błyszczy i świta,  
 Jak w słońcu jasném łuska węża złotolita.

Z mlécznéj drogi zjechała potém kawalkada,  
 Bo tęcza siedmiobarwna lepiej ją układa;  
 Mlécznéj drogi o północ bowiem sparte końce  
 Gwieździste i południe: a poranne słońce  
 Tak dziś uprzejmie tęczę kraśną postawiło,  
 Że po niéj wprost do lasu zjechać można było,

W którym zamieszkał niedźwiędź. Po tej tedy drodze,  
Po jasnej, siedmiobarwnej, promiennej podłodze  
Niebieskiego mostu w bór wjechały orszaki.

Tu, aby jechać dalej obrosłemi szlaki  
Leśnemi, postać swoją cudem przemieniły;  
Ledwo widome ciała wśród trawy się lśniły  
Leśnej blaskami nieba. Widząc tych rycerzy,  
Karętę i w niej panny, snadno ktoś uwierzy,  
Że to tylko promienie słońca w las się wdarły,  
Drgając po suchych liściach i po ziołach. Karły  
Mknęły piorunem przez las.

Wreszcie na plac wolny

Przed chatę wyjechali, nieco większych zdolny  
Pomieścić. Tu zdziwiona Marzanna ujrzała,  
Jak się z gąszczy pod dęby wysypała cała  
Kawalkada niebieska. Konie jakby szczury  
Były, jak myszy ludzie, co z niebieskiej chmury  
Na świat ten wyleciały wśród blasków porannych.  
A wszystkie tak promieni pełne są i szklanych,  
Tęczowych lśniień, że cały dzień patrzeć gotowa  
Marzanna na to, jak się mieni ta tęczowa  
Rzesza.

A niedźwiędź do niej w te słowa przymówi:

„Patrzaj na ten lud, co u stóp twoich się mrowi,  
„Jaśniejac! To są twoje weselne orszaki!  
„Przystaniesz do nich. Póki obrosłemi szlaki  
„Leśnemi będzie orszak jechał, póty cały  
„Wraz z tobą, będzie taki, jak tu widzisz mały.  
„Inaczéj go gałęzie przez las nie wypuszczą.  
„Ale kiedy się raz już pożegnacie z puszczą

„Czarną, napowrót postać przybierzecie ludzi  
„Zwyczajnych; tylko świetność orszaku obudzi  
„Powszechne zadziwienie pomiędzy narodem.  
„Wtedy na Wawel gońca wyszlesz konno przodem,  
„Aby na zamku pani zamkowej ogłosił,  
„Że się u niej w gościnę król możny zaprosił.  
„Ona tém się ucieszy; bo to pani próżna,  
„I jej podchlebi króla drużyna podróżna,  
„Co się do niej zaprasza. Wyjdzie na spotkanie  
„Twoje; niespodziwany gość w jej oczach stanie;  
„Jednak ciebie z uśmiechem na uściech powita,  
„Choć ją w serce ukąsi żmija jadowita  
„Zawiści; ale tobie nie będzie odmawiać  
„Gościnności, bo wojska się będzie obawiać  
„Twojego. Kiedy będziesz na jej zamku bawić,  
„Masz Welindzie obszernie o tém wszystkiem prawić,  
„Co ci się tutaj stało; wszystko opowiadaj,  
„Tylko o myszce owęj szaręj nic nie gadaj,  
„Którą tyś najpierw kaszą u mnie nakarmiła,  
„A która potem w izbie kluczami dzwoniła  
„Za ciebie; o kamieniach także nie mów słowa!  
„Takto dojdzie Welindy wydarzeń połowa.  
„Tobie to tylko powiem, że mysz owa mała  
„Przezemnie wyprawioną do ciebie została;  
„Żem ją z umysłu darzył darem ludzkiej mowy,  
„I że ją nauczyłem ciebie prosić słowy  
„Rozczulającemi. To było doświadczenie  
„Twojego serca. Idźże! Moje pouczenie  
„Zachowaj w pamięci! Gdy Welinda się dowie  
„Już tego, co masz mówić jej w ostrożnej mowie,  
„Kiedy już jej pochwalisz moje dzielne moce,  
„Kiedy jej powiesz, jakie cuda jasne złoce  
„I stroję, a ukryjesz me prawdziwe miano,

„Wtedy niech w pogotowiu znowu sługi staną,  
 „Konie i powozy, i niech z tobą pojedą,  
 „Zostawiając na zamku od zawiści bladą  
 „Welinę. Znajdą sługi twoje dobre drogi,  
 „Aby z tobą zajechać aż w Leszkowe progi;  
 „Tam mnie jeszcze nie będzie! goście inni będą,  
 „Co u stołu wielkiego godowego siędą  
 „Wraz z tobą. Jednak proszę i na mnie czekajcie!  
 „Przyjadę; gdy przyjadę miód i wino dajcie,  
 „Abym się tam nacieszył, zasiadłszy pospołu  
 „Z wami u biesiadnego a sutego stołu,  
 „W czasie twego wesela“.

Skończywszy przymowę,

Skinął niedźwiedź łapą na panny pokojowe,  
 Które w złotej karecie zjechały przed chatę.  
 Wyszły z karęty, niosąc zwierciadło bogate  
 W ręku, i to zwierciadło pani pottrzymały,  
 Aby postać ujrzała swoją i wspaniałą  
 Strój, w który Piast zamienił jej chłopskie ubranie.  
 Marzanna zadziwiona przed zwierciadłem stanie;  
 Koronki z pajęczyny przekryły jej szatę,  
 Na którą się złożyły motyle skrzydlate,  
 Dając swe łuski barwne; a na głowie miała  
 Koronę, co jak drugie słońce zajaśniała;  
 Cała ze skamieniałych pereł rosy była;  
 Każda perła słonecznym zwierciadłem zalśniła  
 Promieniejącem; cudne życie ją zdobiło.

Panna się ucieszyła tą postacią miłą,  
 W którą ją przyoblokły wdzięczne Piasta czary.  
 Patrząc długo w zwierciadło, dać nie mogła wiary  
 Temu, że się tak piękną stała w leśnej chacie,

Że jak jaka bogini wyglądała w szacie  
Swojej nowój.

Nareszcie oczy odwróciła  
Od zwierciadła i na las stary popatrzyła  
I orszak swój weselny. Oniemiała prawie;  
Bo teraz była świadkiem arcydziwnej sprawie;  
Orszak i karéta już małe nie były  
Wcale; jako jój równe teraz się jawiły;  
Jednego były wzrostu. Na górze, wysoko  
Zaledwo szczytów leśnych dosięgało oko;  
Drzewa się zamieniły w wielkie jakieś góry  
Zielone, pełne liścia szumnego; a bury  
Niedźwiedź, choć się już spuścił znów na cztery nogi,  
Takim się teraz wydał wysokim, że trwogi  
Okrzyk wyrwał się z piersi Marzanny złąknionej  
Widokiem téj poczwary strasznej, w niezmierzonej  
Przez oko puszczy leśnej; ale zrozumiała,  
Że z rozkazania Piasta maleńką się stała,  
Aby móżdż jechać śmiało przez leśne gęstwiny.

Dwaj rycerze z ukłonem przyszli do dziewczyny  
I ją poprowadzili do karéty. Siadła  
Między swemi pannami dworskiemi, i wpadła  
Wraz z karétą złoconą i orszakiem całym  
W gąszcz leśną. Kto się piérwój wydawał być małym,  
Teraz wydał się dużym, a co wpiérw bywało  
Wielkiem, teraz nad wyraz ogromném się stało.  
Nawet tego nie czuła królewna Marzanna,  
Jak jeszcze raz zmalala, a razem z nią szklanna  
I złota karéta, i ten orszak jój cały,  
Dzielny, żwawy i złoty, buńczuczny, wspaniały,  
Krolewski. Orszak ruszał leśnych mrówek drogą



I przez miejsca przejeżdżał, które tylko mogą  
 Nawiędzać owady bez strachu i przeszkody.  
 To też dziwnemi jej się wydały narody  
 Sześcionogie które w tej drodze spotykała,  
 I orłem ćma małańka jej się wydawała  
 Dziwiąc skrzydły szklannemi. Żuki zachodziły  
 Jej drogę, i wołami pancernemi były  
 W jej oczach; zamienione w drzewa leśne trawy,  
 A lasem młodym dla niej były mchu murawy  
 Gęste. Drzewa prawdziwe znikły gdzieś u góry,  
 Ledwo dostrzeżone; a ptaki jakby chmury  
 Dalekie ponad głową orszaku leciały.  
 W oczach Marzanny dziwnie zmienił się świat cały;  
 Inne zwierzęta, drzewa, ptaki otaczały  
 Królownę, i poznawać nie mogła kształt znany,  
 Teraz dla niej więcej jak stokroć powiększany.  
 Rzeczy, na których zwykle spoczywało oko,  
 Znikły dla niej w oddali niezmiernie wysoko;  
 A zato inne rzeczy dotąd niewidziane,  
 Oko teraz odkryło: kształty zakazane,  
 Niewyraźne stworzenia, które zamieszkały  
 Wnętrze roślin, i grzybów dziwnych światek mały,  
 Który rósł wszędzie, gdzieby jego nie posiano.  
 W powietrzu jakieś jajka dziwne oglądano,  
 Włosami ruchomemi całkiem obrośnięte  
 I każdym wiewem wiatru w inną stronę pchnięte.

Nie długo cuda twały; wkrótce wyjechała  
 Z lasu Marzanna i znów zwykły świat ujrzała.  
 Sama znów urosła i urosły orszaki  
 Jej, skoro wyjechały na szerokie szlaki.  
 Żyto w pas ludziom było, a lipy zielone  
 Oczami kwiatów z góry patrzyały; zwieszzone

Liście brzoź nad karętą smętnie powiewały;  
W miarę i lik ujęty znowu był świat cały.

Gromady podziwiałły orszaki podrózne,  
Konie bystre, powozy i ubrania różne  
Mnogich rycérzy; właśnie wylęgły na pole,  
Bo dościgające już żyto kryło role  
Srébrzystemi kłosami; więc z sierpami wyszli  
Ze wsi ludzie, i żyto żąć na pole przyszli;  
Długie dźbła żytnie trupem kładli, potem w snopy  
Grube wiązali; wreszcie układali w kopy,  
Które, jak wielkie ule jakieś, rzędem stały  
Na ścierni; na nie sroki zuchwałé siadały,  
Trzepiąc długim ogonem. Z boku pszenne łany,  
Jeszcze nie całkiem złote, w żyto mordowane  
Z litością patrzyły; a przez myśl im nie przyszło,  
Że los podobny na nie spadnie, może w przyszłą  
Już niedzielę.

Żniwiarze pani się kłaniali;  
Strażnicy polni prędko na zamku znać dali  
W Krakowie, że pan jakiś wielce możny jedzie  
I z sobą hufce strojne i orężne wiezie.  
Zdziwiła się Welinda, lecz się domysłała,  
Że w gościnę przyjeżdża ta rzesza wspaniała,  
Skoro nie słyhać gwałtów, ni srogiej łupieży.  
Jednak ciekawa wyszła na szczyt wielkiej wieży,  
Aby lepiej zobaczyć hufiec wystrojony,  
Który z kądęs zajechał aż w krakowskie strony.  
Tutaj goniec ją zastał od króla przysłany,  
Który odwiedzał ninie bujne Polskie łany.  
Goniec prosił królowę, by w swoją gościnę  
Raczyła przyjąć jego i jego drużynę;

A Welinda odrzekła, że chwałą jej będzie,  
Kiedy władca tak możny przy stole usiedzie  
We własnym jej zamku.

Wnet mosty puszczano

I bramy otworzono. Tłumnie goście staną  
Na dziedzińcu. Na gości wyszła powitanie  
Pani Krakowa; we drzwiach wystrojona stanie  
I w uśmiech stroi lice. Hufce zajęchały.  
Aż oczy pani zaćmił ten widok wspaiały,  
I w serce pyszne żądłem ubódł; pomyślała,  
Że w całym swym królestwie skarbów tych nie miała,  
Które tutaj jaśniały. Rycerze skoczyli  
Z koni i od karęty furtę otworzyli.  
Wyszła królowa — nie król; a tak wystrojona,  
Że blaskiem swoim na nie Welinę pokona,  
I tu w dworzan obliczu w pomywaczkę zmieni.  
Uzwała to Welinda; z żalu się rumieni;  
Lecz nad sobą panuje. Stoi uśmiechnięta  
We drzwiach, choć ją zagryza nienawiść nieświęta  
I zła kobieca zazdrość.

Wyszła kroków parę

Naprzód, aby uściskać gościa. Ponad wiarę  
Rzecz obaczyła; wyszła z karęty Marzanna;  
Na niej drogich kamieni płonie jasność szklanna,  
Księżycowa, słoneczna; ona przemieniona  
I taka teraz piękna, że Welinda kona  
Z zazdrości, patrząc na nią. Chwilę się zmieszała  
Pani obłudna; chwilę nieruchomie stała  
I pięście zaciskała; to niedługo trwało  
Jednak; Marzanna bowiem mogła śmiało  
Z wojskiem swoim na zamku rozpoczynać boje,

I rozumna Welinda drżała dziś o swoje  
 Czeladzie. Toć w objęcia Marzanny leciała  
 Z uśmiechem i okrzykiem, zapłakana cała;  
 Zgryzota wyciskała z oczu łez potoki,  
 A w sercu u Welindy skrył się ból głęboki  
 I gorzki jakby piołun; ale udawała  
 Welinda, że z radości wielkiej tak płakała.  
 Niebiosom dziękowała, że córkę wróciły;  
 Nigdy poranek letni nie był jej tak miły  
 Jak teraz widok dziecka; macierzyńskie serce  
 Przez tych dni kilka było w srogięj poniewierce,  
 W opustoszałym zamku; bez córki widoku,  
 Nie było w sercu szczęścia ani światła w oku;  
 Tém więcęj jeszcze biedna Welinda cierpiała,  
 Że o własnej swęj winie najlepiej wiedziała.  
 I że to nieustannie wyrzucała sobie,  
 Że potępiła córkę w nieszczęśliwej dobie,  
 I za małą przywinę. Boskie zmiłowanie  
 Jednak i grzesznikowi wielkiemu się stanie;  
 Bóg jej córkę przywrócił. Za to dzięki składa  
 Bogu.

Tak to Welinda do Marzanny gada  
 I pod rękę prowadzi do biesiadnej sali,  
 Gdzie już wojewodowie na gościa czekali.  
 Do stołu kochanego swego gościa sadza,  
 Jemu i całej rzeszy dworzan tak dogadza,  
 Jak może, jadłem sutem i szumnym napojem;  
 Bo muszą być zgłodniali długim drogi znojem.  
 Marzanna uśmiechnięta, niby w dobrej wierze  
 Zaufała Welindzie, lecz ostrożnie bierze  
 Z tego tylko naczynia napoju i jadła,  
 Do którego Welinda dłonie swoje kładła

Lub usta. Z doświadczenia albowiem wiedziała  
 Marzanna, że Welinda już nieraz bywała  
 Trucicielką — i nieraz widziała, jak wrogi  
 Swoje wysłała zła królowa na drogi  
 Rajskie, kładąc na usta uśmiech, i jedzenie  
 Podając gościnnie. Wciąż ciekawe wejrzenie  
 Welindy badało strój i piękność Marzanny;  
 A w sercu u Welindy tlał żar nieustanny  
 Piekącej nienawiści.

Gdy od stołu wstała,  
 W innej zamku komnacie Welinda spytała  
 Marzannę, w jaki sposób te mnogie kléjnoty  
 Dostała niezwyčajnej jasności i cnoty?  
 I czym darem były te przedziwne szaty?  
 I gdzie to do niej przysłał ten orszak bogaty  
 Rycérzy?

Marzanna już pierwój pouczone,  
 Teraz rozkaz niedźwiedzia ze wszystkiem wykona;  
 I opowiada wszystkie swe leśne przygody;  
 Kończąc, mówi, że na nią czeka już pan młody  
 W zamku gdzieś u zachodu, że do niego droga  
 Pilna, i że nadzieja tam ją wiedzie błoga  
 I szczęścia i kochania; tylko ukrywała  
 To, o co mysz prosiła, i co myszy dała;  
 I tylko ani słowa o tém nie mówiła,  
 Że niedźwiedź w nocy kazał, by pękiem dzwoniła  
 Kluczów: że przedtém myszka szara ją przestrzegła,  
 A potém w nocy sama z kluczykami biegła,  
 Dzwoniąc; i o tém także nie rzekła i słowa,  
 Jak niedźwiedź kamiëniami rzucał. Na tém mowa  
 Jój się cała skończyła, że opowiedziała,

Jaką nagrodę sutą za służbę dostała;  
 O tém, że niedźwiędź Piastem, i słowa nie rzekła.  
 Potém zamek zegnała.

A Welinda wściekła

Tę powieść wysłuchała; a potém prosiła,  
 Aby przenocowała w zamku córka miła.  
 Marzanna znowu rzekła, że ją bardzo holi  
 Że z zamku już odjedzie, jednak nie od woli  
 Jój własnej zależało; jechać przymuszona  
 Z zamku, tój jeszcze nocy, przyszła Leszka żona.  
 I wyjechała. Ludzie powiadają cicho,  
 Że na drogę Marzannie zgotowała lichu  
 Jakieś Welinda skrycie, i że zastawiała  
 Mnogie nocne zasadzki. Jednak złość jój cała  
 Na niczém spełzła teraz; obłocznemi szlaki  
 Pojechały na zachód Marzanny orszaki;  
 I po tęczach i zorzach i przez mlęczne drogi  
 Zajechały bezpiecznie aż w Leszkowe progi.

\* \* \*

Przez noc całą Welinda oka nie zmrużyła,  
 Do łóżka nie poszła, a tylko się patrzyła  
 Wciąż do swego zwierciadła; wciąż się go pytała,  
 Czy tak piękną Marzanna tylko się wydała?  
 Czy istotnie była? Czy na prawdę potęga  
 Marzanny moc Welindy przewyższała? Wstęga  
 Pytań i myśli ciągle wkoło się toczyła,  
 I jedną wciąż odpowiedź wydawała siła  
 Czarodziejska zwierciadła.

Wciąż odpowiadało:

- „Teraz tyś zgasła; naród widział moc wspaniałą  
 „Marzanny. Gardzi tobą. Tyś tak bardzo mała  
 „Narodowi całemu teraz się wydała,  
 „Że wspominać nie warto więcej twojej sprawy.  
 „Nie zdoła już panować pozbawiona sławy  
 „Królowa. Jeśli pragniesz berło dalej dzierżyć,  
 „Jeśli chcesz, by narody mogły jeszcze wierzyć  
 „W to, żeś ty im królową, musisz taką władzę  
 „Jak Marzanna okazać. Przeto tobie radzę,  
 „Narody twe zadziwiaj! Bo nie zadziwione  
 „Nie zechcą znosić jarzma. Nakłada koronę  
 „Złotą królom na głowę, i znowu ją strąca,  
 „Zdziwiona, albo chłodna rzesza, nie myśląca  
 „Nigdy, zawsze czująca tylko i zmysłowa.  
 „Okiem gawiedzi rządzi królów zimna głowa.  
 „Miejże głowę na karku! Podbij sobie oko  
 „Ludu, a przez to oko — wolę; a wysoko  
 „Znowu wzniesiesz stolicę nad gawiedzi karki,  
 „I znów bezkarnie będzie berło twoje, barki  
 „Tłumu podłego smagać. Ale nie trać chwili,  
 „Bo ludzie dziś Marzanny mocą się zdziwili,  
 „A nie twoją potęgą. Okaż skarby, zbroje!  
 „Niech ludy ujrzą większe jeszcze moce twoje!  
 „Inaczéj nie dasz sobie już z narodem rady,  
 „Nie stłumisz ciągłych buntów, nie ustrzeżesz zdrady;  
 „Naród, bydłę, uczuje, jak ma mocy wiele,  
 „I swoje kły złowrogie w twojem zboczy ciełe.  
 „Kto raz panować zaczął, temu już nie wolno  
 „Ustępować. Więc dowiedz gawiedzi, żeś zdolną  
 „To czynić, co Marzanna, żeś najpierwsza w świecie!  
 „Gdy o tém zwątpi gawiedź, zaraz ciebie zgniecie  
 „Na miazgę!“

Odpowiedzi słuchając, pobladła  
 Welinda i zwierciadło odrzuciła. Padła  
 Szybka o ziem i pękła na drobne kawały.  
 Zwierciadłem stał się każdy kawałeczek mały  
 Osobném, w którym świecił odbity, a błady  
 Błysk świecy, ale żaden nie miał daru rady  
 I mądrości cudnego. Welinda ujrzała  
 Potłuczone kawały; jakby skamieniała  
 Stała nad niemi. I cóż czynić wypadło  
 Teraz? Ubodło dumną rozumne zwierciadło  
 Radą. Ale doradcy nie znosiła pani  
 Wyniosła; bo gdy rada czyją dumę zrani,  
 Radę odrzuci gniewnie i doradca zginie  
 Nieraz; żal pozostanie, kiedy gniew przeminie  
 I doradcy nie stanie. Nieporadną była  
 Teraz mądra Welinda; zwierciadło zabiła,  
 I wyraźnie jaśniała ta prawda w jej głowie,  
 Że nikt z dworzan jej teraz już prawdy nie powie.  
 Przed groźną panią każdy chętnie się odzywa  
 Z podchlebstwem; gorzka prawda rzadkim gościem bywa  
 Na pańskich dworach.

Ale już teraz przepadło!

Na wieki oniemiało czarowne zwierciadło,  
 I zostawiło tylko ostatnią przestrożę  
 I niepewność nieznośną i zawiść i trwożę  
 Ściskającą serce. Przez chwilę nieruchoma  
 Stała Welinda ponad kawałkami stoma  
 Stłuczonego doradcy. Lecz wnet pomyślała,  
 Że niegdyś bez zwierciadła poradzić umiała  
 Na niejedną rzecz trudną. I teraz podola  
 Wszystkiemu.



Niecierpliwie służbę swoją woła,

Każę cugi zaprzęgać, i dosiadać konie.

Jeszcze słońce nie wstało, ruszyła na błonie

Pod Wawelem; w karęcie i w orszaku mnogim

Przez pole, potem przez las ku progom ubogim

Niedźwiedzia jedzie; wreszcie w pustynne bezdroże

Zajechała, kędy już powozem nie może

Nikt jechać, kędy rosłe konie iść nie mogą.

Karętę opuściła i konie, a drogą

Leśną poszła z kilkoma dworzany swoimi,

Po miękkiej, leśnej, czarnej i wilgotnej ziemi,

Przykrytej opadłymi żółtymi liśćmi.

Słońce dawno już ponad leśnemi gąszczami

Zajaśniało i wewnątrz gąszczy rozjaśniło,

Kiedy Welinda chatę ujrzała pochyłą.

Niedźwiedzia, która w cieniu drzew ogromnych stała

I jakby na przybycie królowej czekała

Cierpliwie, nałożywszy strzechę tak na głowę,

Jak chłop czapkę zimową. A liście dębowe

Szumiały ponad chatą, wspominając czasy,

Kiedy młodemi jeszcze były Polskie lasy.

Przed chatą leżał niedźwiedź. Nie spał; odpoczywał

Tylko, i liżąc łapy wygody zażywał

I wczasu porannego. Zda się zadziwiły

Niedźwiedzia te orszaki, które się zjawily

Pod jego strzechą. Spojrzał na Polską królowę

I na orszaki dumnej pani doborowe,

Co z zamku wraz z nią wyszły.

Wstał na przednie nogi

I rzekł: „Cóż to przywodzi pod mój dom ubogi

„Królowę, co w koronie chodzi, i orszaki  
„Królowej? Klęską będzie dla mnie zaszczyt taki  
„Nadmierny, bo nie wiem, jak mi przyjąć wypadnie  
„W mej nędznej chacie gości ubranych tak ładnie?“

Gdy usłyszała taką niedźwiedzia przymowę,  
Pochyliła Welinda aż do ziemi głowę  
Mówiąc: „Jam jest Welinda i Polska królowa,  
„Tobie, niezwieździu, służyć we wszystkiem gotowa.  
„Ja wiele umiem robić; uszyję koszule,  
„Któremi obolałe twe członki otulę,  
„Tak; że się wnet zagoją; a jeśli zakłuje  
„Ciebie kiedy coś w środku, ulopki zgotuję  
„Cudowne i kojące dziwnie. Za usługi  
„Od ciebie to dostanę, czem ty zwykłeś sługi  
„Twoje nagradzać“.

Takie to wyrzekła słowa  
Welinda. Zawsze jeszcze pochylona głowa  
Pani, i postać cała pokorę kłamały,  
A ręce jej na piersi w krzyż złożone stały,  
Jako u błagającej.

Niedźwiedź wyraz śledzi  
Na jej twarzy wyraźnie; potem w odpowiedzi  
Takie wygłasza słowa: „Za służbę zapłacę,  
„Co warta służba będzie. Za uczciwą pracę  
„Nagradzam czasem chłopów; lecz żeby królowa  
„Do mnie po służbę przyszła, rzecz to wcale nowa,  
„I dla mnie niespodziana. Wątpię, by robiła  
„Dobrze; bo wątłą bywa wypieszczona siła  
„U pań wielkich; a to czem ja sługę uraczę,  
„To chleb suchy na codzien, od święta kołacze

„Albo kasza hreczana; dla pań to potrawy  
 „Nie smaczne. U mnie w chacie twarde tylko ławy,  
 „Piec i rogoża; nie znam ja innęj wygody;  
 „A tyś pośród rozkoszy spędziła twój młody  
 „Wiek; przeto nie potrafisz przyzwyczaić ciała  
 „Do tego ubóstwa. Tyś wśród służby mieszkała  
 „Zawsze licznęj. Ja w chacie jednego przyjmuję  
 „Sługę tylko; zamiata, szyje i gotuje  
 „Sam. W chacie niema miejsca na orszaki twoje;  
 „Ledwo mogą je ująć zamkowe pokoje;  
 „Jeżeli chcesz być u mnie, musisz je odprawić,  
 „I samotnie z niedźwiedziem pośród lasu bawić.  
 „Zresztą już niedźwiedź zgoła tego nie pojmuje,  
 „Co tobie królowania rozkosz boską psuje?  
 „Co ciebie z zamków pędzi, do lasów nagania?  
 „I co do twardej u mnie służby cię nakłania?  
 „Chyba mnie się wydaje, że cię opętało  
 „Coś, królowo!“

Welinda odrzekła: „Gdy małą  
 „Jeszcze byłam, chowano mnie twardo; więc umiem  
 „Znieść niewygodę wszelką, i wszystko rozumiem,  
 „Co rozumieją sługi. Doszła moich uszu  
 „Wieść o twojéj dobroci i twoim jenuszu,  
 „Zacny niedźwiedziu! Wiem, żeś ty jest lasów głowa;  
 „Przeto łaski twéj żadna śmiertelna królowa  
 „Przyszła łaski twéj szukać. A odprawię sługi.  
 „Żaden dzień w służbie twojéj nie będzie zbyt długi!  
 „Żadna praca zbyt twarda! Sama pozostanę  
 „Z tobą. Jeszcze, niedźwiedziu, tobie nie są znane  
 „Usługi kochającej naprawdę istoty.  
 „Bardzo rad będziesz ze mnie, mój niedźwiedziu złoty!  
 „Spróbuj tylko!“

Kiedy to rzekła, odprawiła  
 Welinda służbę swoją i wnet w chacie szyla  
 Niedźwiedziowi koszulę. Niedźwiedź ją zostawił  
 Samą w chacie, a sam się na łowy wyprawił  
 Zwyczajne. Poznawała w chacie wszystkie sprzęty,  
 O których od Marzany słyszała; pogięty  
 Stół dębowy spoczywał na nierównych nogach;  
 Worki z kaszą i zbożem leżały po rogach  
 Izby, a chleb na stole; żarna także stały  
 Koło ław drewnianych, i garnek stał niecały,  
 Stary, zadrutowany, na piecu; kamieni  
 Dużych stos także leżał na piecu; od sieni  
 U drzwi drewnianych widać zasuwkę drewnianą;  
 Zamiast łóżka rogoża leżała pod ścianą.

Dziwnie pośród ubóstwa tego się wydała  
 Pani w jedwabnej szacie; w ręku swoich miała  
 Iglę, nici i płótno; igła nic wodziła  
 Po płótnie, i koszulę niedźwiedziowi szyla  
 Dość niecierpliwie. Kawał chleba była zjadła,  
 Zanim na ławę twardą, drewnianą usiadła,  
 A potem się skrzywiła; bo nie smakowało  
 Welindzie, co na stole u niedźwiedzia stało.  
 Dawno odzwyczajona już od chłopskiej strawy,  
 Lubiała tylko jadać królewskie potrawy,  
 I robić zapomniała. Szło jakoś nie sporo,  
 I mało zrobionego było późną porą,  
 Kiedy niedźwiedź powrócił. Nie miała ochoty  
 Welinda teraz wcale do takiej roboty,  
 I ciągle odkładała igłę i marszczyła czoło;  
 Tak to dzień przeszedł dla niej bardzo nie wesoło  
 I przeklinała chwilę, w której się dostała  
 Do tej chaty; a płótna sztuka ciężka, biała,

Prawie nie nadpoczęta leżała na ławie,  
Kiedy niedźwiedź powrócił. A spojrzał ciekawie  
Zpod oka na Welinę, i na jej robotę.

Potem rzekł do niej niedźwiedź: „Widzę, że zgryzotę  
„Tylko mi sprawisz w chacie, ty ludzka królowo!  
„Prawda, że masz koronę złocistą nad głową,  
„I jedwabne ubranie, i prawda, że gadasz  
„Cuda o tém, jakimi wymysłami władasz  
„Ze wszystkiem cudownemi. Ale tyś nie warta  
„Nic w istocie, i szkoda, żeś taka uparta,  
„I że chciałaś koniecznie pozostać w tej chacie,  
„Z koroną twoją złotą i w jedwabnej szacie.  
„Koszuliś nie uszyła. Jedna tylko rada  
„Będzie z tobą; niedźwiedzia łapa tak zagada  
„Po twoich plecach białych, że będziesz robiła  
„Potem, jak się należy, ty królowo miła!”

Tak się niedźwiedź ofuknął. Welinda milczała,  
Chociaż gniewu i pychy srogiej pełna cała.  
Niedźwiedź dał jej chleba jeść. Z obrzydzeniem jadła  
Tę grubą strawę; potem ubrana się kładła  
Na rogożę — lecz usnąć nie mogła; a czuła  
Tylko gniew i znużenie. Całą noc się snuła  
Po głowie myśl jedyna o tém, jak wyjedzie  
Z cudownym orszakiem ztąd; na rycerzy przedzie  
Potoczy się karéta; a tak piękną będzie  
Królowa, co w karécie tej złotej usiedzie,  
Że wszyscy ludzie będą widokiem zdziwieni,  
I legną pod stopami pani, zwyciężeni  
Samą jej wspaniałością. Tak rządy utrwali.  
Wtedy nocą w las wpadnie, i tę chatę spali,  
I wraz z chatą niedźwiedzia, co jej robić każe.

Tak to w nocy marzyło owo dziecko wraże —  
Welinda.

Kiedy znowu zawidniało rano,  
Welindzie kaszę w garnku gotować kazano;  
I bardzo się Welinda rozkazem cieszyła,  
Bo pamiętała dobrze, że nie inną była  
Druga służba Marzanny; więc się spodziewała  
Podobnej także nagrody czarownica śmiała  
I podstępna. A niedźwiedź znów wyszedł na łowy.  
Welinda była głodną i miała ból głowy  
Srogi dla bezsenności; niewiele do garnka  
Przeto zaglądała ta niechętna kucharka,  
Tylko marząc niedobrze, na ławie siedziała  
I w przeróżne figury palce układała.

Wtedy to szara myszka zpod ściany wybiegła,  
I koło stóp Welindy złej na toku legła,  
Prosząc słowy ludzkiemi: „Prześliczna królowo,  
„Coś w naszej chacie siadła z pozłożoną głową!  
„Ja jestem matka dzieciom i jam głodna bardzo.  
„Tacy, jak ty królowie, biednymi nie gardzą.  
„Dzieci moje wołają o pokarm od rana,  
„A piersi moje wyschły, bom głodem nękana  
„Od rana. A więc zlituj się nademną biedną,  
„I nad dziećmi mojemu, które marnie więdną  
„Tam w mojem gnieździe małym! Rzuć mi łyżkę jedną  
„Kaszy, tylko jedną! to tobie nie zaszkodzi,  
„A mnie i dzieci moje biedne wyswobodzi  
„Od śmierci najstraszniejszej, od śmierci głodowej!“

Tak myszka przymawiała błagalnemi słowy  
Do Welindy. Welinda prośbę wysłuchała

Do końca; lecz kamienne serce w piersi miała,  
 I była niecierpliwa. Więc myszkę kopnęła  
 Nogą, i myszce życie, dzieciom matkę wzięła  
 Jednym razem; a potem trupa wyrzuciła  
 Nogą za chatę na dwór; a kiedy wróciła  
 Na ławę, już o kaszy więcej nie myślała,  
 Tylko na ławie, koło ognia twardo spała  
 Tak, że ogień przed czasem zgasł.

Gdy niedźwiedź wrócił

Z łowów wieczorem, gniewnym okiem na nią rzucił,  
 Na piec zimny i garnek, i powąchał jadło.  
 Snać, że do smaku jemu wcale nie przypadło,  
 Bo wziął garnek w swe łapy, i tak silnie cisnął  
 Nim o głowę Welindy, że się aż rozprysnął  
 Na drobne kawały, a zimna kasza zlała  
 Welindy strój jedwabny; przebudzona wstała  
 I krzyknęła ze złości. Ale gdy niedźwiedzią  
 Twarz groźną zobaczyła, jedną odpowiedzią  
 Na zniewagę był ukłon korny; i łajanie  
 Wysłuchiwała niedźwiedzie; a słów mnie niestanie,  
 Aby gniew jej stłumiony opisać. Wyrazy  
 Niedźwiedzie były takie, że ich bez obrazu  
 Uszu ludzi uczciwych powtarzać nie można.  
 Bardzo długo lajała owa bestya groźna;  
 Tak długo, że aż cierpły u Welindy nogi,  
 Kiedy stojąc, słuchiwała; a serce od trwogi  
 Cierpło także.

Nareszcie, gdy skończy łajanie  
 Niedźwiedź powie: „Nie długo cierpliwości stanie  
 „Na takie niedołęstwo twoje. Za połowę  
 „Twoich win, inny sługa utraciłby głowę

„Swoją głupią! Ale że jestem pan cierpliwy  
 „I wcale krwi narodu ludzkiego nie chciwy,  
 „I owszem pobłażliwy, będę lekko karał,  
 „I tylko o poprawę twą będę się starał.  
 „Od lenistwa twojego karą cię ulęcę,  
 „Że się gdzieś aż za siódmą górę w świat powlecze,  
 „Uciekając przedemną. Tyś mi przez dzień spała,  
 „Sroko wyczupierzona! kiedyś kaszy miała  
 „Pilnować; za to w nocy spać chwili nie będziesz —  
 „Noc całą będziesz chodzić! Nawet nie usiądziesz  
 „Na chwilę, klępo jakaś! mało niegodziwa!  
 „Dowiesz się, jak to czasem w służbie twardo bywa!  
 „Klucze te do rąk weźmiesz, i po chaty toku  
 „Będziesz chodziła, dzwoniąc kluczami po kroku  
 „Każdym. Jeżeli staniesz, na piecu usłyszę;  
 „Bo choćbym jak miał chrapać w nocy, póki dyszę,  
 „Słyszę. Zatem jeżeli twe głośnie stąpanie  
 „Choćby na jedną chwilę króciutką ustanie,  
 „Na miejscu cię zabiję“.

Gdy skończył tę mowę

Niedźwiedź zgasił płonące łuczywo sosnowe  
 I na piec się położył; a Welinda wzięła  
 Klucze do ręki i po chacie iść zaczęła,  
 Dzwoniąc pośród ciemności; choć się jej spać chciało,  
 Chodziła i dzwoniła; a Welinę całą  
 Zdjął dreszcz wielki od strachu; ledwo jeszcze żyła:  
 Lepiły jej się oczy; nawet chodząc śniła,  
 Jako bywa, kiedy kto nad miarę znużony.  
 Ale krok nieprzerwanie trwał, raz w chód wdrożony,  
 I palce nieustannie z kluczykami drżały,  
 Chociaż u góry oczy, świece duszy, spały.  
 A jednak mimo woli na chwilę stanęła,



Kiedy ją senność bardziej uporczywa zdjęła.  
 I zaledwo stanęła, a już pod ramieniem  
 Niedźwiedź z pieca ugodził w nią wielkim kamieniem.  
 Obudzona krzyknęła i na ziemię padła,  
 I czuła pośród nocy, że nią śmierć zawładła  
 Już. Bo jej serce dziwnie jakoś teraz biło,  
 I bo coś oddech w piersi zbolałej dławiono,  
 I bo krew jej się lała przez usta gorąca.  
 Ale ledwo krzyknęła, już ją drugi trąca  
 Kamień w pierś, kamień trzeci jej pada na głowę.  
 I już teraz straciła i pamięć i mowę,  
 I niemym trupem leży na toku skrwawionym,  
 Po pod wałem kamieni wysoko spiętrzonym.

\* \* \*

Kiedy w chacie zadniało, zeszedł niedźwiedź srogi  
 Z pieca, na trupa spojrzął i wyszedł za progi  
 Chaty w las. Tu z niedźwiedzia w orła przemieniony  
 Poleciał Piast do Leszka, w te zachodnie strony,  
 Gdzie stanął zamek Leszka, i gdzie odprawiano  
 Wesele Marzanny.

Tam za dębową ścianą

Wyniosłego zamku trwa gędzba ustawiczna;  
 Koło Leszka żwawego żona jego śliczna  
 Marzanna siadła, rada z miłośnej pieczyoty.  
 Zresztą izby są pełne weselnój ochoty.  
 Leśnicy grają, tańczą Rusalki ochoczo,  
 Wkoło bracia Leszkowi korowody toczą  
 Skoczne; z sobą porwali Zoreńkę rozumną,  
 I strojną w błyskawice złote, żonę duinną

Piasta, Rzepychę. Żywa młodym klaszcze w dłonie.  
 I Wanda tu przybyła; opuściła tonie  
 Morskie na chwilę, aby się cieszyć godami;  
 Przybył Czech stary, który władnie nad wodami  
 Morskimi, i przybyła tu królowa Rosa,  
 Żona Czechowa, pani morza pięknowłosa.  
 Ciągła w zamku hulanka, i wieczne wesele;  
 Tylko Kupało taki smutny jak w kościele  
 Dziad co przeszłość wspomina; i tylko Zabawy  
 Nie ma na zamku; w chacie Piasta myje ławy,  
 By się pięknie świeciły, kiedy gospodarze  
 Wróca. Bo dotąd jeszcze tej słonecznej parze  
 Nie sądzono, by znała szczęście; smutek syna  
 To także dla Kolędy jest troski przyczyna.  
 Przeto milcząc wśród gędźby koło syna siadła,  
 I tylko pocałunki na czoło mu kładła,  
 Z rzadka, a nie natrętnie.

A w stajni dwa konie

Bardzo niecierpliwe, że nie mogą na błonie  
 Nieść panów po przygody. Leszka i Kupały  
 Konie cudowne w stajni obok siebie stały,  
 I rozmawiały z sobą o przyszłych wyprawach,  
 Które przewidywały, i o wielu sprawach  
 Mądrych. One wiedziały o tém, że te gody  
 Zakończą jeszcze ciężkie i krwawe przygody,  
 I przeto nie tak bardzo wesołemi były  
 Jak ludzie.

Najpierw z okien zamku zobaczyły  
 Orła Rusalki. Piasta poznały. Witany  
 Pieśnią, w ludzkiej postaci weszedł między ściany  
 Zamkowe, Piast. Rzepycha na szyję skoczyła

Piastowi, bo najszczerzą jego żoną była;  
 I tak się ucieszyła małżonka widokiem,  
 Jak się cieszy jesienna noc swém jasnym okiem,  
 Księżycem. Żywa także całowała syna.  
 I dziękować za wszystko przyszła dziś dziewczyna  
 Mądra, Zoreńka. Leszek z Marzanną ściskali  
 Swojego dobroczyńcę.

A Piast im się chwali

Czynami swemi mówiąc: „Welindę zabiłem,  
 „I Polskę choć od jednej zmory uwolniłem  
 „Z tych, co ją duszą. Jeszcze Jaga pozostała,  
 „I Popielowa sroga potęga jest cała  
 „Dotąd nienaruszona. Srogie jeszcze boje  
 „Nas czekają. Lecz chwalcie bracia czyny moje  
 „Już spełnione, bo godne są wielkiej pochwały“.

Tak to mówił do Leszka wraz i do Kupały  
 Smutnego. Potem długo o tem opowiadał,  
 Jak zły Welindzie w chacie cios śmiertelny zadał.  
 Marzanna z tchem zapartym koło Piasta stała  
 I całą tę opowieść uchem połykała  
 Łakomie. Dziwnie jakoś uczucia w jej łonie  
 Się klóciły; wiedziała bowiem, że na tronie  
 Swoim Welinda była jako zmora sroga,  
 Która naród dusiła swój, gorsza od wroga  
 Postronnego; wiedziała, że matką jej była  
 Narzuconą i złą, co jej duszę dławiła  
 Poduszkami złotemi, wypchanemi pychą;  
 Wiedziała, że nienawiść ukrywała licho  
 Swoją dla niej, i że ją nareszcie wyгнаła  
 Na to, aby się pastwą głodnych wilków stała.  
 A jednak jakoś dziwnie jej się wydawało,

Że to jęj samej ciężkie nieszczęście się stało,  
 Gdy Welinę zabito. Od dzieciństwa strzegły  
 Jęj oczy Welindy, i gdy lata jęj biegły  
 Młode gdzieś na Wawelu, Welinda tam była  
 Także i na nią wzrokiem rozkazu patrzyła.  
 Zatem serce przywykło i do udręczenia,  
 Ktorem Welinda dręczy. Nie mogła westchnienia  
 Przeto stłumić Marzanna. Dziś szczęśliwą była  
 Z Leszkiem; a wiedziała, że jeżeliby żyła  
 Jeszcze Welinda, rada zdusiłaby szczęście,  
 I nienawiścią srogą klóciła zamęcie.  
 A Marzanna Welindy przecie żałowała.

Wnet znowu od muzyki hucznej sala cała  
 Zabrzmiała. Gęśl Samograj uderzył znów w smyczy  
 Tak, że struna na ciele każda mu zasyczy  
 Tysięcznymi głosami. W ślad za nim Leśnicy  
 Zagrali. Wszystko tańczy wesolo w świetlicy,  
 A Marzannie przeszkadza umarłej wspomnienie.  
 Więc rozpuściła włosów swych plove pierścienie,  
 Które swoim ciężarem paliły jęj skronie,  
 I aby lżej odetchnąć, wybiegła na błonie  
 Przed zamek. Sparta o mur, na cudny patrzyła  
 Świat.

Jakby na talerzu okolica cała  
 Była; wkoło niezmierne puszcze się czerniły,  
 A ponad niemi szczyty górskie śniegiem lśniły  
 Promieniejącym; bliższe białem złotem płoną,  
 A dalsze wśród powietrznych gdzieś błękitów toną,  
 Do dalekich obłoków podobne. Spuszczało  
 Się już słońce na zachód, i oblało całą  
 Przestrzeń gorętszym światłem. Muzyki odgłosy

Z poza zamku drewnianych ścian szły gdzieś w niebiosy,  
 Drgając po powietrzu, a serce wtórowało  
 U Marzanny muzyce. Na świecie coś tlało  
 Szczęściem, i wkoło lata czarodziejskie wonie  
 Obwiewały szczęśliwej panny młodej skronie.

Leszek, jej oblubieniec, także rzucił tany,  
 I w Marzannę przez okno patrzył zakochany.  
 Wiedział, że go nie widzi przezeń ulubiona;  
 A w zachwycie wydała mu się piękną żona  
 Nad wyraz. Ona w niebo świetlane patrzyła;  
 Dla Leszka niebem całym jest Marzanna biała,  
 Oblubienica jego.

Wtém widmo straszliwe

Obu, męża i żony, marzeń świat szczęśliwy  
 Na chwilę zaprawiło niepokojem groźnym;  
 Ponad gór jaśniejących w dali szczytem mroźnym  
 Plama stanęła czarna, a piorunu lotem  
 Zbliża się plama owa. Nad lasem i błotem,  
 Co mchami obrastały i paprocią krwawą,  
 I ponad wyspą, która zieleniała trawą  
 Bujną dokoła zamku, widmo się zjawiło,  
 Niesione jakby wichru złowrogiego siłą.  
 Żmij leciał zielony; a siedem głów bujało  
 Ponad letniem powietrzem, które pod nim drżało  
 Porane skrzydłami, co z pod boku wyrosły  
 Żmija, jak piekielnemi, ogromnemi wiosły.  
 Na Żmiju jak na koniu Popiel siedział możny,  
 Piękny i wiecznie młody północy pan groźny,  
 A przed sobą na Żmija karku trzymał karła  
 Siwego, garbatego. Pod nim się rozwarła  
 Otchłań powietrzna, a on w głębi pokazywał

Karłowi Marzannę, i karzeł się odzywał  
 Śmiechem sprośnym; a był to karzeł na piędź mały,  
 W białym kożuszku; włosy brody jego stały  
 Jęzem, jak gdyby druty białe; a miał w dłoni  
 Czapkę czerwoną; gdy ją włoży, tak zasłoni  
 Postać swoją, że zniknie całkiem z poprzód oczu,  
 I że się tak rozplynie w powietrzném przeźroczu,  
 Jakby był niczém. Temu karłowi nadano  
 Wśród karłów i olbrzymów wielkich Dziwa miano,  
 I wszystkim to wiadomo, że on przyjacielem  
 Jest Jagi Baby i że ma sojusz z Popielem  
 Wieczny.

Kiedy to ujrzał, struchlał Leszek śmiały,  
 A włosy mu na głowie wszystkie jęzem stały;  
 Wzięła go niewymowna o Marzannę trwoga  
 I nie śmiał ręki podnieść przeciw Czarnoboga  
 Mocy. Biała Marzanna także widmo straszne  
 Widziała, zawieszona w górze nad przepaśne  
 Otchłanie powietrza. A poznała Popiela  
 Od dawna, od dzieciństwa Nieraz kusiciela  
 Wrogiego widywała na Welindy dworze,  
 A wiedziała, że źle chce, i że wiele może;  
 Przeto stała pod zamkiem całkiem nieruchoma,  
 I skostniała z przestachu. Ponad nimi dwoma  
 Kołował Popiel wielki, co raz bliżej ziemi.  
 Wnet Żmij już zwiśnie straszny zaraz ponad nimi,  
 Wnet paszczę jedną dużą nad nimi roztworzy,  
 I ziści się obojgu straszliwy gniew Boży!

Lecz nie! Już Żmij uchodzi. Wzbił się nazad w górę!  
 Wraca nadzieja; trwogi znikają ponure;  
 Krew do lica wraca, i serce bije żwawo;

Leszek przez okno skoczył i chęłpi się sprawą  
Nową, spełnioną sławnie.

Woła; „Cóż Popielu!

„Leszka się boisz kmiotka, chociaż królów wielu  
„Zwyciężyłeś? Widziałas Marzanno, jak trwoźnie  
„Uszedł w obłoki ten, co piekłem włada możnie  
„I czarami? Przed moim sługą tak uchodzi!  
„Miecz Samosiecz to zuch! On strach zbawienny rodzi  
„W piersiach wszystkich mocarzy wielkich tego świata.  
„A kto nad zamkiem moim z złemi myślmi lata,  
„Tego miecz nie przeoczy. Widział Popiel w dole,  
„Jak Miecz gotuje cięcie, jak w ognistém kole  
„Błysków stalowych stoi, gotów wzlecieć w górę,  
„I ostrze swe przyoblec w wraźej krwi purpurę!  
„Widziałas, Marzanno, tę uciezkę. Wierz, luba,  
„Ze u mnie w zamku żadna niedopadnie zguba  
„Twojej głowy szczęśliwej!“

Takto Leszek woła.

Marzanna słucha Leszka. Jak wążła jemiola  
Ufnie o dąb się spiera, tak Marzanna hoża  
Sparła się o ramiona męża; radość Boża,  
Błoga, nie wysłowiona serca im przejmuje,  
I każde bicie serca u drugiego czuje;  
Z dwu radości jest jedna radość; młode usta  
Z całusów szczęście ssały długo; potem pusta  
Wesołość ich wzięła, i zechcieli dowoli,  
Tu na błoniach przed zamkiem zażywać swawoli;  
Biegać chcieli tak, jako latają motyle  
Przez złotą chociaż krótką życia swego chwilę;  
Nie chcieli wracać razem do weselnęj izby  
Pomiędzy gości swoich wielomowną ciżbę;

Chcieli pobiegać sami jakby dwoje dzieci,  
 U których życie całe na wzór piosnki leci.  
 Przeto Marzanna, hoża gołębia biała,  
 Ze śmiechem przed swym Leszkiem niby uciekała;  
 I przeto Leszek gonił, klaszcząc w obie dłonie.

Teraz niby odbiegła na zielone błonie  
 Dalej, i niby Leszek dogonić nie może,  
 Pośród leśnej polany, owo dziewczę hoże.  
 Wtém Marzanna krzyknie — a Leszek osłupiał  
 Widzi, że odlatuje jego gołąb biały.  
 Wśród wiru liści suchych Marzanna się wznosi  
 Do góry, krzycząc; wichru wir wściekły unosi  
 Nieszczęsną w świat daleki; już jest plamką białą  
 Tylko na niebie. Znikła! I coś się zaśmiało,  
 Gdzieś tam daleko w górze. To głos cienki Dziwa,  
 Szydząc, zpopod obłoków czarnych się odzywa.  
 Leszek nieszczęsny wiedział, co ten chichot znaczy,  
 Przeto na znak upadłszy, wydał krzyk rozpaczy  
 I zemdłał.

Aż do zamku doszedł krzyk straszliwy.  
 Doszedł najpierw czujnych uszu matki, Żywy.  
 Rzekła do Piasta: „Synu, coś złego się stało.  
 „Coś tam na błoniach strasznym głosem zawołało,  
 „Więc zaniechajcie dzieci tańcu i płasania;  
 „Idźcie wstrzymać nieszczęście!“

#### Matki przekazania

Każdego słuchał Piast; więc wstrzymał gęźbę żwawą.  
 I braci wyprowadził. Otoczony trawą  
 Leśną, zieloną, leżał Leszek odurzony  
 Nieszczęściem — a nie było nigdzie jego żony.



Kupało Leszka głowę włożył na kolana,  
 A wodę na skroń kładła Zorza zapłakana;  
 Do serca dłoń przyłożył wielką Piast stroskany,  
 I patrzył, czy na ciele jakiej niema rany?  
 Lecz ciało zdrowe było, tylko ranna dusza.

Nareszcie mdłość przechodzi. Leszek najpierw rusza  
 Powiekami swojemi; zadrzały przez chwilę,  
 A potem się rozwarły. O własnej siadł sile  
 Leszek, i spojrział jakby bez pamięci wkoło.  
 Nareszcie świat zrozumiał znowu. Niewesoło  
 Mu było na twarzy; i stanął.

Rzekł powoli:

„Przez chwilę dziś zaznałem najszczęśliwszej doli,  
 „Jak gdyby wieczną wiosną była — i przepadła!  
 „Mnie miłość obietnicę szczęścia w serce kładła —  
 „I skłamała! A byłem taki pyszny prawie,  
 „Jak w kraśne pióra strojne, pełne wrzasku pawie.  
 „Myślałem, że jest mądry, że niezwyknięzony —  
 „Żem głupi, przekonało mnie porwanie żony.  
 „Przed chwilą wszystko miałem — nie nie zostawiono —  
 „I szczęście i mój rozum uleciały z żoną,  
 „Wichrem porwane. Owo takie podłe Dziwo  
 „Czapką niewidką całe moje złote żniwo  
 „Szczęścia zakryło. Sługa Miecz nie widział karła,  
 „I karzeł porwał żonę! Dla mnie się rozwarła,  
 „Trumna“.

Tak mówił Leszek ze spuszczoną głową.  
 Wtém w oczach mu błysnęło. Nowe wyrzekł słowo:  
 „Skończone to wesele. Niech goście wracają!  
 „Ale ja nie przepadłem jeszcze i poznają

„Mnie Biesy i moc moją. Choćby mi uciekła  
„Marzanna nieszczęśliwa gdzieś aż w paszczę piekła,  
„Wyrwę ją stamtąd! Jeszcze ludzie mnie pochwalą,  
„I na Sobotniej górze pomszczę się tą stałą  
„Moją ostrzoną. Dziwo, zły karzeł przepadnie!  
„Idę. Jeśli nie wrócę, brat któryś odgadnie,  
„Żem umarł. Wtedy niechaj własną czyni wolę!  
„Leszek chwili nie zniesie pokonanych dolę.

---

## PIEŚŃ XI.

### SOBOTNIA GÓRA.

**N**ad innych gór wierzchołki sterczy szczyt ponury  
Sławnej na cały Słowian kraj Sobotniej góry.  
Na nią spadła Marzanna przez Dziwo niesiona,  
A niegościnna to i wielce pusta strona  
Świata. Ze stoków góry tej powyrastały  
Jak zęby jakieś smocze, białe, ostre skały,  
Na których szare plamy roślinne narosły  
Z martwych lichenów. Zresztą góry tej szczyt wzniosły  
I samotny, nagi jak trup, i tylko słucha,  
Jak wichur po otchłaniach głuchych dziko dmucha,  
I zna to tylko życie, które kruki czarne  
Nanoszą czasem, kracząc w urwiska cmentarne.  
Nawet śnieg nie poleży na stokach tej góry,  
Bo one tak są strome, jak kościelne mury;  
A na nich ustać może tylko ptak czerwony,  
Mały, który w słoneczne dnie w te leci strony.  
Drugi to tu gość żywy.

Z Marzanną zleciała  
Na szczyt kruków gromada. Przez nie góra biała

Zapisana, czarnemi świeci literami;  
 Lecz przepaść każda górską, jakby krwią się plami  
 Ciałkami małych ptaszków, co tamtędy łążą,  
 Gdzie się kruki na ścianie stanąć nie odważą.  
 Marzannę w jar głęboki, przepaścisty kładła  
 Ostrożnie siła, która niewidomie władła  
 Jój ciałem, tak jak gdyby ono piórkiem było.  
 Wkoło pustkowie białe, straszne się zjawiło.  
 Kruków gromada z wrzaskiem Marzannę witała,  
 I zdać się mogło, że to kracze góra cała.  
 Kruki ucichły — a tam każdy ptak czerwony  
 Na skale, przybrał postać małej Dziwożony,  
 W czerwonym kaptureczku, która w głos wołała  
 Z urwiska swego: „Chwała ci, Marzanno, chwała!  
 „Królowo nasza!“

I wnet znów ucichło wkoło,  
 A Dziwo, który przyniósł Marzannę, swe czoło  
 Odsłonił. Stał karzeł mały i garbaty  
 Poprzed Marzanną, w białe przyodziany szaty;  
 Tylko na piędź wysoki, brodę najęzoną  
 Miał i długą, a w ręku czapeczkę czerwoną,  
 Niewidkę, sławną na świat cały. Kto na głowę  
 Tę czapkę kładzie, znika.

Dziwo zaczął mowę:

„Widzisz, Marzanno luba, żeś nie uszła mocy  
 „Popiela potężnego, cesarza Północy.  
 „Choć Piast mu ukradł czary, choć niemi się chwali,  
 „Nikt nie zgasi pożaru, gdy pożar zapali  
 „Pan nasz, Popiel. On tu z was poczyni popioły,  
 „Bo on jest waszym wrogiem. Wykopane doły  
 „Czekają już ciał waszych. I tobie sądzono,

„Ze będziesz śmierci tylko i zgnilizny żoną.  
„Umrzesz, bo umrzeć musisz. Do wyboru dano  
„Tobie jednak, jak umrzesz? Żywcem pochowaną  
„Będziesz z trupem Leszkowym, i ciało twe zjedzą  
„Robaki, które w łonie matki ziemi siedzą,  
„Jeszcze za życia twego, jeśli hardą będziesz.  
„Ale jeśli posłuszną niewolnicą siedziesz  
„U stóp moich, i jeśli będziesz całowała  
„Usty członki mojego maleńkiego ciała,  
„I jeśli żoną moją będziesz na tej górze,  
„Dłuższe życie i lepszą śmierć tobie powrózę.  
„Umrzesz, i niezadługo — lecz umrzesz na końcu,  
„I prędko umrzesz; ciało twe spocznie na słońcu,  
„U szczytu góry. Ciała nie zjedzą robaki  
„Obrzydliwe, a tylko bujne niebios ptaki.  
„I to będzie ci dane, że będziesz patrzała,  
„Jak na Sobotniej górze zczeźnie Leszka chwała,  
„Jak Piast tu zginie i jak przepadnie Kupało.  
„Będą się drapać wszyscy na tę górę białą,  
„Aby cię odbić. Daremna ich będzie robota;  
„Wielu rycérzy szło już po wodę żywota  
„Na Sobotnią górę, bo tam tej świętej wody  
„Źródło tryska u szczytu skały. Rycérz młody  
„I dzielny nieraz pnął się na góry tej stoki,  
„Aby zdobyć tę wodę. Widzisz te opoki,  
„Które tam leżą trupem po stokach tej góry?  
„Pewno myślisz, że piorun gdzieś z niebieskiej chmury  
„Padł i skały zgruchotał, i że skał odłamy  
„Wielkie, rozrzucone po stokach oglądamy.  
„A to wszystko rycérze; na górę wyjść chcieli,  
„I po drodze do nogi wszyscy skamienieli.  
„Różne głosy wołały idących rycérzy,  
„Różne ręce chwytaly za kraj ich odzieży,

„Różne pieśni wabiły, różne urąganie  
 „Ścigało ich kroki. Skoro który rycerz stanie,  
 „Aby się raz obejrzeć, zaraz kamienieje;  
 „I wtedy cała góra Sobotnia się śmieje  
 „Nad tym trupem. Po ciebie, duszko, pójdą młodzi  
 „Teraz na górę; matka takiego nie rodzi,  
 „Któryby nie skamieniał na przeklętej drodze;  
 „Choć który wie o wszystkim, choć nałoży wodze  
 „Żelazne na swą duszę, przecież się obróci,  
 „I śmierć kamienna o ziem nowym głazem rzuci.  
 „Przeto tu razem ze mną ty będziesz patrzała,  
 „Jak skamienieje marnie twych przyjaciół chwała.  
 „Tylko woda żywota obudzić ich może;  
 „Ale o to wskrzeszenie nie bardzo się trwożę,  
 „Bo nikt wody żywota nigdy nie dostanie.  
 „Przeto popieść się ze mną, Marzanno, kochanie!“

Marzanna stojąc blada, mowy wysłuchała  
 Dziwa; i cudem prawie jest, że nie zemdląła,  
 Słuchając. Jednak w uśmiech nawet ustroiła  
 Usta swoje i rzekła: „Nie wiesz, jaka miła  
 „Postać twoja jest dla mnie, Dziwo! Jakby w niebie  
 „Jestem dopiéro, odkąd ukochałam ciebie.  
 „Leszek mnie się podobał niegdyś. Dziś szkaradny  
 „Mnie się wydaje; bo ty taki jesteś ładny,  
 „Bo ty jesteś tak śliczny, jak senne widziadło,  
 „Co uludnie nad łóżkiem u dziewczęcia siadło  
 „Śpiącego. Mówisz, że mi krótkie życie dane;  
 „Chętnie umrę przed czasem, jeżeli zostanę  
 „Dni kilka koło ciebie; boś ty tak uroczy,  
 „Że podobnego ludzkie nie widziały oczy“.

Gdy te słowa usłyszał Dziwo, karzeł mały,  
 Oczy u niego w głowie świecami się zdały  
 Płonącemi. I zaśmiał się Dziwo piekielnie,  
 A spojrział na Marzannę nieszczęsną bezczelnie  
 I pożądliwie. Roztworzył swe małe ramiona  
 Jakby wróbel skrzydełka swoje. Naprzykrzona  
 Poczworka ku Marzannie tak w górę skakała,  
 Że się aż do nieszczęsnej usty wydostała,  
 I tam rękoma jakby hakami chwyciła  
 Policzki — i całusy ssala.

#### Taka siła

Była w Dziwie, że dyabeł koszlawy a mały,  
 Zaniósł Marzannę aż na szczyt Sobotniej skały,  
 W czapce niewidce lecąc przez wichrów otchłanie.  
 Więc musiała Marzanna znosić całowanie  
 Tego straszyla. Nawet radość udawała.

Kiedy się odczepiło wreszcie od jej ciała  
 Dziwo, rzekła dziewczyna: „Niestety skończona  
 „Nasza pieśniczota. Każda radość złota skona  
 „Zbyt wczesnie. Teraz spocznij we śnie, moje Dziwo!  
 „Pewność się zmęczył, kiedyś niósł żonę szczęśliwą  
 „Z zamków Leszka złodzieja, w te tu raje twoje.  
 „Daj, a twoje znużenie śpiewaniem ukoję,  
 „Bom się pieśni uczyła wiele na Wawelu.  
 „Spocznij tutaj koło mnie, wyswobodzicielu  
 „I kochanku! a piękną pieśń zaśpiewam tobie.  
 „Mówisz, że przyjdzie wkrótce mnie odpocząć w grobie?  
 „Umrę szczęśliwą, jeśli tylko tobie sprawię  
 „Chwilę jedną wesolą, jeśli cię zabawię  
 „Przez jedną krótką chwilę, o mój panie miły!“

Tak rzekła. A na zamku niegdyś ją uczyły  
Sługi Welindy pieśni, która usypiała.  
Słyszac słowa Marzanny poczwarczka mała  
I zła, uśmiechnęła się, i na skalne łoże  
Położyła się. Ciało Dziwo zwinąć może  
Jak kłębek — i tak zwinął swoje małe ciało,  
Że jak dziecinna piłka prawie wyglądało;  
Tylko broda kosmata daleko sterczała  
I z nią jedna dłoń karła. Wielka Dziwa chwala  
Bowiem, czapka niewidka i w uspionej dłoni  
Została u karła; kto nią czoło zastłoni,  
Ten zniknie; przez nią karzeł ten niezwycony;  
Przeto w dłoni pozostał śpiaczej skarb czerwony.  
Że Dziwo zasnął, świadczy doniosłe chrapanie;  
A nad tym żywym kłębkim córka Kroka stanie.  
Marzanna się schyliła i z rąk małych karła  
Śpiacęgo, lotem czapkę niewidkę wydarła  
I na głowę włożyła. Znikła z poprzec oczu  
Krukom i ludziom; cała w powietrznem uroczu  
Utonęła, i tylko jedne Dziwożony  
Widziały okiem swoim kształt jej osloniony  
Czarem czapki niewidki. Kruków czarne chóry  
Zawrzyszczwały, że zadrżał szczyt Sobotniej góry,  
I Dziwo się obudził; i zaraz na nogi  
Skoczył Dziwo garbaty; a był pełen trwogi,  
Gdy ujrzał, że niema czapki; teraz go dostrzeże  
Wróg mocniejszy, i w swoje ułowi obieże,  
Gdy zechce. A co gorzej, Dziwo małe widzi,  
Że Marzanna więziona, z niego teraz szydzi,  
Nie on z Marzanny; czuje, że tuż nad nim stoi  
I patrzy nań ze wzgardą. A karzeł się boi,  
Że gdy Marzanna ujdzie, Popiel rozgniewany  
Jakby orzechem ciśnie Dziwem o skał ściany



Twarde, i tak w kawały jego rozgruchoczy;  
Przeto z ust piana ciecze, płoną gniewem oczy  
Karła; w tém zamięszaniu ledwo mówić zdołał.

Wreszcie chrypliwym głosem w te słowa zawołał:  
„Dziwożony czerwone, co po skalnej ścianie  
„Jak dzięcioły łazicie, wszak wam wzroku stanie  
„Jednym pośród stworzenia, by widzieć postacie,  
„Które po ziemi chodzą w niewidzialnej szacie,  
„Pod mą czapką niewidką? Mówcież Dziwożony  
„Tak, aby pan wasz wiedział, w jakie uszła strony  
„Marzanna?“

Dziwożony dobrze to widziały,  
Że Marzanna tu stała, koło szczytu skały,  
W głębokim, pełnym kruków i rozpadlin jarze,  
Bo nieukryte dla nich zasłonięte twarze  
Popod czapką niewidką. Ale dobre były;  
I aby zło odwrócić, nieprawdę mówiły.

Skrzydlate Dziwożony zwieszzone na skale  
Odrzekły przeto: „Panie, co w piękności chwale  
„Jaśniejysz tu pośród nas, na Sobotniej górze!  
„Wraz z siostrami te same ci słowa powtórzę.  
„Kiedy ty spałeś panie, i jam także spała,  
„I wraz ze mną usnęła nasza rzesza cała,  
„U stoku białej skały rojnie zawieszona;  
„I o Marzannie twojej żadna Dziwożona  
„Nic ci nie powie więcej, najjaśniejszy panie!“

Kiedy Dziwo usłyszał to zgodne gadanie  
Wszystkich Dziwożon, stuknął nogą! Potém czoło  
Zmarszczył jak zgniłe jabłko, i jadem tchnął wkóło,

Mówiąc : „Wiem Dziwożony, że wszystkie kłamiecie ;  
 „Ale Marzannie mojej mało pomożecie.  
 „Wiem, że jest tu blisko, bo ją tu blisko czuję,  
 „I tym oddechem moim na wieki utruję.  
 „Padnie, choć niewidoma, i nikt już nie zdoła  
 „Zakłętój nazad zawieść do żyjących koła.  
 „Nawet woda żywota śpiącej nie obudzi.  
 „Jeden tylko Kupało wśród żyjących ludzi  
 „Może ją wskrzesić, jeśli Marzannę położy  
 „Pośród zamków Leszkowych na małżeńskie łożo,  
 „I jeśli wobec brata tam ją pocałuje  
 „W usta. Nigdy nie będzie tego. A więc struję  
 „Odrazu i Marzannę i wasze gadanie,  
 „Którém kłamiecie, wisząc tam na skalnej ścianie!“

I teraz Dziwa paszcza brzydka się rozwarła  
 I dym gęsty, zielony, wyszedł z ust karła;  
 Dymem tym odetchnęła Marzanna i zbladła  
 Jak ściana, zachwiała się i na znak upadła  
 Nieruchoma i biała.

#### Gęste dymu chmury

Wyszły z karła małego, leciały do góry  
 I niebo zaciemniały. Jakby szarą szatą  
 Pokryły się niebiosa; i umarło lato  
 Na ziemi. Jesień czarna nastąpiła; korony  
 Drzew poczerwieniały i żółkły; na wsze strony  
 Wiatr rozdmuchiwał liście; wszędzie wyszła rola  
 Czarna, bez zielonych swych strojów. Wszystkie pola  
 Żalobne były i bez kwiatów słodkiej woni;  
 Żaden na świecie ptaszek piosnki nie uroni  
 Żadnej, i tylko wiatru szelest słycać głuchy;  
 Wędrownie ptaki gniazd swych porzuciły puchy

I odlatują w światy dalekie południa.  
 Marzanna jak umarła jest. Świat się wyludnia  
 I niemieje od dymu, co wyszedł z ust karła;  
 Snadno pomyślisz, że to już Polska umarła,  
 I że to nicbo nad nią lży okrągłe roni,  
 Zanim białym całunem śniegu się osłoni.  
 Dziwo znów się zaśmiało i ze szczytu skały  
 Zwycięzko popatrzyło na ten świat skostniały.

\* \* \*

Do stóp Sobotniej góry rycerz jakiś jedzie  
 Na czarnym koniu, i za sobą sługę wiedzie  
 Dziwnego ponad miarę. Leszek w białej zbroi  
 Na Czarnolotku Miecza prowadzi; a roi  
 Mu się w głowie, że sławne zwycięztwo odniesie,  
 I przeto niecierpliwie na wyprawę rwie się,  
 Na Sobotnią górę, gdzie Marzannę zdobędzie.  
 Potem najpierwszym w świecie już rycerzem będzie.

Zwawo zeskoczył z konia. Chociaż go przestrzegali  
 Koń jego Czarnolotek, przecie wesół biegał  
 Na szczyt Sobotniej góry; za nim jego sługa  
 Szedł Miecz Samosiecz. Droga była bardzo długa  
 I niebezpieczna bardzo; przecie żadna trwoga  
 Nie opadała Leszka; pragnął tylko wroga  
 Ujrzeć, pewny, że karła odrazu pokona;  
 Jemuż to przecie złota doła przeznaczona  
 Od początku, i jemu to w gwiazdach pisano,  
 Że przeciwności na to tylko w drodze staną  
 Jego żywota, aby miał co przewycięzać.  
 Nawet nie potrzebował nadto się wyteęzać  
 Syn szczęścia przed zwycięstwem.

Więc mijając skały

Powalone, co jemu po drodze leżały,  
 Mówił do nich: „Żal mnie was niemądrzy rycérze,  
 „Których teraz kamienna śmierć w objęcia bierze  
 „Swoje. Ale pocoście wy się oglądali,  
 „Kiedy na was wołano? Trzeba słuch ze stali  
 „Nieś na górę Sobotnią, co odbija głosy  
 „Nieczule, jakby piłki. Zresztą wasze losy  
 „Przemienię jeszcze dzisiaj. Złe Dziwo ukróczę,  
 „A z Marzanną i wodą żywota powrócę  
 „Do was; wtedy pokropię każdą martwą skałę,  
 „I wstaną znowu żywe, wszystkie trupy białe,  
 „Które tutaj poległy. Wrócę w majestacie,  
 „A wy łaski królewskiej odemnie zaznacie.  
 „Dawni sławni rycérze i króle, to sługi  
 „Moje będą przez wiek mój, pełen chwały, długi  
 „I nad wyraz szczęśliwy. To się głupcom zdarza,  
 „Że ich jedno przelotne nieszczęście przeraża;  
 „Wtedy w niewczesnym smutku opuszczą swe dłonie,  
 „I choćby pływać mogli, wpadną w morskie tonie  
 „I utoną; bo tonąć także chcieli sami.  
 „Lecz mnie słodycz rozpaczy zgubna nie omami.  
 „Gdy na mnie los uderzy, podniosę me czoło,  
 „I na los nacierając, zwyciężę wesóło“.

~ Tak mówił Leszek i szedł na Sobotnie stoki.  
 Wkoło niego nie śniły złe czartów uroki;  
 Nawet tego powtórzyć słowami nie mogę,  
 Jakie wołania za nim pogoniły w drogę;  
 Co go szarpało za płaszcz i w plece klepało.  
 Czasem myślał, że psiarnię wypuszczono całą  
 Piekelną naraz, i że psiarnia za nim goni;  
 Czasem znowu usłyszał szczęk rycérskiej broni,

I głos rycerza, co go wyzywa i laje,  
 Mówiąc, że snąc jest tchórzem, kiedy w bój nie staje;  
 Potém głos ponury śmierć okropną mu wróży,  
 Jeżeli w czas nie wróci z szalonej podróży;  
 To znowu ktoś przezywa głupcem Leszka za to,  
 Że bajkom wierzy, i że na górę szczyrbatą  
 Pnie się, choć tam nie znajdzie na szczycie nic zgoła,  
 Co trud wielki wyprawy wynagrodzić zdoła.  
 Znowu gdzieindziej chóry jakieś śpiewne piał  
 Głosami dziewiczemi hymny jego chwały;  
 Rączki dziewcząt dłoń brały; szeptano do ucha  
 Głosem dziewcząt, by wrócił. Ale on nie słucha;  
 Serce jego okute na te czarne zdrady,  
 I cała zgraja czartów nie da sobie rady  
 Z Leszkiem.

Junak już doszedł blisko góry szczytu,  
 Co stanął jak dzwonnica sam pośród błękitu  
 Niebieskiego; wyraźnie widział czarne stada  
 Kruków i Dziwożony czerwone. Zasiada  
 U szczytu góry Dziwo, i Leszek tam widzi  
 Karła, skrzywioną postać, i czuje jak szydzi  
 Z niego Dziwo w kożuchu białym, przycupnięty  
 Tak na skale, że blisko twarz stanęła pięty.  
 Już Leszek stanął prawie u podróży celu.

Wtém tak zawołał z góry nań Dziwo: „Mścicielu!  
 „Chodź do mnie! Zwyciężyłeś i zdobyłeś ninie  
 „Chwałę wielką, co nigdy u ludzi nie zginie.  
 „Jak chcesz, możesz mnie zabić; ale jam pomszczony,  
 „I chyba krwawe członki zbierzesz twojej żony,  
 „Bo na nią już puściłem psów przeklętych zgraję,  
 „Co jej bielutkie ciało na sztuki pokraje!“

Leszka już jedna tylko przepaść oddzielała  
 Od Dziwa, jedna tylko strasznie stroma skała,  
 U której szczytu stanął karzeł, jak na wieży  
 Kościelnej krzyż się jawi. Dziwo okiem mierzy  
 Małym, a jak lód zimnym i przepaść i Leszka  
 U dołu. Poznać łatwo, że karzeł tu mieszka  
 W królestwie własnym.

Raptem Dziwo wstało  
 I głośno zakrzyknęło: „Dalej sforo! śmiało  
 „Szarpacie na śmierć Marzannę!“

A w tej samej chwili  
 Ztyłu za Leszkiem psiarnia zaszczeka, zakwili  
 I zaskowyczy chórem, a pełny boleści  
 Jęk, uszom Leszka straszny zgon niewiasty wieści.  
 Serce w Leszku zadrzało. Wtém usłyszał słowa  
 Wymówione Marzanny głosem. A grobowa  
 W nich rozpacz jakaś była i ból był piekielny  
 Tak, że od głosu skostniał Leszek, rycerz dzielny.

Głos ukochanej wołał: „Okropna to dola  
 „Na mnie spadła i straszna się spełnia swawola  
 „Czartów na mnie; psy szarpiają moje białe ciało,  
 „A czarty nielitośne chcą, by się zdawało  
 „Ginącej żonie Leszka, że mąż jej przechodzi,  
 „Głos błagającej słyszy, a mieczem nie godzi  
 „W zgraję psów. Dwa kroć przeto nieszczęśliwa kona,  
 „Przez zwierzęta szarpana, przez męża wzgardzona,  
 „Albo przez widmo męża. Bo wierzyć nie mogę,  
 „By Leszek głos mój słysząc, taką w sercu trwogę  
 „Czuł przed bajką i czarem, by nie wstrzymał kroku  
 „I miecza nie wy dobył, kiedy w czarnym tłoku

„Psów piekielnych nieszczęsna jego żona ginie.  
 „Chybaby słońce zgasło po tak podłym czynie!“

Tego było za wiele. Gdy tych jęków słucha,  
 Budzi się w sercu Leszka uczuć zawierucha.  
 Na miejscu krok osadził, i twarz zwrócił w stronę,  
 Zkąd jęki przychodziły. Czary potępione  
 Natychmiast się spełniły; i wielkim kamieniem  
 Był Leszek na Sobotniej Górze, a wspomnieniem  
 Już tylko jego życie i promienna chwała  
 I młodość, która cudów moc obiecywała.  
 U szczytu skały tylko Dziwo się zaśmiało,  
 A echo tego śmiechu trzęsło górą całą.  
 I kruki zakraczały; dziwożony kraśne  
 Łez kilka uroniły na skały przepaśne;  
 Wicher zaszumiał; bardziej jeszcze pociemniało  
 Na ziemi, którą ludzkie plemię zamieszkało.

Miecz Samosiecz stanął, nieporadny sługa;  
 I jakby słup ze stali jego postać długa  
 Błyszczała w szarém świetle jesiennego mroku.  
 Stał, czekając rozkazu, nie postąpił kroku;  
 I tak już Miecz Samosiecz na wieki stać będzie,  
 Jeśli mściciel cudowny kiedy nie przybędzie  
 Na Sobotnią Górę i wody nie wyleje,  
 Co tam u szczytu w źródłach żywota się śmieje,  
 I znów Leszka nie wzbudzi do życia i chwały.  
 Wtedy rozkazu słuchać będzie sługa stały;  
 Aż do tej chwili stanie tu na góry stoku,  
 Nad głazem, co był Leszkiem i nie ruszy kroku.  
 Ale jeśli kto sięgnie po Miecza swą ręką,  
 Za śmiałość tę zapłaci i bolem i męką  
 I śmiercią; bo Miecz potnie zuchwałego w sztuki.

Wie o tem Dziwo małe, wie to bez nauki.  
 Więc choć na białej skale tam chichocze wrogo,  
 W stronę Miecza nie ruszy swą przeklętą nogą;  
 I będzie Miecz Samosiecz obchodził nieśmiało,  
 Chcąc dalej po zwycięztwie żyć ze skórą całą.

A Czarnolotek czekał pod Sobotnią górą;  
 Kiedy usłyszał, jak się zaśmiało ponuro  
 U szczytu, już zrozumiał, że losy spełnione.  
 Raz tylko zarżał smutno i w zachodnią stronę  
 Uszedł. Przeleciał błonia i rzeki i góry,  
 I zaszedł pod drewniane zamku Leszka mury;  
 I tu stanąwszy, jeszcze jedno wydał rzenie,  
 Zwiastując ludziom w zamku Leszka potępienie.

W zamku bawili bracia Leszka, którym miano  
 Dwunastu miesięcy u postrzyżyn nadano;  
 Także Leszka rodzice, dziad i jego żona  
 W tym zamku przebywali. I siostra sławiona  
 Leszka, Zoreńka, tutaj oczekuje wieści  
 O powrocie Leszkowym; gdy wiatr zaszeleści  
 Po liściach w wielkiej puszczy, co legła dokoła,  
 Myśli Zoreńka, że to brat Leszek ją woła;  
 Myślą Leszkowi bracia, że zwycięzca wraca,  
 I że z jego rozkazu znów czeka ich praca,  
 Co chwałę daje. Ojciec i matka powstają,  
 Myśląc, że bory szumiąc, o synu znać dają,  
 Że może głoszą jego zwycięztwo i sławę,  
 Lub to, że śmiercią chrobrą zakończył wyprawę.  
 Lecz jeszcze inni w zamku oczekują wieści,  
 Co Leszka w grobie albo wśród chwały umieści  
 Nieprzemijającą. Tu Kupało orężny  
 Czeką, a przy nim w zamku pozostał Piast mężny.



Chwalców znajdzie zwycięstwo, a śmierć przyjaciela,  
W jednym lub w drugim mężu otrzyma mściciela.

Gdy Czarnołotek zarżał, wszyscy zrozumieli,  
Że koń wrócił bez pana; że trupem się ścieli  
Pan na Sobotniej górze. Chwilę siedli niemi  
Na ławach z drzewa. Potém głosy płacziwemi  
Zawodzenie zaczęła po starym obrzędzie  
Zoreńka, prawiąc o tém, jak na Łódź usiedzie  
Rachmana Leszek; matka stara zahukała  
Z bolu; a łzy drużyna wylewała cała.

\* \* \*

Wreszcie Piast przerwał płacze i rzekł do Kupały:  
„Teraz trzeba nam bracie ziścić zamiar stały.  
„Pomstę za brata Leszka przypominać muszę;  
„Teraz poczekasz jeszcze; ja pierwszy wyruszę.  
„Ty powracaj do Widnia, przy matce tam siędziesz,  
„I jeden tydzień wieści o mnie czekać będziesz.  
„Jak za tydzień nie wrócę, śnać, że już przepadłem,  
„Że jak kamień stwardniałem i jak wapno zbladłem,  
„I zem legł nieruchomy tam na stoku skały,  
„Gdzie przedemną tysiączne już trupy padały.  
„Wtedy pożegnaj matkę i wyruszaj z Widnia.  
„Zwyciężysz. Stara bowiem prawi przepowiednia,  
„Że skoro trzech wyruszy po zaklętą pannę,  
„Na tę Sobotnią górę, jak my po Marzannę,  
„Dwóch zginie, ale jeden żywy pozostanie,  
„I tamtym dwom zgotuje potém zmartwychwstanie.  
„I dlatego nie trzeba, byś głosił, Kupało  
„Mojój matce i żonie, co ze mną się stało,

„Jeżeli nie przyjadę za tydzień do ciebie.  
 „Niechaj mnie oplakują! Lecz tylko w potrzebie!  
 „Jeżeli przepowiednie wszystkie wreszcie skłamią,  
 „Jeżeli czary Sobotnie twoje życie złamią,  
 „Bracie Kupało! — a któż za to ręczyć może,  
 „Że wreszcie tu wszystkiego moc złego nie zmoże  
 „Na tym niekzemnym świecie! — Wtedy czas na łkanie  
 „Dla moich niewiast i dla twojej matki wstanie.  
 „O zgonie nas obydwu Złotogrzywek gońcem  
 „Będzie; i już nadziei nie będzie pod słońcem  
 „Dla narodu Polskiego. Przetrwa jarzmo twarde  
 „Popiela wieki całe, a naród pogardę  
 „Spożywać będzie tylko, łzami się napoi,  
 „I wreszcie, jak bydlę, tak z biczem się oswoi,  
 „Że kiedy kaci ludu nie będą smagali,  
 „Złęknie się, myśląc, że już świat nad nim się wali“.

To rzekłszy Piast, odleciał w orla przemieniony  
 Napowrót w zamieszkałe tego świata strony,  
 I powietrznemi szlaki lecąc popod chmury,  
 Najpierw Tatrzańskie zwiędzał, nie Sobotnie góry.

Tu siadł na krawędź skały, zwieszon nad doliny  
 Pełne cisów zielonych i kosodrzewiny  
 Karłowatěj, i orlim wzrokiem spojrzzał wkoło,  
 Czy gdzie wśród skał i wśród drzew nie wznosi się czoło  
 Posępne Świątoga?

Siedział olbrzym dumny  
 Na zwykłym swoim miejscu koło brzegu trumny,  
 Którą sobie wyciosał z ogromnych kamieni;  
 Przy trumnie potok bystry i górski się pieni,  
 Mruczając wiecznie to samo o czasów pochodzie,

I wiecznie to samo o niepoprawnym rodzie  
 Człowieka, co się rodzi, i co znowu ginie,  
 Co zwykle cicho żyje, czasem głośno słynie  
 We wsi jednej, lub w kraju, lub w ludzkim plemienu;  
 Potem zawsze przepada w szarem zapomnieniu.  
 I strumień mówi, że to całkiem wszystko jedno,  
 Czy głośniej zajaśnieją i czy później zbledną  
 Imiona marne ludzi, czy też w jednej chwili  
 Zapomną o tém drudzy, że na świecie byli.  
 I strumień ten powtarza, że w świecie tak nudno,  
 Że temu, kto świat poznał, żyć na nim zbyt trudno!  
 Słuchając wiecznie szeptu belkocącej wody,  
 Olbrzym brwi swoje marszczy, szarpie włosy brody,  
 I czasem niecierpliwie wielką swoją dłońią  
 Ziemię tak trąci, że się skały wkoło skłonia,  
 Jako na stole tańczą domy ułożone  
 Dla zabawy, z kart, ręką dziecka potrącone.

Gdy ujrzał już olbrzyma, zleciał w jego stronę  
 Piast; a pogubił pióra swoje rozstrzępione  
 I w postaci człowieka stając, zaczął mowę  
 Do olbrzyma wygłaszać temi oto słowy:  
 „Ty mnie nie znasz. Mnie Piastem wśród ludzi nazwano,  
 „I moc dziwnych rzeczy o tobie powiadano.  
 „Zresztą gdy w orla wrosnę, miewam takie oczy,  
 „Że wszystkie rzeczy widzę, co pośród przeźroczy  
 „Gdziekolwiek się ruszają. Przeto cię widziałem  
 „Dawno. Choć mnie nie znałeś, dobrze ciebie znałem.  
 „Wiem, że jesteś w przyjaźni ze złym karłem Dziwo,  
 „Co na piędz jest wysoki i ma brodę siwą,  
 „Dłuższą, niżli on cały. Znasz Sobotnią górę,  
 „Moce kruków Dziwa i Samożon naturę.  
 „Gdy ci to wszystko znane, możesz mnie dać radę,

„Jak mam zniweczyć brzydką tego Dziwa zdradę?  
 „A zechcesz mnie poradzić, bo to mnie wiadomo,  
 „Ze dawno już dla Dziwa niechęć pokryjomą  
 „Chowasz w ogromnem sercu. Tyś dawniej rozkazy  
 „Spełniał karła, słuchając malca bez obrazy  
 „I bez dumy. W obydwóch rodzaj ziemskich ludzi  
 „Taką samą nienawiść i wstręt ciężki budzi,  
 „A jednak olbrzym gardzi, karzeł tylko szydzi;  
 „I karzeł mści się srodze; olbrzym nienawidzi  
 „Nawet zemsty zabiegi; Popielowi służy  
 „Dziwo dlatego, że zły; i ty sam podróży  
 „Niegdyś dla Popielowej służby odbywałeś;  
 „Wiesz, że Popiel człowiekiem; że podły, poznałeś;  
 „Wiesz, że prochem jest naród, co się z żony rodzi,  
 „A mniejszym jest od prochu, kto prochowi szkodzi!  
 „Przeto służby Popiela teraz zaniechałeś  
 „I widzem obojętnym wszystkiego się stałeś,  
 „Co się na ziemi święci wśród śmiertelnych ludzi.  
 „Bardziej jeszcze zbrzydł tobie, kto się na to trudzi,  
 „By zło mógł czynić, niżli ten, co cierpi szkodę;  
 „Więc gorszy tobie Popiel, jak jego narody.“

Niewiadomo jak długo i jakimi słowy  
 Byłby Piast jeszcze mówił; przerwał bowiem mowy  
 Piasta Świętogór i rzekł:

„Nie dręcz mi już ucha.  
 „Gdy mówisz, myślę, że to nudna jakaś mucha  
 „Brzęczy dokola głowy i ukąsić pragnie.  
 „Bo człowiek kiedy knuje, ku złemu myśl nagnie  
 „Zawsze; ty teraz knujesz, i przeto chcesz szkodzić,  
 „I kłamiesz na to, bym mógł twój złości dogodzić.  
 „Wszystko jedno czyjś ja złości dopomogę.

„Sprzedam się drogo! tegom wart, bo dużo mogę.  
 „Obiecay, że za pomoc, którą podam tobie,  
 „Jak dziecko mnie ululasz, nie w kołysce — w grobie;  
 „A za to wszystko zrobię, czego twoja dusza  
 „Pragnie. Lecz głupi, kto mnie długo słuchać zmusza.  
 „I za młodu nie miałem ja po temu głowy,  
 „By pamiętać wykręty dwumilowej mowy.  
 „Teraz pamięć osłabła. Więc gdy chcesz posłuchu,  
 „Proszę, o złości twojej kłam mnie krótko w ucho“.

Gdy tę odpowiedź dziwną słyzy Piast zdziwiony,  
 Krótkimi słowy żąda dla Leszka obrony.  
 O nieszczęściu Marzanny wszystko opowiada  
 I górę Sobotnią Świętogora bada.

Olbrzym do końca Piasta wysłuchał gadanie,  
 A potem takie jemu wypowiedział zdanie:  
 „Ja śmierci pragnę, a ty Piaście pragniesz życia.  
 „Radzę ci przeto: Nie kuś się Piaście zdobycia  
 „Góry Sobotniój, bo już od wieków pisano,  
 „Że trupem legnie popod tą Sobotnią ścianą,  
 „Kto się na nią pokusi. Umrze zwyciężony;  
 „Ale kto się zwycięsko na szczyt potępiony  
 „Wydrze, ten także umrze. Nie idź na stracenie,  
 „Jeżeli nie chcesz zajrzeć, gdzie umarłych cienie  
 „Błądzą, skowycząc! Pójdzie na górę Kupało,  
 „By odnieść między ludzi mdlęj Marzanny ciało,  
 „I zginie, będzie po nim żałoba na ziemi,  
 „Między drzewami lasów i między ludzkimi  
 „Plemionami; i ptaki będą żałowały,  
 „Opłakując swym śpiewem zgon wczesny Kupały;  
 „I zwierz dziki zawyje pośród kniei czarnej,  
 „A ziemia cała wdzieje całuny cmentarne,

„Na znak żałoby. Wtedy to będzie potrzeba,  
„Byś zszedł ze Szklanej góry jako zbawca z nieba.  
„Słuchaj Piaście! Rozpaczy robak serce zjada  
„Moje od wielu wieków! Na to jedna rada;  
„Chcę umrzeć; niechcę widzieć tego, co się święci  
„Dzisiaj na podłym świecie; chcę zgasić pamięci  
„Świące, by nie płonęły więcej. Moje ciało  
„Przez kłutwę stariej wróżki żelaznem się stało  
„I niespożytém: żadnej nie odniesie rany;  
„Ześliźnie się po członkach oręż hartowany,  
„I nie zaszkodzi trzewiom potężna trucizna.  
„A mam żyć tutaj wiecznie jak smętna spuścizna  
„Po pokoleniach dawnych, chrobrych wielkoludów;  
„I ja świadek wspaniałych, dawnych męstwa cudów  
„Mam patrzeć na nikczemne dni dzisiejszych sprawy,  
„Daremnie przywołując codzien zgon łaskawy.  
„Od dawna jużem sobie przygotował trumnę,  
„I na to połamałem w koło skały dumne,  
„Że są odemnie większe i dawniejsze. Ciało  
„Moje już nieraz trumnę ową zamieszkało,  
„Niejeden dzień od rana w trumnie przeleżałem,  
„Niejedną noc ja ciemną w trumnie téj przespałem.  
„I wieko już kamienne wyjąłem z opoki;  
„Gdy się to wieko zwali na mój grób głęboki,  
„Kiedy w tym grobie spocznię, wtedy wreszcie skonam  
„I męki zaprzestanę, życia trud dokonam;  
„Powietrza mnie nie stanie; przyjdzie śmierć łaskawa,  
„Dobroczyzna pani, co zapomnienie dawa.  
„Sam trumny téj nie mogę zamknąć wiekiem głazu;  
„I nie mogę umierać z boskiego rozkazu,  
„Póki ktoś nie pomoże. Bądź ty mnie pomocą!  
„Kiedy w trumnie już spocznię otulony nocą,  
„Za twoją sprawą, wtedy, Piaście, przyłóż ucha

„Do trumny, niech ostatniej mojej mowy słucha.  
 „Powieм tobie przed chwilą mojego skonania,  
 „Gdzie ty dostaniesz kiedyś trąbę zmartwychwstania.  
 „Wskrzesisz trąbą Kupałę! Koło mojej trumny  
 „Nie przechodź z ową trąbą!“

Skończył olbrzym dumny,  
 Wskazał Piastowi wieko trumny, kamień biały,  
 Ogromny, który wyjął niegdys z boku skały,  
 I poszedł spocząć w wielkie a kamienne łożę,  
 W grób, który jego ciała ogrom objąć może,  
 I nic prócz tego ciała. Tutaj się położył,  
 Raz tylko się przeżegnał, ręce na krzyż złożył  
 Na pierś swoją szeroką, przymknął swoje oczy  
 I rozkazał Piastowi, niechaj wieko tłoczy  
 Na trumnę.

Ale Piast rzekł: „Jam jest człowiek mały;  
 „A wieko twojej trumny wielki połać skały.  
 „Nie ruszę jego z miejsca; nie mam na to siły.  
 „Bo wiesz, nie wielkoludów matki mnie rodziły“.

Nie była to wymówka, jedno słuszna mowa;  
 To też Świętógór w takie na to odrzekł słowa:  
 „Chodź do mnie mężu mały! tchnę w twoje oblicze,  
 „I tym tchnieniem ostatniem moją moc użyczę.  
 „Jak ja, tak będziesz silny, nie tak nieszczęśliwy,  
 „I będzie tobie znośnie, chociaż będziesz żywy!“

Piast stanął koło trumny, i głowę pochylił;  
 Olbrzym tchnął, a Piast jego mocą się zasiłił  
 Wielką; uczuł, że palcem dąb przewróci w lesie,  
 I uczuł, że go ledwo matka ziemia zniesie.

Wziął tedy wielkie wieko i zwałił na trumnę,  
 W której ciało spoczęło olbrzyma ogromne,  
 A spragnione zgonu; a przyłożył doń ucha  
 I słuchał rad olbrzyma. Wreszcie wydał ducha  
 Świętogór, i skończyła mu się długa męka  
 Życia; do snu go śmierci kołysała ręka.  
 A Piast nad jego trumną w orła przemieniony,  
 Leciał powietrznym szlakiem gdzieś w zachodnie strony,  
 Nie na Sobotnią górę, tylko w kraj wieczora,  
 Gdzie blisko Raju stoją zamki Złotomora,  
 Którego rodzą król Czech i królowa Rosa,  
 Żona Czechowa, pani morza pięknowłosa.

\* \* \*

W Widniu oczekiwano cały tydzień wieści  
 O Piaście. Lecz tylko wiatr po liściach szeleści,  
 A więcej nie słyhać nic.

Wstał tedy Kupalo

I poszedł do komnaty, gdzie widem jaśniało  
 Drogich kamieni. Ukląkł przed swoją rodzicą;  
 Przed jasnej Światłowidy córą krasnolicą,  
 Kolędą i rzekł: „Jadę, matko, w boje święte,  
 „Na Sobotnie urwiska, gdzie czarem ujęte  
 „Głazy rycérzy więzią, i dokąd porwana  
 „Marzanna, leży w mocy poczwarnego pana,  
 „Karła brzydkiego, Dziwa. Na Sobotnią górę  
 „Chodzili Leszek z Piastem; na szczyty ponure  
 „Porwali się obydwaj; obaj poginęli,  
 „Zanim przy źródle świętém żywota stanęli  
 „U szczytu stroméj góry. Obaj nie zdołali



„Ztamąd wynieść Marzanny. Oto wiatr się żali  
 „Po gałęziach w ogrodzie, piejąc o ich sławie  
 „I o tém, jak zginęli w daremnej wyprawie.  
 „Dziś kamieniami stoją tam na stokach góry.  
 „Więc mnie się trzeba drapać na Sobotnie mury,  
 „Aby pomścić obydwu i wskrzesić na nowo,  
 „Albo zginąć wraz z nimi i tak spełnić słowo  
 „Dane w chwili rozstania, w smętnym dworze Leszka,  
 „Gdzie teraz sowa leśna z pajęczyną mieszka.  
 „Więc, matko, u stóp twoich teraz żegnam ciebie,  
 „I tuszę, będziesz dumna na syna pogrzebie“.

Rzekł a matka Kołęda ramiona rozwarła  
 I syna uścisnęła, a potem otarła  
 Oczy od łez;

Z kolan wstał wspaniały Kupalo,  
 I z dworu wyszedł; szedł do stajni swojej śmiało  
 Po konia skrzydlatego; zastał go przy żłobie,  
 I rzekł, całując w oko: „Kiedy będę w grobie,  
 „Innego znajdziesz pana, nieprawdaż mój koniu?  
 „Innego będziesz nosił po niebieskiem błoniu?  
 „Innemu będziesz dawał zwycięstwo i chwałę?  
 „Ale gdy będziesz leciał nad Sobotnią skałę,  
 „Kędy krukowi panuje brzydki karzeł Dziwo,  
 „I kędy on Marzannę więzi nieszczęśliwą,  
 „Na cmentarz ten w dół spojrzysz i pomyślisz sobie,  
 „Że tam pod głazem leży gdzieś Kupalo w grobie“.

Tak rzekł Kupalo. Lecz koń mu na to odpowie:  
 „Za wcześniej tobie, panie, śmierć i klęska w głowie.  
 „Nam niepotrzeba iść po stokach lękiej góry;  
 „Dla nas będą gościńcem szare niebios chmury!

„Na złe Dziwo spadniemy tak, jak piorun spada;  
 „Miecz dobyty przez ciebie, śmierć karłowi zada“.

Tak pocieszony skoczył na konia Kupało;  
 Złotogrzywek poleciał, i coś zajaśniało  
 Śród obłoków jesiennych. Jako od jabłoni  
 Jabłko odpada krągłe — syn od matki goni. —

Kiedy leciał Kupało, od jasnych promieni,  
 Zajaśniało na chwilę oblicze jesieni.  
 Słońce, jakoby złodziej, pod dach ołowiany  
 Obłoków się wkładało i niebieskie ściany  
 Rumieniło swym blaskiem; a lasy czerwone  
 Złotem się zapaliły. Ptaszę przebudzone  
 Światłem gdzieś zaśpiewało, a pośród murawy  
 Stokrotki kwiatek wyjrzał z gąszczy żółklěj trawy:  
 Jakby przedza jesieni gotującej stroje,  
 Któremi zimą kryje ziemia członki swoje,  
 Nici po świecie lecą, pajaków rydwany.

Blask ten padł na Sobotniej góry puste ściany,  
 I zdziwił małe Dziwo i kruków orszaki.  
 Dziwo brwi swoje zmarszczył, zakraczały ptaki.

Wtém Dziwo ujrzał w górze złotego rycérza,  
 Co jak orzeł na zdobycz, na niego wprost zmierza,  
 I na skrzydlatym koniu po niebiosach lata.  
 Uczuł Dziwo, że czarom urąga skrzydlata  
 Moc Złotogrywka; zadrzał tedy jak szalony;  
 Najpierw myślał o walce; potem przerażony  
 Chciał się skryć gdzieś głęboko. Lecz nigdzie dokoła  
 Nie było tu czeluści, w której skryć się zdoła  
 Dziwo. Już bez pamięci i skurczoną dłonią

Szukał czapki niewidki. Ale czary bronią  
 Przed oczyma śmiertelnych Marzannę nieżywą;  
 Widomie musi czekać śmierci pewnej Dziwo.  
 Zatem zgrzytnął zębami, oczyma potoczył  
 Wściekle — jakby pijany, i tak w górę skoczył  
 Jak gad raniony. Skrzydła rycérza szumiały  
 Dokoła jego głowy; błysnął oręż biały;  
 Dziwo na śmierć przeszyty, padł martwy na ziemię;  
 Drgnął tylko parę razy, a żałobne pleię  
 Kruków wrzasło dokoła jak na pożegnanie.  
 W blaskach złotój zbroicy, ponad trupem stanie  
 Kupalo na swym koniu. Kruków lud ponury  
 Z daleka oblatywał szczyt Sobotniój góry,  
 Tworząc wieńce żałobne wśród słońca promieni,  
 Co przemieniły stare oblicze jesieni.  
 A zwyciężcę witały ptaszęta czerwone  
 Na stokach skał przepaśnych rojnie zawieszzone.

Kupalo zwyciężył; lecz darmo okiem bada,  
 Gdzie na Sobotniój górze jest Marzanna blada?  
 Tam pod przepaścią w dole Miecz Samosiecz stoi;  
 Zapewne pod nim Leszek w swój żelaznej zbroi  
 Skamieniał. Lecz któż pozna w tej bryle rycérza?  
 I po całej górze, gdzie tylko oko zmierza,  
 Widać martwe kamienie; między niemi ciało  
 Piasta w głąz obrócone pewno spoczywało.  
 Ale gdzież jest Marzanna? Czy za sprawą Dziwa  
 Także zaczarowana gdzieś w głązie spoczywa?  
 I gdzież źródło żywota, o którym bajano,  
 Że jemu moc wskrzeszania skamieniałych dano?  
 Nie dość na tém zwyciężyć; korzyść odnieść trzeba  
 Ze zwycięztwa jasnego, które dały nieba.

Wtém ptaszek długodzióby, skrzydlaty, czerwony  
 Zleciał ze skały swojej i kształt Dziwożony  
 Przybrał: Mała kobieta w czerwonym kapturze  
 Przed Kupalą stanęła na Sobotniej górze,  
 Pokłon jemu oddała i rzekła te słowa:

„Od chwały jasnej twoja zajaśnieje głowa,  
 „Kupało, ty witeziu dzielny! boś ty Dziwo  
 „Zabił, karła małego z wielką brodą siwą.  
 „Będiesz wskrzeszał rycérzy bez liku i końca,  
 „Jaśniejąc na tój górze jakby tarcza słońca!  
 „A jam tobie usłużyć we wszystkiém gotowa,  
 „Nie szczędząc ani czynu, ni radnego słowa.  
 „A najpierw powiem tobie, gdzie Marzanna leży,  
 „Na szczycie białej skały, w weselnój odzieży;  
 „Chociaż zakłeta także i ciężko uspióna,  
 „Przecież w kamień bezkształtny nie jest przemieniona,  
 „Tylko czapkę niewidkę na swe czoło wdziała,  
 „I przeto niewidomą wam się ludziom stała  
 „I duchom i zwierzętom. Jedne Dziwożony  
 „Widzą Marzannę okiem. Niech czar uchylony  
 „O tém ciebie przekona, że ci dobrze służę,  
 „I że, gdy wróżyć będę, prawdę ci powróżę“.

Rzekła to Dziwożona, i z Marzanny czoła  
 Czapkę zdjęła niewidkę. Kupało zawoła  
 Zdziwiony, w głos; bo przy nim wpiérw niedostrzeżona  
 Leży bez tchu i życia piękna Leszka żona.  
 Twarz jój biała jak kamień; włosy rozpuszczone  
 Wichher górski rozplata.

Więc w Kupalę stronę  
 Spojrzała Dziwożona, dzierżąc w swojej dłoni  
 Czapkę niewidkę. Rycérz głęboko się skłoni,

Dziękując tym ukłonem ; a wieszczka prowadzi  
Go do wody żywota, i po drodze radzi :

„Woda tą wskrzesisz Leszka i innych rycérzy,  
„Którzy na wiek posnęli w kamiennéj odzieży,  
„Tu na Sobotniéj górze. Niech ci się nie zdaje,  
„Że nią wskrzesisz Marzannę; i wszystkie Dunaje  
„Rajskie jéj nie przebudzą; inne są wyroki;  
„Musisz ją zanieść śpiącą w Leszka dwór wysoki,  
„Tam musisz ucałować, aby z łoża wstała,  
„I znów żywą źrenicą na świat ten patrzała.  
„Trzeba, by Leszek tobie sam Marzannę białą  
„Dał pocałować — by się to przy Leszku stało!“

Gdy tak mówić skończyła, przy źródle stanęła  
W rogu doliny skalnej, i w swe ręce wzięła  
Dzban złoty, który leżał przy źródle; i wody  
Tym dzbanem zaczerpnęła. Wodę rycérz młody  
Wziął do swych ręku; potem Marzannę uszpioną,  
Złożył na konia. Skrzydła wielkie złote płoną  
U Złotogrzywka; na nich dziewczę leży białe;  
Kupało z dzbanem w ręku idzie całą skałę  
Obejść dokoła. Za nim Złotogrzywek stąpa;  
A ziemię hojnie darzy słońcem jesień skąpa.  
Jakby złotem okute, płoną górskie skały,  
A błonia w dole słońce uśmiechem witały  
Tak, jak starzec młodości wspomnienie powita,  
Które na kartkach zżółkłych pamięci odczyta.  
Dziwożona już dawno w górę uleciała,  
By sięść ptakiem czerwonym, gdzie najstromejsza skała!

Najpierw Kupało skropił kamień, w którym mieszka  
Mocą czarów zaklęta dzielna dusza Leszka.  
I zaraz Leszek stanął ze snu obudzony,

A przy nim Miecz Samosiecz stanął dla obrony,  
Brzęcząc zawsze posłuszny.

Obydwa ramiona  
Wyciągnął Leszek. Myślał, że jeszcze dokona  
Czynu zamierzonego, i myślał, że zdoła  
Żonę swoją uwolnić; Samosiecza woła,  
Aby szedł prędkiej walczyć; wie o tém niejasno,  
Że jakoś spał przez chwilę nad górą przepaśną,  
Sobotnią. Nagle ujrzał przed sobą Kupalę  
I Złotogrzywka, ujrzał ciało żony białe  
Na Złotogrzywku, i dzban u Kupaly w ręku.  
Usłyszał brzęk oręża, i w tym jednym dźwięku  
Usłyszał prawdę całą nagle objawioną;  
Od prawdy jak od ognia lica jemu płoną;  
Oczy swe na dół spuścił, i ledwo coś zdołał  
Dziękując zabelkotać — tak wstyd jego bolał,  
Tak straszną była hańba, że go wybawiono,  
I że inny zwycięzca stanął z jego żoną  
Przed nim.

Poszedł Kupalę z dzbanem wody dalej;  
A ludzie żywi z głazów martwych powstawali.  
Na górze piérwej było cicho i cmentarno:  
Teraz góra ożyła ciżbą ludu gwarną;  
Moc kitek białych wszędzie zaszumiała,  
Zbroicami obrosła czarodziejska skała;  
I zewsząd dziękowali Kupale rycérze.  
Okrzyki zahuczały, dzwoniły puklerze,  
Rękami klaskano i wiwaty wznoszono;  
Na zbrojach słońca, a pod zbroją serca płoną.

Uszy u Leszka szumią uprzykrzoną chwałą  
 Brata; rad postępuje wśród ciżby Kupało,  
 I jakby paw podnosi swą głowę do góry,  
 Zdobny własnego dzieła tęczowemi pióry.  
 Zawiść po sercu Leszka jakby gad pełzała,  
 A dla Kupały sława jak wiosna się śmiała.

Obchodząc korowodem długim wielką skałę,  
 Zlęwał Kupało wodą życia wszystkie białe  
 Głazy, które po drodze leżały; a z głazu  
 Każdego rycerz dzielny powstawał odrazu;  
 Każdemu rycerzowi spojrział witeż w oczy,  
 Ciekaw rychło z kamienia mądry Piast wyskoczy?  
 Ale daremne były długie jego trudy;  
 Liczne i wdzięczne jego otoczyły ludy,  
 Ale pośród mnogiego rycerzy orszaku  
 Piasta, syna Krakusów nie znajdziesz i znaku.  
 Darmo górę Sobotnią Kupało obchodzi,  
 Żaden z martwych kamieni Piasta mu nie zrodzi.  
 Wszystkie już wskrzesił; jeszcze szuka, czy nie leży  
 Gdzie Piast mądry, w kamiennęj, zaklętej odzieży?

Już nie masz nigdzie głazów i już mrok zapada;  
 Zeszedł na dół Kupało i z orszakiem siada  
 U stóp Sobotniej góry. Tak się wysypało  
 Mnogo ludu w dolinę, że aż zadudniało  
 Pod nogami.

Gdy ujrzał Czarnolotek pana,  
 Przed nim się rozstała rzesza nieprzejrzana  
 Wskrzeszonych wojowników. Rżąc, pana powitał  
 Koń dzielny; a gdy spojrział w twarz, na twarzy czytał  
 Żal i śmierć. Smutno tedy koło pana kroczy,

I nierad koń spogląda panu swemu w oczy,  
 Zgadując, że zła zawiść weszła w Leszka lono,  
 I że go jadem zgubnym w serce ukąszono.

\*            \*            \*

Pod górą wśród rycerzy Kupało zasiada,  
 A jego chwałę głosi wskrzeszona gromada;  
 Słuchają pochwał czarne o jesieni role;  
 Wśród zamglonego nieba, w promienistym kole,  
 Jakby pośród dziedzińca stanął księżyc biały,  
 Niebieski świadek ziemskiej wskrzesiciela chwały,  
 A Złotogrzywek przykląkł i skrzydły złotemi  
 Świeci nad czarną bryłą cichój, sennój ziemi.  
 Wśród skrzydeł śpi Marzanna.

Zwolna cichły gwary,

Wreszcie wszystkie te rzeszy owładnął sen, stary  
 Brat śmierci. Wszyscy spali. Dwu tylko czuwało  
 Pod krągłego księżycy tarczą zimną, białą  
 I rozmarzającą; pan i koń. Leszek w dali  
 Siadł pod drzewem bez liści — a twarz mu się pali,  
 I pięście ściska obie. Przy nim spuścił głowę  
 Czarnolotek, i ziemię kopał. Księżycowe  
 Blaski od obu długie zaścielały cienie,  
 I aż w powietrzu było czuć Leszka cierpienie.

Wtém człowiek nieznajomy, snąc, że wywołany  
 Z głazu rycerz zakłęty, w zbroicę ubrany  
 Dobrą, do Leszka przyszedł, i zaczął rozmowę  
 Z nim prowadzić; a piękną miał królewską głowę,



I tak wyglądał, jakby niegdyś dzierżył władzę  
Ponad ludźmi.

Siadł i rzekł: „Może ci poradzę  
 „Rycérzu nieznajomy; bo, żeś smutny, widzę;  
 „A ja smutkiem bezradnym jak gadem się brzydę.  
 „Nie przystoi młodemu smętną spuszczać głowę.  
 „Niepowodzenia męża goją czyny nowe;  
 „Jednym tylko niewiastom dozwolone płacze;  
 „Rycerzowi rozpaczy nigdy nie przebaczę.  
 „Powiedz przeto, rycerzu, jaka twa przygoda?  
 „Czy cię może zdradziła narzeczona młoda?  
 „Wtedy szkoda, że miłość jeszcze w sercu żywa;  
 „Nakaż, aby milczała, jeśli się odzywa;  
 „Utop ją prędko w szumnym i płonącym winie,  
 „A lepiej w jakim mężnym, wielkim, trudnym czynie.  
 „Może kto ci porywa żonę mimowoli?  
 „Wtedy zemsta lekarstwem na to, co cię boli;  
 „A jeśli złodziej nie zginie, to już twoja wina;  
 „Zbój śmiały przeto, że wie że z tchórzem poczyna.  
 „Jeżeli kto tobie twoją zacną ukradł chwałę,  
 „Z przechwałką strojąc siebie w twe czyny wspaniałe,  
 „Wezwij kłamcę na rękę, zwycięż w licznym gronie;  
 „A przez ludzi wyśmiany, sam od wstydu splemie.  
 „Wtedy tylko zrozumie, iż opuszczasz rękę,  
 „Jeżeliś już po klęsce jest w bezsilnej męce.  
 „Jeżeli kto się okazał być lepszym od ciebie;  
 „Jeżeli we wstydzie ciebie jawna klęska grzebie;  
 „Jeżeli wzgardzi tobą twoja własna żona,  
 „Widząc, że inny rycerz zawsze cię pokona;  
 „Wtedy rozumiem, że dłoń swą gryziesz bezsilnie.  
 „Głupiec wtedy rozpacza, mądry szuka pilnie,  
 „Czy się zdrada nie znajdzie? Czy zabić nie może

„Swego zwycięzcę? Mądry ostrzy cicho noże.  
 „A już hańbą najgorszą, gdy rycerz przyjmuje  
 „Od swojego zwycięscy łaskę, co go truje.  
 „Ten hańby wszelkiej wart jest, i ten potępiony,  
 „Kto łaskę kornie przyjmie w obec własnej żony.  
 „Jeśliś może nie umiał ratować od sromu  
 „Żony; jeżeli żonę do własnego domu  
 „Odnosisz z obcej łaski, wyrwaną wrogowi,  
 „A jej zbawca nie umarł — każdy tobie powie,  
 „Żeś wart, aby po tobie ze wzgardą stąpano,  
 „I aby stanął napis nad grobowca ścianą,  
 „Kiedy umrzesz, w którymby ludzie wyczytali,  
 „Że wstyd popioły twoje w grobie jeszcze pali.  
 „Bo nie dziwota, jeśli kto wśród ludzi słaby;  
 „Ale lwy zabijano czasem jadem żaby.  
 „Kto zwycięscy swojemu, że mocen, przebacza,  
 „Ten się poniżej żaby w bezdeń hańby wtlacza“.

Te słowa koło serca Leszka zasyczały,  
 A słysząc słowa gorzkie, skostniał Leszek cały,  
 A była twarz zwrócona w mowcy tego stronę,  
 I oczy były ślupem w niego zapatrzone.  
 Lecz raptem znikł ów mowca; tylko nad głowami  
 Ogromny puhacz niebo nocne skrzydłem plami.  
 Puhacz uszaty znikł.

#### Czarnolotka ciało

Jakby rażone mrozem lutym, wraz zadrzało;  
 A Leszek w konia spojrział, głaskał konia w głowę,  
 I głosem zachrypniętym taką wyrzekł mowę:  
 „Spijmy koniu! Ten człowiek źle mnie pono kusi.  
 „Złą radą odetchnąłem, co jak siarka krztusi.  
 „Spijmy koniu! jeśli na jawie pozostanę,

„Chucie na moje serce mogą przyjść nieznane,  
 „I za to, co uczynię wtedy, nic nie ręcę;  
 „Bezpieczniej tedy, jeśli snem pokusę zmęcę“.

Tak to przymówił Leszek; lecz nie mówił szczerze,  
 I do snu skłaniał konia w złą i zgubną wierzę,  
 Bo jad złej rady weszedł w serce już głęboko;  
 I chciał, by tylko rumak czujne zamknął oko,  
 Bo wstydzil się latawca, gdy gotował czyny  
 Obrzydłej pełne zdrady i piekielnej winy.  
 A koń uwierzył jemu — i usnął na polu.  
 A pan poleżał jeszcze i wił się od bólu,  
 I małą, żółtkłą trawę rwał pięściami dwoma;  
 A wijąc się na ziemi, czuł, że dusza kona  
 Wśród ciała, które żyje i żyć będzie długo.  
 A księżyc błonia zléwał bladą światła strugą,  
 I zbroja twarda Leszka na jesiennj ziemi  
 Błyskała po księżycu światły stalowemi.  
 A Miecz Samosiecz stawał koło swego pana,  
 I w niebo wprost zmierzała głowa hartowana,  
 Z obydwu stron ostrzona, w koło rdzą plamiona;  
 A rdza, to krew zakrzepła z Leszka wrogów łona.

Wstał Leszek i zawołał cicho Samosieca;  
 A w piersi szamotała mu się złość człowieka  
 I krwi żądała głośno. Poszedł pełen dumy,  
 I za nim sługa poszedł między śpiące tłumy;  
 Koło Kupały stanął, co na czarném błoniu  
 Usnął przy Marzannie i przy swym śpiącym koniu.  
 Na Samosieca skinął; a za tym rozkazem  
 Miecz zadał śmierć Kupale swojej klingi razem.  
 Raz tylko pośród nocy klinga zajaśniała,  
 A krwią się rumieniła ciepłą zbroja biała,

Którą na swojej piersi miał rycérz Kupało.  
Drgnął rycérz i wnet skonał.

W niebie zahuczalo

Od wichru, a obłoki ciemne zasłoniły  
I księżyc i te gwiazdy, co się w koło lśniły;  
I uczuł zbrodzień Leszek, że mróz wstał na świecie,  
Że zima już przybyła i że śniegiem miecie.  
Przez wicher gnane białe, gęste śniegu pierze  
Na ziemię czarną pada, jak w śmiertelne leże,  
W całuny ją ubiera, by Kupały ciało  
Na katafalku pięknym we krwi spoczywało.

Lecz jeszcze spali ludzie i spał koń Kupały,  
I tylko złote pióra skrzydeł jego drżały  
Przez wicher rozczesane. A Marzanny ciało  
Białe na skrzydłach leżąc, patrzy w zimę białą.  
Na ręce wziął je Leszek i przez śnieżną burzę  
Wynosi śniącą z tłumów, cały w białej chmurze  
Ukryty wśród śnieżnicy. Lecz nie mnogie kroki  
Zaniosły już zbrodniarza w śnieg popas głęboki;  
Odrazu cudem zwiane wielką wichru siłą,  
Wśród nocy wzgórze śniegu białym puchem lśniło.

Wtém głośno zarżał stylu koń Kupały złoty,  
I rzenie obudziło śpiące w koło roty.  
Powstali śpiący ludzie i przetarli oczy,  
Zdziwieni, że się w koło tuman śniegu toczy,  
Zdziwieni, że jest płaczu tyle w końskim rzeniu.  
Powstali i szukali w białej nocy cieniu  
Kupały, swego wodza. Leżał pośród śniegu  
Zamordowan pośrodku swego życia biegu,  
I na swęj piersi wielkiej plamy miał czerwone.

Ujrzeni — i uciekli, każdy w inną stronę,  
 To pieszo, to na koniu wszyscy przerażeni,  
 Że śmierć po życiu naszła, zima po jesieni.  
 Z nich każdy pojedynczo byłby szukał może  
 Zabójcę, myśląc, że go mieczem swym przemoże;  
 Lecz każdy hańbę kryje pośród tego tłumu  
 Za hańbą towarzyszy — i miano rozumu  
 Wzięło to, coby zdradą podłą wpierw nazwano.

Pośród ucieczki, jacyś ludzie garstką staną  
 Przed wielką ścianą śniegu; pośród owej ściany  
 Stał Leszek z ciałem żony śniegiem zasypany.  
 Gdy to ujrzeni, zgadli, że to zbójca stoi  
 Wśród nocy białej, z białem ciałem, w białej zbroi.  
 I zgrozy krzyk wydali, zabić jego chcieli,  
 I widząc, że samotny, znów odwagę mieli.

On stał wśród śniegu jak słup ciemny; patrzył w oczy  
 Kupie ludzi, co z śmiercią się na niego tłoczy;  
 A gdy już w wał zabrnęli, wołał swego sługi,  
 I ludziom stanął w oczach Miecz Samosiecz długi,  
 I złożył się do cięcia; jedną uciał głowę,  
 Wnet potem komuś ciało przeciął na połowę.  
 Reszta kupy wrzasła i uciekła sromotnie.

Leszek Miecza odwołał i został samotnie  
 Wśród zawieruchy z żoną i z żelaznym sługą.  
 A stojąc nieruchomie w noc spoglądał długo,  
 I widział, jak ostatni uchodzili z pola;  
 A kiedy sam pozostał, uczuł, że już dola  
 Przez Jędze przeznaczona jemu się spełniła.

Dokoła biała zima grobem jednym była;  
 Na czarném niebie widać było złotą plamę  
 Tam, kędy Złotogrzywek w ranną świata bramę  
 Odleciał, aby zanieść wieść o pana zgonie  
 Na wyspę, którą z siebie morskie dały tonie.

I Leszek spojrział w koło, czy gdzie niema zbliska  
 Człowieka? Pusto! Tylko serce mu się ściska.  
 Pusto! i Czarnolotek tylko w rączym biegu  
 Tu obok swego pana stanął w grząskim śniegu;  
 Lecz nie rze i nie mówi teraz ludzką mową;  
 Tylko przy panu stanął ze spuszczoną głową.  
 A taka postać konia, że panu się zdaje,  
 Że Czarnolotek z ciężkim tu wyrzutem staje,  
 I z bolem i ze wzgardą. Tamten, co bez głowy  
 Z żelaza kowan cały, pozbawiony mowy,  
 I serca i rozumu, pozbawiony woli,  
 Niczego nie wyrzuca; pan go dzisiaj woli!

Leszek Marzannie z włosów odpędza śnieg biały:  
 Całuje w zimne usta; ale nie zadrzały  
 Pod pocałunkiem męża. Kute jak z kamienia;  
 Prędzej zda się wylamiesz bramę potępienia,  
 Niżeli życie wrócisz téj, co tu uśpiona  
 Swym zimnym trupem gniecie Leszkowe ramiona;  
 A piękna pośród śmierci. Nie opisze mowa,  
 Jak piękna nieruchoma ta żona Leszkowa!  
 Leszek krzyczy z rozpaczy; wszak zabił Kupalę,  
 By ciągle opowiadać żonie swoją chwałę,  
 By ciągle tém się chwalić, jako bez pomocy  
 Wydarł sam swą Marzannę z rąk piekielnych mocy.  
 A ona wśród zimy leży, jako kamień głucha,  
 I jak lód martwa; nawet płaczu nie posłucha!

Darmo usta całuje, darmo głaszczę szyję  
 Leszek u martwój żony; i z bolu się wije  
 Wreszcie na ziemi zbrodniarz; wicher nad głową szumi,  
 I tём nieszczęsny Leszek, że umrzeć nie umie.

\* \* \*

Już błady mrok zimowy miasto Wiedeń budzi.  
 Wychodzą na robotę tłumy biednych ludzi,  
 Od zimna drząc rannego. Na ulicy padła  
 Sukienka biała śniegu, i dachy osiadła  
 I kościelne wieże, a czarne kawek stada  
 Nad miastem się unoszą; po kominach gada  
 Świszcząc wicher zimowy, a słupem do góry  
 Wzleciały miejskie dymy w niebo między chmury.  
 Bo teraz mróz zwyciężył; i szarość grudniowa  
 Z góry na śnieg spogląda; a śladów ponowa  
 Pełna; i po ulicach bogatego grodu  
 Na śniegu widać ślady ludzkiego narodu  
 Nogami wydeptane; i każdego konia  
 Ślad kopytem wryty; a dalekie błonia  
 Są śladów zwierza pełne; dzisiaj ziemia pisze  
 Wszystko, co po niej przejdzie. A wicher mrozem dysze.  
 Zawieja już ustała i śnieg już nie pada,  
 I tylko drżąca zima na tron biały siada.

Poprzed ganek zamkowy Złotogrzywek staje  
 I rzeniem znać o sobie ludziom w zamku daje.  
 Na ganek drząc wychodzi w futro utulona  
 Kolęda. A koń rzecze: „Syn twój, matko, kona!“

Gdy matka usłyszała te rumaka słowa  
 I jęku nie wydała; tylko piękna głowa

Na pierś jej spadła; i w słup zaszło matce oko.  
 Snać słowo Złotogrzywka w piersi jej głęboko  
 Wpadło, i poraniło srodze matki łono;  
 Bo jakby martwa stała tu z głową spuszczoną  
 Przed posłem złotoskrzydłym.

Wtedy koń swą głowę  
 Raz jeszcze podniósł i tak smutną wznowił mowę:  
 „Nie kona syn twój, matko! On już martwy leży,  
 „A nad nim grób wysypał na polu śnieg świeży,  
 „Przez wichry naniesiony. Śmierć mu Leszek dawa;  
 „A wszystko, co się stało, niewdzięczności sprawa!“

Gdy dalsze owe słowa konia usłyszała,  
 Na ziemię twardą padła pani Widnia biała;  
 Nie przeklinała wcale — tylko milcząc padła,  
 I na piersi żałoba w czarnym płaszczu siadła.  
 I potem, kiedy znowu Kolęda powstała,  
 Ni słowa ani jęku stolica wspaniała  
 Od pani nie słyszała.

A w żałobne dzwony  
 Z kościołów wszystkich bito. I lud niezliczony  
 Pocichu tylko mówił, kiedy szedł do grodu;  
 I jak na dworze w duszach było pełno lodu,  
 I głucho było w mieście i cicho i smętnie;  
 I tylko nad głowami wicher płakał namiętnie.

\* \* \*

Wiatr z mrozem szedł na morze, i kładł szklane mury  
 Na królestwo Czechowe. Wielkie lodu góry  
 Z północy szły w południe, a niedźwiedzie białe  
 Siadły mrużąc na każdą lodowatą skałę.



Dokoła lud puszystych nurów niezliczony  
 Z małemi stanął skrzydły; czarne morskie wrony  
 Kracząc, latały górą i szukały kraju,  
 Gdzie niezmrózone morze karmę dla rodzaju  
 Żarłoków da skrzydlatych. Ale coraz dalej  
 Posuwa się łód martwy po szumiącej fali.  
 Od brzegów morza idzie — idzie od północy —  
 Aż wreszcie cały Bałtyk ujął w zimnej mocy.

Mrok zaległ państwo Czecha, a królowa Rosa,  
 Żona Czechowa, pani morza pięknowłosa  
 Kazała wielkie lampy rozświecić u dworu,  
 By zmniejszyć ciemność smętną wiecznego wieczoru;  
 A sama na sen długi się kładła na łożu.

Czech całej, białej, długiej zimy spać nie może;  
 Przeto opuszcza czasem zaklętą komnatę;  
 Idzie do stajen mrocznych, gdzie stada bogate  
 Przy żłobach dnia czekają. Konie odwiązuje  
 I wierzchem z Wodnikami po toniach się snuje  
 Morskich.

Czarne głębiny szumią wkoło niego  
 Lecz lody tam u góry, jak więźnia, go strzegą,  
 I czuje Czech potężny, że popadł w niewolę.  
 Trafił nocą do Wandy -- a zastał przy stole,  
 W blasku smolnych pochodni chrobre Samożony;  
 Zasiadł pomiędzy niemi, i na uprzykrzony  
 Łód głośną wszczął skargę — a targał siwą brodę.  
 Płaczem odpowiadały mu dziewice młode;  
 Bo bardzo były światła dziennego stęsknione,  
 A już nie zagładało w tę podmorską stronę.  
 Senność przemogła wszystkie w głębiach morskich twory;

One jedne zbudzone są aż do téj pory,  
Lecz i u nich zamiera pierś wśród nocy mroku,  
I u nich émi się, jakby śmiercią w jasnym oku.

Wanda z krzesła powstała w płonącej zbroicy;  
Zajaśniały jéj oczy pod cieniem przyłbicy,  
I zawołała: „Znam ja te Popiela sprawy!  
„On to pierścieniem lodu ujął długie nawy,  
„Które po morzu błędząc, niosły w ludzkie grody  
„Zamorskich, dziwnych krajów złotodajne płody!  
„On to słońce zasłonił i sen zesłał w tonie;  
„On to w mrozie zimowym wszelkie życie chłonie!  
„Jam go już w życiu mojem, ojcze, pokonała!  
„I teraz nie obroni jego zima biała!  
„Z tych komnat wyjdę, ojcze, i ostrzem oręza  
„Ten lód przełamie, co dziś moc fali zwycięża!  
„Chodźcież za mną, dziewice, coście ślubowały,  
„Ze nigdy nie będziecie pod mężami stały!  
„Chodźcie, wyjmijcie miecze, zderzcie wasze tarcze!  
„Sama do boju z czarnym Popielem wystarczę;  
„Żmija wzrokiem pokonam; wojska Czarnoboga  
„Na sam widok mych oczu, weźmie straszna trwoga;  
„Jak śnieg stopnieje wojsko, bom ja przeznaczona  
„Zwyciężyć moc Popiela. Przedemną on skona!  
„Lecz na to, aby zdołu złamać mury lodu,  
„Potrzeba wspólnéj siły morskiego narodu.  
„Gdy owe pęta morza rozbite zostaną,  
„I gdy się ninie zjawię ponad morską pianą,  
„W zbroi mojej jasnej, i z gniewem w mojem oku,  
„Zimę i śmierć zabiję błyskiem mego wzroku.  
„Jak lodu nie przełamie, biada ludziom, biada!  
„Bo wtedy ja tu zginę; ludzki ród przepada!“

Tak przymówiła dzielna, morska Samożona ;  
 Krzykiem zawtórowała rzesza zgromadzona  
 Dokoła stołów wielkich, wśród rycerskiej sali  
 W obronnym zamku, co się wznosi w głębi fali.  
 Powstały Samożony i wstali Wodniki,  
 I aż pod sklepy lodu zaszły ich okrzyki.  
 Na konie swoje siedli.

Czech mężom przewodzi ;

Wanda na czele dziewic w mury lodu godzi.  
 Wśród huku zimnej fali zastępy się wzniosły.  
 Mieczami swemi jakby stalowemi wiosły  
 Wodę rozorywały. Już pod sklepem lodu  
 Stanęli bohaterzy podwodnego rodu.  
 Mieczami biją głośno w lodowate ściany.  
 Lecz stoi ponad morzem twardy, niezachwiany,  
 Więzienny mur zimowy. Lodu nie przełamie  
 Ani gniew wielki Czecha, ani Wandy ramię.  
 Zmęczone wojsko morskie, miecze poszczerbione,  
 A lód jak piérwój, wielką nad morzem oponę  
 Rozparł — most zimy silny. Na zewnątrz lśnią lody ;  
 A od dołu twarz nocną zwróciły do wody  
 Morskiej. Nieubłagane urągają sile,  
 Co przeciw nim powstała.

Powalczono chwilę

Tylko, wśród długiej zimy. Opadły ramiona ;  
 Na dno morza spadała ciężba utrudzona,  
 A skoro Samożona na dno upadała  
 Już pod zimy zakłębciem, w twardej zbroi spała  
 Podobna do kamienia ; i mężowie morza  
 Znużeni na tarcze swe padali ; na łoża  
 Piaszczyste wojsko dzielne do snu się pokładło ;

Wreszcie rozpacz usiadła na Wandy pobladałą  
 Twarz; miecz swój opuściła i głośno westchnęła,  
 Potem razem ze swemi zastępy spoczęła  
 Tam u dna czarnej fali. Wandy piękne ciało  
 Usnęło pośród muszli, a morze huczało  
 Nad niem głucho pod ścianą lodów niewzruszoną.

Bogowie potonęli morscy tak, jak toną  
 Ludzie, co tylko zwykli żyć na suchej ziemi;  
 I ten, co przywykł rządzić ludami morskiemi,  
 Czech stary, wreszcie zwolna spłynął na dno morza:  
 Usiadł pośród wpół martwych; a moc jakaś boża  
 I nieprzewyciężona i jemu powieki  
 Zamknęła; tak siadł, jakby był zasnął na wieki  
 Czech stary.

Wicher ponad białym murem lodu  
 Zapiał zagrobową pieśń morskiego narodu.

\* \* \*

I wicher szedł na błonia, gdzie mieszkają ludzie  
 W lęku przed śmiercią wczesną i w roboczym trudzie.  
 I śnieg podnosił z pola i kładł śnieg na pole  
 I wkoło wiosek ludzkich krążył w mroźnym kole.  
 I wyjąc długo, prawił o tém, że świat skona.

To wycie usłyszała w chacie Piasta żona,  
 Rzepycha, co nie śmiała iść na Szklaną Górę  
 Przez zawieje śniegowe i przez mgły ponure.

Dawno w chacie niewiasty na Piasta czekały,  
 Codzień patrząc przez okno na świat śniegiem biały;  
 Codzień Żywa z Rzepychą zdmuchiwały z okna

Na szkle nagromadzone strojne mrozu włókna,  
 I przez szkło oczyszczone patrzyły źrenice  
 Tęskne, czy się nie zjawi gdzie Piastowe lice?  
 Z boku na swojej ławie siedziała Zabawa,  
 Słuchając, czy nie zleci z szumem wichru sława  
 Jaka o jej Kupale? Raptem usłyszały,  
 Jak w głos narzekał wichur zimą rozszalały;  
 I wszystkim w chacie serce się ścisnęło srodze,  
 Bo uwierzyły, że na zły Sobotniej drodze  
 Zginęły bohaterzy.

W chacie zaplakano.

A śnieg się coraz wyżej piętrzył popod ścianą;  
 I tak się zdało, jakby świat już był umarły,  
 I jakby wieka trumny nad nim już się zwały.  
 I berło ponad ziemią wzięła zima sroga,  
 A wielka radość wstała w zamku Czarnoboga.

Lód ścisnął wielkie bagna, które w koło legły;  
 Tumany śniegu jak po łądzie po nich biegły,  
 Wirując i szalejąc. Na lśniące skorupy  
 Zimy patrzyły z wieżyc zamku żółte trupy,  
 Żołnierze Popielowi. I jak martwe oko  
 U nich było w źrenicy, i jak lód głęboko  
 Błota w swe kleszcze ujął, tak nieubłagana  
 Śmierć siadła między ludźmi na ziemię wysłana  
 Przez Popiela.

Gdy grzech wstał przez oręż Leszkowy,  
 Znow potężniejszy Popiel zimowe okowy  
 Na ziemię Polską kładł --- i ziemia ta pobladła  
 Tak jak Marzanna, kiedy w ręce męża padła  
 Po dokonanej zbrodni. Mrozy już zabiły  
 Wielu. Ponad trupami grząskie śniegi lśniły

Po śmierci napiętrzone, a zima trzymała,  
 I po niej jeszcze większa klęska ciągnąć miała;  
 Bo niebo nad głowami wiecznie było szare,  
 I tylko nowe śniegi, kryły śniegi stare,  
 A już przednowek chudy ludziom patrzy w oczy,  
 I głód już biednym trzewia ostrym zębem toczy.  
 Niech zima potrwa jeszcze — stokroć gorsza kara  
 Nastanie, niż za Kroka była klęska stara,  
 I pośród mrozu, nędzy, głodu, drżenia, trwogi,  
 Przeklęty naród w Polsce wymrze co do nogi.

\*

Więc Popiel rad jest wielce, i ręce zacięra,  
 Widząc, jak nienawistny lud w męce umiera  
 Strasznej, i Jagę woła, i przed nią się chwali,  
 Że naród Lacki cały tak do grobu zwali,  
 Jak kosarz na pomieci kładzie bujne trawy.

A w oczach Jagi stanął pomsty błysk jaskrawy:  
 Zębem jednym zgrzytnęła, i potrząsa głową,  
 A potem wygłosiła, sycząc, takie słowo:  
 „Popielu, tyś jest mądry i korzystasz z grzécu!  
 „Zaprawdę los dzisiejszy ludzi godzien śmiechu,  
 „I biorę się za boki, kiedy słucham jęku,  
 „Jakim ród ludzki szczeka pośród śmierci lęku  
 „I pośród męki mroźnej. Jam od Czarnoboga  
 „Ludzkiemu narodowi stokroć bardziej wroga,  
 „Jam dzieci postradała; i czém dziatwa luba  
 „Dla mnie bywała, tém jest teraz ludzi zguba:  
 „A więc myślę ostrożnie, czy niema sposobu,  
 „Którymby ludzkość wraza jeszcze uszła z grobu?  
 „I drzę, że ujdą jeszcze. Ludzie na południe

„Ujść gotowi aż w kraje, które kwitną cudnie,  
 „Tam, kędy nie dosięga, mężu, berło twoje ;  
 „I ja się téj ucieczki, mężu, wielce boję.  
 „Na czele ludu tego stoją wojewody ;  
 „Odwieczni to pastérze mnogiej ludu trzody ;  
 „Człowiek każdy o sobie sam zwyczajnie radzi,  
 „Lecz rzesza ginie, kiedy nikt jój nie prowadzi,  
 „I nieporadnych tysiąc w każdym bawi tłumie,  
 „Choć każdy z nich z osobna sobie radzić umie.  
 „Jest przeto w Lackim ludzie wodzów mała rada ;  
 „Ta lud prowadzić może, a bez nich gromada  
 „I o tém nie pomyśli, jak ratować życie ;  
 „W bój wtedy tylko ciągnie, kiedy poszła wicie,  
 „I nie opuści martwój od zimna krainy,  
 „Jeśli hetman nie stanie na czele drużyny.  
 „Tylko bezpański naród zginie nieporadnie ;  
 „A głowa ciało z matni wydobywa snadnie.  
 „Przeto trzeba zgnieść głowę. A te wojewody  
 „Bez trudu zwiódł przed laty córki dowcip młody,  
 „Welindy, którą zabił głazem Piast wśród boru,  
 „Owego przekłętego na wieki wieczoru,  
 „Kiedy dla mnie ostatnia nadzieja zginęła,  
 „Kiedy ostatnia kropla litości uschnęła  
 „W mojej piersi dla rodu ludzi nিকzemnego.  
 „Zatém te wojewody ludu nie ustrzegą  
 „Przedemną i przed moją pomstą. Ja ich zgubię —  
 „I krew ciepłą wypiję, — a napój ten lubię  
 „Tak, jak młode dziewczęta kochają płasanie.  
 „Da Bóg! a zemsta krwawa z dzieci dla mnie wstanie!“

Tak rzekła Jaga Baba we dwoje skulona,  
 Sparta o kij sękaty, cała pomarszczona ;  
 Potém gotując ludziom okropną zagładę ,

Do uszu Popielowych kładła cicho radę,  
Którą Popiel usłuchał. Skinął piękną głową,  
Chwaląc tém jawnie żony swojej zgubne słowo,  
I wnet wielką rozpoczął, ostatnią wyprawę.  
A myślał, że wśród trupów będzie dzierzył sławę  
Wiekuistą, że żywych narodów nie stanie,  
By chwalić dalsze króla śmierci panowanie;  
A w oczach Popielowych tyle nocy było,  
Że aż się od wejrzenia w świecie zaciemniło.

Ogromny Żmij przyleciał nad wielkie jezioro  
Gopło, które stanęło lodem mroźną porą,  
Zimą okropną — czasem pierwój niewidzianym.  
I w ołowiane niebo okiem ołowianym  
Patrzyło tam jezioro, gdzie wichry szalone  
Tak ułożyły śniegi w wały upiętrzone,  
Że naga pozostała lodowa polana,  
Niby w zamku podłoga jaka zwierciadłana,  
Po której płaść zwykły strojnych dworzan pary.

Na Żmiju zleciał Popiel. Przywiódł z sobą mary  
W orszaku swoim groźnym. Owe zżółkle straże,  
Trupy jego podręczne, swoje zeschłe twarze  
Narodom pokazały, co na polskiej ziemi  
Siedziały zrozpaczone. Ramiony trupiemi  
Ten orszak Popielowy rąbał czarne drzewa,  
Które liściem zielonym lato przyodziewa,  
A które teraz same jakby martwe stały,  
Moc wichru powstrzymując ogromnemi ciałą,  
I pod śniegi zimowe ścieląc swe konary,  
A ku niebu szaremu dźwigając łeb stary.  
Te drzewa powaliły Popielowe trupy,  
A potem pnie ogromne tak zbiły do kupy,



Że nad Kruszwicą stanął jakiś dwór straszliwy,  
Wprost nad okrytą śniegiem chatą matki Zywy.

Przed tym dworem na śniegu grząskim legł Żmij groźny  
I siedmioma głowami patrzył na świat mroźny;  
A leżał naprzeciwko starej rzymskiej wieży,  
Co siedzibą puszczaków jest i niedoperzy.  
Niegdyś zamorski żołnierz stawał w niej na straży;  
Krótki w ręku miał oręż i dumę miał w twarzy,  
I oko, które zawsze zwyciężać przywykło.  
Dziś wszystko prócz imienia po tych ludziach znikło,  
I ludzie nie wiedzą, jakie tu dzieje bywały?  
I z okai z pamięci znikł lud Rzymian cały,  
Jak sen nocy wczorajszej. Znikła Rzymian chwała  
A czarna, pusta wieża tylko pozostała  
Wśród jeziora, na wyspie.

Prędko rozślawiona  
Wieść o króla przyjeździe; a Lackie plemiona  
Różnie o niej myślały. I radość i trwoga  
Otaczały ten nowy zamek Czarnoboga,  
Co stanął pośród Polski. Jedni powiadali,  
Że Popiel w srogim gniewie całą ziemię spali;  
Lecz więcej w to wierzono, że Popiel zmieniony  
Z miłosierdziem i chlebem w Polskie jedzie strony;  
Że po zbyt długim gniewie nastąpiła łaska,  
I że ten, co biczował, teraz lud pogłaska.  
Nawet mówiono, że tam z zamku wyszły wieści,  
Że Popiel zimę zmoże, a naród popieści.  
Nikt nie wiedział, kto pierwszy rozpuścił tę sławę,  
Jednak uwierzyć chciano, że będą łaskawe  
Królewskie odwiedziny. Choć śniegiem zawianą  
I zamrożoną Polska, dobre serca miano

Pod strzechą i na dworach panów. Więc wierzono,  
 Że moc nieszczęścia będzie teraz ukróconą :  
 I nie mogło się zmieścić w dobrej, polskiej głowie,  
 Aby gniew potrwał wiecznie, i nie było w mowie  
 Polskiej wyrazu na to, kiedy król się sroże —  
 Wierzono, że ten łaskaw, kto tak wiele może !

Zproszono z zamku w goście lackie wojewody.  
 Miano dla nich wspaniałe tam wyprawić gody,  
 A lud dokoła wierzył, że co spadnie z stołu  
 Panów, ubóstwo potem spożyje pospołu.  
 Wszyscy błogosławili zatem przyjazd pana.

Rzesze zewsząd ciągnęły. Na czele wybrana  
 Pojechała drużyna. Goście zaproszeni  
 Po śniegu zajeżdżają do zamkowych sieni;  
 Polscy to są panowie, i żony ich panie,  
 Co dziś wdziały na siebie złociste ubranie,  
 I co jaśniały ninie w szat swoich połysku,  
 Jak na wiosnę niebiosa w pierwszym zorzy błysku.  
 Mężowie mieli delie sobolem podszyte,  
 Kołpaki strojne w kity, pasy złotolite.  
 Zaszli wszyscy do sieni: dokoła gromady  
 Łaknąc, czekały końca gościnnęj biesiady.

Czekały długo. Wreszcie jakiś znak tam dano,  
 W czarnym zamku Popiela, za ponurą ścianą  
 Królewskiego pałacu. Okna otworzono  
 Od komnat, w których jasne lampy żarem płoną  
 Dokoła sutych stołów, i z okna każdego  
 Coś wyrzucono, i coś spoczęło na śniegu  
 Nieruchomie pod oknem każdym. A błyszczały

Szaty na tych ciałach, które na śnieg biały  
Spadły.

Lud trwoga zdjęła, i tłum przełękniony  
Do zamku ciągnął bliżej. A był bez obrony  
Wszelkiej zamek na polu, sam jeden wśród śniegu,  
Tak, że naród nie spotkał przeszkody w swym biegu,  
Kiedy pod okna zamku biegł, by ujrzeć ciała,  
Które czeladź zamkowa z dworu wyrzucała!  
A kiedy tłumy przyszły aż pod czarne ściany,  
Wyszedł z wału ludzkiego jęk nieopisany.  
Bo tam pod zamku ścianą trupy położono  
Wojewodów i pań. Tu białej pani łono  
Z rozdartej wyglądało szaty, zeszpecone  
Przez plamy jadu czarne, sine i zielone;  
Śmierć sroga usta pięknej pani pokurczyła,  
Jakby o okropności jakiejś w nocy śniła,  
Kiedy śmierć do niej przyszła; pięście wojewody  
Ściśnięte były obok kurczem śmierci; młody  
Rycerz na wieki patrzył w nicość martwym okiem.  
A trupy się zapadły w dół w śniegu głębokim,  
Pod czarną zamku ścianą.

I rozpacz chwyciła  
Tłumy ludu. Nadzieja wczoraj im się śniła;  
Dzisiaj zbudzone grozą, której nie opowie  
Nikt ani w ludzkiej ani w świętej bogów mowie.  
Jęczały tłumy tylko i z rozpaczny wyły;  
Bez głowy były — czuły, że nie miały siły  
Dla pomsty i obrony. Przecież w ludzkim łonie  
I niemożliwej pomsty żądza żarem płonie;  
Więc raptem rykiem gniewu przerwał narzekanie  
Tłum pod zamkiem Popiela; jak mściciel powstanie

Tłum. Na ściany zamkowe tłum ludu się wspina;  
 Zbyt straszną jest ta czarna Popielowa wina,  
 Aby miała pozostać bez okropnej kary.  
 Wnet się przez okna wdrze lud w ten dworzec szary  
 Ohydnej zbrodni. Jeśli Popiel potruł goście  
 Sproszone, zginąć musi! Krwawe jego koście  
 Lud po ziemi rozniesie; obgryzą je w polu  
 Wilki! Bo lud jest straszny w rozpaczy i w bólu,  
 Jak zwierz raniony. Okna wysoko gdzieś były  
 W zamku; jeden chłop niema w sobie tyle siły,  
 By się do okien dostał; a więc żywe schody  
 Z ramion i z karków swoich ułożyły rody  
 Ludzi głodnych, i po nich pięli się do góry  
 Mściciele na czarnego zamku grzeczne mury.

Wtém śmiech okropny w zamku usłyszano.  
 Spojrzały rzesze w górę: Nad zamkową ścianą,  
 Na baszcie czarnej z drzewa, zjawiała się żona  
 Popiela, w złote szaty suto wystrojona,  
 I brzydka ponad wiarę. Jakby widmo stała  
 Śmierci nad głową tłumy, i tak się zaśmiała  
 Jakby śmierć, Jaga Baba we dwoje skulona,  
 Sparta o kij sękaty, cała pomarszczona.

A na ten śmiech okropność nowa się zjawiała:  
 Z trupów pod zamkiem myszy rój nieczysta siła  
 Wywiodła. Myszy czarnych, szybkich rzesza cała  
 Z potrutych ciał na śniegi piszcząc wybiegała;  
 Nie zliczysz mrowia okiem; wszystkich ludzi ciała  
 Czarnym trądem robactwa rzesza pokrywała.

Wał żywy popod zamkiem zaraz się zawalił,  
 I w okamgnieniu myszy zastęp ten ocalił

Popiela, swego pana, władcę złej północy,  
 Co zło wszelakie posiadał w swojej czarnej mocy.  
 Z ramion na dół skakali ci, co w górze byli.  
 Każdy człowiek na jedną rzecz tylko się sili  
 W przestרחu; każdy pragnie ująć przed myszy mocą.  
 Biegając, cisną się ludzie, depczą i szamocą,  
 I pod nogami zgrai słysząc jęk konania  
 Kobiet rozdeptywanych.

#### Myszy czerń zaslania

Śnieg biały. Żywych ludzi robak podły zjada —  
 A kto prędkiej uszedł w wielkiej trwodze, biada,  
 Za życia umarli. Tłum uszedł. Trupy padły  
 Niewiast i dzieci małych, które myszy zjadły.  
 A potem myszy wojsko utworzyły czarne,  
 Co jak płaszcz wielki pola pokryło cmentarne  
 Polski, ujętej zimą. I szły myszy w siola  
 Ludzkie, śmierć i okropność roznosząc dokoła.  
 Wstała straszna godzina na Słowian narody,  
 Że zginąć im nie przyszło od ognia ni wody,  
 Ani od wroga Niemca, ani od wilczego  
 Zębu — tylko od myszy, co w szalonym biegu  
 Głodne po Polsce lecą.

#### Daremna obrona!

Po wsiach wały ze śniegu sypie zrozpaczona  
 Ludność, albo ogromne ognie pali wkolo,  
 By tak przed czernią myszy swe obronić siolo.  
 Lecz głodne wojsko myszy lezie na te wały,  
 I w ogień idzie ślepo. Jeden zastęp cały  
 Myszy zginie, i drugi zastęp się spopieli;  
 Lecz trup ten tylko drogę nowym myszom ścieli;  
 I gdzie raz wojsko myszy rozpoczęło boje,

Tam pewno święcić będzie i zwycięztwo swoje,  
I wszystko zniszczy, co tam tylko żyje.

Więc Polska w kurczach zgonu straszego się wije  
Pod tych myszy stąpieniem. Głód już ludziom w oczy  
Zagląda — a mysz jak wąż kraj Słowiański toczy  
Czarnym splotem zastępów. Gdzie nie było myszy,  
Pod śniegiem człek zgłodniały jeszcze w trwodze dyszy,  
Czekając śmierci pewnej.

Jakieś to sprawiły

Czarodziejskie, a błogie białoksiężnic siły,  
Że mrowie ominęło Kruszwicę. A chata  
Piasta tak dotąd jeszcze w chleb święty bogata,  
Że tu w Kruszwicy pośród biédnego narodu  
Niema dotąd ni śmierci, ni nędzy, ni głodu.  
Tuż pod okiem Popiela wieś ta ocalała.  
Co najdziwniejsza, jabłoń, co pod chatą stała  
U Żywěj, wśród srogiěj zimy owoce zrodziła, —  
I w Kruszwicy nadzieja wonna jeszcze żyła.  
Matką nadziei wdowa Krakusowa, Żywa,  
Niegdyś królowa Polska, zawsze urodziwa  
Jak wieczór letni. Przy niej Rzepycha synowa,  
Ludzi cieszyć, a matkę posłuchać gotowa  
I choć Zabawa smętnie swoje spuszcza oczy,  
I ona ludziom słowo powiada prorocze,  
I w nich nadzieję krzepi. Bo jabłoń, co stała  
Pod chatą Żywy pewny nadziei znak dała;  
I ci, którzy koło niej pośród śniegów siedzą,  
Spokojni wśród tej grozy; bo na pewne wiedzą,  
Że Piast nie zginął, i że minie straszna trwoga,

I że wraz z nią przepadnie zła moc Czarnoboga,  
Że po najdłuższej zimie wiosna wreszcie wstanie,  
Że kwiaty znów zakwitną, i że chleb na łanie  
Znowu dojrzeje, i że słońce nad murawą  
Zaświeci złote; że się ziści Boskie prawo!





## PIEŚŃ XII.

### RÓG ZŁOTOMORA.

**G**dzieś u kresów zachodu, u źródeł Dunaju,  
Tam za siódmą już górą, w zapadłym już kraju,  
Na wysokiem urwisku, w baszty uzbrojony  
Dwór Złotomora widny jest na wszystkie strony;  
Na nim blacha rudawa, z miedzi wykowana,  
Swym połyskiem z daleka rozgłasza moc pana,  
Co w tym zamku przybywa; jego rodzi Rosa,  
Żona Czechowa, pani morza pięknowłosa,  
I nikomu na całym świecie nie są dane  
Podobne skarby. Baszty od miedzi rumiane  
Wróżą blask świetny złota za murem ukryty.  
Wewnątrz, w zamku, sprzęt wszystek cały złotolity;  
I w Rajskich nawet zamkach się nie pojawiły  
Klejnoty takie, jak te, które tutaj lśniły  
Na każdym niemal miejscu. Aż oczy bolały,  
Gdy kto spojrział na skarb ten nad opis wspaniały,

Tu orzeł siadł na baszcie złocistego dworu  
Wśród zimowej śnieżnicy, kiedy zmierzch wieczoru

Już zaciemniał doliny, a dachy zamkowe  
Ostatnie odbijały promienienia płowe  
Słońca zachodzącego.

W człowieka zmieniony  
Orzeł zaszedł w komnaty, i na wszystkie strony  
Oglądał się ciekawie, patrząc w stopy złota,  
I w sprzęty, których jeszcze piękniejsza robota  
Od kruszcu promiennego, z którego powstały.  
Zrazu zdał się bezludnym zaklęty dwór cały.  
Ale wkrótce gość dostrzegł, że złote ubranie  
Czyni wśród złota trudnem służby rozpoznanie.  
Każdy paź nawet miał na sobie złote szaty.  
Gdy rosną pośród słomy, nikną żółte kwiaty  
W dojrzewającym zbożu; a jak ludziom ziarno  
Chleb niesie, tak tu złoto swą wspaniałość marną  
W darze niesie synowi Rosy; a tak tanie  
Złoto w tych zamkach, że nikt tutaj nie da za nie  
I jednej garstki ziarna.

A chleb tutaj drogi,  
I w ziarno a nie w złoto lud w zamku ubogi,  
Złotomór nie ma, czémby mógł karmić swe sługi;  
Chleba tu strasznie mało, a dzień taki długi,  
Jak gdzieindziej na świecie. By przeto od głodu  
Odwrócić myśl spragnioną dworskiego narodu,  
Złotomór po komnatach warzy kwiaty maku,  
Cedząc z nich napój senny dla swego orszaku.  
Sen ziele sprawia, że śpią jakby odurzeni  
Pośród złocistych zamku bogatego sieni.  
Kiedy trzeba, Złotomór pacholka obudzi;  
Zresztą służba śpi; przez sen głód jej nie utrudzi,

Przeto służba złocista gdzieś po kąłach spała,  
Przez gościa niewidziana, i nań nie zważała.

Gość długo szedł przez izby zakłętego zamku,  
Co tak płonął od złota, jak w blaskach poranku  
Niebo jaśnieje; wreszcie u krużganków końca  
Weszedł do izby, która pełnią blasków słońca  
Południowego tłała. Pośród tej komnaty,  
Na tronie brylantowym siedział mąż brodaty.  
I na nim szaty całe płonęły od złota,  
Ale na jego twarzy rumianej ochota  
Do życia w świat patrzała raźnie i wesoło;  
Pogodne, obudzone i wesołe czoło  
Niosło koronę złotą, wśród której kamieni  
Tłum jasny; zda się, że w nim cały świat się mieni  
Barwami tęczy kraśnej. Był to pan wieczora  
I pan złocistych bogactw; imię Złotomora  
Nadała jemu matka, a ojciec pan morza  
Zebrał pośród przepaści słonego przestworza  
Wód nieskończonych wszystkie skarby, co przepadły,  
Gdy się na statki ludzkie gniewne fale kładły,  
Niosąc z sobą śmierć pewną; i dał je synowi  
I przeto bogactw jego człowiek nie opowie  
Żaden i nie wyśpiewa.

Gdy gościa zobaczył,  
Głową skinął Złotomór i witać go raczył  
Łaskawie; a u pasa jego trąbka mała,  
Ze złota urobiona misternie wisiała;  
Tę trąbkę wziął do ust pan zamku złotego  
I zadał. Wtedy słudzy, którzy złota strzegą,  
W złotej odzieży, zewsząd przybiegli do pana;  
Bo ich głosem zbudziła trąbka urabiana

Przez mistrzów czarowników. Stał stół pośród sali  
 W klejnoty ustrojony; tu panu podali  
 W puharze wino szunne, i tłuste pieczywa  
 Mięsne, które maślana posoka oblewa  
 Szumem i pianą; obok położyli ciasta,  
 Które misła w kuchni zamkowej niewiasta  
 Mądra. Gdy poprzód pana wszystko postawili,  
 Na te potrawy wszystkie patrzali.

Po chwili,

Gdy pan już zjadł te skarby nieoszacowane,  
 Z sobą gościa wołali, i w szaty utkane  
 Ze złota go ubrali. Szaty ciężkie były;  
 Aby je dźwignąć, trzeba było męskiej siły.  
 Zamiast koszuli gość wdział cienkie złotogłowie;  
 Odzieżą wierzchnią blacha, którą w zwykłej mowie  
 Pancierzem by nazwano złotym, i na ziemi  
 Nie byłoby nań ceny; tu między podłemi  
 Rzeczami taka odzież policzona złota,  
 I w niej zwykła tu chodzić służebna hołota;  
 Tak chodzą pachołkowie, którzy są bez wprawy  
 Jeszcze do posług wyższych, a noszą potrawy  
 Z kuchni do komnat pańskich.

W zamku gościa brano  
 Każdego między służbę; skoro złotem tkaną  
 Przyobkł odzież, jadło podano zamkowe  
 Piastowi. Bo to Piast był tym gościem. Na głowę  
 Każdą licznój drużyny dwa ziarnek pszenicy  
 Podano; a trzy ziarnek jedli komornicy.

Potém wszyscy popili naparstkiem Snu Ziela;  
 I wnet wszystkie komnaty na zamku wyściela

Sen służbą w złotych szatach. Kto w komnatach stanie,  
 Usłyszy tylko ciężkie, senne oddychanie.  
 I Piastowi coś dziwnie po głowie się marzy:  
 Wyraźnie nie rozróżnia żadnej ludzkiej twarzy.  
 Zamek cały się toczy jak bąk nakręcony,  
 A ściany się chylają w różne świata strony;  
 Wreszcie pozakrywała mgła wszystkie przedmioty;  
 W czarną nicłość się zapadł cały świat ten złoty.

Nikt nie wiedział, jak długo nicłość taka trwała?  
 Trąbka Złotomorowa śnienie przerywała;  
 Kiedy czuwającego głód lub sen utrudzi,  
 Trąbki swojej odgłosem woła sennych ludzi,  
 I wszyscy wtedy wstają i biegną do pana.  
 Na każdy rozkaz gotową jest służba, wezwana  
 Głosem złotego rogu; albo ścieli łoże,  
 Albo jadło przystawia, i czém tylko może,  
 Na łaskę zasługuje pańską; tej nie braknie,  
 Bo wnet dwa ziarna zboża dostanie, kto łaknie;  
 Ze szczególniejszą łaskę mają kormornicy,  
 Przeto dostaną po trzy ziarneczka pszenicy;  
 Potém wszyscy popiją naparstkiem snu ziela,  
 I znów ciżbą bez czucia sen zamek zaściela.  
 I tak mijają długie dnie u Złotomora,  
 A pamięć ludzi zdradza tak, że niby wczora  
 Się to wydaje śpiącym, co się wydarzyło  
 Przed wielu miesiącami.

Piastowi się śniło  
 W zamku przez sześć miesięcy. I zima tak długo  
 Na ziemi się srożyła, jak Piast tu był sługą.

Choć był jemu bliskim Piast, nie znał Złotomora,  
 Bo gdy nastala niegdyś jego ślubów pora,

Nie było pośród fali przy Rzepysze brata;  
 Już posiadał był swój zamek gdzieś u kresów świata,  
 I w tym zamku się cieszył złota połyskami,  
 Co kłamstwem o bogactwie jemu duszę mami  
 Królewską. I Złotomor przeto nie znał Piasta.  
 Najdroższą w całym świecie była mu niewiasta,  
 Którą Piast był poślubił, a jego rodzona  
 Siostra. Gdyby był wiedział, że pacholka żona  
 Nazywa się Rzepychą i jest córą Rosy,  
 Byłby z trąbki wywołał najmężniejsze głosy,  
 By go całkiem przebudzić. Ale nie znał brata.

Nawet kiedy Piast czuwa, sen jego oblata  
 Pośród komnat złocistych. Choć półmiski stawia,  
 I choć łoże pościeli, słów tu nie wymawia,  
 I wyraźnie nie myśli. Nim przybył w te strony,  
 Wiedział, że jedzie w zamki brata swojej żony;  
 Ale odkąd jest w zamku, nic już nie wie zgoła;  
 Przeto Złotomorowi nic mówić nie zdoła  
 O sobie i o swojej żonie, o Rzepysze;  
 Naprawdę tu nie żyje Piast, a tylko dysze.

Kiedy już sześć miesięcy długich przemijało,  
 A Polska już zamierała pod swą suknią białą,  
 Śniegu, coś się zmieniło. Nie wiem kto to sprawił?

Złotomór, pan zamczyska, tém się raz zabawił,  
 Że kazał sobie podać poskładane szaty,  
 Które służba zrucila, zanim strój bogaty  
 Na zamku przyoblokła. Gdy Piasta sukmanę  
 Przeglądał, ujrzał na niej jakieś znaki tkane  
 W sposób misterny. Poznał pisma tajemnice  
 Morskiego. Tak to zwykle podmorskie dziewice

Swoje imię wpisywać w mężowskie ubranie,  
 Gdy która z nich się żoną już mężowską stanie;  
 A w tém pisaniu, w którym się sukmana stroi,  
 Imię sławne Rzepychy najwyraźniej stoi.  
 Nie mało się ucieszył Złotomór widokiem,  
 I miano wypisane swém pożerał okiem,  
 Siostrę przypominając sobie ukochaną.

Potém wziął trąbkę, którą sztucznie wykonano  
 Ze złota, i do ust oburącz przyłożył.  
 Wreszcie z lekka przy trąbce swe usta otworzył,  
 I nadał policzki; a zatraził tak żywo,  
 Że istne tém trąbieniem w zamku sprawił dziwo.  
 Uspiona družyna się naprawdę zbudziła,  
 I chwilę pełnem życiem całych ludzi żyła,  
 Rozumném okiem złote oglądała ściany,  
 I głód srogi uczuła.

Z uśpienia wyrwany

Piast wspomniał, poco przyszedł w te zakłète strony;  
 A skoro posiadł nazad rozum obudzony,  
 Z pośrodku ciżby dworskiej wyszedł, i jak brata  
 Powitał Złotomora. A mowa skrzydlata  
 I mądra Piasta prędko wszystkich przekonała,  
 Że jemu tę sukmanę z haftem żona dała.  
 Uścisnął przeto Piasta gospodarz bogaty,  
 A zdjąwszy z niego podłój służby złote szaty,  
 Oddał kmiecie ubranie; a potém przy stole  
 Własnym brata posadził. W głodnym służby kole  
 Najadł się Piast do syta smacznými potrawy.

O czynach wielkich Piasta doniósł rozgłos sławy  
 Głośnej Złotomorowi bratu już oddawna.

Wiedział, jaka myśl mądra, i jaka dłoń sprawna  
 Jest u męża Rzeczychy; cieszył się niemało,  
 Że marzenie po latach tyłu się udało  
 Powitać Piasta w zamku.

Wreszcie po biesiadzie

Pszenicą służbę karmi, i do snu ją kładzie  
 Złotomór, i zaczyna bardziej poufałe  
 Rozmowy z bratem Piastem; jako śniegi białe  
 Ziemię dawno pokryły; jako niema końca  
 Przeklętej zimie, jak się zdaje, że moc słońca  
 Na wieki już przygasła, i jak nawet fale  
 Morskie grobem się stały dla Czecha.

Te żale

Wysłuchał Piast do końca. Potem opowiedział,  
 Jakie rzeczy mu zdradził olbrzym, który siedział  
 W Tatrach; jak Świętogór z własnej umarł woli,  
 A Kupało przez zdradę; jako w księgach Doli  
 Zapisano, że lodów zimy nie przełamie  
 Jak tylko obudzonej Wandy dzielne ramię;  
 A jako Wandę chrobrą pośród wszystkich ludzi  
 Jeden tylko Kupało wskrzeszony obudzi;  
 Wreszcie jak w Złotomora to spoczywa dłoni,  
 By wrócić moc Kupale, przez którą z wód toni  
 Wywoła Wandę, złą moc Popiela ukróci  
 I światu umarłemu dawne życie wróci.

Złotomór to zrozumiał, z czém mu się Piast zwierzył;  
 Wziął tedy trąbkę, którą koło pasa dzierzył,



I tę trąbkę pożyczył bratu, prosząc o to,  
 Aby mu jak najrychlej oddał trąbkę złotą,  
 Bez której służby swojej nigdy nie przebudzi,  
 Kiedy czuwającego głód lub sen utrudzi.  
 Do trąbki dodał radę. A Piast trąbkę schował,  
 Za radę Złotomora pięknie podziękował,  
 Obiecał uroczyście, że trąbkę jemu wróci,  
 Skoro moc nie dobrego Popiela ukróci;  
 Uścisnął swego brata i w orła zmieniony  
 Uleciał nazad w ludne tego świata strony.

Pod nim śniegiem okryta była Polska cała;  
 Pod nim śniegu tumanem sroga zima wiała;  
 Chaty ledwo gdzieniegdzie strzechą wyglądały  
 Z popod śnieżnych zamieci; Polski kraj był biały  
 Jak trup. Na trupa orzeł zleciał i strząśł pióra,  
 I stał się znów człowiekiem. Dokoła ponura  
 Była kraina. Śniegu napiętrzone wały,  
 Jakby kurhany, całą ziemię zalegały,  
 Niebo leżało nisko, a było tak białe,  
 Że się z ziemią u krańców swych zlewało całe.  
 A gdy Piast spojrział w śniegiem zasypane błonie,  
 Ujrzał na nich najpierwej dwa przedziwne konie,  
 Które kopytem swoim śnieg rozkopywały,  
 Szukając pod nim trawy.

Pierwszy koń wspaniały  
 Wśród zimy jaśniał złotem, i miał skrzydeł dwoje.  
 Z tych skrzydeł na śnieg były świętych światel roje;  
 Na kształt ognia jasnego koń się ten wydawał,  
 Kiedy z głową spuszczoną smutnie w śniegu stawał.  
 Przy nim konik był kształtny, nie wysokości miary,  
 Tak jak towarzysz smutny, a jakby noc kary.

Piast po koniach poznał, że muszą być blisko  
 Ci, których szuka. Poszedł tedy przez śnieg ścieżką  
 Głęboko wydeptaną, w miejsce, skąd jęk głuchy  
 Dolatywał; tak jęczą potępione duchy.  
 Kruki, sroki i kawki, krzykliwe gawrony  
 I do chmury podobne, jak mgła szare wrony  
 Latały wrzeszcząc w koło miejsca, skąd te jęki  
 Dolatywały. Czasem z śniegu ruchem ręki  
 Chudój ktoś je opędzał, czasem im wrywał  
 Z dziubu jakieś jadlo. Że człowiek tu spoczywał  
 Żywy pod śniegiem — pewna. W koło jak kamienie  
 Leżały koście ludzkie; czasem wichru tchnienie  
 Ponad niemi zawyło; i tak smutno było,  
 Jakby się tu piekło na tém miejscu jawiło,  
 Wyszedłszy z głębin swoich, ludziom objawione  
 Żywym. A przecie poszedł w tę piekielną stronę  
 Piast.

Tu stał pośród śniegu, śniegiem zasypany  
 Leszek. Swoją żonę sparł o śniegowe ściany,  
 A szarpał swoje włosy. Marzanna leżała  
 Na poły podniesiona, na śniegu, tak biała  
 Jak śnieg, a nieopodal stał wyprostowany  
 Miecz Samosiecz, ich sługa z żelaza kowany.

Gdy Leszek ujrzał Piasta, wnet odwrócił głowę  
 I głosem zrozpaczonym taką wyrzekł mowę:  
 „Nie wiem, bracie, z jakiego ty przychodzisz kraju?  
 „Myślę, żeś wrócił z poza krwawego Dunaju,  
 „Żeś był umarły, i żeś opuścił Raj święty,  
 „Aby raz jeszcze spojrzeć na świat ten przeklęty!  
 „Potém w Raje powrócisz. Lecz nie przychodź w stronę,  
 „W której ja pędzę moje życie potępione!

„Bo z mojego oddechu takie klątwy zieją,  
 „Że ci, co przy mnie staną, jak trupy spróchnieją.  
 „Nie zechcą ciebie puścić umarłych podwoje,  
 „Kiedy poznają, żeś ty patrzył w oczy moje!  
 „Życie jest dla mnie zmorą, i jest okropnością;  
 „Alem taki szkaradny, tak skalany złością  
 „Podłą, że nie śmiem śmierci świętej spojrzeć w oczy,  
 „Pewny, że przerażona odemnie odskoczy  
 „I żywego da piekłu na wieczne karanie.  
 „Aby opisać moją mękę, słów niestanie —  
 „Lecz w porównaniu grzechu niczém moja męka!  
 „Tak zgrzeszyłem, że słońce mej twarzy się lęka —  
 „I od sześciu miesięcy twarz swoją zasłania,  
 „I mróz tylko jest świadkiem mojego biadania!  
 „Brat żonę mnie oddał, a mnie przywrócił światu;  
 „A ja, nikczemny! chwały zazdrościłem bratu,  
 „I brata zabiłem. Idź! Nie przychodź że do mnie!  
 „Jam nie zbrodniarz zwyczajny! Jam zgrzeszył ogromnie,  
 „I moja wina taka pośród ludzkich zbrodni,  
 „Jak pośród ryb narodu są królowie wodni,  
 „Niezmierne wieloryby, pływające góry!  
 „Ja ściérwem tutaj żyję, śniegowemi mury  
 „Zasypany do koła. W Polsce mór się sroży,  
 „I z głodu w śniegach kona wszelaki twór boży.  
 „Do syta karmy mają tylko czarne kruki;  
 „I one tutaj znoszą gnile ściérwa sztuki,  
 „Które ptactwu wyrywam. A przy mnie zasiada  
 „I na biesiadę patrzy moja żona blada  
 „Jak śnieg; ona nie żywa, ale nie umarła;  
 „O tron ze śniegu ciało swe królewskie wsparła;  
 „Nie je, nie pije, ale wdziła takie szaty  
 „Powagi, że odstrasza niemi ród skrzydlaty  
 „Kruków i wron; nietknięte przeto pozostanie

„I pewno przetrwa długie i głodne konanie,  
 „Które na mnie przypadło. A kruki tu sprośne  
 „Zniosły kości Kupały, w ucho mowy głośne  
 „Wrzeszcząc. Nie słuchaj owój potępienia mowy,  
 „Bo ona szkaradniejszą jest, jak dech morowy,  
 „Co ziemię w cmętarz zmienia!“

Taka była mowa

Leszka. Piast ją wysłuchał i w te odrzekł słowa:  
 „Widzę, żeś zgrzeszył Leszku! ale sprawię może,  
 „Że mimo twojej zbrodni ciepło mróz przemoże,  
 „I światło noc zwycięży, i szczęście na ziemię  
 „Znowu zawita, ciesząc marne ludzkie plemię.  
 „Ale bywaj cierpliwy! Może brat twój wstanie,  
 „I przebacząc, skończy twoje rozpaczanie!“

To rzekłszy, Piast pochwycił w duże ręce swoje,  
 Wśród roju ptaków czarnych, młodych kruczków dwoje,  
 I oba kruczki ujął tak silnie w swe dłonie,  
 Że aż zajęczało to młode plemię wronie.  
 Kiedy to inne starsze ptaki usłyszały,  
 Zakraczał w niebogłosy kruczy zastęp cały,  
 I bił skrzydłami gniewnie; a pośród krakania  
 Ptasiego wyraźnie się ludzki głos wylania.  
 Ptaki w głos zażądały, aby im wrócono  
 Tych młodych piskląt parę w ręce pochwyconą;  
 Groziły zrazu gniewnie — ale gdy poznały,  
 Że groźba nie pomoże, wdał się zastęp cały  
 W pokorę. Zajęczały wszystkie kruki głośno,  
 I zimę napełniły prozbą tak żałosną,  
 Że bardzo dziwna było, że się zima sroga  
 Nad niemi nie lituje. A matka nieboga

Tych młodych krucząt skrzydłami trzepała,  
Jakby od tłącej prośby się rozsypać miała.

I Piast usłuchał prośby, i spuściwszy głowę  
Ku krukom biadającym, taką wyrzekł mowę:  
„Ja oddam wasze młode; wy oddajcie brata!  
„Niechaj jeńca wykupi gromada skrzydlata!  
„Wiecie, gdzie tryska woda cudowna żywota;  
„Zlejcie ją na te kości! Niechaj światłość złota  
„Dnia bożego powita wskrzeszonego brata!“

Ledwo Piast skończył mówić, czarny rój ulata  
Pod chmury, lecąc w stronę, gdzie Sobotniej góry  
Ukryty wśród obłoków białych szczyt ponury.  
I Piast niedługo czekał tych ptaków powrotu;  
Wnet powróciły pierwsze, najszybszego lotu  
Kruki, w swych dzióbach niosąc dwa złociste dzbany;  
Za nimi w dali ciągnął orszak zadychany,  
Który nie zdążył lotem. Wnet cała gromada  
Na powrót koło Piasta pośród śniegu siada,  
A czarne kruki śmierci suche kości znoszą  
Na jedno miejsce, i wciąż głośnym krzykiem proszą,  
By im dzieci oddano. Kiedy zgromadzono  
Wszystkie kości Kupały, co po śniegu toną,  
Dokoła rozrzucone, gdy ptactwo pościeli  
U stóp Piastowych czaszkę, ziobra i piszczele,  
Piast odebrał z dzióbu kruków dzbany złote; —  
Woda w nich miała dziwną zmartwychwstania cnotę,  
Cnotę Piastowi znaną. Na kości suszone  
Wylewał Piast obydwa te dzbany złoczone,  
I uśmiechnął się przy tém.

Gdy woda się tknęła

Kości, moc jakaś święta czarem je ujęła,  
 Że się z sobą spoiły. Kość każda szukała  
 Miejsca, w którym za życia bohatera stała,  
 Zanim trup się rozsypał na suche kawały.  
 Niebawem u stóp Piasta legł kościotrup cały,  
 Wielki lecz nieruchomy. Jeszcze nie znać było,  
 Jak ciało wyglądało niegdyś, kiedy żyło;  
 Kości te mogły służyć każdemu na świecie,  
 Którego matka zrodzi, a śmierć potem zmiecie  
 Na cmentarz. I choć kruki tu zbroję przyniosły,  
 Którą nosił Kupało, syn Kolędy rosły  
 I dzielny, i choć zbroja złota i skrzydlata  
 Zdaje się czekać, rychło pan wróci do świata  
 I pojedzie zwycięzać karły siwobrode,  
 Dziewice oswobadzać, brać żywota wodę  
 I zło naprawiać krzywe, przecie ludzkie oko  
 Nie odróżni Kupały w kościach, co się wloką  
 U stóp Piasta na ziemi.

Lecz powoli ciało

Dokoła kości owych suchych obrastało;  
 Wkrótce piękny bohater legł na ziemi nagi,  
 Taki, jak ten, co pełen ducha i odwagi  
 Odjeżdżał od swej matki na chrobrą wyprawę,  
 By bratu zdobyć żonę, a dla siebie sławę  
 Nieśmiertelną. I nagle siadł rycierz na ziemi,  
 I spojrział na śnieg biały oczami żywemi,  
 I spojrział zadziwiony na swe nagie ciało,  
 Co koło zbroi złotej wśród zimy leżało;  
 Na Piasta się popatrzył, co w czarnej sukmanie  
 Stał-obok wskrzeszonego, na śniegowym łanie,  
 Na ziemi zasypanej śniegu nawałnicą;

I wnet na Leszka spojrział otwartą źrenicą  
Kupało.

Leszek oczy obydwu rękoma  
Tak okrył, jakby dziecko, co się wielce sroma  
Przed rodzicami jakiejś zabronionej sprawy,  
A na twarz mu wystąpił rumieniec tak krwawy,  
Jak przed burzą w niebie wid zachodu jaskrawy;  
I cały wil się Leszek srodze zawstydzony,  
I głowę swą występłą krył w szaty swęj żony,  
Co martwym świadkiem była tego zmartwychwstania.

Kupało tak przemówił: „Gdym się kładł do spania  
„Po wielkim trudzie dziennym — pomnę jesień była  
„I ziemia w białej szacie jeszcze się nie lśniła,  
„Podobna pannie, co do ślubu staje w bieli,  
„Biorąc za męża zły mróz w ogromnym kościele  
„Zimy. Zbyt nagle spadły tęg nocy te śniegi!  
„Pomnę, daremne wczoraj były me zabiegi,  
„Aby Piasta odnaleść; chociaż górę całą  
„Sobotnią obchodziłem, i choć się szukało  
„Pilnie wszystkich kamieni, co zakłęte stały;  
„Nie było brata Piasta tam na stokach skały.  
„Nie mało się troskałem o niego. Lecz oto  
„Widzę, że jest brat przy mnie. A byłem tu z rotą  
„Ogromną zmartwychwstałych; i gdzie się podzieli:  
„A dokoła samotność i zima się ścieli.  
„Tego także nie pomnę, abym moje szaty  
„Zdjął, gdym się do snu składał. Teraz wicher skrzydlaty,  
„Zimowy, ciało mrozi całkiem bez odzieży,  
„A zbroja moja złota przy koszuli leży  
„Na śniegu. Złotogrywek tutaj do mnie leci  
„I zimie skrzydłem swoim złotem świeci.

„Witajże mi rumaku! Przez ciebie pan młody  
 „Będzie się matce chwalił, kiedy matka gody  
 „Sprawi wracającemu. Połowę mej chwały  
 „Ja dziś tylko zdobyłem; a drugą koń śmiały!“

Gdy tak mówił Kupało, koń jego kochany  
 Stał przy nim i zarżał w głos uradowany,  
 I głowę swą położył złotą na ramiona  
 Pana, jaśniejszy z tego, że śmierć pokonana.  
 Pan go całował; potem brata swego witał  
 Piasta.

A ponad głową dzień nowy zaświtał.  
 Słońce ukryte przez sześć miesięcy, zdołało  
 W tej chwili znowu przedrzeć chmury. Ziemię całą  
 Białe światło oblało, a iskry na śniegu  
 Zapalone witały słońce, kiedy w biegu  
 Dziennym się pojawiło raz pierwszy na niebie,  
 Po raz pierwszy wskrzeszone po długim pogrzebie  
 Zimowym. Wszystko odtąd wyraźniejsze było  
 Na ziemi, i niebo tak się dziwnie zmieniło,  
 Że z szarego się stało błękitnem i białem,  
 Że osobno stanęło nad śniegiem wspaniałym,  
 Samo wspaniałe, z ziemią już nie pomieszane,  
 Tylko o nią oparte, jakby sklep o ścianę  
 Kościoła. Śniegi w blaskach swoich tak jaśniały,  
 Że weselnym się wydał wpiérw martwy świat biały  
 Zimowy.

Czarnolotek także szedł do pana  
 Lecz smutny. Jakby czarna plama malowana  
 Na białej śniegu kartce, bywał koń ten kary,  
 A szedł do pana swego. Lecz snąć nie miał wiary,



Aby go pan przywitał; bo stanął ostrożnie  
 Opoдал, tak, jak pielgrzym przed figurą trwożnie  
 Stanie, zdaleka tylko, modląc się do Boga.  
 Tak w koniu tkwiły miłość, nadzieja i trwoga,  
 Że na kroków kilka od Leszka się zatrzymał,  
 I nogą tylko kopał, a rzeć nie zaczynał  
 I tylko parskał z cicha.

A Leszek swęj głowy  
 Nie podniósł i na chwilę — a siedział bez mowy,  
 Odwrócony od braci, i drżał na swém cieie  
 Jak ten, co w srogiej trwodze siedząc, cierpi wiele.

Kupało ściszał Piasta i potem wdział szaty,  
 Które mu na śnieg przyniósł kruków rój skrzydlaty.  
 Na szaty złotą zbroję wdział.

A rzekł do brata:  
 „Powiedzże, Piaście bracie, w jakiej stronie świata  
 „Tak długo przebywałeś? Na Sobotniej górze  
 „Nie byłeś. Tak przynajmniej teraz sobie wróżę,  
 „Gdy w myśli to układam, co się ninie stało“.

Tak to pytając Piasta, przymówił Kupało;  
 A Piast mu odrzekł: „Długich słów toku potrzeba,  
 „Nim tobie, bracie, powiem, jakiego to chleba  
 „Zażywałem, i w jakiej świata tego stronie?  
 „Ale coś ci przyniosłem. Czy widzisz, jak płonie  
 „U pasu mego złoty róg? Wziąłem go w darze  
 „Od szwagra Złotomora. Wiele nim dokaże  
 „Dzielny Kupało. Jemu bowiem napisano,  
 „Ze od Popiela zwolni ziemię uciskaną  
 „Przez zimę, przez niewolę, zarazy i głody,

„Którými srogi złego król trapi narody.  
 „Ale nie czas mi teraz wszystko opowiadać.  
 „Dziś wieczór w zamku Leszka będę o tém gadać  
 „Przy jadle i napoju, gdy pokrzepię ciało,  
 „Co wielki połać świata dzisiaj przeleciało“.

Płowy Kupało jakby coś przypomniał sobie,  
 Co po śnie nocnym legło w zapomnienia grobie,  
 Czoło palcami potarł; potem zwrócił kroki  
 Ku Leszkowi. A Leszka czynił żal głęboki  
 Nieruchomym jak ciało uśpionej Marzanny,  
 Ręce już spuścił — ale swój martwy wzrok szklanny  
 Utkwił w Kupałę i tak w jego patrzył oczy,  
 Jakby w upiora, co od grobów zimnych kroczy.

Gdy się Kupało zbliżył, jakby zębem gada  
 Ukąszony, odskoczył Leszek; przestrach siada  
 Jemu na twarz zsiniałą; i jak tylko zdola,  
 Najgłośniej w przerażeniu te tu słowa woła:  
 „Czegoż straszysz Kupało? Co cię przebudziło?  
 „Czyż tobie umarłemu nie dobrze się śniło?  
 „Czy tobie tam w mogile tak źle dni mijały,  
 „Jak mnie przekłëtemu, com patrzył na śnieg biały,  
 „I widział, jak na śniegu wszędzie krew rumiana  
 „Mój srom rozgłaszała? I ziemia pokalana  
 „Była cała okropną hańbą mego życia;  
 „A ze mnie śmiech słyzałem tylko pośród wycia  
 „Wichrów. Wszakżeż we śnie lepiej ludziom bywa  
 „Pocóż to tedy wstałeś? Jakież to znów dziwa  
 „Ciebie aż tu prowadzą, byś mi spojrzal w oko,  
 „Aż do głębi duszy, i ujrzal, jak głęboko  
 „W sercu tkwią hańba i srom? Chcesz mnie brać do grobu?  
 „Chcesz, aby jedna trumna zamknęła nas obu?

„I chcesz, aby w mogile robaki wiedziały,  
„Jaki ja jestem nędzny, jaki ty wspaniały?“

Takto zawołał Leszek, i do białej ściany  
Śniegowęj się przytulił, okropnie znękany  
Zgryzotą i przestraczem; wyciągnął ramiona,  
By odeprzeć Kupalę; ledwo że nie skona,  
Tak serce się szamocze, tam gdzieś w głębi łona!

Kupało w swoje ręce wziął Leszka łagodnie,  
Smętnie doń się uśmiechnął, i mówił swobodnie  
Do niego temi słowy: „Niecałkiem rozumiem,  
„Leszku, twe pomięszanie. Tyle zgadnąć umiem,  
„Że tobie żal jest tego, żeś sam nie podolał  
„Złemu Dziwu, że jam cię do życia powołał  
„Z kamienia umarłego, i że twoja żona  
„Nie przez twe własne ramię z mocy uwolniona  
„Złej. Myślisz, że dla tego w milczeniu spoczywa  
„Marzanna, że dla tego zda się jest nieżywa,  
„Że twoja niemoc serce mrozi twojej żonie; —  
„I przeto dusza twoja jakoś dziwnie płonie,  
„Jakbyś mnie nienawidził. Ależ jam sto razy  
„Stał się ofiarą większej od ciebie obrazy:  
„Wszak wiesz, miałem Zabawę, i z mojej przywiny  
„Zmarniał gdzieś bezpowrotnie wiek cudnej dziewczyny.  
„Gdybym taki był czuły na życia przygody,  
„Jakoś ty niecierpliwy, o bracie mój młody,  
„Jużbym dawno gdzieś spoczął pod zimną mogiłą:  
„A jednak — patrz — mnie nawet w słońce patrzeć miło,  
„I robię to, co mogę, by ratować ludzi,  
„Których na tym tu świecie ciężka doła truzdi:  
„O sobie zapominam, pracuję, jak mogę,  
„I tem odganiem z serca i nudę i trwogę.

„Ty tak czyn, jak ja czynię. Niegodnym człowieka  
 „Żal nadto długi. Patrzaj! Koń na ciebie czeka,  
 „Twój Czarnolotek. Oba nas poniosą konie,  
 „Latając ponad ziemię, przez niebieskie błonie,  
 „Bujnie, jakby dwa orły. Obaj zawitamy  
 „W zamki twoje zachodnie; i tam życie damy  
 „Napowrót twojej żonie. Ona jest zakłeta,  
 „Ale mnie powierzona tajemnica święta,  
 „Która jej życie wróci. Uśmiechnie się tobie;  
 „Bo ona, bracie, jest żywa, choć zda się być w grobie.  
 „Tylko powołaj strażę, aby strzegły serce;  
 „Ja się lękam, że będzie w okrutnej rozterce,  
 „Gdy żonę będę budził. Bo tak przeznaczono,  
 „Że na twój zamek, Leszku, pojedę z twą żoną  
 „Na rękach, że zaniosę ją na twoje łóżce  
 „I pocałunkiem oczy przy tobie otworzę,  
 „Bracie, twój żonie. Potem uśmiechnie się tobie;  
 „A ja tylko zostanę sam jeden w żałobie,  
 „I bez mojej Zabawy“.

Gdy skończył Kupalo  
 Mówić; Dziwnie coś w sercu Leszkowem zadrzało;  
 Krew twarz prawie zalała — potem ustąpiła;  
 Głosu zabrakło, łez buchnęła siła,  
 Do stóp upadał bratu, i chwycił za dłonie,  
 Ręce całował. A brat rozpalone skronie  
 Leszka ujął rękami, i najpierw na czoło  
 Kładł pocałunek, potem podniósł go, wesoło  
 Popatrzył w jego oczy, usta ucałował.

Wreszcie radośnym głosem w te słowa zawołał:  
 „A nie dziękuj, tak bracie. Jam sobie dogodził,  
 „Kiedym szczęście dla ciebie dziś na nowo zrodził.

„Ja, sam nieznam już szczęścia — a pragnę wesela —  
 „I dlatego przełamał złe moce Popiela,  
 „Dlatego to sprawilem, że możesz pośpieszyć  
 „Do domu i do żony — że możesz się cieszyć  
 „Tém, że żona wskrzeszona na łożu usiedzie,  
 „I za życie wrócone dziękować ci będzie —  
 „Bo ja się ukryję. Chodź! — Piasta pożegnamy,  
 „Z Marzanną pojedziemy na zachodnie bramy  
 „Świata“.

Skończył Kupało. Lecz nie było Piasta —  
 Sami wśród śniegu byli — a przy nich niewiasta  
 Nieżywa jeszcze — chociaż słońce, co jaśniało  
 Nareszcie na niebiosach, tak postać jej całą  
 Cudownie przemieniło, że się tak wydała,  
 Jakby na łożu białém swoim cicho spała;  
 I przy nich był Samosiecz, i dwa konie stały,  
 Kopytem śnieg porajac — i panów czekały  
 I drogi.

\*

\*

\*

Pierwszy skoczył na koń Kupało;  
 Na ręce wziął Marzannę; zaraz zaszumiało  
 Od skrzydeł Złotogrzywka, i w zachodnie strony  
 Uleciał i koń złoty i rycerz złocony.

Leszek na Czarnolotka siadł. Nie miał koń kary  
 Skrzydeł jak Złotogrzywek, ale nie do wiary  
 Miał siłę w nogach, i tak wielkie robił skoki,  
 Że wraz ze Złotogrzywkiem leciał pod obłoki,  
 By Leszek mógł zaglądać swój Marzannie w oczy;  
 Tylko na ziemię wracał. Ile razy skoczy,  
 Z pod kopyt jemu tryska źródło czystej wody.

Tak przelecieli ponad miasta i narody  
 Śniegiem w pół zasypane; ponad dwie jabłonie,  
 Co nawet w czasie zimy kwiatem swoje skronie  
 Wiczącą, ale owocu nigdy nie wydadzą;  
 Ponad most na ogromnej rzęce, dziwną władzą  
 Darzony — co się kręci tak wkoło swój osi,  
 Że nikt nań nie wyskoczy; nad szczyt, co się wznosi  
 Górą na międzymorzu, a zagrodą stoi  
 Na wieki w dalszej drodze, bo ciągle się dwoi;  
 Pierś swą kamienną ciągle szeroko otwiera -  
 I znów zamyka.

Wreszcie kraj się rozpościęra  
 Na dole, w którym stanął w borze dwór Leszkowy;  
 Na dół bracia zlecieli. Toczyli rozmowy  
 O tém, co będzie w zamku, gdy powrócą z drogi,  
 Zwiastując, że zabity jest już potwór srogi,  
 Tam na Sobotniej górze. A Kupało wiele  
 I swobodnie rozmawiał. Jako diak w kościele  
 Po słówku odpowiada księdzu, co mszę śpiewa,  
 Tak odpowiadał Leszek.

Wkoło śnieg olśniewa  
 Obydnu braci blaskiem; bo słońce jaśniało  
 Na niebie wielkim żarem, złocąc ziemię białą,  
 I jakieś białe pary z ziemi się wzbijały;  
 U drzew gałęzi jakieś wodne krople drżały,  
 Jak gdyby mróz już topniał. Zima już lży roni,  
 Bo czuje, że wnet skona. Pod nogami koni  
 Już inne teraz ślady widne w miękkim śniegu;  
 Znać słońce już je zjada w swym wiosennym biegu,  
 Zgłodniałe po śnie długiej zimy. A tam w dali  
 Pod śniegiem bór czernieje.

I już zajechali

Leszek z Kupalem w lasy. Lody twardo stały  
 Na bagnach koło zamku; przekrył je śnieg biały.  
 Wraz z zakłątą Marzanną przez lód przejechano;  
 Bracia stanęli popod czarną zamku ścianą,  
 I z konia zeskoczyli; we drzwi wnieśli ciało,  
 Co na pół martwe we śnie długim spoczywało;  
 U drzwi drugich podnieśli pajęczą zaslonę,  
 Wchodząc do izby, pośród której zgromadzone  
 Koło siadło przy ogniu.

Tu Czas i Przemiana

Siedli z białym włosem; a przy ojcach dobrana  
 Dzieci mnogich gromada zimy końca czeka.  
 Zoreńka kraśna w igłę nie barwną zawlęka  
 I coś haftuje, pragnąc, by kwiat haftowany  
 Przynajmniej, w zimie barwą krasił zamku ściany.  
 Przy niej bracia zasiedli; dwunastu liczono;  
 Silne mają ramiona, męstwem oczy płoną;  
 Ale odkąd młodszego tu brata nie stanie,  
 Od czynów stronią.

Oto już tylko staranie

Jest na zamku Leszkowym, by sława skrzydlata  
 Gdzieś w otchłań zapomnienia nie uniosła brata  
 Dzielniejszego pamięci. Co dnia, co wieczora,  
 Czy czas nastał czuwania, czy się zbliża pora,  
 W której się ludzie kładą do snu, o tém mowa,  
 Jak dzielną i jak mądrą była Leszka głowa;  
 I jak wielka to szkoda, że weselne gody  
 Przerwał zły karzeł Dziwo, że zginął pan młody.  
 I to powtarzano, że na tym podłym świecie  
 Szczęścia każdego zaród, zło zawistne zgniecie.

I o t $\acute{e}$ m w $\acute{l}$ aśnie grono owe rozmawiało,  
 Gdy si $\acute{e}$  w $\acute{s}$ r $\acute{o}$ d niego zjawił wraz z Leszkiem Kupało  
 Z Marzanną na swych r $\acute{e}$ ku. „Witajcie!“ zawoła  
 I wni $\acute{o}$ sł pannę zaklętą do przyjaci $\acute{o}$ ł koła;  
 Za nim spuściwszy głow $\acute{e}$ , szedł Leszek powoli  
 A po u $\acute{s}$ ciech i oczach widać, że go boli  
 Coś, o cz $\acute{e}$ m niel $\acute{z}$ a mówić.

Kupało zaś mówi:

„Czeg $\acute{o}$ s siedzicie jeszcze tu, bracia Leszkowi?  
 „Czemuż na nas patrzycie, jak gdyby na cudo?  
 „Alboż nie wiecie, że moc złego jest uludą  
 „Tylko? Czyście w $\acute{a}$ tpili, że zwalczym złe Dziwo?  
 „Że wam wszystkim wrócimy juź dolę szczęśliwą?  
 „Zwycięscami wracamy. Witajcieże brata!  
 „Niosę Marzannę; będzie z wami długie lata  
 „Jak siostra żyła. Idźże Leszku! uderz czołem  
 „Przed ojcem i przed matką! A słowem wesol $\acute{e}$ m  
 „Powitaj twoją siostrę, krasolicą Zorzę,  
 „Co pośr $\acute{o}$ d was jaśnieje jak światelko hoże!“

Tak przymówił Kupało, a stara Przemiana  
 Swe ręce wyciągnęła, a radość wezbrana  
 Nagle wybuchła krzykiem. Leszek na kolana  
 Padł przed matką swoją, i ojca ściszał nogi,  
 A w koło go otaczał braci zast $\acute{e}$ p mnogi;  
 I kaźdy Leszka ścisła, kaźdy głośnie wita,  
 I kaźdy go o dzieje tego boju pyta,  
 Z kt $\acute{o}$ rego dziś powrócił; a Zoreńka miła  
 Łzawemi ocz $\acute{e}$ tami jak gwiazdy świeciła.

Wreszcie rzekł Kupało: „Jeszcze dotąd żona,  
 „Jedna powrotem m $\acute{e}$ ża nie jest ucieszona.



„Wydarta już złej mocy, lecz jeszcze zakłęta,  
 „I dotąd jeszcze zmrużone jej jasne oczęta.  
 „Jeszcze mężowi swemu dziś nie dziękowała,  
 „Że nie jest jej mieszkaniem już Sobotnia skała.  
 „Dopiero na tym zamku — jako przeznaczono —  
 „Zostanie znów Marzanna dla Leszka wskrzeszoną.  
 „Ona spokojna, bo tak ją czarci uśpili,  
 „Że nie poznaje pierwszej od następnej chwili;  
 „Niczego już nie czeka; dla niej zamazany  
 „Czas; a nie wie i tego, że sen ołowiany  
 „Jej pamięć zgasił. Ale Leszek w niepokoju  
 „Żyje dawno wśród pragnień zgłodniałego roju;  
 „On czeka chwili błogięj, kiedy wstanie żona.  
 „Oto nadeszła chwila z dawna upragniona!  
 „Nie wolno jej wstrzymywać dłużej. Bądźcie zdrowi  
 „Na chwil kilka! Marzannę niosę do wezglowi  
 „Ślubnych. Niech tam bez świadków swe oczy otworzy!  
 „Leszek najpierwszy całus na usta położy  
 „Żonie swęj obudzonej“.

Wszyscy się zgodzili,  
 Że nie trzeba odwlekać upragnionej chwili.  
 Kupalo niósł Marzannę do ślubnej komnaty,  
 Jeszcze zawsze ślubnemi przyodzianą szaty,  
 W których ją porwał Dziwo; tak, że się zdawało,  
 Że chyba czas połudził długą zimą białą,  
 Co długich sześć miesięcy ziemię zalegała,  
 I że Marzanna tylko ze zmęczenia spała,  
 W sam wieczór po weselu, nie zdjawszy odzieży  
 Białej, w której dziewczę ślub z narzeczonym bierze.  
 W ślubnej izbie franki okna zakrywały,  
 Zamieniając w mrok szary i cichy dzień biały.  
 Dwa łoża przez czas cały tutaj zostawiono,

By wspominały parę niegdyś poślubioną,  
Potem oplakiwaną.

Tu Marzanny ciało

Na jedno z nich położył zwycięski Kupalo;  
Na poduszkach spoczęła tak blada, jak chusta,  
I nieruchoma. Tu na jej uspione usta  
Kupalo szybko całus położył. Umarła  
Piersią raz odetchnęła i oczy rozwarła.  
Kupały już nie było przy niej; już z komnaty  
Wyszedł mąż w chwałę zwycięstw i w skromność bogaty;  
Marzanna najpierw siadła, potem z łoża wstała,  
I tylko męża swego przed sobą widziała.  
Stał Leszek koło łoża ze spuszczoną głową;

Marzanna przymówiła taką wdzięczną mową:

- „Jak widzę, wybawiłeś mnie od złego Dziwa,  
„I znowu będę z tobą, Leszku, tu szczęśliwa,  
„U samych granic świata, gdzie zła zawiesz ludzi  
„Ze snu rajskiego szczęścia nigdy nas nie zbudzi.  
„Ja nie wiem, jakim cudem zginął stwór brodaty  
„Tam na Sobotniej górze, i jak w te komnaty  
„Zaniosłeś mnie napowrót? ale wiem, że ramię  
„Twe bohaterskie złego wszystkie moce złamie.  
„I przeto moje szczęście się sto razy wzmaga,  
„Żeś ty niezwykłony, że twoja odwaga  
„I twoja mądrość, Leszku, i dobroć wspaniała  
„Wśród ludzi tak, jak słońce wśród gwiazd zajaśniała.  
„Lecz, Leszku, czemu stoisz odemnie zdaleka?  
„Czy może czart twej żonie wziął postać człowieka?  
„Czy może przez złe klątwy tak jestem zmieniona,  
„Że na mój widok miłość w twojem sercu kona?  
„A przecież, Leszku, jeśli mnie sen nie uludził,

- „Tyś mnie przed chwilą twoim całusem obudził?  
 „Całus był taki słodki, że mnie wrócił zdrowie;  
 „Na jego słodycz braknie słów w człowieczej mowie.  
 „Jam nie tyle życia, jak miłości spragniona;  
 „Jeśli jej mieć nie mogę, niechaj pośród łona  
 „Mój oddech znowu zamrze, niech się zamknie oko,  
 „I myśl pokryje śmierci żalobną pomroką.  
 „Wskrzесиłeś mnie dziś, Leszku! Jak nie chcesz do grobu  
 „Napowrót wtrącić — niechaj kochanie nas obu  
 „Tak połączy, jak łańcuch ze złota kowany;  
 „Z tobą byłyby rajem i więzienne ściany,  
 „A bez ciebie więzieniem zamki złotolite.  
 „Miłość męzowska szczęściem przemienia kobietę;  
 „Bez niej zginie tak, jak kwiat usycha bez słońca.  
 „Tyś pan mój i ty jesteś mój wielki obrońca;  
 „A zatem wolno tobie i pogardzić żoną —  
 „Ale żona ta umrze, gdy będą wzgardzoną.  
 „Twoich ust mi trzeba, jako ziemi wody!  
 „Jeślim wstrętna dla ciebie o panie mój młody,  
 „Zabij mnie prędko mieczem — a nie męcz mnie długo!  
 „Choć będziesz pan surowy, miej litość nad sługą,  
 „I skracaj udręczenie!“

Gdy słyszał te słowa,  
 Oszałał prawie Leszek. Jakby miłość nowa  
 Podwojona powstała teraz w jego łonie;  
 Na kolanach się czołga — lice jego płonie;  
 Chwyił Marzannę swoją za obydwie ręce  
 I całusami palił w swęj miłośnej męce. —  
 Potem objął oburącz kochaną dziewicę  
 I całusami pokrył ubóstwione lice;  
 A przytęm nieustannie rozkochany wołał:

„Piękności równej tobie opisać nie zdołał  
 „Żaden śpiewak, któremu w udziale przypadła  
 „Wymowa wieszczca, co jak Bóg cudami władła!  
 „I gdy pomyślę o tém, że mnie szczęście dano,  
 „Żes ty, Marzanno, wzięła mojej żony miano,  
 Mówię, że księżyc złoty, który w nocy goni  
 „W orszaku gwiazd złocistych po niebieskiej toni,  
 „I złotem swych promieni obdarza noc ciemną,  
 „Żebrakiem tylko nędznym, porównany ze mną!“

Takto Leszek szczęśliwy wraz ze swoją żoną  
 Cieszyli się we dwoje dolą powróconą. —  
 Sami długo zostali w małżeńskiej komnacie —  
 A wy, którzy kochanków uniesienia znacie,  
 I wiecie, jak to pierwsze a poślubne chwile  
 Szczęśliwi kochankowie spędzą z sobą mile,  
 Wy niepotrzebujecie, bym wam opowiadał,  
 Co Leszek robił, o czém ze swą żoną gadał?  
 Powiem tylko, że długo, bardzo długo trwało,  
 Zanim do braci przywiódł Leszek żonę białą,  
 Zanim do stóp rodziców Leszka starych padła,  
 I na usta Zoreńki pocałunki kładła  
 Siostrzane; już Kupały w zamku nie zastała.  
 Znow Marzannie życia twarz się jasno śmiała,  
 I w braci i sióstr miłych pocieszonym gronie.

Domowy ogień w wielkim piecu jasno płonie,  
 Na dobrą wróżbę pośród ognia trzeszcze kłoda;  
 A choć na dworze zima, już nadzieja młoda  
 Szeroko i o szczęściu i o wiosnie gada.  
 Na świecie jeszcze Popiel, pan północy, włada;  
 Lecz w dworze Leszka wszyscy czują to na pewne,

Ze wnet się skończą rządy Popielowe gniewne  
I zgubne.

A Kupało na skrzydlatym koniu  
Do Widnia swego gonił, po niebieskiem błoniu,  
I stanął na ostrowiu, wśród wielkiego grodu,  
W którym jak mrówek było ludzkiego narodu.  
Królewicz złotolity z skrzydły płonącemi,  
Na koniu swoim stanął pośród śnieżnej ziemi,  
Przed królów dumnym zamkiem. Widząc go na straży  
Zamkowej zbrojni ludzie, myślą, że się marzy  
O księciu ich umarłym rozstęsknionej duszy.

Kupało z konia zsiędzie, i do komnat ruszy,  
Gdzie matka jego piękna syna czekać zwykła.  
A dziwi się Kupało, kędy świetność znikła,  
Co izby te zdołała, gdy wyjeżdżał rano,  
Jak myślał wczoraj tylko, po zaczarowaną  
Przez złe Dziwo królewne? Dziwił się nie mało,  
Dla czego kiru tyle po ścianach wisiało?  
I dla czego żałoba wszystkie sprzęty kryła,  
I czarnym swoim smutkiem zamek zaścielila?  
Nareszcie uczuł lęki, czy się co nie stało  
Z piękną Kolędą, jego rodzicą wspaniałą?  
Aż serce głośniejsz w piersi jemu uderzyło. —  
Złowrogie myśli spychał z całą woli siłą;  
Lecz myśli te wracały i stawała trwoga,  
Czy matki nie powołał wyrok wielki Boga  
W kraj, w którym Krakus stary zmarłym ludziom władnie?  
A na myśl taką czarny smutek na pierś padnie.

Postradał dawno żonę, przeto matka miła  
Dla niego i rodzicą i pociechą była.

Nareszcie w jednym rogu złocistej komnaty  
Zobaczył dwie dziewice, co przywdziały szaty  
Żałobne, i zawołał je po swém imieniu;  
Bo znał je zdawna. Znikły w jedném okamgnieniu,  
Przerażone widokiem złotego rycerza,  
Co z grobu głębi wyszedł, i wprost do nich zmierza;  
Przeżegnały się obie i uciekły skoro,  
Zdziwione, że upiory chodzą dzienną porą.

Poszedł dalej, szukając swęj matki Kupało.  
Wreszcie weszedł w ostatnią komnatę, wspaniałą  
Niegdyś, jak świty słońca, a dziś zasłonioną  
Od stropu do podłogi żałobną oponą.  
Tutaj stała przy oknie jego matka czarna;  
A wydawała się tak, jak płaczka cmętarna  
W żalości pogrążona.

Widząc postać matki,  
Bardziej nie mógł Kupało zrozumieć zagadki,  
Dla której czarnym kirem dwór przyobleczono?  
Żyła Kolęda, a twarz okryła zasłoną  
Czarną, jak gdyby stała nad trumną kochaną:  
A pod tą zasłoną twarz miała zapłakaną  
I bladą. Nierozumiał tych rzeczy Kupało;  
Wahał się przeto chwilę, zanim mówił śmiało  
W te słowa:

„Matko moja, wróciłem z wyprawy!  
„Dziwo, karzeł nie dobry już dostał chrzest krwawy,  
„Po którym nie powstanie i grzészycie nie będzie.

„Leszek wskrzeszony przy swj Marzannie usiedzie.  
 „I szczęśliwymi będą. A to moja sprawa,  
 „I dla syna twojego stąd urosnie sława  
 „Nieśmiertelna. I przeto tyś matko powinna  
 „Się cieszyć, że prawica twego syna czynna  
 „I śmiała dobrze ninie tobie się sprawiła;  
 „A tyś, matko, na czoło żałobę zwiesiła.  
 „Patrzaj, syn twój zwycięski teraz klął przed tobą  
 „A oto pyta, jaką od wczoraj żałobą  
 „Bóg cię poraził? Bo gdy z zamku wyjeżdżałem,  
 „Od złota i klejnotów jasno było w całym  
 „Tym dworze naszym. Panny u nas zawiesiły  
 „Na szyje swoje perły, aby blask ich miły  
 „Dodawał twarzom krasę, a stubarwne szaty  
 „Na siebie wdziewał dwór nasz szczęśny i bogaty.  
 „Noc jedną tylko, matko, byłem po za dworem,  
 „I powróciłem tutaj przed drugim wieczorem,  
 „Zwycięzcą, a już taką tu zastałem zmianę,  
 „Że kirem czarnym każdą obwieszono ścianę,  
 „Sprzęt każdy, każdą postać ludzką. Błagam ciebie,  
 „Powiedz, matko najdroższa, jaką klęskę w niebie  
 „Dziś dla nas zgotowano, co tak nagle spadła,  
 „Że w jednej nocy miastem całym żalność władła?“

Kolęda położyła ręce na ramiona  
 Syna swojego; w oczy patrzy; prawie kona,  
 Ze szczęścia nieruchoma; na twarzy jęj dnieje,  
 A oko jakby zorza poranna jaśniejje.  
 Na czoło swego syna całus położyła,  
 I tak doń przymówiła:

„Bohatérska siła  
 „Jest w tobie, mój Kupało! Widzę nie przepadła —

„Widzę szczęśliwie lęką mocą złego władła.  
 „Lecz nie tak krótko twoje boje wielkie trwały,  
 „Jak tobie się wydaje ninie, orle biały.  
 „I coś dziwnego było, żeś się trupem zdawał,  
 „Nawet Złotogrzywkowi, i żeś nie poznawał,  
 „Jak czas uchodził szybko. Koń twój złolity  
 „Przyleciał tutaj z płaczem, mówiąc, żeś zabity,  
 „Żeś pod Sobotnią górą spoczął powalony  
 „Przez złą niewdzięczność Leszka. Rzekł, i w inne strony  
 „Świata uleciał, płacząc. A zima nastala  
 „Nad wszelką miarę długa, zamrożona, biała,  
 „Która światu groziła, że wśród mrozu skona;  
 „Przez sześć miesięcy słońce szara chmur obsłona  
 „Zakrywała. Dopiero wczoraj zajaśniało  
 „Słońce znowu, światłem swém ciesząc owdowiałą  
 „Ziemię. Dopiero dzisiaj, synu mój zdradzony,  
 „Przez Leszka mordowany, wróciłeś w te strony!  
 „I ty się zadziwiłeś, że zamek w żałobie,  
 „A zamek się zadziwił, że nie jesteś w grobie.  
 „I drży pod twemi usty znowu matki ręka,  
 „A w piersi matki serce ledwo że nie pęka  
 „Z radości“.

Tak Kolęda hoża przemawiała;  
 A przy niej złota postać syna z kolan wstała.  
 Kupalo potarł ręką swoje wielkie czoło,  
 I rzekł: „Matko! ja chcę mieć tę chwilę wesolą  
 „Jak słońce, co nam świeci. Nie chcę dociekania!  
 „Lepiej, gdy rzecz niejedną kotara zasłania  
 „Tajemnic. Dziwnie Leszek dzisiaj mnie się sprawiał,  
 „Gdym jemu zapytania me braterskie stawiał;  
 „I zdał się zawstydzony, kiedym jemu żonę  
 „Odnosił na łożnicę, na zachodnią stronę



„Świata, do jego zamków. I gdy zasypiałem,  
 „Świat czarny zostawiłem; gdym się zbudził, białem  
 „Pokryciem śniegów świat ten zdawna zasłoniony,  
 „Wyglądał jak umarły pod całunem. — Żony  
 „Od dawna szukam darmo; zniknęła mnie cudem!  
 „Lepiej nam się pochylić przed zagadek ludem,  
 „Co czas zamieszkał pusty! Nie pytać, gdzie bywa  
 „Zabawa, moja pani, i czy jeszcze żywa?  
 „By prawda mnie wypadkiem na to nie odparła,  
 „Że żona moja droga dawno już umarła,  
 „Że nigdy nie zobaczę więcej jasnej twarzy,  
 „I że Zabawa w grobie nawet już nie marzy  
 „O mnie — wśród zapomnienia, co tam siadło wiecznie.  
 „I o czyny Leszkowe pytać niebezpiecznie —  
 „I o to, co czyniłem przez tych sześć miesięcy,  
 „Co mnie się dniem wydały. Nie chcę wiedzieć więcej  
 „Jak to, że bratem Leszek w wielkim boju będzie,  
 „Co na Popielu wolność Polski oddobędzie.  
 „Nie będę konia pytał, nie zapytam matki,  
 „I nie poszukam nigdzie klucza od zagadki.  
 „Leszkowi, bratu menu, zawsze wierzyć będę,  
 „I wiarą moją życie jego k'temu zegnę.  
 „Mnie przy żonie szczęśliwej spoczywać nie dano.  
 „Niech Leszek w szczęściu żyje z żoną ukochaną!“

Tak rzekł. Nazajutrz było w mieście wielkie święto:  
 Ze wszystkich ścian zamkowych kir żałobny zdjęto;  
 Dziewczęta znów przywdziały swe godowe szaty  
 I od barw tęczowych gród zajaśniał bogaty;  
 Muzyka ze śpiewami szła w huczne zawody,  
 I wszędzie roztocono skoczne korowody.

Wesele powróciło na miejskie ulice,  
I dobrze było w Widniu.

\*                    \*                    \*

Nam droga w Kruszwicę!

W chacie pod śniegiem wdowa po Krakusie, Żywa,  
Niegdyś królowa Polska, zawsze urodziwa  
We wdowim swoim stanie, do swojej synowy  
Rzepychy — i Zabawy rozpoczęła mowy  
Dobre i radosne; gdy słońce zaświtało  
Znowu po długiej zimie, szląc na ziemię białą  
Swoje złote promienie, tak ci przymówiła:  
„Widzę, wnet już przeminie złego luta siła,  
„I świat się wydobędzie z Popielowój toni.  
„Widzę, jutro się spełnią już wróżby jabłoni  
„Mojój. Jutro już pewnie syn mój Piast się zjawi,  
„I powie, jak Popieła czarami zadławi,  
„Jak dawne przepowiednie ziści dla narodu,  
„Pełniąc nadzieje moje poczęte za młodu,  
„Kiedy byłam zaklętą w szarzej gęsi pióra,  
„I podemną toń morza szumiała ponura,  
„Mrucząc o klęskach przyszłych i o zmartwychwstaniu,  
„O noey długiej i o jutrzejszém zaraniu.  
„Bo jutro dobrze będzie już na tym tu świecie,  
„I tobie już zakwitnie bujne szczęścia kwiecie,  
„Rzepycho moja!“

Tak to powróżyła Żywa;  
A synka pogłaskała nadzieją szczęśliwa  
Rzepycha; rękoma włos Ziemowita płowy  
Pieści, a duszę jego matczynemi słowy;

I sama się uśmiecha, i na lice syna  
 Uśmiechy wywołała. A przy niej dziewczyna,  
 Siostrzyca jej, Zabawa, westchnęła głęboko,  
 I łza duża Zabawie zapłynęła w oko;  
 Bo biednej smutno było, gdy siostrze wrócono,  
 Że już wkrótce szczęśliwą znowu będzie żoną;  
 A jej nic nie wrócono; i nie było słowa  
 O tém, kędy Kupały świeci jasna głowa?  
 Ale płaczu głośnego nie zacnie Zabawa,  
 Tylko ciche westchnienie jej na uściech stawa,  
 I tylko głowę spuści na stęsknione łono.

Téj nocy matka Żywa wraz z Rzepychą, żoną  
 Piasta, kmiecia dobrego, ledwo trochę spały.  
 Późno zasnęły; ledwo świtał ranek biały  
 Po śnieżnej ziemi, wstały; przywitały jasne  
 Słońce, co wygoniło konie na przepasne  
 Głębiny pogodnego nieba; pierwsze zorze  
 Widziały, co się światłem rozlały na morze  
 Śniegów które zaległo Polskę, i czekały  
 Aż powróci z wyprawy ich bohater śmiały,  
 Jednej mąż, drugiej syn, Piast. A biedna Zabawa  
 Ziemowita bawiła. Wnet przygasła krwawa  
 Zorza; wstał dzień tak jasny, że ptaki śpiewały,  
 Jakby już wiosnę wonną dziś przywitać miały;  
 Przyszło południe złote; jeszcze Piast nie wraca!  
 Słońce okrągłe już się na zachód obraca,  
 A Piasta jeszcze niema! Nareszcie godzina  
 Półsenna wieczoru już się zbliżać zaczyna,  
 A Piasta zawsze niema! Już się niepokoï  
 Rzepycha; Żywa tylko baczność swoją dwoi  
 I coraz częściej patrzy przez okno u chaty,  
 Czyli nie wraca syn jej w zwycięstwa bogaty

I w chwałę? Wreszcie wstała i w głos zawołała :  
 „Już orłem przyleciała mego życia chwała ;  
 „Już Piast w ludzkiej postaci jest pośród ogrodu,  
 „Taki dumny i piękny, jak ojciec za młodu  
 „Bywał, kiedy powracał z zwyciężkiej wyprawy,  
 „Pełen miłości, męztwa i czynów i sławy !“

Jeszcze Żywa tej mowy swojej nie skończyła,  
 A Piast już stanął w chacie. Żona jego, miła  
 Rzepycha na szyję mu wyskoczyła ; Żywa  
 Za czoło go ścisnęła ; synek się odzywa,  
 Jak ptaszek nawołując ojca, i na dłonie  
 Całus położył ; ojciec go całował w skronie,  
 I w oczy go całował ; a wreszcie Zabawa  
 Nieśmiało przystąpiła witać, cała łzawa  
 I tęskna ; Piast ją w czoło także pocałował,  
 I rzekł : „Kupało jest zdrów i pamięć przechował  
 „O tobie ; przeto możesz być już lepszej myśli,  
 „A czas stary dla ciebie pociechę wymyśli“.

Kiedy te dobre słowa Zabawa słyszała,  
 Twarz jej poczerwieniała z tej radości cała,  
 I jakby córka w rękę całowała Piasta.  
 Wnet kołacza podała mężowi niewiasta,  
 A Piast zasiadł z rodziną do wspólnego stołu ;  
 Chleb jedli i miód pili, jak dawniej, pospołu,  
 Gwarząc o tém, co było, i o tém, co będzie,  
 Kiedy zło zginie, a świat ten dobro posiędzie.

Trzy dni bawił Piast z żoną i matką u siebie.  
 A tak dobrze im było, jak gwiazdom na niebie ;  
 Ale po trzech dniach musiał Piast pożegnać chatę,  
 I wziąć na siebie jeszcze raz kształty skrzydlate

Orła. Zanim uleciał, powiedział swój żonie  
 I matce, jaki zamiar w swoim chowa łonie ;  
 Więc kiedy ulatywał, one tęskném okiem  
 Patrzyły, jak tam orzeł po niebie wysokiem  
 Bujał ; ale wiedziały, że tak być powinno ;  
 Wiedziały, że Piast leci uwolnić rodziną  
 Ziemię od jarzma złego ; i o tém wiedziały,  
 Że za Piasta przewodem wnet trzy wojska miały  
 Zalegać Polskę , i w bój ciągnąć na Popiela.  
 Zatem chociaż żegnały oswobodziciela,  
 I choć tęskno im było, przecież były rade,  
 Że Piast z ziemi oblicza już zmaże szkaradę,  
 Co na ziemię usiadła od nieszczęsnej chwili,  
 W której ludzie w Krakowie z Krakusem grzész yli  
 Pospołu.

\*

Piast polecał najpierw w zamek Leszka,  
 Kędy bohater młody przy Marzannie mieszka  
 I przy rodzicach swoich. Tu Leszka pobudził,  
 Aby się z braćmi swymi na bój wielki trudził.  
 Leszek na Czarnolotka siadł i braci wołał  
 I Miecza Samosieczą ; ilu tylko zdołał,  
 Leśników, nagromadził, i z nich wojsko złożył.  
 A nareszcie obozem wielkim się położył  
 Przy brzegach stromych morskich. Tu leśników śmiały  
 Zastęp patrzył, jak lody na morzu leżały.  
 Przybrali postać ludzką, tylko koźle nogi  
 Od ludzi ich różniły i baranie rogi ;  
 Wzrostu byli średniego, capie mieli brody  
 I pancérze z kory drzew. Starsze wojewody

Mieli kołpaki kunie i wspaniałe pióra  
 Czaple; w ręku był oręż z krzemion; tęga skóra  
 Żubrów tarcze zbroiła wielkie zamiast spizu.  
 Wojsko z dali nie świeci żelazem; w pobliżu  
 Widać, że zastęp Leszka i dzielny i hardy,  
 Tak giętki jak wiklina, na kształt dębu twardy,  
 Nie łatwo zwyciężony.

Z Leszkowego zamku

Leciał orzeł Piastowski w krainę poranku,  
 Ponad lody, co morze murem szkła okryły,  
 Tam, gdzie wieże złocone w wielkim Widniu lśniły,  
 W grodzie świetnym Kupały. Nazad przemieniony  
 W człowieka, podążył Piast w wielki dwór złocony,  
 Aby na bój ostatni wezwać bohatera  
 Młodego. Dał mu trąbkę, co ze złota szczerą  
 Była, jak myśl Kupały. Rzekł, że przyszła pora,  
 W której Wandę ma wskrzesić trąbka Złotomora.  
 Potém naukę długą dodał dla Kupały.

Pożegnał tedy matkę bohater wspaniały,  
 Przyobłókl zbroję złotą, dosiadł swego konia  
 Skrzydlatego, za miasto wyjechał na błonia  
 Śniegiem kopnym pokryte, i w promieniach słońca  
 Na czele wojska swego zajaśniał obrońca  
 Narodu nękanego; wkoło zbrojne tłumy  
 Na pana spoglądały, pełne słusznej dumy.  
 Pancerne wojsko powiódł Kupało na boje,  
 Tam gdzie Leszek przeglądał chobrze hufce swoje.

Wojska oba zdziwione na siebie spojrzwały;  
 Bo nie widział Leśników mężów zastęp śmiały  
 Za życia swego nigdy; a póki żywota

Znów ludzi nie widziała leśnych wojów rota  
 Brodata. Dwaj wodzowie, Leszek i Kupało,  
 Ręce sobie podali nad równiną białą  
 Od śniegu i od zimy; potém szykowali  
 Wojska w półksiężyc, koło zamrożonej fali.

Piasta przy nich nie było, bo do Szklanej Góry  
 Uleciał białoksiężnik, co orlemi piórą  
 Władę, i dobrą radą. Zabrał z sobą żonę  
 I matkę, a zostawił dziewczę opuszczone  
 W chacie pośród Kruszwicy. Ono litość budzi,  
 Samo wśród pustej chaty, pośród dobrych ludzi.  
 Więc widząc, że Zabawa tak się w pustce biedzi,  
 Wzięli dziewczę do siebie litośni sąsiedzi;  
 Dali przytułek w chacie, i dali roboty,  
 Aby darmo nie jadła. A tymczasem roty  
 Swoje Piast uszykuje; z nieba z niemi spadnie,  
 Aby rozstrzygnąć sprawę, gdy bój wielki władnie  
 Świątem. Teraz Kupało dzielny wszystko zdziała,  
 Co mu Piast radził.

Ponad morzem wielka skała  
 Stała, i patrzała w zwierciadlane lody;  
 Na nią wyjechał teraz konno rycerz młody  
 Ze złotą trąbką w ręku: i w trąbkę zadzwonił,  
 A głos cudowny rogu po świecie pogonił  
 Szerokim, wichur wzbudził gdzieś długo uspiony,  
 Przez słońce wychowany, a wiosną natchniony.  
 Wichur się zerwał z łoża, na którym spoczywał  
 Przez zimę. — Wichur głośno teraz się odzywał,  
 Odpowiadając trąbce odgłosem stu rogów;  
 Leciał na ciepłym skrzydle od zachodnich progów  
 Świata; taki był siłny, że ledwo zdołali

Jemu się oprzeć ludzie, co w szeregach stali  
 W wojsku Kupały. Słyszac, jak je wichur woła  
 Głosem potężnym, śniegi topniały dokoła;  
 Zewsząd na ich oblicze wystąpiły wody,  
 A strumienie z ich łona płynąc, szły na lody  
 Morskie, pewne, że lody swym pędem przełamia  
 Tak, jak prawda niweczy moc tych, którzy kłamią,  
 I jak młodość rozbija chłód tych, którzy wątpią,  
 I jako miłość zdmuchnie moc tych, co dostąpią  
 Przez ucisk i przez zdradę krwawe panowanie.  
 Wichur oswobodziciel ponad morzem stanie,  
 Mówiąc lodom, że im z boskiego rozkazu  
 Przyszło łamać te mury, co z zimnego głazu  
 Śmierć wodom, a im życie niezutyte dały;  
 Lody pod tchnieniem wichuru raz pierwszy zadrzały:  
 A widząc, że się wiosna już rodzi, Kupało  
 Znowu róg swój przyłożył do ust, i śmiało  
 Zadał po raz wtóry.

I coś pod lodem jętko;  
 Potem zagrzmiało, jakby tam w głębinie pękło  
 Zakłęcie wielkie jakieś! Uciehł wichur; zagrzało  
 Słońce, co wysoko tam na niebie jaśniało  
 Błękitnem; tak zagrzało, jakby to już w lecie  
 Było; a śniegi, które w zamrożonym świecie  
 Tak długo panowały, teraz w lot znikaly,  
 I w płytkie jakieś morze ląd się zmienił cały;  
 Od tej nagłej odwilży dokoła szumiało.  
 Na skale jak na wyspie stał konny Kupało  
 Ze złotym rogiem w rękę; u stóp jego morze  
 Więżone pod lodami grzmoty jakieś Boże  
 Wydalo z łona swego; wreszcie pękły bryły,  
 Które przez sześć miesięcy morze ciemiężyły;



Jak żywe się ruszyły lody. Słońca blaski  
 Ostatni raz kreśliły tęczowe opaski  
 Na górach, co chodziły ponad morską tonią;  
 A wszystkie góry lodu łyzy ogromne ronia,  
 Topniejąc; na nich siedzą ptaków morskich stada,  
 I każda góra płynąc, krzykiem ptasim gada  
 O zimie, co minęła, o tém, że znów wody  
 Na pokarm dadzą ptactwu mnogie rybnie rody.  
 I morska woda ciemna znowu się zaśmiała  
 Niebu; twarz swoją znowu obaczyła skała,  
 Na której stał Kupało, bo znów morskie wody  
 Zwierciadłem były dla niej.

A bohater młody

Zatrąbił po raz trzeci, i głos zaszedł w tonie  
 Morskie aż tam, gdzie Wanda spoczywała w łonie  
 Morza z Samożonami swemi; tam gdzie stary  
 Czech upadł z wodnikami swoimi na szary  
 Piasek podmorski; i głos zaszedł aż w komnaty,  
 W których Rosa usnęła; i podmorskie światy  
 Zbudziły się tym głosem wielkim zawołane.  
 Światło słońca zajrzało w bursztynową ścianę  
 Pałaców Czecha; czarne rozświeciło mury  
 Zamków Wandy. Pod morzem umarł mrok ponury  
 Nocy, rano odżyło, a Czechowe konie  
 Rżeniem zbudziły znowu wielkie wodne tonie;  
 Odżyły mnogiem życiem odrodzone wody,  
 I znów ruszyły w głębiach wodnych ryb narody;  
 Po dnie pełzały raki; ślimaków gromady  
 Popłynęły; meduzy kształt szklanny a błady  
 Rozwinęły; korale swoje żywe kwiaty  
 Otworzyły. Przybytkiem cudów morskie światy  
 Były, jak dawniej.

Rosa wtedy się zbudziła;  
 Rusalki zawołała, mówiąc: „Jakżeż miła  
 „Noc była długa! Jakżeż miłe przebudzenie!  
 „Gdy dzień zaświta, pierzchną długie, nocne cienie!“  
 To rzekłszy pani Rosa, z łoża swego wstała:  
 Koło niej się krzątała morska służba cała,  
 A ona się pytała, jakie rogi dzwonią  
 Daleko, gdzieś za morską, za bezbrzeżną tonią?  
 I o to się pytała, czy gdzie niewidziano  
 Jęj męża, co panuje ponad morską pianą?  
 I narzekała pani na morskiego króla,  
 Że żonę porzuciwszy, gdzieś po fali hula,  
 Na koniach swoich białych.

A Czech tam się zbudził,  
 Gdzie pierwój go daremny bój z lodami strudził;  
 I Czech usłyszał w toni rogu wielkie pienie,  
 I ujrzał wszędzie w koło morza obudzenie,  
 I ujrzał, jak Wodniki na tarczach stawali,  
 Jak z Wandą się budziły Samożony fali;  
 I ujrzał że już lody pękły ponad głową.  
 Ucieszon przeto taką się odezwał mową  
 Do harděj dziewczki Wandy: „Słyszysz, Wando, rogi,  
 „Co tam na brzegu grają? Toć jest pienie trwogi  
 „Dla zimy i ciemności! To śmierć dla Popieła,  
 „Co śnieg na ziemię, lody na morze zaściela,  
 „Ręką swoją kościaną. To nas zawołano  
 „Na bój ze złym Popielem. Moje mężę staną  
 „Ochoczo do szeregu; twoje Samożony  
 „Za tobą pójdą, Wando, ninie, w bój wróżony  
 „Od dawna, w którym miałaś wzięść zwycięstwa chwałę.

Na to jemu odrzekło, wstając dziewczę śmiałe:  
 „Tak ojczy, nas wołają! Trzeba dosiąć konie

„I na nich trzeba płynąć do góry, przez tonie  
 „Morza twojego. Niegdyś Popiel miał odwagę  
 „Wandzie czynić w oczy śmiertelną zniewagę.  
 „Udał, że mnie zwyciężył — dziś za to zapłaci,  
 „Gdy berło i złe życie swe razem utraci.  
 „W mojem oku są siły niegdyś obiecane,  
 „I Żmij skrzydlaty zginie, kiedy przed nim stanę;  
 „A gdy Popiel mnie spotka, wzrokiem zwyciężony,  
 „Jak zbieg w murach zamkowych, poszuka obrony  
 „Dla siebie“ .

Tak to Wanda głośno zawołała;

I w zbroi jasnej u dna morskiego powstała;  
 Na konia siadła swego, za nią Samożony  
 Na konie wyskoczyły. Zawrzał żywioł słony  
 I zasyczał, kiedy dwie wojenne gromady  
 Na wierzch wypłynęły; naprzód Czech, a w ślady  
 Za nim Wanda. Za każdym uderzeniem fali,  
 Co ku brzegom wyniosłym pędzi z morskiej dali,  
 Wylegał na ląd z fali zbrojny orszak nowy  
 I dzielny. Raz widziano strojne w hełmy głowy  
 Samożon długowłosych; to znowu wodniki  
 Na brzegi wywodzili swe brodate szyki.  
 Nowe wojsko stanęło wśród śnieżnej roztali;  
 Ludzie wraz z leśnikami tych druhów witali  
 Głośniami okrzykami; a z wyniosłej skały  
 Na dół zjechał Kupało od złota wspaniały;  
 I wraz z Leszkiem powitał wodzów tego ludu,  
 Co z morza wyszedł, pragnąc wojennego trudu  
 I chwały zwycięstw.

\*

\*

Wojska nie zaraz ruszyły  
 Z morskiego wybrzeża na Popielowe siły:  
 Musiały czekać, póki śniegi nie stopniały  
 Ze wszystkiem, póki czarnym nie został świat biały  
 Dotąd, i póki pierwsze już nie pękły trawy,  
 I póki już nie wyschły błota grząskie ławy,  
 Co ziemię nieprzybytą wcale uczyniły.  
 Już tylko gdzieś po jarach szmaty śniegu lśniły,  
 Gdy w bój ruszyły wojska ludzkie, leśne, wodne,  
 Jak bracia połączone, choć tak wielorodne.

Leszkowe wojsko inną poszło sobie drogą.  
 Wszyscy Popiela śmierci pragną; otóż mogą  
 Zastępy Popielowe im niestawić czoła  
 I pójść na północ; wtedy nikt wróżyć nie zdoła,  
 Jaki będzie tej wojnie koniec. Na północy  
 Popiel siedzie na nowo w całej swojej mocy  
 Niezdobytej; i stamtąd nikt go nie wygoni;  
 Choć na chwilę ustąpi, mocy nie uroni,  
 I skoro zechce tylko, zapasy odnowi;  
 Czar jakiś znów wymyśli, lub zdrajcę podmówi,  
 Albo pokusę taką rzuci między braci,  
 Że jeden swoją cnotę i ład świata straci.  
 Przeto nie można teraz dozwolić odwrotu;  
 Nie trzeba, aby Popiel uszedł śmierci grotu,  
 Który nań zgotowano; zatem w inne strony  
 Leszek prowadzi swoich leśników zagony.  
 On Popielowi z tyłu z swoim wojskiem zajdzie.  
 Jeśli Popiel zechce ująć, u niego śmierć znajdzie.

Ludzie tedy, wodniki, chobre Samożony  
 Ciągnęli razem polem w bój dawno wróżony;  
 Konno i pieszo, wielkim ciągnęli taborem.

Raz na nocleg znużeni stanęli przed borem  
 Jodłowym, co czerniał jak mur zieleni duży,  
 Co dzikom i jeleniom za fortecę służy  
 Niezdobytą. Obozem tu się rozłożyli,  
 I śpiąc przy ogniach, chcieli czekać rannęj chwili  
 Dalszego pochodu.

A huczał gwar żołnierzy  
 Z wieczoru, kiedy w borze postać na kształt wieży  
 Zjawiała się wysoko nad szczyty jodłowe.  
 Aż tam gdzie gwiazdy świecą niosła swoją głowę  
 Rogatą; wyszła z boru; a za nią wyległo  
 Mnóstwo zwierza, co milcząc, wprost na obóz biegło.

Strwożyli się żołnierze, gdy ujrzeni blisko,  
 Takie ogromne, pierwój nieznanie zjawisko.  
 Wanda na konia siadła i swoich wołała;  
 Ale w głosie dziewczyny jakaś trwoga drżała  
 Ukryta; czuła bowiem harda Samożona,  
 Że drogę jej przeszła moc dla niej nie zmożona.  
 Czech dosiadł konia; a koń pod nim dziko sadził,  
 I Czech kłął, targał brodę, i sam z sobą radził,  
 Nie wiedząc, co ma począć? Na koń siadł Kupało;  
 A myślał, że to pierwsze Popielowe wstało  
 Dziwo, i czekał, rychło przyjdą większe trwogi;  
 Bo wiedział, że bój będzie ponad wiarę srogi  
 Z Popielem. Konia głaskał; poprawiał strzemiona,  
 U których złota pochwa miecza zawieszona.  
 I już się najężyły włócznie do obrony,  
 Gdy się mową odezwał olbrzym niezmierny,  
 Co stanął przed wojskami:

„Rzućcie wasze trwogi;

„Wam nie jestem, jam złemu Popielowi wrogi.

„Mnie Tura dano imię; jam ostatni z rodu  
 „Olbrzymów, i kochałem dziewczęta za młodu,  
 „Co mnie bywały równe. Pokolenie moje  
 „Wyginęło. Sam jeden pośród świata stoję,  
 „Jak pomnik dawnych wieków. Miałem długo brata,  
 „Świętogora; i jego zabrała skrzydlata  
 „Śmierć. Nie dla nas zabawą ludzi ród nie święty;  
 „Przeto od wieków bawię już tylko z zwierzęty.  
 „Ale na moje stada wielka padła trwoga  
 „Przez czary i przez zbrodnie złego Czarnoboga;  
 „Na sześć miesięcy zaklął zimnem matkę ziemię;  
 „Zatem z głodu ginęło moich zwierząt plemię  
 „Przezemnie ukochane; i przyjęty trwogą  
 „O życie mych przyjaciół, poprzysiągłem srogą  
 „Pomstę na królu zimy. A więc wam pomogę.  
 „Dziś waszym będę bratem. Kładźcie na bok trwogę!  
 „A kto jak ja o niebo trąca swoją głową,  
 „Pewno owadom ludzkim szczere daje słowo;  
 „Bo gdyby warto było dla mnie was nie lubić,  
 „Bez kłamstwa bym potrafił takie mrówki gubić.  
 „Ja się wam w boju przydam. Nie to, żem potężny:  
 „Olbrzyma także czasem zwali tłum orężny  
 „Karlów; silnego złamie i najmniejszych wielu; —  
 „A myszy rój ogromny stoi przy Popielu.  
 „Zimę złamał Kupało. Ale myszy roje  
 „Zagryzą w okamgnieniu wszystkie wasze woje.  
 „Chociaż kto myszy tysiąc, po sto razy zgniecicie,  
 „Tłumowi ich ulegnie. Przeto wy zgniecicie,  
 „Już dzisiaj! — bo zastępy myszy nie zliczone,  
 „Tęj nocy już nadejdą w waszą tutaj stronę.  
 „Zgniecicie, jeśli ja was dzisiaj nie obronię.  
 „Przyszedłem was ratować; myszy precz odgonię,

„A potem w lasy wrócę, aby polowanie  
 „Me dalej rozprawdzać, póki życia stanie“.

Tak Tur wielki przemówił. A wojska zdziwione  
 Wdzięcznie przyobiecana przyjęły obronę;  
 Bo na wspomnienie myszy serce im zadrzało.  
 Pierwszy hałas daleki usłyszał Kupało:  
 Hałas to głośny jakby uderzenie gromu,  
 Z drobnych pisków złożony, z chrustowego łomu  
 I ze stapania nożek drobnych myszy wielu.  
 Hałas ten trwał i wzrastał; prawił o Popielu  
 I o jego potędze; a choć nie widziane  
 Myszy, trwożyły liczbą.

Raptem poza ścianę  
 Czarną, sosnową boru, wyszedł księżyc biały,  
 I wszystkie błonia bladym światłem zajaśniały.  
 Wojsko ujrzało zastęp myszy nie zliczony.  
 Na szańce się wznosiły czarne ich zagony,  
 Podobne do wezbranęj burzą morskiej toni.  
 Po myszach myszy leżą — tłum za tłumem goni.  
 Przed nimi świat żyw jeszcze, a cmętarz za niemi,  
 Do szczętu wyjedzony, trupami mnogimi  
 Zaścielony. Trupy drzew, zwierząt, ludzi, myszy  
 Rozdeptanych leżały; — Wśród grobowej ciszy  
 Same tu koście. Wał ten żywy ziemię tłoczy.  
 I sam po sobie depta, a śmierć w żywe oczy  
 Patrzy wojsku Kupały. Bo któż się obroni,  
 Kiedy padnie wśród żywej tej robactwa toni?

Wtedy to Tur zawołał głosem tak doniosłym,  
 Ze aż jodły zadrzały czarne w lesie roslym,  
 Wiekowym, nie ruchomym. Skoro zastęp myszy

Tura wielkiego głos ten ogromny usłyszysz,  
 Stanie jak żywym murem wśród leśnej polany.  
 Zda się tym głosem myszy lud zaczarowany  
 Stoi, jakby przykuty do ziemi. Milczenie  
 Święte na chwilę nocne napęlnia przestrzenie.  
 Jak długo to milczenie trwało, nikt nie zliczy.  
 Jak groźny Bóg powstało pośród leśnej dziczy,  
 I trwogę rozbudziło. Potem zwierząt roje,  
 Co szły z Turem, wydały wszystkie głosy swoje.  
 Każde zwierzę gadało, każde inną mową,  
 Wyciem i rzeniem swoim dziwnym, księżycową,  
 Piękną noc napęlniając. Ponad wszystkie głosy,  
 Głos Tura ogromnego szedł aż pod niebiosy,  
 I gwiazdy aż się trzęsły, matka ziemia drżała,  
 Gdy tłuszcza owa leśna wśród nocy gadała  
 Tysiącem głosów swoich. A umilkła czasem;  
 Wtedy odpowiedź myszy rozbrzmiała nad lasem  
 Jodłowym pisków tłumem. Długo rozmawiała  
 Tak jedna ciżba z drugą; a przed niemi stała  
 Moc Kupały i Czecha moc zaklęta trwogą,  
 Niewiedząc, co te krzyki straszne znaczyć mogą?  
 Niewiedząc, czy to zwierząt szalone gadanie,  
 Na potępienie wojsku, czy ratunek stanie?

Wreszcie wszystko umilkło. Tur z wyniosłą głową  
 Do wojska się odezwał znowu ludzką mową:  
 „Z myszami pogadałem, i stanęła zgoda.  
 „Od dawna moim druhem myszy wojewoda;  
 „Kiedy co raz przyrzecze, to dotrzyma słowa;  
 „Nie tak kłamliwa zwierząt, jak u ludzi mowa.  
 „Bądźcie przeto spokojni; wam zwycięstwo dane,  
 „Bo wojsko przez Popiela na ziemię wysłane,  
 „Już z wami sprzymierzone, do Kruszwicy wróci,



„I na Popiela czarnym zastępem się rzuci,  
 „I zjé go razem z żoną; dzisiaj przekonane,  
 „Że on wrogiem jest zwierząt. Ja zostanę  
 „W lesie. Wy sami ludzie mądrzy, nie zdołacie  
 „Popiela przewyciężyć. Pomocników macie  
 „W myszach nie pokonanych. A więc bądźcie zdrowi!  
 „Ptak jakiś mnie o końcu tej wojny opowie“.

Tak rzekł Tur i znikł w borze ze swoim orszakiem.  
 A myszy się stoczyły do Kruszwicy szlakiem,  
 Którym przysły. Wojsko noc przepało wśród boru.

\* \* \*

Nazajutrz gdy się Popiel w izbie swego dworu  
 Sypialnej zbudził, w zamku, co stanął w Kruszwicy,  
 Jaga mu powiedziała, że na okiennicy  
 Sroka jakaś usiadła, i pewno przyniosła  
 Wieści. Król do poduszki swój przywołał posła.  
 Ptak usiadł pomiędzy tych dwu małżonków głowy,  
 Na małżeńskim posłaniu, i ludzkimi słowy  
 Zaczął opowiadanie. Mówił długo o tém,  
 Jak Piast od Złotomora wrócił orlim lotem,  
 I jak wskrzesił Kupałę, jak za jego sprawą  
 Marzanna z Wandą wstały; jak wielką wyprawą  
 Leśnicy i wodnicy i lądowi ludzie  
 Idą zwalczać Popiela.

Popiel o tym trudzie,  
 Co jego czekał, słuchał smutnie uśmiechnięty;  
 Potém zawołał; „Przyszedł na mnie dzień przekłéty,  
 „Dawno przypowiedziany! Nie pomogły czary!

„Jednak nie zwątpił o swęj mocy Popiel stary.  
 „Choć wszystko nań nastaje, wierzy, że zwycięży,  
 „Że darmo ród Krakusa złość swoją wyteży  
 „Przeciw niemu. Bo myszy wojsko mu pomoże!“

Tak Popiel mówił, siadłszy na małżeńskie łożo,  
 Przy żonie swojej, Jadze. Lecz sroka, co w głowie  
 Na poduszce usiadła, tak na to odpowie:

„Jeżeli w tém jest otucha ostatnia, o panie  
 „I władco srogięj zimy! to dla ciebie wstanie  
 „Jutro zgon; — żona twoja koło ciebie padnie,  
 „A śmierć wraz z niepamięcią nad tobą zawładnie  
 „Na wieki; bo wielki Tur spotkał wojsko myszy,  
 „I tak wojsko namówił, że ono dziś dyszy  
 „Twoją śmiercią; a królem jest jego Kupało,  
 „I na Kruszwicę ciągnie ciał czarnych nawałą,  
 „By ciebie zjeść, Popielu!“

Gdy słyszał te słowa,  
 Zawył Popiel. Aż pękła podłoga zamkowa  
 Od tego wycia. Jaga Baba zawołała:  
 „A gdzież się teraz, mężu, twa mądrość podziiała  
 „Sławna?“ I wyskoczyła z łoża, jęcząc srodze,  
 I drząc na ciele cała, w niewymownej trwodze.  
 A Popiel znowu ryknął: „Nie wezmą mnie darmo!  
 „W bój pójdę i zgotuję dla kruków pokarmu  
 „Stos!“ A Jaga wołała; „I ja pójdę z tobą!  
 „Wyteżymy moc naszą! konając, żalobą  
 „Świat cały zakryjemy! i zginie Kupało,  
 „Leszek pies zginie, i Piast ze swą służbą całą,  
 „Zanim my polegniemy“!

Tak królowie nocy  
 Mówili. Potem czary nadzwyczajnej mocy

Odprawili; i Popiel zagrał w surmę swoją.  
 Trupy głos usłyszały pana — i już stoją  
 Gotowe na bój ciągnąć, i przy zamku czarne  
 Pole w szyku wojennym zaległy cmentarne  
 Postacie, o pożółkłych twarzach. Popiel woła  
 Inne jeszcze zastępy. Coś syczy dokoła.  
 Z pod ziemi gady leżą — a w powietrzu lata  
 Straszna króla Popiela drużyna skrzydlata.  
 Lecą sępy i kruki; czarne niedopieże,  
 Na których sam już widok strach śmiertelny bierze,  
 Tak ohydne i wielkie; a pomiędzy niemi  
 Biesy lecą rogate ze skrzydły czarnemi.  
 Po Niemiecku gadają, niedźwiadków ogony  
 Obrotne stylu mają, i krogulcze szpony.  
 Wicher wirem zahuczał, i wznosił wielkie słupy  
 Prochu w powietrze — z wirem wichru lecą trupy,  
 Ptaki i niedopierze i biesy rogate,  
 I sam Popiel i Jaga. Wdzieli wichru szatę  
 Kołującego; a nad nimi lata w górze  
 Żmij siedmiogłowy w krwawej, błyskawicznej chmurze;  
 A jak świec czternaścioro płoną jego oczy.  
 Żmij wielki górą leci, a wicher dołem toczy  
 Straszny zastęp Popiela.

#### Czarnych myszy roje

Pędziły ponad Gopłem już zastępy swoje.  
 Z trwogą patrzali na nich mieszkańcy Kruszwicy;  
 Wieś jednak ominęli drobni wojownicy,  
 I prosto pociągnęli na zamek Popiela  
 Czarny tłum myszy cały kraj sobą zaściela;  
 Miła płaszczem zakryta, co z myszy się składa;  
 A tłum wszystko po drodze swęj niszczy i zjada.  
 Wprost na Popiela pędzi tłum nieubłagany,

I wnet już wpadnie piszcząc na zamkowe ściany.  
 U widnokregu widać już wojsko Kupały.  
 Zastępy zbrojne będą się na to patrzyły,  
 Jak myszy króla zjedzą, a nie dobędą miecza,  
 Bo niczém, w obec myszój, potęga człowiecza.  
 Ponad jeziorem jadą Wanda i Kupało ;  
 I wraz z nimi Czech jedzie. Słońce zajaśniało  
 Na niebie. Aż z Kruszwicy widać złotą zbroję  
 Kupały jakby łunę. I Leszek na boje  
 Ciągnie już z Leśnikami i ze swoim Mieczem ;  
 Ale bór go zasłania przed okiem człowieczém.  
 On ze strony przeciwnój nadciąga; nie wiedzą  
 Nic o nim ludzie, którzy ponad Gopłem siedzą.

Raptem nad wodą Gopła dziwnie zaszumiało,  
 Tuman wichru poleciał wprost tam, gdzie Kupało  
 Stał, rozmawiając z Czechem. Wichr myszy zostawił  
 Z boku — na ludzi napadł wprost; w piersi ich zdławił  
 Oddech; konie powalił; Złotogrzywka skrzydła  
 Rozstrzępił. Z wichru wyszła gromada obrzydła  
 Trupów, gadów i biesów; ludzi wszędzie dławia;  
 Ledwo jeszcze Kupało z Czechem opór stawia.  
 Na koniach się bronią wśród poczwiar brzydkich toni;  
 Już wiatr oręż Czechowi wyrwał z mocnej dłoni;  
 Na głowę Czarnołotka zleciał kruk złowrogi,  
 Trzepiąc skrzydłami. Wszędzie słyhać jęki trwogi  
 I śmierci. A Żmij leci prosto na Kupałę.  
 Wnet zginie hetman i z nim wojsko całe!  
 Wśród wichru, co zastępy jakby plwę zmiata,  
 Popiel z żoną swą Jagą Babą groźnie lata;  
 I Popiel raz jeszcze z świata całego się śmieje;  
 Świat powalony przed nim raz jeszcze truchleje,

Raptem zbladł Popiel; zbladła Jaga baba. Żmija  
 Lot stanął. Wyprężona każda jego szyja  
 W jedną stronę zwrócona, w jedno patrzą oczy,  
 A wojsko Popielowe całe wstecz się toczy.  
 Gdzieś się wściekłość podziła, i moc gdzieś upada;  
 Widać, że czar mocniejszy królem czarów włada,  
 I w inną stronę zwycięstw już obrócił szalę.  
 Czech rad był, i duch powstał na nowo w Kupale.  
 Wojsko z biesów i czartów zwolnione obieży,  
 Głowę znowu podnosi i moc dawną dzierży;  
 A wszystkich oczy w jedną stronę obrócone,  
 Tam kędy wojsku widmo zbawienia zjawione.

Za wojskiem podniosły tarcze Samożony;  
 Na nich stanęła Wanda wśród blasków zasłony  
 Tęczowej; z oczu Wandy płyną moce cudu,  
 Co teraz rozbroiły pana trupów ludu;  
 A niewidzianem światłem zbroja Wandy płonie  
 I w boską piękność strojne jasne Wandy skronie;  
 Włosy jej złote z popod hełmu rozpuszczone,  
 Ubrały Wandę w cudną piękności koronę;  
 Jedna ręka dziewicy na tarczy spoczywa,  
 A druga włócznię dzierży. Nigdy postać żywa  
 Taką piękną niebyła, i władcę brzydoty  
 Poraził swoim widem blask piękności złoty.

Zastęp Popiela Wandy widokiem rażony,  
 Patrzał niemocny w oczy pięknej Samożony.  
 Żmij syczał; a oczyma zda się piękność pije  
 Wandy, jakby jad jaki mocny. Żmij się wije  
 W powietrzu, skrzydłem trzepie, raptem się obróci,  
 I jakby w szalę wprawiony na siebie się rzuci

Samego. Siebie kąsa. Potem ukąszony  
Ryknął i padł do Gopła.

### Ture Samożony

Pieśń wielką zaśpiewały, chwając moce pani,  
Co samym wzrokiem swoim tak śmiertelnie rani;  
A wojsko Popielowe strachem przemożone,  
Wraz z królem swym uciekło gdzieś w północną stronę.  
Aż na jeziorze trąba wielka wodna wstała  
Wysoka jakby wieża, a od piany biała;  
A w trąbie niedobitki wojska tak wrzeszczały,  
Jakgdyby się o piekła panowanie rwały  
Ze sobą. Czarty, ptaki, trupy i upiory  
Przez wodę przeleciały i wpadały w bory  
Już po tamtej stronie; a wtém naprzeciw wyszło  
Leśne wojsko Leszkowe; i coś w oczy błysło  
Zastępom Popielowym; i zawrzała Jaga,  
I strach w tém wojsku trupiém jeszcze raz się wzmaga.  
To Miecz Samosiecz błysnął; z pańskiego rozkazu  
Wojsko tnie Popielowe; od każdego razu  
Trupy w kawały lecą, pokrwawione ptaki  
Gina; czarty konają. Już północne szlaki  
Miecz Samosiecz zasłonił. Więc kto lecieć może,  
Z jękiem trwogi wlatuje w powietrzne przestworze.  
Jedne trupy na ziemi dolnej pozostały;  
A Miecz Samosiecz wszystkie porąbał w kawały.

Piekielny wir Popiela poleciał do góry,  
By się przedrzeć na północ przez niebieskie chmury;  
A nad nim właśnie czarny tam obłok spoczywa;  
W obłoku tym Piast siedzi, gromem się odzywa;  
I on także pociągnął dziś na święte boje,

Ze Szklannój swojej góry wiódł Chochliki swoje,  
Konie do wozu zaprzągl, w grom uzbroidł dłonie.

Do góry Popiel leci. Wtém nad nim zaplonie  
Niebo od błyskawicy, od piorunu ryczy  
Boskiego; dészcz się leje; ogień z nieba syczy,  
Padając; prosto w czarty bije; a gromada  
Biesów pobita dészczem smoły na dół pada  
Do jeziora. Na pogrom patrzyły na brzegu  
Dwa wojska. Biesy gęściej padały od śniegu  
W zimie, w sadzę zmienione czarną.

#### Popiel z Jagą

Do Rzymskiej wieży wpadli, płomienistą plagą  
Piorunów wysmagani. Rzymska wieża stała  
Na wyspie wśród jeziora, jak samotna skała  
Mchem i trawą obrosła. Wojsko Popielowe  
Całe już wyginęło, a pioruny głowę  
Jemu i żonie jego, Jadze, pooraly.  
Ostatniém dlań schronieniem był mur wieży biały,  
I tutaj wpadła jęcząc ta wszechmocna para,  
Co Polsce zaciężyła, jak najgorsza kara,  
I jak klątwa przeklęta.

#### Myszy, które stały

Ponad brzegami Gopła, raptém zastęp cały  
Swój i drobny i mnogi do wody cisnęły,  
I zwartłszy swe szeregi tłumem popłynęły —  
I jedna czarna ława przekrywała falę.  
Wojska patrzyły na to; a myszy wytrwale,  
Bez ustanku płynęły. Wreszcie lądowały  
Na wyspie, gdzie się wznosił mur wieżycy biały;

Chwilę mur od nich czerniał, potem myszy wpadły  
Do wieży. Jęk słyszano.

Tłumy ludzkie zgadły,  
Co się wśród wieży stało. A nazajutrz rano,  
Czarnego wojska myszy więcej niewidziano.  
I król Popiel przepadł, i wraz z nim jego żona,  
Jaga Baba, jak wędka we dwoje skulona.  
Że ich myszy pojady, wiedziały narody.

\* \* \*

Wielki tłum się gromadził ponad brzegiem wody,  
Aby króla wybierać. Słońce południowe  
Patrzyło promieniejąc na to życie nowe,  
Które Polskę zaległo. Trawa zieleniała,  
Liście i kwiaty rosły, mnoga rzesza stała,  
Radząc, nad brzegiem wody. Różne były głosy,  
Komu powierzyć Polski uwolnionej losy?  
Jedni Leszka życzyli, a inni Kupałę.  
Byli i tacy, którzy wynosili chwałę  
Wandy. Popiel, mówili, pięknością jej lica  
Zwyciężony; niech będzie nam królem dziewica!  
Inni chcieli mieć królem brodatego Czecha;  
Mówili: „Gdy ład weźmie, morze swe zaniecha  
„Słone; pewno pomyśli, że ludzkie narody  
„Lepszymi poddanymi od ryb, które wody  
„Zamieszkały“. Nie było między ludem zgody,  
Kto ma berłem swém pasać Słowiańskie narody?

Niebrakło także głosów, którym się zdawało,  
Że wojewodę wybrać królem należało.



Te głosy powiadały: „Choć dzielny Kupało,  
 „I choć Leszek porąbał zastęp czartów śmiało  
 „I raźnie, choć Czech mądry, i choć Wandy lica  
 „Cudne, na króla trzeba Polskiego szlachcica.  
 „Tamtych nie znamy zgoła; króla znajomego  
 „Ludzie jakby żrenicy w oku czujnie strzegą“.

Kmiecie nie chcieli wcale króla wojewody,  
 Mówiąc, że Popiel dobrze robił, kiedy rody  
 Pańskie gubił; a zatém znów nie było zgody.  
 A każdy ze znaczniejszych chował w swoim łonie  
 Tę cichą myśl, że jeśli on na Polskim tronie  
 Zasiędzie, dobrze będzie. Więc gdy się zdawało,  
 Że inny gotów dostać większość choćby małą,  
 Wnet każdy nań powstawał, wykazując wady,  
 Przez które on niegodzien. Trwały zatém rady  
 Do nocy, i przez całą noc. Ludzie nie spali;  
 Ciągłe radzili; wreszcie każdemu się pali  
 W głowie od bezsenności i od gadaniny.  
 Od narad nieustannych jak pijane gminy  
 I herby zgromadzone.

Kiedy znowu dniało,  
 Rzeszom strudzonym podał myśl nową Kupało.  
 Był ją z Piastem umówił. Tak rzekł; „Skoro głosy  
 „Nie możemy się zgodzić wolnemi, niech losy  
 „Ślepe rozstrzygną sprawę. Niech ten królem będzie,  
 „Kto tu po wschodzie słońca najpierwszy przybędzie  
 „Wodań, siedząc na łodzi. Tam nam los poradzi,  
 „Gdzie się sam z sobą rozum nieporadny wadzi.  
 „Dzisiaj w przypadku lepiej uznać Boską wolę;  
 „Niech Bóg nam wskaże, kto ma ująć Polski dolę  
 „W prawicę swoją!“

Rada ta się podobała.

Na nią zgodnie przystała kupa ludu cała,  
 Co koło brzegu wody gromadnie radziła.  
 A każdemu ze starszych choć ta myśl jest miła,  
 Że sąsiad królem nie będzie. Uczyniono zgodę  
 I rzędem siedli ludzie ponad Gopła wodę,  
 Patrząc we wschodnią stronę. Od ludzi czerniało  
 Nad brzegami jeziora. Na czele Kupało  
 Stał w swojej złotej zbroi, i na swym rumaku  
 Skrzydlatym, patrząc, jak tam na niebieskim szlaku  
 Zorza czerwone ognie kładła. Blask świtania  
 Odbijał się o blachy złotego ubrania,  
 I już jak słońce stanął nad brzegiem Kupało,  
 Przyświecając jezioru, zanim słońce wstało  
 Prawdziwe. Ludzkie twarze wszystkie rumieniały  
 Od świtu; wietrzyk ranny zawiał; fale drżały,  
 A na nich drżały światła poranne czerwone.  
 A dobrze zimno było; lekką chmur obsłonę  
 Kładł ranek na jezioro.

Wreszcie wstało słońce.

Ptaki je powitały, a obłoków końce  
 Na niebie się złociły. Oblicza połowę  
 Nad wodę wychyliło słońce swoje płowe  
 Promienie rozlewając jak obrus złocisty  
 Na wodę Gopła. Wtedy na gościniec szklisty,  
 Wodny, wprost przed słońce łódka wyjechała  
 Z bursztynu urobiona, jaśniejąca cała  
 Od promieni słonecznych. Na łódce dwóch ludzi  
 Siedziało. Króla niesie dzień, który się budzi  
 Dla Polski.

Tłumy wszystkie ponad brzegiem wstały

I okrzykiem radości w głos króla witały  
 Wskazanego przez Boga, i serdeczne słowa  
 Na wodę uleciały. Łódka bursztynowa  
 Coraz się przybliżała; jakaś pewność błoga,  
 Pewność dana ludziom przez jasnego Boga,  
 Że dobrze teraz będzie, serca napępiała.  
 Już się wysoko wzbiła tarcza słońca biała  
 Ponad rozpromienione na jeziorze wody.  
 Głośniej i szczerzej teraz krzyknęły narody,  
 Co z okolic Kruszwicy tutaj się zebrały.  
 Bo króla co przy płynął, zdawna dobrze znali  
 I kochały. Był to Piast. Z radości huczało  
 Nad brzegiem wody.

#### Łódka dobiła. Kupało

Brata uściskał. Tłumy zgodnie zawołały:  
 „Niech żyje król nasz, kmięć Piast! Niechaj wieki chwały  
 „Jego ród opromienia! Niechaj ludziom będzie  
 „Pod jego berłem nowem tak spokojnie wszędzie  
 „W Polsce, jak w chacie jego w Kruszwicy bywało,  
 „Kiedy jego obejście wśród chat naszych stało,  
 „Dla nas wszystkich gościną; a przez jego wrota  
 „Wchodziła i wracała prawda szczerozłota!“

Piast stał w swojej sukmanie czarnej przed tłumami.  
 I kłaniał się, dziękując uśmiechem i łzami  
 Za wybór i za miłość. A miał Ziemowita  
 Przy sobie. Gdy już zamilkł lud, Piast go powita  
 Takimi słowy:

„Dzisiaj jam przez was wybrany,  
 „Bym pługiem orał, mieczem bronił Polskie łany.  
 „A więc dzisiaj wam powiem, z jakiego to rodu

„Jest Piast, od dzisiaj głowa Polskiego narodu!  
„Wy pamiętacie, że przed wiekami niedoli  
„Żyły w Polsce narody wśród szczęścia i woli  
„Pod królem Krakusem. W te dni cisza głęboka  
„Zalegała kraj Polski. U prawicy Kroka  
„Stanęło wiejskie dziewczę a Polska królowa.  
„Jak miód z ulu tak słodka bywała jej mowa,  
„A kiedy pod Wawelem pieśń swoją śpiewała  
„Przemieniona przez szczęście była Polska cała.  
„Otóż jam synem Kroka i królowej Żywy.  
„Przezemnie wraca w Polsce dawny wiek szczęśliwy.  
„Ojciec mój zgrzeszył niegdyś przez królewską dumę.  
„A przez grzech swój uczynił dla narodu trumnę,  
„Na której wieko usiadł Popiel, pan północy,  
„Władca gadu wszelkiego, król straszliwej mocy,  
„Co tém władnie, co w duszy ludzkiej jest czarnego.  
„Aleć godziny czasu po kolei biegają;  
„Po nocy zorza wstaje, a po zimie lato;  
„Przeto czas znowu wolność kolejną skrzydlatą  
„Przyniósł tutaj do Polski. Szczęście dla nas wstało;  
„Po czarnej mamy znowu teraz dobę białą;  
„Bo matka moja w łonie duszę nieskalaną  
„Chowała pośród grzechu; przez nią czasy wstaną  
„Długie w Polsce zwycięstwa i promiennej chwały,  
„Które niegdyś za Kroka rosnać Polsce miały,  
„A co przez grzech niedoszły, przez dumną swawolę,  
„Co ludzi znikczemniła, zjałowiła role.  
„Syn królewski bywał u wrogów ojca sługą,  
„I w poniewierce, ich złą mądrość badał długo,  
„Wśród męki poniżenia; potem w kmicim trudzie  
„Wśród kmieci siadł pod strzechą, i po czarnej grudzie  
„Wiódł pług pokorny; później koił nienawiści,  
„Które powstają wszędzie, gdzie się ludziom ziści

„Niewola jadowita. Bratał, zawiść goił,  
 „Jak pielgrzym w świat wędrował, cicho braci zbroił,  
 „I przez pokorę taką i długą pokutę  
 „Wreszcie mocą przełamał siły wroga lute.  
 „Dziś jestem waszym królem. Na Wawel powiodę  
 „Was. Na Wawelu mieszkać będzie chłopię młode,  
 „Ziemowit, którego mnie rodzi córka morza,  
 „Rzeczycha, moja żona; a opieka Boża  
 „Uczyni jego ojcem wielu królów rodu.  
 „A ja za pługiem chodzić będę jak za młodu,  
 „I póki nie wyrośnie syn mój, królem będę,  
 „Co kmięcią wdział sukmanę, i co orze grzędę  
 „Pod ziarno. Czasem zniknę; a wtedy nie trzeba,  
 „Byście o mnie pytali; bo mam w sklepie nieba  
 „Zamek na Szklanej Górze. Tam moja stolica,  
 „I tam berłem w mych rękę jasna błyskawica,  
 „Którą czartów odganiam. Tam czasem z rodziną  
 „Odleczę. Kiedy lata dziecinne przeminą  
 „Dla Ziemowita, z tamąd nie wrócę już wcale,  
 „A ród mój wraz z narodem będą bawić w chwale  
 „Pośród łąnów pszenicy“.

Tak to Piast przymówił,

A naród go raz jeszcze okrzykiem pozdrowił,  
 Jako króla i zbawcę. Kupało do dłoni  
 Oddał bratu tę trąbę, którą z głębi toni  
 Morskich Wandę wywołał. Trąbę Złotomora  
 Podrzucił Piast w powietrze, i aż w kraj wieczora  
 Poleciała po niebie. A gdy złotolita  
 Trąba w zamek powróci, Złotomór ją chwyta  
 Łakomie w swoje ręce; bo aż nadto długo  
 Bez trąbki bywał w zamku, swoim własnym sługą

Jedynym; nie mógł zbudzić swęj złotęj družyny;  
Sam swęj obiady gotował i schudł z tęj przyczyny.

Wnet wojska wraz z rzeszami pod Wawel ruszyły.  
Na czele jechał z synem Piast, gospodyn miły.  
Żywa z jabłonią także na Wawel wracała;  
Rzepycha jednak w chacie białęj pozostała  
Wśród kobiet wiejskich. Przy nięj była zasmucona,  
I dotąd niepoznana Kupałowa żona,  
Zabawa jako dziewczę służebne. Gdy roje  
Zwycięskie zalegały Gopło, w złotą zbroję  
Kupały, męża swego, utkwila źrenice:  
Ale on jęj nie poznał. Przeto łzami lice  
Swoje umyła wtedy, gdy się naród cieszył;  
Smutna w domu została, gdy się naród śpieszył  
Na Wawel do stolicy.

#### Wawel znów powitał

Króla, którego kochał naród. Dzień zaświtał  
Nowy dla Polski. Sztandar z orłem wywieszono  
Od strony zapadłego miasta, tam gdzie toną  
Pałace i kościoły wśród nurtów jeziora.  
A była to wiosenna, jasna, piękna pora,  
Pełna woni i kwiatów. Była to godzina  
Poranna, w której słońce swój pochód poczyna  
Po sklepie wielkim nieba. I Ziemowit młody  
Z baszty wielkięj, zamkowej spojrział w błękit wody  
Spokojnego jeziora, a z nim wraz patrzali  
Dworzanie, którzy wyszli ze wspaniałęj sali  
Biesiadnęj. W tęp przed nimi wstało wielkie cudo:  
Jezioro tam pod zamkiem stało się uludą,  
I Kraków królów stary stanął tam na dole,  
Jak król koronowany w wież wysmukłych kole,

I z miasta szły gromady, i dźwięczały dzwony,  
 A pieśnią witał króla naród wybawiony;  
 I zboża w Polsce rosły, i kwiaty woniały,  
 I jak dawniej szczęśliwym był znowu świat biały.

Często Piast tu na Wawel do syna zawita,  
 Zawsze wojewodowie strzegli Ziemowita;  
 Ale zwykle nie chodził Piast w złotej koronie,  
 A raczej na wsi przebywał, w swęj chacie przy żonie,  
 Albo wraz z nią ulatał w te niebieskie strony,  
 Gdzie kochającym złoty zamek wystawiony.

Czech gdy wracał z Wawelu, nie szedł wprost do morza,  
 Kędy bawi znudzona falą Rosa hoża.  
 Zboczył i gdzieś na Niemcach zdobył kraj szeroki  
 Który tak otoczyły gór lesistych stoki  
 Ze tam o morzu nawet nie slyszą narody;  
 Tutaj dla żony swojej wymurował grody:  
 I Pragę i Wyszogród. Gdy morze ją znudzi  
 Tutaj w goście przybywa między ziemskich ludzi;  
 A gdy córkę Lubuszę królowa zrodziła,  
 Tę ziemię córce w posag dała matka miła.

\*            \*            \*

Czas Sobótki nastawał. Nie było w Kruszwicy  
 Ni Piasta, ani żony jego, ni rodzicy;  
 Byli na Szklannój Górze, a tylko Zabawa  
 Sama i smutna we wsi Kruszwicy zostawa.  
 Minęła w Polsce zima, minęła niewola,  
 Tylko dla niej na lepsze nie zmieniona dola.  
 Przeto wciąż śpiewa tęskno.

Sobótka już bliska;

Przeto ludzie z Kruszwicy idą w uroczyska,  
 By w nocy ognie palić. Lecz teraz południe,  
 I słońce tam na niebie prześwięca precudnie;  
 Wieś niedaleko; w wieniec wielki ułożone  
 Drzewa rosna dokoła; srebrzystą koronę  
 Wznoszą białe topole, a brzozy tak stoją,  
 Jak panny, co pragną iść zamaż, choć się boją;  
 Lipy matki Słowiańskiej spokojnej osady  
 Wonieją kwiatem; brzęczą dokoła owady.  
 Ludzie obsiedli wielkie w koło z darni ławy,  
 A srebrzec żółty złotą główką wyrzał z trawy;  
 Cykorya na łodygach długich swoje kwiaty  
 Roztworzyła błękitne; gęsi ród skrzydlaty,  
 Długoszyi a biały Słowian drób domowy,  
 Pasie się pośród dzieci, których białe głowy  
 Wyrosły z Polskiej ziemi, jakby kwiat wiosenny;  
 Z łąki skoszonej zapach dolatuje sienny.

Tu gospodarzy starszych poważna gromada  
 Radzi, a tam niewieście kółeczko zasiada  
 I mówi o sąsiadach. Dziewczęta się w koło  
 Splotły tańcząc po trawie, i nucą wesolo;  
 A parobki się bawią, skacząc poprzez rowy.  
 Wszędzie serca swobodne i swobodne głowy.  
 Tylko jedna Zabawa siadła na uboczu,  
 Tęskliwie utopiona w swych wspomnień uroczu.

Gdy się tak tu bawiono, stanął obłok biały  
 Nad uroczyskiem, w którym te gromady stały,  
 A z obłoku hojdawka na ziem się spuściła,  
 Którą Rzepycha w niebie z konopli uwiła.  
 Jeśli rzecz taka dzisiaj się stanie wśród ludzi,



Podziw nieopisany u widzów obudzi;  
 Ale wówczas do cudów był przywykł gmin cały.  
 Przeto widząc hojdawkę, dziewczęta się śmiały;  
 Chłopcy zuchwali do niej śmiało przystąpili,  
 Postali trochę, patrząc na nią, a po chwili  
 Już jeden siadł, by o tém, spróbowawszy, wiedzieć,  
 Czy na hojdawce takiej będzie dobrze siedzieć?  
 Hojdawkę podrzucano — młodzież się bawiła.  
 Dziewczęta tu sadzano, a chłopaków siła  
 W powietrze podrzucała dziewczki posadzone;  
 I dziewczki wzlatywały gdzieś aż w owe strony,  
 Gdzie biały liść topoli szumiał wśród pogody  
 Letniej. Tak się bawiono długo, i śmiech młody  
 Po całym uroczysku w koło się rozchodził.

Wtém jeden chłopak wzrokiem w Zabawę ugodził.  
 Na pień siadła zrąbany, i spuściła głowę;  
 Więc chłopak do niej zwrócił śmiechu żądną mowę,  
 Wziął ją za ręce, i do tego ją namówił,  
 By poszła do hojdawki; na sznur usadowił  
 Dziewczynę smętną w szarej, służebnej odzieży.  
 Zaledwo tu siadła, a pochwycił ją świeży  
 Wiatr w swoje ramiona, i hojdawka wzleciała  
 Do góry wysoko. A Zabawa jaśniała  
 W złocistych promieniach dnia. Wysoko nad drzewa  
 Wzleciała dziewczyna, a bielejąc powiewa  
 Jój szata jaśniejąca. Hojdawka powraca  
 Pomiędzy gromady, a słoneczko pozłaca  
 Tak cudnie Zabawę, że się ludziom wydaje,  
 Że szaty królewskie i koronę dostaje.  
 I znowu hojdawka ta wzleciała do góry  
 I zda się, że poszła tam, gdzie białe są chmury,  
 Gdzie ptaki latają, i gdzie gromy są w domu.

Bo dziewczę w odzieży, co z błyskawic i gromu  
 Utkana, powraca. Znów dotknęła się ziemi,  
 Lecz oczy narodu tak blaskami swojemi  
 Zdziwiła, że ludzie w niej poznając królowę,  
 Na ziemi ukłękli i schylili swą głowę.  
 I znowu wzleciała w świat, pod niebios obłoki,  
 I w oczach przepadła tam, gdzie błękit wysoki  
 Sklepienie swe wznosi nad głowami narodu.  
 Raz jeszcze błysnęła i stanęła wśród grodu  
 Szklanego, gdzie siedzi Piast na swojej stolicy.  
 I więcej na ziemi już nie widać dziewicy,  
 Co smętnie śpiewała wciąż I tylko została  
 Pamiątka wśród ludzi. A tam w górze wspaniała  
 Królowa witała i posiadała Kupalę.

I ja tam byłem i jam gości grono całe  
 Widział na Szklanej Górze. Krok tam przybył z Raju,  
 Z żoną swoją, Dodolą; Czech z morskiego kraju,  
 I pani morza, Rosa. Wanda družką była,  
 A przy boku Zoreńki złota trąbka lśniła  
 Złotomora, co do niej się wybięrał w swaty.  
 Piast był z żoną, i Leszek w pomysły bogaty  
 Był z Marzanną i z braćmi. Tam także widziałem  
 Dziada i Babę. Był tam z orszakiem swym całym  
 Czuryło, wojewoda. Żywa go witała,  
 A Dziedzilia wesoło koło córki stała.  
 Na Kupalę patrzała Kolęda, królowa;  
 A jak szczęśliwą była, niepowiedzą słowa.  
 Ale szczęśliwszym jeszcze z Zabawą Kupalo,  
 I na to szczęście wieszczom i myśli nie stało.

Ja tam w kuchni siedziałem, i mnie nakazano,  
 Abym warzył śmietankę. W koło rozmawiano

O cudach; wszystkie kuchty wciąż opowiadały  
Dzieje swojego państwa, a mnie dziw nie mały  
Brał, kiedym tego słuchał; przeto prześlepiłem,  
Jak śmietanka wybiegła. Kiedy obaczyłem  
To nieszczęście, tak wielkie mnie porwały trwogi,  
Żem uciekł i aż do was mnie poniosły nogi;  
Więc to, czegom nie słyszał, i co niewidziałem,  
By was bajką zabawić, tu opowiedziałem.

*Pisałem w Jezupolu 11 lipca 1883 do 19 sierpnia 1887.*

*Wojciech Dzeduszycki.*



# DOPISKI.

## PIEŚŃ I.

Str. 1. wiersz 1. Jeszcze za króla Kroka.

Znaną jest powszechnie powieść o Krakusie podana przez naszych średniowiecznych kronikarzy. Imię Krakusa znane w całej Zachodniej Słowiańszczyźnie, a podania o niem istnieją wszędzie tam, gdzie jest powszechną cześć świętego Wita. Na Rusi podania o Krakusie przeniesiono na Włodzimierza Wielkiego. Obok imienia Krakusa, bywają używane imiona Krok i Krak. Wszędzie występuje jako król i ojciec bohaterów, będących prawdopodobnie dawnymi słowiańskimi bożkami, których chrześcijaństwo straciło z ołtarzy. Być może, że go czczono w Arkonie pod nazwą Swito-Wita.

Str. 1. wiersz 7. Wdowie na imię Jaga.

Jaga Baba jest postacią znaną w całej Słowiańszczyźnie. Jestto istota nadprzyrodzona wroga ludziom; występuje czasem w postaci pięknej niewiasty, częściej pod ryzami ohydnej wiedźmy. Jestto może uosobistnienie nocy.

Str. 1. wiersz 19. Na imię mu Czuryło.

Pod tém imieniem występuje w podaniach Kijowskich młodzieniec hulaszcy, podobny do starogreckiego Dionizosa, o którym podanie przedarło się może na Ukrainę z greckich kolonii Czarnomorskich.

Str. 2. wiersz 2. Nazywała się Żywą.

Zdaniem wielu mitologów Żywa czyli Żywa Baba była boginią lata u Słowian. Do tej dobroczynnej postaci zastosowałem baśń ludu Polskiego i Białoruskiego opowiedzianą w pieśni pierwszej.

Str. 2. wiersz 10. Sapucha z Welindą w świat patrzyły wspaniale.

Sapucha jestto u ludu Białoruskiego demon niewieści a rozpustny, który czasem przybiera postać Przenajświętszej Panny, i odbiera należne jej hołdy. O Welindzie prawią bajeczne podania Czeskie, jako o złej i zdradzieckiej księżnie, która Pragę w ręce Niemców wydała.

Str. 17. wiersz 23. Jabłka z Raju przysła a wodę z Dunaju.

Raj jestto kraina zielona do którego dusze umarłych odchodzą wedle podań Słowiańskich; kraina ta leży gdzieś na południu, i przedstawia się wyobraźni ludu tak jak ją opisałem w pieśni IV i IX przypominając bardzo Homeryczne wyobrażenia o tamtym świecie.

Dunaj to rzeka okalająca świat, Ocean Greków. Odgranicza świat żywych od świata umarłych, i wydaje się wtedy wyobraźni ludu rzeką krwawą. Bywa także jednak u Bułgarów n. p. rzeką błękitną, strzeżoną przez Gryfy, i udzielającą nieśmiertelności.

Str. 23. wiersz 2. Popiel zły sąsiad, w Polskie kraje wciąż się wdziera.

Popiel znany z podań przechowanych już w Galusie jest Wielkopolskiem wcieleniem zimy białej jak popiół, którą zjadają myszy roztali wiosennej. Ten sam zły Bóg zimowy nazywa się Kalin-Carem w baśniach Kijowskich, a na Rusi Białej Kościejem, w dzisiejszej Ukrainie i na całej Rusi Południowej Bujakiem.

Str. 44. wiersz 5 i 6. Ludzie także Popiela mianem Czarnoboga Nazywają.

Imię Czarnoboga jako ducha złego i króla złych duchów, dotąd zachowało się w pieśniach i przysłowiach lu-

dowych w różnych częściach Słowiańszczyzny. W podaniach Czeskich tak się nazywa król Północy który chciał przemocą porwać Lubuszę, Czeski przedstawiciel Wielkopolskiego Popiela i Małopolskiego Ritigera.

Str. 46. wiersz 5. Głowy Żmija ogniem z paszczy zioną ;

Żmij czyli Smok jest u Słowian podobnie jak u wszystkich szczepów pokrewnych istotą złą, czyhającą na zgubę Bogów i ludzi. Jestto jaszczurka skrzydlata o siedmiu głowach, która od czasu do czasu usiłuje pożreć słońce.

Str. 57. w. 2. i 3. Dziecko tak się maże, Że chyba je Marzanną odtąd nazwać każe.

Wszyscy kronikarze Polscy, i niektórzy latopiscy Ruscy, mówią o Marzannie, jako o bogini zimy, a zwyczaj topienia Marzanny, zachował się podobno dotąd w niektórych okolicach. Zdaje się, że Marzanna była właściwie ziemią zaklętą, uśpioną, do której się odnoszą liczne bajki, które mi posłużyły za treść ostatnich pieśni Baśni nad Baśniami. Przypomina Skandynawską Bertę.

Str. 58. wiersz 8. i 9. A morza falom Strybóg daje święte prawa, U ludzi bywa także królem Czechem zwany.

Kronikarze Ruscy świadczą, że Strybóg był Bogiem wicherów i królem morza. W podaniach późniejszych ludowych bywa przezwany świętym Mikołajem, a w Bylinach Kijowskich Mikołaj, który sprawia trzęsienia ziemi i burze, jest także ojcem wszystkich prawie dziewic bohaterskich. Przypomina Skandynawskiego Nioerda króla morza i ojca bogiń.

Dwaj bracia Lech i Czech, których kroniki kładą na początku historyi Zachodniej Słowiańszczyzny nadali swoje imiona Lechom i Czechom. Lech znaczy tyle co człowiek osiadły, rolnik, i Lech wyobraża ład stały, nieruchomy, kraj od wieków zamieszkały. W imieniu jego znajdujemy w źródłosłowie to samo co w słowie leżyć. Czech przeciwnie nadał swoje imię ludom, które poszły w kraje Giermańskie „uciekły, ciekły“. Jest przedstawicielem tego co niestałe, co upływa i ciecze. Dlatego pozwoliłem sobie nadać jego po-

wszechnie znane imię królowi morza, sądząc, że imię Stryboga byłoby zbyt pompatyczne dla toku moich gawęd.

Str. 60. w. 4. Więc, matko, dziecku nadasz Piasta miano.

Piast w przeciwstawieniu do Popiela zimnego wyobraża w podaniach wielkopolskich lato. Jestto kmieć u którego wszystko się rodzi i mnoży, jak urodzaj w lecie. Gnieżdżą się u niego bociany. Jest kołodziejem, bo w lecie słychać grzmoty, hurkot kół niebieskich; syci miody i prawdziwe ziemskie, i miody błyskawic, a dzierży panowanie od chwili, w której Popiela myszy zjadły. We wszystkiem prawie jest podobny do dobrotliwego Skandynawskiego Tora, pana lata i piorunów i króla kmieci, przewoźnika i kołodzieja. Miejsca w których niegdyś istniała cześć boga piorunów zostały wszędzie w Słowiańszczyźnie poświęcone świętemu Eliaszowi, który zajął w klechdach jego miejsce. I w Bylinach Kijowskich występuje Ilija, jako postać nadzwyczaj podobna do Tora i do Piasta, jako kmieć i król z kmiecia, pan urodzaju i pogromca zimy. To też pozwoliłem sobie niejednen rys Kijowskiego Ilii zastosować do Wielkopolskiego Piasta.

## PIEŚŃ II.

Str. 92. w. 21 i 23. Na imię mi dano Kolęda.

Pełno w Słowiańszczyźnie baśni o matce słońca, a jedna z nich z lekka przemieniona służyła za podstawę Pieśni II i VIII Baśni nad Baśniami. Choć Polscy zwłaszcza mitologowie przeczą słowiańskiemu pochodzeniu słowa Kolęda, uczeni innych Słowiańskich narodów obstają przytém że tak powszechne w Słowiańszczyźnie miano święta, nie może być jakimś pośmiertnym a niestosownym użyciem Rzymskiego wyrazu *Calendae* oznaczającego początek każdego miesiąca a wcale nie przesilenie zimowe. Użyłem tedy tej poetycznej *licencyi*, że Kolędą nazwałem matkę słońca.



## PIEŚŃ III.

Str. 135. w. 19. Miał na imię Wierzbięta;

W Bylinach Kijowskich nosi wróżbit przyboczny Włodzimierza to imię (Wierbiata). Tak jak wszędzie, tak i w tej pieśni III używałem motywów ludowych, z których czytelnik niejeden pozna. Największemi grzechami w Baśni ludowej bywają; uciskanie sierót, znieważanie grobów i zakopanie skarbów. Karami za nie głód i mór.

Str. 164. w. 3 i 4. Potem wróblom przywiązać ka-  
zała Do nóg wełnę płonąca.

Podobną opowieść podaje Nestor o księżnej Oldze i Drewlanach. Słyszałem ją także z ust ludu w Stebniku pod Drohobyczem.

## PIEŚŃ IV.

Str. 167. w. 2. Do chaty wrócił Nijko stary;

Długosz mówi, że Nij czyli Nija był bogiem piekielnym u Polaków. Zabierając się do powtórzenia baśni znanej w całej niemal Słowiańszczyźnie, o podróży do Raju, wybrałem dość przypadkowo imię Nija dla ojca przyszłej królowej piekieł. Podanie, które służy jako tło pieśni IV znajduje się w bazarzu Polskim Glińskiego, i w dopiskach do pieśni Serbskich Wuka Stefanowicza prawie zupełnie jednobrzmiące.

Str. 168. w. 19. Ojciec Lecha Asarmot.

Prawnuk Sema a przodek Słowian miał się podług naszych kronikarzy nazywać Asarmotem.

Str. 168. w. 22. 23. Przed nim mieszkały olbrzymie narody w Polsce.

Powszechną jest na Rusi baśń o dawnych olbrzymach, czyli Wielkoludach, którzy rodzaj ludzki w Polsce wyprzedzili.

Str. 169. wiersz 5. Aż teraz olbrzym stary, Tur, mi przeszedł drogę;

Turem miał się w zachodniej Słowiańszczyźnie nazywać Bóg wojny, ten sam co Tyr Skandynawski. To imię użyłem, jako nam bardziej swojskie, opisując zresztą demona wojny Wolcha czyli Wólę, takiego jak występuje w Bylinach Kijowskich.

Str. 169. w. 8. A brat jego Świętogór.

Olbrzym pozostały ze starych pokoleń, którego opisują Byliny. Matka ziemia go unieść nie może. Zgon jego opisują zgodnie z Bylinami w pieśni XI.

Str. 169. w. 11, 12, 13 i 14 trzeci mały Dziwo Karzeł z garbem ogromnym z długą brodą siwą, Także w górach zamieszkał, Dziwożonom włada; Czapkę wdziawszy Niewidkę i t. d.

Tak opisują podania Słowiańskie demona wichru. Imię Dziwo nadają w ogóle biesom. Dziwożony są to duchy niewieście górskie chodzące w czerwonych czapeczkach, które dzieci podrzucają, to samo co Faty *les fées* celców.

Str. 171. w. 10. Najmłodszej córce ojciec dał Doldi miano.

Imiona córek Nijka wzięte z podań innych, albo też dowolne. Doldi jestto u Bułgarów miano istoty dającej na wiosnę deszcz i urodzaj. Przedstawia ją dziewczica zresztą naga w kwiecie ubrana, którą po wsiach oprowadzają i wodą oblewają. Musiałem jakieś miano dać Słowiańskiej Psysze, a wybrałem to miano dla podobieństwa ze słowem dola, oznaczającym to samo co fatum, a tajemniczym.

Str. 173. w. 5. Położ głowę podnosi.

U Słowiańskich podobnie jak u Giermańskich narodów pełno podań o królu węzów, zwanym w Słowiańszczyźnie Położem. Bywa on u Germanów postacią króla Bogów Odyna czyli Wodana albo Wita. W słowiańskim podaniu które jest podstawą opowiadania zawartego w pieśni IV zamienia się także Położ nareszcie w króla Rajskiego. Dałem tedy bohaterowi powieści imię Kroka czyli Krakusa,

tém śmielej, że jest wiele podobieństwa między Krakusem a Odysem i że obrządki które odprawiają i dziś jeszcze przy mogile Krakusa w Krakowie odnoszą się do bóstw krainy śmierci, jeżeli mamy do nich zastosować analogię podobnych obrządków u innych narodów.

Str. 195. w. 9. i 10 To córki Rachmanowe; dwom na imię dano Niewieji i Niemily, trzeciej Psoły miano.

Trzy Jędze podobne do trzech Park Greckich, występują w różnych podaniach a między innymi także w tém, które posłużyło za podstawę pieśni IV. W jednej z Bylin występują, jako córki stróża piekielnego, jednookiego, i otrzymały tu podane imiona

Rachmanem nazywa się po dziś dzień na Rusi piekielny przewoźnik. Posłała mu się dary Dniestrem i Dnieprem na południe, i obchodzi się na wiosnę jego święta zwane Rachmańską Wielkanocą.

Str 207. w. 11 i 12. Zkądżeś dziewczko, przez Dunaje krwawe, Przeszła na Latyr Górę?

Góra Latyr czyli Alatyr znana w podaniach całej prawie Słowiańszczyzny, jako góra odgraniczająca kraj żywych od Raju.

Str. 207. w. 19. Po słowach tych poznało dziewczę Panią Zmorę.

Pani Śmierć, czyli Zmora strzeże bramy Rajskiej, u Słowian podobnie jak w Iliadzie.

Str. 211. w. 27. Dziedzilią mnie zwano.

Według Długosza imię Polskiej bogini urodzaju. Na dałem je matce Żywy.

Str. 212. w. 28 i 29 ujrzał na starym jaworze Lutnię zawieszoną.

Podanie białoruskie. Według wyobrażeń pierwotnych Ariów świat jest wielkiem drzewem, u Indusów figą, u Germanów jesionem, u Litwy dębem, u Słowian jaworem.

Str. 223. w. 12. Krakus jednym tchem pije napój.

Taki bywa napój sycony przy stole Włodzimierza w podaniach Kijowskich; w dzisiejszych wielkanocnych pieśniach Ruskich mowa o podobnym napoju syconém przez Rusałki i podobnej jego mierze, tylko że wódka często zastępuje miejsce miodu.

Str. 224. w. 26 i 27. Dadzą mu wdzięczni ludzie imię Białoboga, Tak jak go cienie zwały imieniem Swaroga.

Dwa imiona, które Słowianie dawali dobremu pierwiastkowi wedle wątpliwego zresztą może świadectwa kronikarzy; te imiona dają przeciwnikowi Popieła.

Str. 225. w. 29 i 30, a za zabawę u Dodoli dano Jęj pośród kobiet Złotej Baby święte miano.

Złotą Babę przeciwieństwo Jagi Baby czczono pod Moskwą jeszcze jako boginię w szesnastym wieku.

## PIEŚŃ V.

Str. 229. wiersz 1. Rosa królowa morska, a Czechowa żona.

Rosa matka i królowa duchów wodnych Rusałek występuje jeszcze często w weselnych pieśniach małoruskich.

Str. 236. w. 20. Nadasz jęj imię Wandy.

Wanda córka Krakusowa zamieniła się w ostatniem stuleciu w postać sentymentalnie patryotyczną. U naszych kronikarzy średniowiecznych jestto mężyni, która wyszła z morza, wiecznie dziewiczości strzeże, wzrokiem nieprzyjaciół zabija, i po zwycięstwie napowrót pod wodą zamieszkała. Taką przedstawiłem w V i XII pieśni. Podobna postać nazywa się w Baśni ludowej Cud-Dziewicą, w podaniach Kijowskich Nastasią, na Ukrainie dzisiaj królową Lelią, na Rusi Czerwonęj świętą Piatnycią. Narodzenie Cud-Dziewicy tu opowiedziane wedle bajki Polskiej.

Str. 237. w. 6. 7. i 8 a Rzepychą starsze dziewczę zwano, Drugie a pieśczożliwie Zabawą nazwano; Synek najstarszy nosił imię Złotomora.

Rzepycha małżonka Piasta: Repycia na Ukrainie ma to być Rusalka, która napój niebieski w sienie niesie niebieskiemu gospodarzowi i jego gościom.

Zabawa czyli Lubawa synowica Włodzimierza w podaniach Kijowskich, gdzieindziej zwana także Lubuszą jest to zalotne uosobistnienie młodej ziemi na wiosnę. Nazywa się także wprost Wiosną, i bywa wtedy Rusalką, i córką króla Morskiego. W ósmiej pieśni opisałem jej dzieje na podstawie podań Kijowskich i baśni Polskich. W pieśni XII użyłem Słoweńskiego podania o „Vesnie“.

Złotomór znany w podaniach Polskich i Czeskich demon bogactwa. Podanie Polskie o nim powtórzyłem w pieśni XII. z małą odmianą.

Str. 248. w. 7. Samożonami zwały je narody.

I w Czechach i na Rusi Czerwoniej słyhać podanie o Samożonach niewiastach, które ślubowały, że nie wyjdą za mąż, i które się nawet orężnie przed mężami broniły.

Str. 250. w. 2. I snać mile słyhała Ritigera mowę.

Ritiger, to nazwa, którą nadali Chrobaci złemu zimowemu Bogu zapewne już pod wpływem walki z Niemcami. W podaniach Kijowskich wcielony Ocean, Dunaj Cichy, stara się o Nastasię i zdobywa ją za pomocą towarzysza ubranego w Czapkę niewidkę, ale potem bywa przez nią w ćwiczeniach rycerskich pokonany, jak to opowiadam w Pieśni V. W staropolskich podaniach Ritiger jest na poły smokiem i pokonany wzrokiem Wandy, sam siebie zabije kołąc się własnym ogonem.

Str. 265. w. 16 i następne.

Zebrałem tu bajecznych rycerzy z rozmaitych podań starych narodów, których zresztą także poezya średniowieczna nieraz z sobą sprowadzała bez względu na chronologię, która dla takich istot właściwie nie istnieje.

Str. 266. w. 25 i 26. Księżciu temu dano Po grodzie w którym władał Haliczyna miano.

Niedawno rozkopano pod Haliczem mogiłę Haliczyna bajecznego założyciela miasta. Podania Kijowskie opisują go tak jak powtórzyłem w pieśni piątój; z tą tylko różnicą, że wszystkie jego przechwałki wreszcie okazują się w tych podaniach prawdą.

Str. 267. w. 22 i 23. Choć Haliczyn na świadka sąsiada Przemyśla Brał, którego na zamku u Wandy niebyło.

Przemyśl czyli Przemysław kowal i rolnik, uosobienie ludzkiego przemysłu znany z podań bajecznych Czech i Małopolski. On także bajecznym założycielem Przemyśla na Rusi Czerwonój. Zabawa w zielonój szacie tańczy przed nim w Wielkanocnej pieśni Małoruskiej.

## PIEŚŃ VI.

Str. 303. w. 17. I chcę, aby mnie Leszkiem pośród ludzi zwano.

Syn młodszy Krakusa Leszek zabija brata swego zwycięscę Smoka i oswobodziciela zaklętój dziewicy, z zazdrości, w starodawnym podaniu Małopolskim. O tym samym Leszku i jego zdradach, i o tém jak oszukiwał swoich 12 towarzyszy wojewodów prawily dalsze podania Małopolskie, a kronikarze pragmatycznym obyczajem przypisali każdą przygodę innemu niby księżciu Leszkowi, tak samo jak sobie z Popielem postąpili.

W podaniach Kijowskich radzi sobie podobnie przebiegły Alesza, którego imię jest tylko wariantą imienia Leszkowego. Przychodzi po żonę starszego zamordowanego brata, który się jednak zjawia pośród wesela i żonę odbiera, a ten sam motyw powtarza się nieustannie w baśniach polskich i moskiewskich, gdzie tylko zaginęły imiona obydwu braci a Leszka można poznać po przebiegłości i zdradliwości, po dwunastu braciach i po karym koniu.

Epizod o kradzieży bydła wzięty z pieśni Małoruskich,

gdzie Leszko okrada Dobrego Pana; reszta opowiadania w Pieśni VI osnuta na tle baśni Polskiej.

Str. 311. w. 28 i 29. Przeto dano Żrebcowi temu zgodnie Czarnolotka miano.

Imię dawane powszechnie w baśni koniowi przebiegłego przewodcy dwunastu braci.

Str. 315. w. 14 i 15 miano Snu Ziela.

Sen Ziele bywa zwyczajnem narzędziem Leszka w baśni. Prócz niego zdobył sobie Miecza Samosieczka i Gęśle Samograje w sposób w tej pieśni opisany, jeżeli mamy wierzyć starym baśniom.

Str. 320. w. 32. Wilami je nazwano.

Wile są to złe niewieście duchy, które u Południowych Słowian zaludniają mgłę i poranne obłoki.

Lichodziewa córka pogańskiego króla występuje w podaniach Kijowskich. Dowolnie użyłem jej imienia w Pieśni VI, korzystając tylko ze znaczenia nazwy.

## PIEŚŃ VII.

Str. 382. w. 5 i 6. I więcej ze slychu tylko Szklanej Góry miano Pośród Słowian narodu zamkowi nadano.

Szklaną Górą nazywa się miejsce cudowne, mieszkanie nadprzyrodzonych mocy, rodzaj Olimpu Słowiańskiego. Nazwa to bardzo stosowną dla sklepu niebieskiego.

Str. 382. w. 13 i 14. I wnet się zaludniły wielkie niebios tonie Tłumem skorych chochlików.

Chochlikami nazywają się djabliki powietrzne.

## PIEŚŃ VIII.

Str. 396. w. 9 i 10, wyspie tej nadano Dłatego, że tak widna zewsząd, Widnia miano.

Tak się nazywa istotnie w podaniach Kijowskich wyspa wśród Dunaju-Oceanu będąca siedzibą słońca, o której powstaniu Słowiańskie baśnie zgodnie z mitem Grekiem prawią to co tu powtórzyłem w Pieśni VIII. Imię Wideń tj. po grecku Delos nadano aż dwu miastom nad Dunajem: Wiedniowi i Widyniowi.

Str. 398. w. 1 i 2. Patrząc imię dała Kąpiącemu Kupały.

Syn starszy, dobry i zwycięski Krakusa, zamordowany przez Leszka pozostał w Małopolskiem podaniu bez imienia; a tylko w pieśni Szląskiej, która się do tego samego podania odnosi, nazywa się zamordowany a później zmartwychwstający bohater Panem Dąbrową. W Małoruskich pieśniach nazywa się brat Leszka Paniczem albo Dobrym Panem, a w podaniach Kijowskich imię Dobrzyni przypadło starszemu a zamordowanemu bratu Aleszy. Liczne nazwiska miejsc i urodzin w Polsce właściwej i w Czechach dowodzą, że to samo imię Dobrzyni nie było obcym Zachodniej Słowiańszczyźnie.

Baśnie ludowe starszego, dzielniejszego a zamordowanego brata Leszka, zwanego często w Polsce królewiczem Jasiem wyobrażają takim, jakim występuje w VIII, XI i XII pieśni Baśni nad Baśniami, a postać ta schodzi się często ze słońcem, podobnie jak Leszek schodzi się to z księżycem to z deszczem. Nadałem jej tedy imię Kupały, które dotąd w wielkiej części dawniej Polski nadają świętu Słonecznemu, i samemu słońcu czczonemu w dzień Sobótki.

Str. 429. w. 11. Wieszcza i Złotogrzywka otrzymałem miano.

Tak się nazywa koń królewicza Jasia w baśniach Polskich, i tak go królewicz dostaje. Jestto wyraźnie koń słoneczny, Pegaz Słowiański. A w podaniach Kijowskich przechowane i szczegół o tem, że się zapadł w ziemię czekając pana, i to, że źródła tryskają tam, gdzie koń cudowny stąpa, ze wszystkiemi do Pegaza podobny. Dwanaście Złotogrzywków ciągnie w baśni rydwan słońca.



## PIEŚŃ IX.

Str. 465. wiersz 26. Zoreńkę przeto Leszek odszukał  
w ogrodzie.

Przytaczam w pieśni IX baśń powszechnie znaną  
w Słowiańszczyźnie mówiącą wyraźnie o Zorzy i jej bra-  
ciach 12 miesiącach.

Str. 469. w. 5. Jabłoń stara skronie wiecznie kwia-  
tem stroi.

Opisuję drogę do domów księżycy zgodnie z treścią  
baśni znanych w całej prawie Słowiańszczyźnie.

Str. 474. w. 17, 18 i 19.

Niech się Leśniki prędkiej do roboty biorą  
I niechaj Miauki, które siedzą za drzew korą  
Ukryte, przygotowują dla pani posłanie!

Leśniki są to duchy leśne podobne do Satyrów sta-  
rożytnych, które opisałem wiernie. Miaukami zowią na Rusi  
Czerwonej Dryady.

Str. 498. wiersz 17 i 18 w tej chmurze poznano  
Ogromnego Żar-Ptaka.

Żar-Ptak znany w całej Słowiańszczyźnie, przedsta-  
wia obłoki zorzą kraśne. Jestto czasem ptak ogromny za-  
siadający na Latyr-Górze wśród dwunastu miesięcy, jak  
u Słoweńców; czasem jestto ptak mniejszy, własność Le-  
szka, którego jedno pióro wystarcza, aby rozświecić ciemną  
komnatę. Dwanaście Żar-Ptaków ciągnie rydwan księżycy.

## PIEŚŃ XI.

Str. 549. wiersz 1 i 2. Nad innych gór wierzchołki  
sterczy szczyt ponury, Sławnej na cały Słowian kraj Sobot-  
niej Góry.

Sobotnia Góra, mieszkanie wichru, miejsce, gdzie po-  
niesiono uśpioną cudownie królową, miejsce, gdzie tryska  
źródło żywota, znane w całej Słowiańszczyźnie, i u Persów.

Powtórzyłem baśń powszechnie Słowiańską o niej, w połączeniu z równie powszechnem podaniem o bratobójstwie.

## PIEŚŃ XII.

Str. 645. w. 21 i 22, to znowu Wodniki Na brzegi wywodzili swe brodate szyki.

Wodnikami nazywają się powszechnie w Słowiańszczyźnie męskie duchy wodne. Rusalkami na Rusi tylko niewieście nymfy.

Str. 665. wiersz 20. A gdy córkę Lubuszę królowa zrodziła.

Lubusza córka Kroka i małżonka Przemyśla, jest to najslawniejsza bajeczna królowa Czech, a zarazem inna tylko postać Wiosny.

---

W dopiskach tych nie miałem bynajmniej zamiaru stawiania stanowczych twierdzeń naukowych. Chciałem tylko wskazać jakie dane podaniowe pokierowały moją wyobraźnią w tym lub owym kierunku, przy pisaniu Baśni nad Baśniami, której jedynym celem jak to już powiedziałem, to że może czasem kogoś potrafi zabawić albo zerwać.

---

## SPIS RZECZY.

	Str.
Pieśń I. Żywa . . . . .	1
Pieśń II. Kolęda . . . . .	63
Pieśń III. Zwycięztwo Popiela . . . . .	113
Pieśń IV. Dodola . . . . .	167
Pieśń V. Wanda . . . . .	229
Pieśń VI. Leszek . . . . .	291
Pieśń VII. Piast i Rzepycha . . . . .	341
Pieśń VIII. Kupało i Zabawa . . . . .	387
Pieśń IX. Zoreńka . . . . .	451
Pieśń X. Wesele Marzanny . . . . .	505
Pieśń XI. Sobotnia Góra . . . . .	549
Pieśń XII. Róg Złotomora . . . . .	603
Dopiski . . . . .	671







**INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-240 Warszawa

Tel. 25-68-63, 25-52-31 w. 42









F.  
698½